

P. 9386 Arch. Chr.

M. 1/2 - 6

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/520-2/521 1991



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. SOŁTAN: **BUDOWNICTWO SAKRALNE W
POLSCIE**

A. TUSZYŃSKA: **LISTY Z SYBERII**

WYBORY PREZYDENCKIE: B. SPINELLI,
K. WOLICKI, L. UNGER, SMECZ, J. GIEDROYC

NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1990

SPIS RZECZY

Jerzy Sołtan:	<i>Budownictwo i architektura sakralna w obecnej Polsce</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Rembrandt w miniaturze</i>	22
Agata Tuszyńska:	<i>Listy z Syberii</i>	29
	WIERSZE	
Czesław Miłosz:	<i>Nowe przekłady: Tu Fu: Czysto po deszczu; Wiatr z południa; Po Czu: Filozofowie; Muso Soseki: Stary człowiek bez obowiązków; Walt Whitman: (...Jestem poetą rzeczywistości); Wiejski obraz; Antonio Machado: Tęcza w nocy; Blaise Cendrars: Ziemia Aleutów; Frisco City; Tampa; Rybna zatoczka; Żniwo; John Haines: Pociąg przystaje w Healy Fork; Gary Snyder: Koniec października; Kampując w Sawtooths; Ważka</i>	38
	WYBORY PREZYDENCKIE	
Barbara Spinelli:	<i>W oczach Zachodu</i>	45
Krzysztof Wolicki:	<i>I po krzyku</i>	50
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli (Wypędzanie szatana)</i>	55
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	69
Jerzy Giedroyc:	<i>W poszukiwaniu dróg wyjścia z kryzysu</i>	78
	KRAJ	
Ryszard Ciemiński:	<i>Polska wielu ojczyzn</i>	84
Robert Kaczmarek:	<i>Finansowe czynniki skuteczności gospodarczej</i>	89
Jan A. Czekański:	<i>Manna z nieba</i>	100
Sławomir Magala:	<i>Incydent</i>	107
	SPRAWY I TROSKI	
Zbigniew Kurcz:	<i>Polacy: bohaterowie czy handlarze?</i> ...	109
Siergiej Szachmajew:	<i>Russo turista</i>	118
	WYWIADY „KULTURY”	
Roman Lewandowski:	<i>„Wszystko przesłaniają handlarze...” (Rozmowa z Ladislavem Volko)</i>	123
	SĄSIEDZI	
Alain Besançon:	<i>Podłość</i>	133
—	<i>Informacja o pobycie delegacji litewskiej w Paryżu</i>	134
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	135
Berlińczyk:	<i>Niemcy na rozdrożu</i>	140
Józef Darski:	<i>Kronika litewska, białoruska i ukraińska</i>	144
	NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1990	
—	<i>Nagrody publicystyczne im. Juliusza Miroszewskiego — Lidia Ciołkoszowa, Wojciech Wasutyński</i>	150
—	<i>Nagroda literacka im. Zygmunta Herta — Tomasz Jastrun (Witold Charlamp)</i>	151
	CI, CO ODESZLI	
Stefania Kossowska:	<i>Karol Zbyszewski</i>	153
	KRONIKA KULTURALNA	
Jerzy P. Horzelski:	<i>Przygodne notatki o mowie</i>	156
Agata Koss:	<i>Tydzień Polonistów na KUL-u</i>	168

Ciąg dalszy na str. 224

P.9786

Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty-Janvier/Février 1991

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr. Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 11-ty — Dol. US 87,00	F. 435,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 16-ty — Dol. US 100,00	F. 500,00
Czesław Deminet, Albuquerque NM (USA), po raz 19-ty — Dol. US 46,00	F. 230,00
Juliusz Dzanott, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 15- ty — Dol. US 44,00	F. 220,00
Jacek Hejnar, Saint-Hubert, PQ (Kanada), po raz 4-ty	F. 50,00
Ewa i Jacek Jędruch, Summit NJ (USA), po raz 17-ty — Dol. US 36,00	F. 180,00
L.L. Kejna, Launceston, Tas. (Australia),	F. 185,74
Prof. Karol J. Krotki, Edmonton, AB (Kanada) po raz 13-ty	F. 250,00
Maria Łamzaki, Paryż — zamiast kwiatów na grób Anny B. Langrodowej, zmarłej 28 listopada 1990 r. w La Verrière, której dobroć, rozum i poczucie humoru były podporą Jej rodziny i przyjaciół	F. 250,00
Prof. Jerzy Lenczowski, Berkeley, CA (USA) — w pierwszą rocznicę zgonu ukochanej Żony, Bronisławy z Szyłkiewi- czów Lenczowskiej, uwięzionej przez NKWD w Gorki w czasie II wojny światowej, prezeski Federacji Klubów Kobiecych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley — Dol. US 50,00	F. 250,00
Weronika i Jacek Machniewiczowie, Formentera (Hiszpania) — dla uczczenia pamięci Romana Palestra i Karola Wagnera- Pieńkowskiego	F. 500,00
Tadeusz J. Maczyński, Des Plaines, IL (USA), po raz 14-ty — Dol. US 24,00	F. 120,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 2-gi	F. 100,00
Jan F. Morelewski, Evergreen, IL (USA), po raz 19-ty — Dol. US 26,00	F. 130,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 19-ty i 20-ty po Frs. 100,00 = 200,00	F. 770,00
(Przepraszamy najmocniej p. S. Nędzyńskiego, że nie odnotowaliśmy od razu Jego daru Frs 100,00, który prze- kazał w końcu lutego 1990 r.)	
Pamięci moich drogich Rodziców — Idy Jurysiowej-Spira i Romana Jurysia — córka	F. 300,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA), po raz 21-szy — Dol. US 116,00	F. 580,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA), po raz 23-ci — Dol. US 50,00	F. 250,00
Ryszard Snarski, Montreal, PQ — z podziękowaniem za pamięć o Polakach w Rosji — Dol.c. 50,00	F. 215,00

Ciąg dalszy WPLAT na str. 223

1991 51073

Budownictwo i architektura sakralna w obecnej Polsce

Temat zdradliwy. Zdają sobie z tego w pełni sprawę. Wyjście poza granice ścisłej techniki oznacza wciągnięcie w wir spraw złożonych, skomplikowanych, a jednak niemożliwych do odsunięcia. Spraw, w których rozumowanie przeplecione być musi sądami subiektywnymi, zabarwione emocją. Architektura, jeden z najczulszych kamieni probierczych kultury w ogóle, architektura sakralna, najdelikatniejszy „podgatunek” wśród wszelkich odmian tej rodziny i to gdzie? W przedziwnych warunkach dzisiejszej czy wczorajszej, katolicko-komunistycznej Polski.

Ktokolwiek ma oczy, które coś widzą, a interesuje się sprawami współczesnej kultury, ten zdaje sobie sprawy, że z architekturą sakralną na świecie nie jest dzisiaj dobrze. A jak wygląda sprawa architektury, czy po prostu budownictwa sakralnego w Polsce w porównaniu ze światem? Otóż wydaje mi się, że w Polsce budowa kościołów przedstawia problem poważniejszy niż gdzie indziej. Różne można cytować podstawy do tej oceny, jeden punkt jest jednak szczególnie, obiektywnie uchwytne. Oto wydaje się, że we wszystkich krajach świata, we wszystkich systemach społecznych, ekonomicznych czy politycznych — budownictwo związane z jakimkolwiek religijnym kultem odgrywa, w porównaniu z całością zagadnień budowy ludzkiego otoczenia, mniejszą rolę w Polsce. Niektórzy — może złośliwi — „specjaliści” twierdzą, że w Polsce nie ma i nie było ostatnio żadnego innego budownictwa prócz kościelnego.

Drugi punkt — prawie równie jasny — to stwierdzenie, że w kraju, w którym religia odgrywa w różnych dziedzinach tak poważną rolę jak w Polsce — budownictwo mające religię i jej wagę wyrażać, musi odgrywać rolę większą niż tam, gdzie płynie ona prywatnym, cichym, może nawet głębokim, ale wyraźnie

osobistym nurtem. Dzisiaj nie ogrom katedry (na przykład Chartres, Kolonia czy Wawel) określa sylwetę i charakter osiedla ludzkiego. Dawne są czasy, kiedy ludzkie osiedla tuliły się do „katedry-olbrzymia”. Dziś sylwetę miasta określają „drapacze chmur”, szumnie nazwane przez kogoś „pióropuszcami” sukcesu finansowego. Te super-szyldy reklamowe stają się też w bardziej pośredni sposób symbolami ciągle rosnącego na świecie molocha biurokracji. Nawet warszawski główny drapacz chmur, chełpiący się przynależnością do świata „kultury” — Pałac Kultury — poświęca przecież swój atut — okazałe wymiary — nie sprawom kultury czy sztuki, ale po prostu niezliczonym ilościom najzwyczajszych komórek biurowych.

Budynki sakralne, powstające dziś z rzadka, nieczęsto należą do obiektów, które intelektualne sfery chciałyby rozważać, krytycy opisywać, międzynarodowe organizacje — chwalić czy nagradzać.

Czy w Polsce sprawa ta wygląda podobnie? Częściowo — tak, częściowo jak najbardziej — nie! Z rzadka? Nie: powiedzieliśmy przecież, że w Polsce buduje się „tylko” kościoły. Jakość? To wielki znak zapytania. Architekci wydają się z siebie zadowoleni, ale co myśli opinia publiczna? Kler?

Wypada też może zapytać naiwnie, czym właściwie naprawdę jest architektura. Jedna ze zwyczajnych odpowiedzi będzie brzmieć, że architektura to budownictwo wyniesione na poziom sztuki. A sztuka? „Sztuka jest zdefiniowana dostatecznie, gdy określona jest jako INTUICJA”, mówi filozof Benedetto Croce, a według Pieta Heina, duńskiego matematyka, „sztuka jest rozwiązywaniem problemów, które nie mogą być sformułowane”.

Zachwyt nad przejawami sztuki wyraża się najpełniej nie poprzez analizę, lecz przez równoległą manifestację sztuki innej. Najbardziej efektywną krytyką malarstwa były często utwory poetyckie, powstałe z podniety malarzkiej. My jednak brniemy dalej, pamiętając, że zachwyt czy obrzydzenie, wyraz opinii publicznej, grupy społecznej czy indywidualnej jednostki, porządkowany jest przez historię. Czas na szczęście wnosi poważną dozę obiektywizmu we wszelkie oceny sztuki. Ciekawe, jak też załatwi się on z budownictwem sakralnym dzisiejszej Polski?

Architektura jest „kwiatem późno kwitnącym”. Wielu artystów i teoretyków pisało obszernie na ten temat. W różnych kulturach architektura krystalizuje się chronologicznie, po innych sztukach wizualnych, po malarstwie i rzeźbie, a także — choć to można trudniej ocenić — po muzyce, czy literaturze. Z drugiej zaś strony architektura jest jednym z najbardziej niezawodnych, pewnych i czułych „papierków lakmusowych”, zdolnych

określić stan kultury społeczeństwa, w którym powstaje — które powoduje jej powstawanie. Na jej powstawanie składa się bowiem jakieś minimum porozumienia pomiędzy tym, czego świadomie a często i podświadomie życzy sobie społeczeństwo — a tymi, którzy są w stanie wymyślić to czy wymarzyć tzn. ludźmi odpowiednio przygotowanymi, aby to coś się „urodziło” i aby ewentualnie zostało wybudowane.

Konieczność zgody pomiędzy tym, czego chcą inicjatorzy budowy — tzw. zleceniodawcy (coż za wstrętne słowo) — a tym, co reprezentuje architekt przedstawia — powtarzam — próbę jakości kultury epoki, w której dzieło architektoniczne ma powstać. W wypadku architektury sakralnej chodzi o wiernych, kler i grupę projektującą z architektem włącznie czy na czele... Stopień zgody w tym skomplikowanym organizmie ma oczywiście ogromny wpływ na jakość dzieła. Jak też w dzisiejszych czasach ta zgoda wygląda w warunkach polskich?

Społeczeństwo *versus* budowniczowie? — architekci? Kler *versus* budowniczowie? Budowniczowie *versus* społeczeństwo? Cóż za skomplikowane układy i to w czasach tak bardzo złożonych w skali całego świata, o którym trudno już mówić inaczej niż „globalnie”. Architektura — sztuka zbiorowości — nie wie dziś, jaką kulturę ma reprezentować: dawną, już nieaktualną, czy nową, której jeszcze nie ma? — O ile i jak włączać nowe elementy w przytulną atmosferę znanej przeszłości? Architektura grzęźnie więc w konfliktach pomiędzy „zleceniodawcą”, który nie jest przygotowany, aby zadanie sformułować, a architektem, przeciążonym obowiązkami w stosunku do nowych odkryć naukowych i technicznych i stąd też bagatelizującym tę „drugą stronę architektonicznego medalu”, która wiąże się z poezją i poetyką oraz ze wszelkimi sztukami wizualnymi, z rzeźbą i malarstwem na czele. Wszyscy wielcy architekci przeszłości byli choć częściowo malarzami, rysownikami czy rzeźbiarzami. A dziś? Architektura ponosi większą niż inne wizualne sztuki odpowiedzialność za przedstawienie ducha epoki, choćby dlatego, że nie można jej przecież schować do szuflady, na strych, czy do piwnicy, zaś architektura sakralna mniej niż inne odmiany zasłaniać się może sloganem, że „forma wynika z funkcji”. Trzeba tu przypomnieć, że podczas, gdy na świecie problem architektury sakralnej tonie w masie innych zagadnień związanych z otoczeniem, w Polsce jest on zagadnieniem czołowym. Na świecie projekt obiektu sakralnego jest dla architekta interesującą rzadkością. W Polsce osób parających się projektowaniem kościołów jest mrowie.

Przeglądającemu dzieło pt. „Współczesna Architektura Polska”¹ wydaje się, że prawie każdy architekt polski ma za sobą jakiś

1. T. Przemysław Szafer, „Współczesna Architektura Polska”, Warszawa 1988.

projekt sakralny, jakiś kościół, kaplicę, klasztor, opactwo, sanktuarium — szczęśliwi ludzie! A może nieszczęśliwi? Wystawiają szyje i głowy do ścięcia. W porównaniu z ilością dzieł projektowanych pisze się na te tematy znikomo mało, a to, co udało mi się odnaleźć, jest pozytywno-zdawkowe — takie ogólne kadzenie: „architekta charakteryzuje rzetelność i doświadczenie projektowe połączone z wybitnymi zdolnościami plastycznymi i temperamentem artystycznym”. A jeśli chodzi o uogólnienia: „Współczesna polska architektura sakralna wykształciła zespół interesujących indywidualnych form. Każdy z nowych kościołów stanowi przykład odmiennego rozwiązania bryły i poszczególnych fragmentów elewacji oraz zróżnicowanego operowania detailem...” itd. Trudno znaleźć autora-krytyka — tylko jednego znalazłem (o czym — niżej) — który wyszedłby poza tę zdawkową sprawozdawczość. Mówi się o „interesujących indywidualnych formach”, mówi się, że „każdy z nowych kościołów stanowi nowy przykład rozwiązania”. To — oczywiście — nieprawda: kościół w Nowej Hucie wywodzi się z corbusierowskiego Ronchamp, kościół w Zawoi — z kaplicy Niemeyera w Brazylii itd.

Szukanie natchnienia poza sobą samym nie jest grzechem. Przeciwnie — przez interpretację cudzych zdobyczy powstaje szlachetna ciągłość. Tak działo się zawsze. Picasso mawiał, że „kradnie i poprawia”. Polskie interpretacje polegają jednak (zbyt niestety często) nie na udoskonalaniu, nie na sublimowaniu, szukaniu esencji. Są przede wszystkim jakimś chorobliwym rozdymaniem, komplikowaniem spraw, których się samemu nie rozumie. Wspaniale pasuje tu niemieckie powiedzenie: „po co robić rzeczy proste, gdy można komplikować”. W popularnej, ale poważnej i podstawowej książce pt. „Budowa kościołów” autor polsko-angielsko-amerykański, krytyk, katolik Józef Rykwert², po części historyczno-opisowej skupia uwagę na pracach dwóch architektów — dwóch tylko. Są to Le Corbusier i Rainer Senn. O R. Sennie nikt w żadnych polskich materiałach nie wspomina. Zaś o dziele Le Corbusiera nie będę tu teraz obszernie pisał. O nim trzeba albo dużo — bardzo dużo, albo tylko mieć go „w pamięci”, a jeśli chodzi o architekturę sakralną, to raczej ważny będzie tu dominikański klasztor w Eveux niż znana, ale tak śmiertelnie dla architektów niebezpieczna kaplica w Ronchamp. Le Corbusier ze swymi dominikanami postawił modernizm twarzą w twarz z sakralnością i umiał dotrzeć do podstaw.

Rainer Senn stara się o coś, o czym Le Corbusier myślał mało — stara się mianowicie wtłoczyć sakralność w koryto biedy — tej światowej biedy, o której przecież obecny Kościół katolicki pamięta, wyrażając tę pamięć nie tylko pobożnymi sło-

ganami. Rainer Senne — architekt szwajcarsko-francuski (zaczął od nędzy podparyskiej, od pięknego środowiska Abbé Pierre'a — ośrodka walki z biedą — i dalej pracuje dla biedy. Nie ma on z pewnością corbusierowskiego „lwiego pazura”, ale głęboko rozumie i czuje poezję i piękno ubóstwa. Ma też trochę dyscypliny wizualnej, która pozwala mu na dzieła czasem nawet brzydkie, ale proste, rozczulające poetyckością i wizualną skromnością. Lepsza brzydota prosta niż pretensjonalna. Le Corbusier i Senn umieli dotrzeć do podstaw. Le Corbusier do starochrześcijańskich katakumb, do kaplic i kapliczek romańskich, a Senn do szałasów i pustynnych namiotów.

W obecnych sakralnych projektach polskich czuć niemało wpływów Le Corbusiera, nie czuć niestety Senna. Są często, prawie zawsze nاپuszzone, nowobogackie zarówno w ogólnej koncepcji przestrzennej jak i materiałach, w samym wykonaniu. Nie pasują nie tylko do biedy polskiej, ale i do ogólnych dążeń Kościoła katolickiego. Przecież sakralne kielichy i pateny — przedmioty wysoko stojące w liturgicznej randze, dawniej zawsze — twierdzono nawet, że obowiązkowo — złote, dziś zamieniają się jak świat długi i szeroki na ceramiczne, czy nawet szklane i blaszane.

Romuald Gutt, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i Warszawskiej Politechniki — jedna z pozytywnych postaci polskiej architektury powojennej — znany był z następującej krytycznej oceny studenckich projektów: „Tak — mawiał — okazał tu pan (pani!) dużo gustu, niezmiernie dużo gustu — jaka szkoda, że gust ten jest w tak niezmiernie złym gatunku”.

Nowe polskie kościoły tchną często jakąś dziwną zarozumiałością i pretensjonalnością. Oglądającemu czasem wstyd się robi za autorów. — Mickiewiczowska zachęta „mierz siły na zamiary nie zamiar według sił” nie wychodzi im na dobre. Projekty wydają się często wyraźnie „ponad stan” kultury ogólnej, umiejętności wizualnej i wizualnego uczulenia autora — może i „zleceniodawcy”. A oto kilka projektów i realizacji pasujących do tych określeń. Często nie znam i nie chcę znać nazwiska autorów. Ale same projekty — te boleśnie tkwią mi w pamięci! Czy mają one wielu zwolenników w Polsce? Czy wielu wrogów? Oto kilka z nich:

Elbląg: kościół (?); Lublin: „Świątynia Pokoju” na Majdanku; Nowa Huta: kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej; Rudy Rysie: kościół pod wezwaniem Dobrego Pasterza; Tarnów: kościół św. Józefa (?) czy M.B. Fatymskiej (?); Władysławowo: kościół (?); Wrocław: kościół pod wezwaniem św. Ducha; Zawoja: kościół „Na wzgórzu”.

Ten charakter projektów sięga zresztą poza macierzyste granice, dociera aż do Ameryki, do tej przebogatej „świątyni”

2. Joseph Rykwert, „Church Building”, Londyn 1966.

(Shrine) Matki Boskiej Częstochowskiej w pensylwańskim miasteczku Doylestown.

Ubolewanie czy krakanie powinno być jakoś równoważone elementami optymizmu. W wypadku sakralnej nowej architektury polskiej nie jest to łatwe. Wertuję wprzód i wstecz pokazaną księgę Szafera, wpatruję się w karty esejów związanych z architekturą sakralną, jadąc przez kraj (lipiec 1990) wypatruję głodnym okiem jakichś nieznanymi anonimowych czy niereklamowanych cudów... I nic.

Wracam więc w końcu do Warszawskiej Katedry — ogromnie ją sobie chwalebę. Choć nie znam jej historii, śmiałem już o niej pisać.³ Oczywiście jest to jakiś rodzaj skansenu. Nie zdziwiłbym się, gdyby gdzieś istniał jej oryginał, nie zdziwiłbym się, gdyby była to dostosowana kopia. Ale czy takie czy inne jest jej pochodzenie — miło na nią patrzeć. Nieporównanie milej niż na jej przez Niemców zburzoną poprzedniczkę. Różnica polega na tym, że w tej obecnej nie czuć „twórczych marzeń i wzlotów” autora. Uczciwie odrobił ten jakiś niemiecki gotyk. Poprzednia zaś była wynikiem marzeń o niby-gotyku; marzeń, na które autora nie było stać, „wzlotów”, które doprowadziły do upadku. Interpretować po swojemu rozwinięty, późny gotyk — *gothique flamboyant*...? Nielada śmiałości do tego potrzeba. To prawda, że nie tylko Idzkowski — nie on jeden na świecie — próbował takiej osobistej interpretacji rozkwitniętego, czy już nawet przekwitającego stylu Średniowiecza — nie on jeden też zbankrutował na tym zadaniu. Próbowali różni Anglicy i Francuzi. Czy nie to samo stało się chociażby z tak bardzo czczonym w Ameryce Richardsonem, który chciał interpretować nawet nie późny gotyk, ale schyłkową, przedekorowaną romańszczyznę i też się na tym poparzył — choć wśród szowinistycznych rodaków zyskał sobie oczywiście należyte uznanie.

Z perspektywy czasu wydaje się, że dziś, wobec kryzysu kultury ogólnej, droga wiązania współczesności z przeszłością prowadzi albo przez wieczne odtwarzanie — kopiowanie (jakże smutno jest czuć się zmuszonym do takiego formułowania) — albo przez świadome wybieranie z przeszłości i interpretowanie tego co podobne do obecnej chwili, co przedstawia jakąś równoległość wysiłku. Pisać o tym obszerniej spróbuję później. Teraz tylko zaryzykuję sugestię, że po podobnej drodze w Polsce i to z pozytywnymi wynikami poszedł architekt Oskar Sosnowski projektując w Warszawie kościół pod wezwaniem św. Jakuba. Oskar Sosnowski związał się tam — tak jak Richardson — ze Średniowieczem, z romańszczyzną, ale nie z tą przekwitającą ozdobną, bogatą, dekoracyjną. Protoplastami Sosnowskiego są romańskie elementy pro-

ste, zasadnicze, podstawowe, uniwersalne — zdolne związać się z podstawowością wszystkich czasów — z polską włącznie.

Nie jest przesadą twierdzenie, że jeśli chodzi o architektów przedstawicieli nowych czasów czy modernizmu, to wszyscy oni zgadzali się, że nowa epoka zasługuje na nowe architektoniczne formy. Niestety — poszukiwania tych form ginęły w cieniu innych problemów w skali światowej. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. Stwierdzenie to stało się sloganem chwili. Gdy miliony giną z głodu — ze zwykłego fizycznego głodu, ale też i z głodu SCHRONIENIA, nie czas na „pięknoduchowanie”. Stwierdzenie to tłumaczy dużo a popularne się stało wśród społecznie odpowiedzialnych, trzeźwych, a może mniej utalentowanych artystycznie architektów początku tego stulecia. Im też — w większości — trzeba przypisać „styl pudełek zapalczanych”, przechrzczony potem na „styl międzynarodowy”. Poważniejsi architekci epoki zdawali sobie jednak sprawę, że poszukiwania formalne są integralną częścią ich powołania. Nowa epoka zasługuje na nową formę. Co do dróg jednak, które do tej formy mogłyby prowadzić — zgody nie było. Ogólnie można powiedzieć, że od początku poszukiwania poszły w dwóch głównych kierunkach:

Większość czołowych modernistów orzekła, że nowości można szukać dopiero po pełnym wyrzeczeniu się przeszłości, tradycji, historii..., że prawdziwa nowość może powstać tylko z pełnej abstrakcyjnej nicości, że początkiem musi być prawdziwa *tabula rasa*, z takimi tezami wystąpili m.in. Walter Gropius, Hannes Mayer, L. Mies van der Rohe i Kazimierz Malewicz. Z drugiej strony od samego początku modernizmu istniał w nim pod-prąd, który z przeszłością nigdy nie zerwał, tylko że przedstawiciele tego pod-prądu skoncentrowali swoje związki z przeszłością na specyficznych momentach, które się w minionych stuleciach a nawet i tysiącletniach powtarzają. Zwracali się mianowicie wyraźnie i stale do początków minionych epok, nowe formy dopiero zaczynały się krystalizować. Tworzenie paralelizmów formalnych między odległymi nawet epokami odbywało się czasem świadomie, ale głównie czysto intuicyjnie. Picasso nie dlatego tak głęboko fascynował się „prymitywną” sztuką, którą antropologowie przywozili z Afryki, Australii, czy jakichś odległych i egzotycznych wysp Oceanu Spokojnego, że była ona nowostką, ale dlatego, że reprezentowała pewną podstawowość, której kubiści łaknęli i w którą chcieli wstrzykiwać swoje własne marzenia. W architekturze także łaknienie podstawowości wiąże się w sposób jakby naturalny ze światem form należących do przeszłości. Moskiewskie Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego projektu Leonidowa podsuwa na myśl starożytną Mezopotamię wyrażając równocześnie nowy — na jego czasy — świat — „paleo-techniki”. Owo łączenie epok jest u Le Corbusiera bardziej świadome.

3. „Rozmowy o architekturze”, *Kultura* nr 6/1990.

Można z nim o tych sprawach mówić. Można o tych związkach z dawnymi czasami u niego czytać. Inwokując europejskie Średniowiecze Le Corbusier pisze: „Tak, katedry były kiedyś białe, oslepiające w swej bieli i młode — a nie czarne, brudne, stare. Epoka była świeża i młoda. A dzisiaj? Dzień dzisiejszy też jest młody, jest świeży, jest nowy. Dzisiaj także świat zaczyna nowe życie⁴”. Choć zdania te nie mogą w obecnych czasach w pełni nikogo zadowalać — czystość otoczenia, czy niepokalana jego białość nie mogą być uważane za symbole dnia dzisiejszego — główna myśl w nich zawarta pozostaje w dalszym ciągu aktualna. Czasy nasze są młode. Pojęcia młodości, czy dzieciństwa nie muszą wiązać się tylko i wyłącznie z pozytywnymi życia. Hasło „Początki kultur wszystkich krajów i wszystkich epok łączą się” może być uważane za żartobliwe, ale adekwatne przeniesienie znanego hasła komunistycznego w świat nowoczesnej sztuki.

Potężne a jeszcze prymitywne fabryki-smoki ze swymi nadmiarę olbrzymimi kominami łączą się ponad czasem z tym, co by się chciało widzieć w ruinach Asyrii czy Babilonii.

Giuseppe Terragni zaludnia projekt swego Danteum — świątyni ku czci Dantego — surrealistycznym lasem prymitywnych, ale bardzo greckich kolumn ułożonych w skomplikowane systemy złotego podziału. Louis Kahn projektuje dla nowej stolicy Bangladeszu w Dakka budowle tak w swych formach zasadnicze, że wydają się kolekcją brył przygotowanych dla dzieci jakichś gigantów do lekcji przestrzennej podstawowej geometrii.

Le Corbusier wreszcie — od samego początku, nawet w okresie najbardziej „pudelkowym” — wprowadza do zapalczałości jakąś nutę znaną i swojską. Ku niezadowoleniu krytyków-purystów — strażników czystości modernizmu — łączy materiały przez nich zaakceptowane jako „godne nowych czasów” jak szkło, plastyki, aluminium, nierdzewna i kortenowa stal — materiały nowe, nieznane, zimne, ostre — z różnymi znanymi, przytulnymi starociami jak łupany kamień, cegła, grubo ciosane drzewo... Zaś materiały te stosuje w układach kontrolowanych często prastarymi regułami złotego podziału czy „boskiej proporcji” — geometrycznie jasnych, prostych ale też czytelnych w swych sympatiach do praw narzuconych przez słońce, wiatr, układ tektoniczny przestrzeni.

Zestawienie architektury ze sztukami „czystymi”, z malarstwem czy rzeźbą daje też okazję do rozważań na temat pokrewieństwa epok. Po II wojnie światowej jeden z pierwszych i najbardziej wzruszających pokazów malarstwa nowoczesnego odbył się w latach czterdziestych w Avignonie, w papieskim,

4. Le Corbusier: *Quand les cathédrales étaient blanches* (Kiedy katedry były białe, tłum. J.S.).

wczesnośredniowiecznym zamku. Na gołych, grubo ciosanych kamieniach murów zawisły płótna Braque’a, Grisa, Klee, Kandynskiego, Légera, Mirò, Picassa... Pięknie i bez przymusu materiału i surowy detalściany współbrzmiał tam z obrazami całkowicie współczesnych autorów.

Innym przykładem zgodnego współzycia malarstwa i rzeźby nowoczesnej z architekturą dawnych czasów jest muzeum Picassa w średniowiecznym zamku Grimaldich w Antibes. Sytuacje — niejako — odwrotne potwierdzają ten sposób myślenia. Zestawienie nowoczesności wyrażonej malarstwem czy rzeźbą z największymi nawet arcydziełami architektury baroku czy rokoko — z bogactwem i wymyślnością epok pełnego rozkwitu czy nawet przekwitania — budzi chyba od razu bunt i protest. Płótna kubistów i surrealistów w salach Wersalu czy Fontainebleau? I wreszcie — znowu odwrotne pytanie: co stałoby się z płótnami Fragonarda czy Watteau w zamku avignonskim czy twierdzy Grimaldich w Antibes? Oto tylko kilka — wydaje się — charakterystycznych przykładów, związanych z kulturą zachodnioeuropejską. Przykłady te mnożyć można w nieskończoność i czerpać z całego świata.

Jeśli przyjąć, że szukanie paralelizmów może pomóc w tworzeniu architektury w ogóle — to jakże ogromnie wydaje się ono pomocne przy tworzeniu architektury kościelnej.

Powrót do podstaw, szukanie elementów zasadniczych, szukanie wspólnoty z okresem powstawania czy odnowy religii, religijnych obyczajów, powstawania liturgii — wszystko to wydaje się bardzo „na czasie”. Powstawania schronień dla religijnych zebrań pierwszych chrześcijan, dla pierwszych ich nabożeństw należy szukać w jaskiniach czy grotach Izraela, w pierwszych sakralnych miejscach Palestyny czy Ziemi Świętej w Nazarecie czy Jerozolimie, w aramejskich kapliczkach — grotach Syrii⁵ czy wreszcie — w katakumbach Rzymu. W tym też kierunku starali się dążyć w latach czterdziestych oświeceni dominikanie ze środowiska wydawnictwa „Art Sacré”⁶. Tyle, że do jaskiń i katakumb dodali oni w swoich rozważaniach kaplice i kościółki starochrześcijańskie i romańskie rozsiane po zachodniej Europie, a szczególnie w bliskich im Burgundii i Languedoc. Z polskich wzorów przychodzi zaraz na myśl krakowska kaplica Feliksa i Adauka — kolegiata w Tumie, jakieś romańskie resztki rozsiane po kraju. Do tych archetypów-prototypów można dodać w skali światowej dużo innych przykładów nawet z kontynentu, który teraz zamieszkują. Przede wszystkim kapliczki amerykańskich Indian Nowego Meksyku i franciszkańskie

5. Starochrześcijańskie kapliczki w Maluli koło Damaszku.

6. Dominikanie: Cocagnac, Couturier, Regamey i inni.

misyjne kościółki Kalifornii. Wszystkie te przykłady — małe w wymiarach, skromniutkie i przytulne — można też uważać za wyraz potrzeby „powrotu do łona matki”, chęci schronienia czy nawet ucieczki od życia, od bolesnego tumultu obecnych czasów.

Jeśli chodzi o pierwsze przykłady współczesne reprezentujące tego ducha, to oczywiście na specjalną uwagę zasługuje wspomniana już znana kaplica w Ronchamp i przyklasztorny kościółek i kaplica w Eveux — projektowane przez Le Corbusiera. Kaplica w Ronchamp, uznana za jedno z jego czołowych dzieł, stała się początkiem wielkich zmartwień ortodoksyjnych modernistów, a także powodem klęsk naśladowców, a naśladowców zarówno „po linii” sakralnej jak świeckiej objawiło się całe mrowie.

Projekt kaplicy w Ronchamp miałem możliwość poznać zaraz po jego realizacji. Od razu też razem z zachwytem ogarnął mnie paniczny strach przed skutkami naśladownictwa tej tak trudnej, jakby pozaczasowej, równocześnie głęboko tradycyjnej i współczesnej wersji rozumienia *sacrum*. Sam autor wielokrotnie mówi o zastosowaniu tu drogich mu rozwiązań związanych ze „złotym podziałem”, „boskimi proporcjami”, z einsteinowskim *continuum* poprzez „wizualne echo” (nowy termin ukuty przez Le Corbusiera na tę okazję) z formami organicznymi — jak np. muszle, ale też z tradycjami judeo-chryścianizmu — Arką Noego, Nawą Piotrową, czy rzymskimi katakumbami, o których już wspominałem. To bogactwo architektonicznych treści, metafor i asocjacji wymaga oczywiście wyjątkowo umiejętnego i czułego traktowania formalnego. W wypadku Le Corbusiera i Ronchamp poetyckość projektu poparta jest nie tylko talentem, ale autentyczną, codzienną praktyką sztuk wizualnych, codzienną — jak to kiedyś nazwałem — malarską kalisteniką — stąd też — olbrzymią wiedzą wizualną. Kaplica Ronchamp jest architekturą trudną. Wartości jej nawet dla oka zachwyconego są trudne do odczytania, a jeszcze trudniejsze do użytkowania przez naśladowców. Wpływy tego projektu są jednak olbrzymie i to zarówno na architekturę sakralną jak i świecką.

Kościół w Nowej Hucie — na przykład — jest wyraźnie potomkiem czy „bękartem” Ronchamp. Użycie tu metafory „Nawy Piotrowej” — jednej z asocjacji Le Corbusiera — oczywiście wydaje się nie tylko możliwe, ale nawet słuszne. Ale wyrażenie takiej metafory wymaga odpowiedniego talentu i zwykłej wiedzy wizualnej, której w przypadku projektu polskiego boleśnie czy... śmiesznie brakuje. Arka Noego czy Nawa Piotrowa zamienia się tu w podbrzusze jakiegoś olbrzymiego, przeżającego statku transoceanicznego, albo przedpotopowego potwora. Zresztą sama skala, wielkość fizyczna budynku przekreśla

w zaraniu możliwość artystycznego powodzenia projektu tak ujętego. Ronchamp to nieduża kapliczka. Nowa Huta to wielka „katedra”. Mechaniczne rozdymanie architektonicznych treści często prowadzi do poetyckich i wizualnych niepowodzeń. Bolesnym przykładem jest budownictwo w stylu „zakopiańskim”. Mechaniczne powiększenie tego, co było słuszne i piękne — jakże piękne i poetyckie — w skali chaty, zagrody czy kościółka góralskiego — staje się pretensjonalne a nawet — dla trochę czulszego oka — śmieszne wobec innych potrzeb i innej kultury, czy też raczej wobec braku jednolitej, nowej kultury. Jeśli zaś chodzi o współczesną polską architekturę sakralną — to ten typ powierzchowności często — o jakże często! — jest źródłem wypiekania straszliwych, olbrzymich potworów w sosie ludowym.

Jeśli chodzi o samą skalę wielkości, to można zwrócić się znowu do paralelizmu w powstawaniu kultur, a stąd i produktów tych kultur. Katedry-olbrzymie były integralną częścią rozkwitu Średniowiecza jako wyraz w pełni wykrystalizowanego stosunku do religii. „Masowość” religijnych obiektów była naturalnym wyrazem. Odpowiednikiem naszej epoki i naszej ledwie pączkującej nowej kultury są jaskinie i katakumby, szałas i namioty.

Spółczesność ma dzisiaj dość innych ideologicznych manifestacji masowych. Dziś masy wyżywają się na stadionach sportowych. Różne odmiany faszyzmu i komunizmu wypełniły z nawiązką, i to na długie chyba lata, ludzkie potrzeby megamanifestacji z religijnymi włącznie. Tłum... i przeżycia religijne? To zestawienie nie pasuje chyba do głębszych potrzeb dzisiejszych. Tłum w Częstochowie, Lourdes, czy gdziekolwiek, gdzie pokaże się Papież — jest żądny bardziej sensacji niż świętości. Czasem też instrukcje dawane architektom przez kler przeczą liniom rozwojowym liturgii kształtowanej przez ten sam kler, tę samą instytucję, która takie instrukcje wydaje. Przemiany w liturgii same określają optymalną skalę przestrzeni sakralnej. Uścisk ręki sąsiada, wymagany dziś od biorących udział w mszy, osobiste życzenie pokoju, często brzmiące w ogóle nienaturalnie, stają się hipokryzją, gdy to ściskanie zaaplikowane jest do setek czy do tysięcy. Kościoły-olbrzymie wydają się anachronizmem, jeśli chodzi o istotne, głębokie, duchowe czy psychiczne potrzeby obecnego człowieka. Jak to ktoś powiedział „zaczynają służyć bardziej uświetnieniu niż uświęceniu Kościoła”.

Oczywiście stosunek liczebności kleru do wiernych określa z czysto funkcjonalnego punktu widzenia potrzebną powierzchnię budynku; mało duchowieństwa, dużo wiernych... duża kwadra-

tura. W ten też sposób „zleceniodawca” i wykonawca — jakies władze i architekci — bronią tych pseudosakralnych olbrzymów, zapominając, że przeszłość umiała rozwiązywać te paradoksy. Jeden sposób to rozczłonkowanie powierzchni jednego dużego wnętrza na szereg przyległych a komunikujących ze sobą mniejszych czy zgoła małych. Drugi — to zastosowanie jakiejś minimalnej nawet wielopoziomowości. Czy wszerek, wzdłuż, czy w górę, czy w dół będzie rozciągać się przestrzeń projektowanego budynku, podstawowym elementem do jej organizowania będzie zrozumienie i wycucie skali, jako elementu należącego również do dziedziny estetyki. Truizmem jest stwierdzenie, że „wielkość” może być odpowiednio odczuta dopiero w zestawieniu z „małością”, a „małość” z „wielkością”. Wszystko zaś razem nabiera nie tylko fizycznego, ale i estetycznego znaczenia dopiero w odniesieniu do ludzkiej postaci — do wymiarów człowieka. Czasem jednak coś się w tej logice psuje...

Oto epoka poprzedzająca naszą — XIX wiek naszej ery — cierpiała na pewnego typu „gigantomanię”. Małość przedstawiała dla architekta coś abstrakcyjnie negatywnego, wielkość była gloryfikowana. Rozwiązanie paradoksu czy „dychotomii” między przytulnością duchowo-psychiczną a fizycznie funkcjonalną wielkością jest niełatwym zadaniem. Właściwym rozwiązaniem jest oczywiście i niezawodnie decentralizacja: zamiast jednej pysznej wielkości — kilka małych skromności. Wierni będą mieć wtedy bliżej do swojej kapliczki, a kler... Kleru albo musi być więcej, albo — musi biedny ulec cierpieniom początków kultury, czy w tym wypadku raczej cywilizacji i kołatać się od jednego kościoła do drugiego, co będzie mu oczywiście policzone w niebie.

Warto może postarać się w wyobraźni wcisnąć kościół-gigant we współczesne miasto. Nie w jego uroczą część zabytkową, ale w tę część, która w obecnej chwili przedstawia „normalnie nienormalną” tkankę miejską wszystkich metropolii świata począwszy od Warszawy a kończąc na Nowym Jorku i Chicago, na śródmieściach „nowego” Paryża, Londynu, Tokio, Hong-Kongu, nawet różnych pseudometropolii wyprodukowanych przez system sowiecki. Czy rzeczywiście „godną i sprawiedliwą — słuszną i zbawienną” rzeczą jest choć przez chwilę myśleć o konkurowaniu fizycznymi rozmiarami z tymi straszliwymi, czasem nawet zapierającymi dech swym dramatycznym ogromem i wspaniałością gigantami? Myśl o pojedynku pomiędzy np. budynkiem centrali Sears-Roebuck w Chicago — najwyższym w tej chwili na świecie — i świetnie (w swym fałszywym założeniu) zaprojektowanym drapaczem chmur — a jakąż katedrą-gigantem pod wezwaniem np. św. Jana Vianney⁸ uwłacza

8. Św. Jean Vianney — względnie niedawno kanonizowany i wyjątkowo popularny patron skromnego, nieznanego, biednego duchowieństwa parafialnego.

godności samego pojęcia „architektura sakralna”, a może nawet jest świętokradztwem. Sears-Roebuck contra Vianney! Czy drapacz jest wyższy?

Istota pojęcia *sacrum* w dzisiejszej architekturze kościelnej wymaga skromnej a ciepłej „małości”, a obecność „przybytku świętego” objawi się czystością, jasnością formy, jakiejś przywartej do ziemi, a może częściowo pod ziemię pogrążonej bryłki, która od wspaniałości i gadulstwa otaczających ją olbrzymów odetnie się powściągliwością, dyscypliną i tą do znużenia powtarzaną przeze mnie — podstawowością. Jak wspominałem — nie znam żadnej obszerniejszej pracy o budownictwie kościołów w obecnej Polsce, te zaś, które znam, są bardzo powierzchowne zarówno same w sobie, jak i pod względem bibliografii, na której zostały oparte. Z radością znalazłem natomiast szereg luźnych, ale głębokich uwag na te tematy w eseju o charakterze sentymentalno-turystycznym pod tytułem „Notatki z Ziemi Świętej”, ze ślicznymi rysunkami krajobrazów. Autorzy: M. i K. Kucza-Kuczyńscy. Esej ten wspominałem już wyżej. Radość ze znalezienia tych myśli polega oczywiście na tym, że w jakiś sposób podobne są do moich! Nawet kiedy się z pp. K.K nie zgadzam — czuję jakiś pozytywny, przyjazny kontakt. Oto kilka fragmentów: autorzy omawiają swoje wędrówki po zabytkach Ziemi Świętej: „...tutaj do miejsc najświętszych schodzimy w głąb, do piwnic, do podziemnych grot” i dalej: „Tektonika tej świętej architektury nie przypomina marmurów *II Gesú*, nie przypomina polskich nowobogackich świątyń z ostatnich lat. To najprawdziwsze *sacrum* jest równocześnie najuboższe, jest a-architektoniczne, jest poza wszelkimi ocenami estetycznymi. Staje się przez to kwintesencją architektury sakralnej”. — Oczywiście! I czy przypadkiem to ubóstwo, ta a-architektoniczność i wysłiznięcie się poza wszelkie oceny estetyczne nie stanowią świadectwa obecności prawdziwej architektury — wielkiej architektury z prawdziwą architekturą sakralną włącznie. Oddzielenie poezji i poetyki architektury od jej ściśle fizycznego bogactwa formy jest charakterystyczną cechą dzisiejszej epoki w ogóle, specjalnie powszechną wśród architektów polskich, ale także — jak mi się zdaje — dużej części polskiego kleru. W tym wypadku uczulony autor eseju wyraża prosty zachwyt i jakies dziwne zahamowanie czy „konwenanse” nie pozwalają temu pięknemu odruchowi w pełni się wypowiedzieć. Oto co mówi dalej: „Tu w Ziemi Świętej zachwiany zostałem skutecznie w wyuczonym i realizowanym w nowych kościołach widzeniu doskonałej intelektualnie przestrzeni sakralnej”. Kto i gdzie autora widzenia tego wyuczył? Kto, jaki bęcwał tę „doskonałą intelektualnie przestrzeń sakralną” tak mógł określić, że jej aż mógł wyuczyć? Gdzie on jest? Gdzie działa? Czy jest pojedynczym człowiekiem,

czy całym środowiskiem? Gdzie to środowisko? Jakże ciekawie i użytecznie byłoby to odkryć. Móc może przekonać, a może jakimś cudem... poprawić? A teraz bolesna sprawa bogactwa: „te polskie nowobogackie świątynie ostatnich lat przypominające marmury *Il Gesù*”. To zestawienie krzywdzi chyba włoskich jezuitów. Zdyscyplinowane zimnym klasycyzmem bogactwo jest nam dziś obce. Nie powinno jednak chyba razić w wypadku głównego ośrodka potężnego zgromadzenia jezuitów. W okresie rozkwitu baroku trudno spodziewać się czegoś innego. Przebogate Towarzystwo Jezusowe manifestowało w ten sposób stan religijności środowiska i swoją własną twardą, niezachwianą potęgę, również materialną. Miało też do dyspozycji jasno wyklarowany styl, skryzalizowany wyraz kultury epoki i odpowiednio utalentowanych architektów, operujących biegle tym a nie innym językiem wizualnym.

W obecnej Polsce sprawa wygląda inaczej. W polskich warunkach bogactwo tak wielu nowoprojektowanych kościołów na pierwszy rzut oka tylko brzydzi, wstydzi, odraża. Trzeba dokonać nie lada wysiłku umysłowego, aby wykrzesać z tego elementy pozytywne. Wykrzesać coś można, staje się to jednak nie tylko bez udziału, ale wręcz wbrew woli autora czy autorów dzieła. Cała operacja musi bowiem odbywać się w sferze nie tylko „a-wizualnej”, czy „nie-wizualnej”, ale wręcz antywizualnej. Cała operacja przenosi się w sferę czysto duchową czy nawet po prostu... moralną. Im wymyślniej i bogaciej, a wizualnie — gorzej, tym większe rozczulenie człowieka ogarnia... Straszne! Bogactwo czy nowobogactwo staje się — poprzez swój nonsens i jakiś potworny, tragiczny paradoks — jedynym, tak, jedynym pozytywnym, elementem szlachetnym — więc jakby pięknym w całym przedsięwzięciu! Bogactwo zapewniające rozkwit brzydocie staje się jedynym elementem piękna? Prze-ubogie społeczeństwo, maltretowane przez dziesiątki lat religijnych zmagani z narzuconym systemem, społeczeństwo żyjące w nędzy chce i umie znaleźć odpowiednie środki — te nieznośne pieniądze — na uczczenie swojego Boga. Cóż za potworny dramat leży w tym, że ten krwawy pieniądz trafia na epokę niezdolną odpowiedzieć temu jedynemu w swym rodzaju zadaniu.

Manifestowanie bogactwa czy ... nowobogactwa! Należałoby nawoływać, zachęcać do unikania go, może nawet wzbronić pompy i luksusu, nawoływać do prostoty na każdym szczeblu — nie tylko materiałowym, ale i ogólno-tektonicznym. Przecież to nie tylko możliwe, ale proste i tak bardzo — niby — logiczne.

Postulat ten wydaje się nawet względnie nietrudny do zrealizowania. Daje się przecież określić nawet ilościowo poprzez ustalenie zalecanych czy dopuszczalnych kosztów jakiejś jed-

nostki budowlanej wyrażonej choćby w sześciennych metrach i ograniczenie z kolei ilości tych jednostek w stosunku do planowanego budynku: tyle a tyle za metr sześcienny, tyle a tyle metrów na budynek.

Inne zalecenie, też wydawałoby się zupełnie realne — trudniejsze jest może do egzekwowania, godzi bowiem w obyczajowość architektów. Wymaga więc też i tutaj pełniejszego przedstawienia. Chodzi mi mianowicie o wzmocnienie elementu pomysłowości pracy projektowej, a szczególnie o poważniejszy niż to się dziś normalnie praktykuje udział „czystych wizualistów” — malarzy, rzeźbiarzy, grafików i to — co bardzo jest ważne w pracach projektowych — od samego ich początku. Normalnym dziś trybem rzeczy architekci przydzielają plastynom z góry przez siebie obmyślane zadania, zachowując pełną autonomię przy poczęciu dzieła. Otóż wydaje się, że wobec nowości epoki — ciągle to niestety trzeba powtarzać — wobec gwałtowności i tempa zmian zachodzących w dziedzinach powiązanych z procesem budowania tylko wyjątkowe talenty są w stanie objąć całość tego procesu. Architekt godzi się na całe mrowie doradców w najrozmaitszych dziedzinach wiedzy ścisłej, a więc techniki i technologii — rzadko jest jednak dostatecznie trzeźwo myślący a także po prostu skromny, aby zdobyć się na włączenie do grona głównych doradców „wizualisty”. Świadomie lub podświadomie ciągle jeszcze identyfikuje w swym dziele „element artystyczny” ze sobą samym. „Artysta — to ja”.

Taka jest prawda dnia dzisiejszego. Jutro — gdy cała kultura okrzepnie — role, a raczej ich klarowność mogą znow się zmienić. W obecnej chwili — któż wie jak długo ta chwila może potrwać — uczulenie i czysta wiedza wizualna, inwencja, wyobraźnia, nawet zwykła kultura wizualna i ... kultura ogólna usunięte są w życiu architekta w cień wobec konieczności nabywania i praktykowania ścisłej, konkretnej wiedzy. Cechami, które według Vitruwiusza mają określać architekturę, są: trwałość, funkcjonalność, piękno. Jak widać, walory artystyczne wymienione są na końcu. W dzisiejszych warunkach — choć teoretycznie estetyka jest oczywiście bardzo uznawana — miejsca dla niej w przeciętnych studiach architektonicznych uniwersyteckich czy politechnicznych całego świata jest przerażająco mało. Nauka ogranicza się do OD-twarzania. Studenci trochę rysują (rzadko malują) „z modelu” (od gipsu i mebla, od aktu ludzkiego do budynku, czy fragmentów miasta). Mało albo wcale nie ma miejsca na próby najskromniejszego nawet TWORZENIA, na zaczynanie od początku — od pustej powierzchni papieru, płótna czy zgoła od próżni unoszącej się dokoła cokołu tzw. kawaletu rzeźbiarskiego. Przeniesienie treści poetyckich czy filozoficzno-literackich na język wizualny — dekoracja teatralna,

ilustracja czy okładka książki, plakat czy nawet znalezienie wizualnego wyrazu dla muzyki („koperta” czy okładka płyty gramofonowej — opakowanie taśmy magnetofonowej) — jest zadaniem zupełnie obcym studentowi architektury. Tymczasem to właśnie stanowi najbezpośredniejsze ćwiczenie łączące wszelkie emocje nie-wizualne ze światem doznań wzrokowych, co jest przecież właśnie jednym z głównych zadań architektury. Takie ćwiczenia są „chlebem powszednim” szkół ściśle wizualnych, tzw. szkół artystycznych nie architektonicznych. Oczywiście nie każde studia nawet ściśle wizualne prowadzą do rozumienia i czucia kompozycji typu architektonicznego. Organizowana przedstawialność konstruktywistów czy kubistów — (nie zaś pełna, beztreściowa, nieprzedstawiająca abstrakcja z jednej strony a impresjonistyczny, rozedrgany koloryzm z drugiej) — są tu najużyteczniejsze. Polska ma w tej mierze szczególnie trudną sytuację. W Polsce trwają jeszcze resztki tzw. koloryzmu, który wywodzi się przecież od impresjonizmu czy post-impresjonizmu. Nie Renoir czy Bonnard — jakbyśmy ich dzieła uwielbiali — lecz Cézanne, Gris, Klee, Léger, Picasso i ich potomkowie mogą pomóc architektowi wczuć się we własny problem głębiej i szerzej niż jest w stanie zrobić sam, strzec architekturę przed jej własnym architektonicznym gadulstwem. Przez szereg lat pracowałem w Polsce i poza nią w różnych zespołach autorskich i wiem, co może dać dobrze zrozumiana zespołowość. Wiem, jakie wartości architektoniczne mogą wnieść do projektu artyści tacy jak Wojciech Fangor, rzeźbiarz-malarz Costantino Nivola, malarz Jerzy Nowosielski, czy grafik Julian Pałka. Z Jerzym Nowosielskim pracowaliśmy nad projektami kościołów i wiem, co był on w stanie wnieść, szczególnie w dziedzinę architektury sakralnej.

A oto kilka przykładów, w których role twórcze były całkowicie zmieszane, czy prawie odwrócone: wśród nich znajduje się niezawodnie konsekrowana w r. 1951 kaplica ss. dominikanek w Vence, w południowej Francji. Jej autor: Henri Matisse. Trudno chyba wymyślić bardziej malarskiego malarza mniej więcej współczesnego. A działał tu samotnie, bez pomocy jakiegokolwiek odpowiedzialnego architekta. Było to może błędem — jednakowoż Matisse umiał wynieść ściśle malarskimi środkami skromniutką bryłkę tej kaplicy na poziom czołowej architektury sakralnej XX wieku. Pewną naiwność tektoniki okupił z nawiązką wielkością swojej wizji malarskiej. Ceramiczną, jakby „łazienkową” biel ścian kaplicy przełamną linearną kompozycją — linie tylko czarne — tematycznych rysunków. Udział koloru ograniczył do witraży i szat liturgicznych, które też sam zaprojektował, a które z bielą i czernią habitów i szkaplerzy — owych dominikańskich „mundurów” — stanowią tutaj integralną i

aktywną część kompozycji. Udział odpowiedniego architekta mógłby prawdopodobnie kaplicę w Vence wynieść jeszcze wyżej. Sugerowany Matisse'owi — jak legenda głosi — architekt Auguste Perret — największy na jakiego konserwatywną, akademicką Francję stać było w tym momencie — okazał się za mały dla tego malarza.

Innym prawie współczesnym, znanym i charakterystycznym przykładem malarza tworzącego architekturę jest Fernand Léger i jego kościół Matki Boskiej w Assy, Notre Dame de Toute Grâce. Rola Légera w tym wypadku jest o tyle inna niż Matisse'a w Vence, że kubista Léger „odziedziczył” od architekta czy raczej od architektów — było ich dwóch — gotową budowlaną bryłę. A jest to — jak piszą krytycy (A. Christ-Janer i M.M. Foley) — „zmodyfikowana i zmodernizowana wersja typowego sprymityzowanego alpejskiego szałas”. Rolą Légera było uratowanie zewnętrznego charakteru tej bryły przez „ustawienie” jej głównej elewacji. Zadanie to spełnił znakomicie przy pomocy bajecznie kolorowej mozaiki. Głównym jej wątkiem tematycznym jest litania do M. Boskiej — patronki kościoła w Assy. Odpowiednio oświetlona, całkowicie przekreśla ona obecność karykaturalnych, zupełnie zbędnych dla konstrukcji, ale za to wizualnie niezmiernie agresywnych kolumn, które wyglądają jak kawałki nadzianych na rożen kiełbas czy też jakiegoś gigantycznego szaszłyka.

Charakterystyczną stroną przedsięwzięcia w Assy był fakt, że Léger należał do Komunistycznej Partii Francji, a wnętrze kościoła załadniły dzieła szeregu artystów całkowicie dalekich od rzymsko-katolickiej tradycji i sztuki sakralnej z Marc Chagallem i Jacques Lipshitzem włącznie. Patron i promotor całej ekumeniczno-artystycznej imprezy w Assy, dominikanin Pierre Marie-Alain Conturier O.P., miał kiedyś stwierdzić, że „jeśli chodzi o zużytkowanie istniejących twórczych talentów, to Kościół zawiódł w daleko większym stopniu, niż artyści porzucili wszelkie myśli o pracy w dziedzinie sztuki religijnej”. Tej to sytuacji starała się przeciwdziałać grupa dominików z O. Conturierem na czele.

Oczywiście nasuwa się zaraz pytanie, jakie kryteria przeważają przy wyborze kandydatów na prace związane ze sztuką sakralną w dzisiejszej Polsce: talent, pobożność, czy jakieś jeszcze inne osobiste, a mniej wymierne przymioty? Z poważnych źródeł wiem, że postawa dominikanów francuskich nie była popularna wśród wysokiego episkopatu polskiego w latach pięćdziesiątych, w szczególności książka „Art sacré au XXme siècle”, R. Regamey O.P. W niedawno opublikowanym w Polsce eseju „Architektura sakralna” znajduję wzmiankę o „bizantynizującym” malarstwie Jerzego Nowosielskiego na ścianach kościoła w War-

szawie na Jelonkach, gdzie „technika malowania — jak stwierdza autor eseju — przyniosła w rezultacie pełną integrację kompozycji figuralnych ze strukturą architektoniczną”.

Wśród licznych w tej publikacji jasnych reprodukcji innych obiektów reprodukcja malarstwa Nowosielskiego (jedna ilustracja) jest szczególnie nieczytelna, a owej „pełnej integracji” nie można podziwiać, bo pokazany jest tylko jeden płaski fragment ściany, podczas gdy różne okropności zasłużyły sobie nie tylko na pochwały, ale na obfite i liczne reprodukcje: 5 ilustracji pokazuje kościoły w Zawoi, a kościołowi w Rudach Rysich poświęcono 6. Malarstwo Jerzego Nowosielskiego znam dobrze. Należy je z pewnością dziś zaliczyć do światowej elity malarstwa przedstawiającego. Twórczość jego sięga oczywiście daleko poza „bizantynizowanie” — sięga do źródeł malarstwa w ogóle. Jeśli więc chodzi o sztukę sakralną, to łączy się ona z Konstantynopolem o tyle, o ile można czy trzeba uznać starożytne Bizancjum za ojczyznę początków sztuki sakralnej chrześcijańskiej — w ogóle.

I znowu myśl powraca do paralelizmu początków kultury. Nie samo Bizancjum, sądzę, ale pobratymstwo epoki — naszej dzisiejszej i tej z pierwszych stuleci obecnej ery — pociąga wielu współczesnych do sztuki Nowosielskiego czy Légera. Przy odpowiednim szukaniu można też i w mozaice z Assy dopatrzeć się źródeł, podstaw, bazy... wspólnej ze sztuką starożytnością. W znakomitym zbiorze sztuchów, dotyczących najstarszych zabytków religijnych obecnej ery⁹, który niejako formalnie wyznacza początki sztuki sakralnej chrześcijaństwa, można zresztą znowu znaleźć pełno powiązań z twórczością tak Nowosielskiego jak nieco dalej Légera (szczególnie w Assy czy w Bastogne) a nawet Matissea'a (w Vence), jak też nawet początków sztuk wizualnych innych kultur i innych nawet kontynentów. Ciągłość i konsekwentność tych powiązań stają się dla człowieka spragnionego odkryć wizualnych źródeł wielkich radości. Czynniki te stanowią też istotną część kryteriów doboru osobowości, powołanych do pracy w jednym zespole. Zgodność poglądów, zarówno pozytywnych jak i negatywnych, zgodne zaangażowanie emocjonalne, zgodność w zachwytach jak i w obrzydzeniu jest koniecznym warunkiem powodzenia zespołu. Ten niby prosty i oczywisty warunek jest jednak często pomijany w środowiskach dostatecznie nawet świątłych, aby samą zasadę zespołowości przyjąć. Zespół? Tak! Ale o ile celowo, świadomie są jego członkowie dobrani? W skomplikowanych pracach projektowych, związanych z dzisiejszą architekturą, świątły dobór „specjalistów” obowiązuje w stosunku do wszyst-

kich członków grupy projektującej. Im bardziej jednak subiektywnym osądom dziedziną podlega, tym delikatniejszy staje się wybór jej przedstawiciela w zespole: tak więc wybór „czystego wizualisty” (malarza, rzeźbiarza) w grupie mającej za zadanie stworzyć architekturę sakralną okazuje się — specjalnie trudny... „delikatny”. Na szczęście w „erę zespołowości” wchodzi cały rodzaj ludzki. Staje się ona jednym z integralnych elementów „nowych czasów”, które przestają być nowe.

Thomas Merton O.C.S.O., wyrażając nadzieje pokładane w roli zbiorowości, sięga do konceptów i sformułowań najtęższych filozofów naszych czasów. Powołując się nawet na Marksa i Engelsa, a kończąc na osobie również zakonnej, Teilhard de Chardin S.J., Merton pisze: „... jesteśmy na przełomie pomiędzy umierającą cywilizacją opartą na indywidualizmie, niegdyś arogancką, dziś po prostu nikczemną, a cywilizacją (...czy raczej kulturą) zbiorową jeszcze nie wykrystalizowaną...”

Od filozofowania na tak bardzo generalnym poziomie do projektowania kościołów w Polsce droga wydaje się daleka. Zarazem jednak myśli te tak dobrze pasują do różnych ludzkich dzisiejszych potrzeb, że trudno nie ulec pokusie, by się na nie i przy tej okazji powołać. Powiększenie liczby członków twórczej grupy w wypadku projektowania budów sakralnych w obecnej Polsce to — można by logicznie pomyśleć — zmniejszanie szans na umiar i dyscyplinę. I tak i nie. Wszystko zależy od wiedzy, talentu, nawet od moralnej dyscypliny członków zespołu. Jak głosi sławne stwierdzenie Brancusiego: prostota nie jest celem sztuki — pojawia się ona mimo woli twórcy, gdy zbliża się do prawdziwego sedna sprawy. Sztuka jest wynikiem sublimacji, czasem gwałtownej i szybkiej, czasem powolnej i długotrwałej”. Na to jednak, aby móc sublimować, trzeba mieć do dyspozycji surowiec, materiał tematyczny, który procesowi temu może być poddany. Tego materiału-tematu wydaje się być w Polsce bardzo dużo.

październik 1990

Jerzy SOŁTAN

9. „Archéologie chrétienne”, C & Rohault de Fleury”, Paryż 1985.

Rembrandt w miniaturze

Cieniom K.

W miniaturze, czy *in nuce*? Wszystko jedno, liczy się intencja (i pragnienie) piszącego. Zamierzam zminiaturyzować olbrzyma, chcę wyłuskać jądro jego geniuszu, podobne do klejnotu o wielu załamaniach, do perły o wielu odcieniach, opisać z maksymalną zwięzłością kilka z nich, wierzę bowiem że miłość do wielkich artystów, jak zakochanie się w jedynej osobie, jest uczuciem narzucającym wstydliwą oszczędność słów. Im większa miłość, tym mniej słów. Smakuj sztukę swego wybrańca, odzywaj się kiedy naprawdę musisz, podziwiał w przerywanym rzadko milczeniu jego dzieła.

Rembrandt urodził się w pierwszej dekadzie XVII wieku, był czteroletnim dzieckiem w chwili śmierci Caravaggia. Terminując u amsterdamskiego „italianizanta” Lastmana, ulegał rzekomo wpływom malarzy weneckich; zachwycali go przede wszystkim Tintoretto i Veronese. Malarstwo Caravaggia było wzorem na konkurencyjnej szkole „italianizantów” z Utrechtu, Van Honthorsta i Terbrugghena. Stąd nacisk historyków sztuki na swoistą u Rembrandta grę Światła i Cienia, inną niż u Caravaggia, bliższą Wenecjanom. Ich łagodna i subtelna „tonalność” *chiaroscuro* miała jakoby bardziej odpowiadać Rembrandtowi, „zaszokowanemu” gwałtownością lombardzkiego Mistrza.

W wypadku Rembrandta mówienie o jakichkolwiek wpływach zakrawa na niedorzeczność. Jeszcze bardziej dziwi Rembrandt „zaszokowany”. Widzę go (choć to zapewne mój wizerunek czysto osobisty) jako malarza, który nigdy niczego nie szukał u innych, czerpał wyłącznie z samego siebie, odtwarzał, rozwijał i naśladował tylko własne widzenia. Czasem myślę dla

paradoksu, że widział swoje gotowe już obrazy, zanim je namalował.

Widział też po swojemu Światło i Cień, nie oglądał się ani na Wenecjan ani na Caravaggia. Jak widział, jest głównym sekretem jego malarstwa. Wystarczy tu jedynie napomknąć, że słynny *Ront nocny*, oczyszczony gruntownie w roku 1946, nie odbywa się wcale nocą: grupa zbrojnych wychodzi na światło dzienne z cienia sklepionej bramy. Jak wytłumaczyć, że nie zauważono tego w ciągu paru stuleci?

Rok powstania *Rontu nocnego*, 1642, był w życiu Rembrandta punktem zwrotnym; jak gdyby los rozłupał jego biografię na dwie prawie równe części. Do roku 1642 rosące powodzenie, wysokie zarobki, uśmiech sławy, względne szczęście rodzinne (względne o tyle, że ukochana żona Saskia urodziła mu troje zmarłych w powijakach dzieci). W roku 1642 jego malarski sukces wszedł w fazę zaćmienia, przerzedzili się nabywcy, zwracając się ku młodszym malarzom, „prostszym”, bardziej „wykończonym” i „wygładzonym”, umarła Saskia w parę miesięcy po wydaniu na świat synka Titusa. Śmierć Saskii była najcięższym ciosem, nie przywiązywał większej wagi (poza finansową) do spadku notowań jego obrazów na amsterdamskiej giełdzie malarskiej, przeciwnie, coraz śmielej gwałcił efekty „wykończenia”, coraz szerzej i głębiej otwierał swoje malarstwo. Ale coroczny i niepowstrzymany odpływ nabywców uderzył go w końcu tak mocno po kieszeni, że zmuszony był dla spłaty długów sprzedać swój wielki dom, w którym prócz paru pracowni i komnat mieszkalnych miał bogatą zbrojownię oraz magazyn pełen kostiumów i rekwizytów teatralnych. Ogłoszony mimo to bankrutem, przeniósł się do małego mieszkania w ubogiej dzielnicy miasta. Dorosły już syn i Hendrickje, pomocnica domowa i kochanka owdowiałego Rembrandta, stali się formalnie i oficjalnie parą jego *marchandów*, zapewniających mu kątek mieszkalny i wikt w zamian za dostarczane obrazy. Pomysł był zręczny, uchronił go od natarczywości wierzycieli, umożliwił mu spokojne wkroczenie w starość z pędzlem w rękę. Niedługo korzystał z przywilejów wieku. Umarła najpierw Hendrickje, obdarzywszy go córeczką Cornelią, umarł potem Titus wkrótce po swoim ożenku. W rok po śmierci syna umarł samotny Rembrandt.

Należy znać to życie, nie dla zaspokojenia ciekawości biograficznej, lecz dla lepszego zrozumienia autoportretów Rembrandta.

Obfitość autoportretów na przestrzeni całego życia Rembrandta, począwszy od młodzieńczego w kryzowanym kołnierzyku, kończąc na serii trzech z ostatniego pięciolecia przed

śmiercią, nie jest dowodem czy podświadomym odruchem egotyzmu. Malarski egotysta nie spojrzalby na siebie tak okrutnie, jak śmiejący się starczo bezzębny Rembrandt, nie o krok może od grobu, ale już w jego zasięgu. W autoportretach Rembrandt postawił sobie za cel systematyczne, uporczywe śledzenie własnej twarzy, jako wyrazu zmian psychologicznych. Ich nasilenie przypada na lata u progu starości. Oko miał tak ostre i przenikliwe, że chwycił najdrobniejsze niuanse w wizerunkach własnych nawet z okresu paru miesięcy. Za pierwszy pod znakiem czy w cieniu starości można uznać autoportret z roku 1657, w którym widać naraz błysk przestrawu w oczach. Potem, jeszcze w tym samym roku, ekspresja twarzy pogodniej, albo w każdym razie nabiera cech męskiej akceptacji. W następnym roku, w autoportrecie z łaską, wraca akcent siły. Dwa autoportrety z roku 1660, z paletą i pędzlami przy sztalugach, w białej mycce na głowie, przesłonięte są cieniem rezygnacji. Wykres duchowej temperatury? Zapis psychologiczny trzyletnich zmagania?

Był autoportrecistą i portrecistą wspaniałym, nie miał sobie równych w badaniu sekretów ludzkiej twarzy. Twarze stare widział lepiej i pełniej od młodych. Żywe modele i zrodzone w wyobraźni postacie biblijne łączyły się i przenikały wzajemnie przed jego oczami. Ozjasz dotknięty trędem jest namalowany tak samo jak stara matka Rembrandta, córka piekarza, w szacie wieszczki. O jego poczuciu cielesności świadczy Chrystus zdjęty z Krzyża i składany do Grobu: takiego sflaczenia ciała po męce nie spotkałem nigdy u malarzy Ukrzyżowania. Może jedynie u Masaccia, który namalował Chrystusa na Krzyżu z kręgosłupem przetrąconym na styku głowy i ramion.

Cały zawieszisty „sos” środowiskowy siedemnastowiecznego malarstwa holenderskiego, oprawa dostatku albo dobrobytu — zdobne dzbany i talerze, serwisy porcelanowe, inkrustowane szafki i szkatułki, lśniące szafy, lustra i obrazy w złożonych ramach, instrumenty muzyczne, kryształy i kryształowe płytki w szybach okiennych, łóżka pokryte brokatowymi kapami, stylizowane zegary ściennie, ciężkie lichtarze, — prawie nie istnieje u Rembrandta. Zachodziłem często w głowę, co było przyczyną tej powściągliwości. Unikał zbyt wyraźnego odcisku epoki? Chciał wznieść się ponad otoczenie i bieżący czas? Hipoteza warta byłaby zastanowienia, gdyby nie równoczesna słabość Rembrandta do strojów i kostiumów, na ogół bogato szamerywanych, obwieszonych łańcuchami, łańcuszkami, brelokami i wszelką inną biżuterią. Ileż bransoletek ma na ręce Saskia, iloma koronkami opięta jest Agata Bas! Jak ciężki od szamerunków jest kostium szlachcica polskiego! Nawet rażony trędem Ozjasz nosi na piersiach drogocenną sprzążkę i broszę w turbanie, a

Arystoteles kontemplujący popiersie Homera przepasany jest splotami złotego łańcucha.

Svetlana Alpers, autorka *Rembrandt's Enterprise*, pisze o modelu teatralnym Mistrza, o jego upodobaniach do różnych form i postaci ekspresji scenicznej. W wielkim domu, sprzedanym w biedzie, zbierał (jak się rzekło) zbroje, kostiumy, rekwizyty teatralne. Trudno mi rozstać się z myślą, że jego „model teatralny” był bardzo szczególny: pochodził z imaginacyjno-rzeczywistej krainy, zwanej *teatrum mundi*.

Obrazy grupowe zamawiane były przez gildie: rusznikarzy, chirurgów, sukienników. Wieki dar Rembrandta polegał na uchwyceniu grupy ludzkiej w ruchu, na przekór zwykłej w takich wypadkach tendencji do utrwalania (jakby fotograficznego) pozy zastylej. Osiąga to indywidualizując do maksimum figury i pozycje uczestników grupy. Nawet w *Syndykach gildii sukienników* i w *Lekcji anatomii doktora Tulpa*, gdzie podobieństwo ubiorów i twarzy utrudnia indywidualizację, wrażenie ruchu jest przemożne. Jak mu się to udało? Przez malowanie podobnych do siebie twarzy niemal wyłącznie piórkami nieznacznych odcieni. Drobiazgi, które na pierwszy rzut oka umykają uwadze, po jakimś czasie zaczynają drgać, pulsować. I oto paradoks: podobieństwo służy różnicowaniu. Grupy pozują malarzowi sztywno, zgodnie z życzeniami cechów czy bractw, a on patrzy na nie okiem podpatrującego przez szczelinę w niedomkniętych drzwiach.

Wspaniały *Ront nocny* stanowi rozdział osobny. Rzecznicy „teatralności” Rembrandta znaleźliby tu sporo argumentów dla podparcia swojej tezy: zbrojni jak gdyby wkraczają na scenę dramatu szekspirowskiego, widoczny w tyle fragment bramy mógłby być dekoracją. Ja jednak myślę, że Rembrandt namalował znacznie więcej, wrzawę wojenną, otoczony tłumem patrol wojskowy w obłęzionym mieście. Scena jest zbyt żywa, autentyczna, by pod nogami idących rozległo się skrzywienie desek teatru. Pomieszenie złocistych i czarnych hełmów, różnorodnych kapeluszy, dzid, rusznic, szabel; pies szczekający na dobosza, postać kobieca, starzy obok młodych, wysoko wzniesiony sztandar, zacięte miny — wszystko to wygląda raczej na grupę obrońców obłęzonego miasta, niż na przejście przez miasto straży nocnej. Nie jest ona zresztą nocna, jak wiemy od roku 1946.

W nowojorskiej *Frick Collection*, jednej z najbogatszych małych galerii świata (obok Pinakoteki neapolitańskiej), bezustannie wracałem do *Lisowczyka*; tak natrętnie, że nadzorcy za szybą w górze wzięli mnie chyba za osobnika planującego kradzież.

Katalogi informują, że początkowo widziano w płótnie Rembrandta wizerunek Gijsbrechta van Amstela, legendarnego założyciela Amsterdamu. Ale w końcu stanęło na jeźdźcu polskim, *The Polish Rider*, z dodatkiem — pochlebnym niby dla nas, lecz dość niezgrabnym — „personifikacja Wolności”.

Portret konny jest romantyczny, lekki, prześwietlony, ciśnie się na usta przymiotnik: natchniony. Zrosnięty z koniem jeździec, o twarzy prawie chłopięcej, mógłby istotnie uchodzić za postać w ten czy inny sposób symboliczną. Nie ma w nim nic z włoskich portretów konnych (na przykład, kondotier Guidoreccio w Sienie, namalowany przez Martiniego), gdzie na ogół elementem głównym jest Siła. Jeździec polski Rembrandta zrywa się do lotu na tle ciężkiego Zamku, w jego wzroku odbija się niewinność a może i naiwność, za chwilę ujrzymy i usłyszymy niepowstrzymany tętent, aż zniknie nam szybko z oczu w kłębach kurzu. Jeździec w pościgu za umykającą Wolnością, czy młodziutki myśliwy w pogoni za szybującym wysoko ptakiem?

Przed laty Jan Lebenstein pokazał mi swoją imitację obrazu Rembrandta. Stary jeździec z obwisłymi wąsiskami, na białej chabecie, która ledwie stoi na nogach; w tle coś w rodzaju góry fortecznej. Nie musiał mi nawet mówić, że starego potomka Lisowczyków przeniósł pod Monte Cassino. Miała to być, dla patrzących powierzchownie, gorzka drwina. Była tym, co Japończycy nazywają „okrucieństwem z nadmiaru miłości”.

Osobny rozdział w *Drugiej Księdze Samuela* zatytułowany jest *Grzech Dawida, Batszeba*: „I zdarzyło się, że pod wieczór Dawid podniósłszy się z postania i chodząc po tarasie swego królewskiego pałacu, zobaczył z tarasu kąpiącą się kobietę. Kobieta była bardzo piękna. Dawid zasięgnął wiadomości o tej kobiecie. Powiedziano mu, że jest to Batszeba, córka Eliama, żona Uriasza Chetyty. Wysłał więc Dawid posłańców, by ją sprowadzili. A gdy przyszła doń, spał z nią. A ona oczyściła się od swej nieczystości i wróciła do domu. Kobieta ta poczęła, odposłała więc, by dać znać Dawidowi, że jest brzemienna”.

Toczyły się wtedy walki. Dawid rozkazał: „Postawcie Uriasza tam, gdzie walka będzie najbardziej zażarta, potem cofnijcie się od niego, aby został ugodzony i zginął”. Co też się stało.

„Żona Uriasza dowiedziawszy się, że Uriasz, jej mąż, umarł, opłakiwała swego pana. Gdy czas żałoby przeminął, posłał po nią Dawid i sprowadził do swego pałacu. Została jego żoną i urodziła mu syna. Zły był jednak postępek, jakiego dopuścił się Dawid wobec Jahwe”. Za swój grzech Dawid zapłacił z woli Jahwe śmiercią nowonarodzonego syna. „Dawid okazywał współczucie dla zbolełej Batszeby. Poszedł do niej i spał z nią. Urodził się jej syn, któremu dała na imię Salomon. Jahwe miłował go”.

Rembrandt namalował Batszebę z listem Dawida. Naga Batszeba siedzi na łożku, służebnica obmywa i wyciera palce jej nogi. Być może, zapytany o pięć najpiękniejszych obrazów w malarstwie wszystkich czasów, wymienilibym Batszebę. Znako-mita duża reprodukcja, zaginiona później podczas licznych przeprowadzek, wisiała po wojnie na ścianie naszego rzymskiego pokoju na Farnese. Próbowaliśmy często odgadnąć, K. i ja, jakiż to list Dawida kazał Rembrandt przeczytać przed chwilą Batszebie. Ten potwierdzający z radością wiadomość, że jest brzemienna? Czy ten, w którym donosił o śmierci Uriasza? Nie jest wykluczone, że jeszcze inny: ten, w którym nie panując nad swoim królewskim gniewem, złorzeczył Jahwe, bluźnił otwarcie, po śmierci pierwszego syna.

Widać z profilu tylko jedno oko Batszeby, z podniesioną wysoko brwią, i jej zaciśnięte zagadkowo wargi. Patrząc bardzo długo, udaje się złowić na nich resztkę gasnącego uśmiechu. Ale w połączeniu z okiem naznaczone są osadem gorczy i cierpienia. Jak się to wszystko łączy i przeplata w akcie pełnym dojrzałego, sytego szczęścia?

Rembrandt zaglądał do Biblii tak, jakby czając się pod oknami, przebijał wzrokiem wypukłe szybki amsterdamskich mieszkań; ale nie towarzyszyło mu w tym spojrzeniu ostre światło dzienne Vermeera.

Napisałem wyżej: „Widział po swjemu Światło i Cień, nie oglądał się ani na Wenecjan, ani na Caravaggia. Jak widział, jest głównym sekretem jego malarstwa”.

Spróbuję dorzucić parę słów o tym sekrecie, co naturalnie nie znaczy, że ośmielę się zaproponować jego rozszyfrowanie. O większości płócien Rembrandta dałoby się powiedzieć, że malował je celowo przed zmierzchem, gdy zachodziło słońce. Klasy-czne są pod tym względem *Oczekiwanie Tobiasza i Anny* oraz *Święty Mateusz i Anioł*, ale proceder powtarza się nawet w portretach (Titus, Hendrickje, mężczyzna w złotym hełmie, starzec w bogatym kostiumie, Nicolaeas Bruyningh). Światło jest wtedy ciemno-złotawe, kolory nabierają niezwyklej głębi i gęstości, zdają się budować pomost między masywną rzeczywistością przedmiotu lub figury i delikatną poświatą, która cień rozprasza zło-cistym pyłem. Czy odbłask zachodzącego słońca przed zmierzchem jest tu jedynym czynnikiem? Im częściej o tym myślę, wpatrując się w obrazy Rembrandta, tym większą odczuwam pokusę zastąpienia odbłasku słonecznego odbłaskiem dalekiej łuny. Nie, rzecz jasna, żeby Rembrandt dosłownie pograżał widzialny świat i jego biblijnych albo współczesnych mieszkańców w łunie pożarów. Chcę wierzyć, że jak każdy doprawdy wielki artysta posługiwał się swoją ukrytą, bardzo osobistą meta-

forą. W tym wypadku metaforą otaczających nas zawsze na horyzoncie płomieni.

4 października 1669 dzień w Amsterdamie był pochmurny, ciężki aż od zwisających nad miastem chmur, i duszny. Dusznosc w każdym razie odczuwał Rembrandt; chwilami, leżąc w łóżku pod górą kołder, musiał wręcz łapać oddech. Nie był aż tak bardzo stary — sześćdziesiąt trzy lata, — ale od śmierci Titusa, jedyne go syna, opadał szybko z sił, tył, ociężałość pokonywał przed sztalugami z coraz większym wysiłkiem. I bał się każdego pukania do drzwi, zwłaszcza gdy był sam. A był tego dnia sam, piętnastoletnia Cornelia, już zaręczona z kapitanem marynarki, wciąż częściej spędzała czas poza domem.

Zwłóknął się z łóżka, wypił resztkę wina w dzbanie, i sięgnął po okrągłe lustro w mosiężnej oprawie. Patrzał niechętnie na swoją obrzękłą twarz, na zwiotczałe policzki, na oczy do połowy zasłonięte ciężkimi powiekami. Patrzał, choć widział od pewnego czasu nie zanadto wyraźnie. Wraz z nagłym, ostrym ukłuciem w piersiach poczuł gwałtowną potrzebę malowania, jakby pędzel był najlepszym lekarstwem na rosnący ból. Chwiejną ręką udało mu się rzucić na płótno szkic autoportretu, ale lustro wypadło mu z lewej ręki, obsunął się więc na łóżko, chwytając konwulsyjnie krótki oddech. Wypchana majakami, jak wata, drzemka zlągnęła szarpanie w piersiach. Kiedy się obudził i znowu zwłóknął z łóżka, nie mógł odszukać wzrokiem lustro na podłodze. Dojrzał je wreszcie, pochylił się, mimo woli upadł na kolana. Twarz i oczy zalał mu pot, tak obfity, że przestał cokolwiek widzieć. Ból nie był teraz szarpaniem w piersiach, lecz ich rozrywaniem żelaznymi palcami. Zbyt strasznym, żeby wydobyć skargę albo jęk. Wyciągnął się swoim wielkim cielskiem na płask twarzą do ziemi i potracił sztalugi, które upadły na niego w ten sposób, że zaczęły autoportret nakryć mu tył głowy. Takim znalazła go wieczorem Cornelia. I cicho zapłakała, usiłując na próżno odwrócić zwłoki ojca na wznak.

Obojętne, najzupełniej obojętne, czy tak rzeczywiście umarł Rembrandt. Tak wyobrażam sobie jego śmierć.

Listopad 1990

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Listy z Syberii

Byłam na Syberii jesienią ubiegłego roku. Próbowałam odnaleźć umiejętnie dotąd ukrywane, wytrwale zacierane i zaciekle niszczone ślady polskości i Polaków. Oglądałam miejsca zstania i zbiorowe mogiły z lat trzydziestych. Polski kościół, w którym od kilkunastu lat nie odprawiano mszy, miejsce zrównanego z ziemią katolickiego cmentarza i ocalałe w muzeum krajoznawczym polskie pamiątki. Relację z podróży opublikowałam w Paryżu, w 91 numerze Zeszytów Historycznych.

Rozmawiałam z ludźmi, którzy zaczynają przypominać sobie, kim byli ich przodkowie. Z tymi, którzy wbrew dotychczasowym zakazom chcą pamiętać. Stawiają pytania, starają się odtworzyć genealogie bezlitośnie kaleczonych biografii. Wyjeżdżając, ogłosiłam we Wschodniosyberyjskiej Prawdzie niewielką notatkę o moich poszukiwaniach. Zaczęły przychodzić listy: jeden, dwa dziennie.

Jest ich już blisko setka. Z Irkucka, Nowosybirsk, Bracka, Angarska, Tajszetu, Usolja... Tylko jeden napisany po polsku. Wszystkie pełne znaków zapytania. Może uda się je wyjaśnić, udzielając głosu potomkom syberyjskich Polaków?

Podaję ich listy do druku niemal bez skrótów, omijając jedynie powtarzające się nagłówki, które nawiązują do mojego tekstu w miejscowej gazecie.

Czy los dopisze kolejne rozdziały do dalekowschodnich historii? Ich korzenie są w Polsce.

Dzień dobry Pani Agato!

Przez wszystkie lata w duszy uważałam się za Polkę, choć w dowodzie jestem Rosjanką. Słyszałam od ojca, że urodził się on w Warszawie. Po utracie dokumentów zmieniono mu nazwisko i narodowość, roku urodzenia nie znał. Babcia, Maria Aleksandrowna Złatoustowska, zmarła w 1950 roku. Nie widziałam

jej i nie rozmawiałam z nią, gdyż mieszkaliśmy daleko od niej. Ojciec powiedział mi, że miała trzech synów. Życie nie było słodkie i dzieci rozbiegły się po świecie. Prawdopodobnie wysłano ich na wojnę. Ojciec — ojca nie pamiętam, ale w dziecięcej pamięci zachowały się obrazy wojskowych. Dzieci — Jerzy, Borys, Mikołaj. Chciałabym więcej się dowiedzieć.

Antonina Łobastowa

Wielce Szanowna Pani!

Z wielkim wzruszeniem przeczytałem Pani list opublikowany we *Wschodniosyberyjskiej Prawdzie*. Uważam za swój obowiązek napisać o tym, że moja prababcia była Polką, pradziadek rodem z Austrii. Nosili nazwisko Kuczer. Babcia wyszła za mąż i nazywała się Mielczanowa Maria Antonowna. Jak dostali się do Rosji pradziadek i prababcia nie wiem. Oto i wszystko.

Chciałoby się wiedzieć więcej o swoich polskich i austriackich korzeniach i jak moi szanowni przodkowie znaleźli się w Rosji.

Jurij Anatoljewicz Chudynow

Chcę pani donieść, że w naszym irkuckim obwodzie, w Bodajbińskim rejonie, w pobliżu wioski Kronotkin, są ślady polskich mieszkańców i zachowała się mogiła polskiej księżnej, zesłanej na Syberię w drugiej połowie XIX wieku. Ja sama tej mogiły nie znalazłam, zabrakło czasu (latem 1978 pracowałam jako geolog), miejscowi mówili, że mogiła znajduje się na północ od wsi, naprzeciw Suchego Łoga. Przy ujściu źródła fiedorowskiego w ubiegłym wieku była osada, a w pobliżu resztki starego cmentarza, gdzie widziałam prawie całkowicie zgniły krzyż, niepodobny do prawosławnego. Jest jeszcze duża osada Usit-Orda, w której mieszka wielu potomków polskich zesłańców, lecz o tym napiszę na pewno oni sami.

Wiktoria Andrejewicz Władimirowna

Moja mama — Skrodzka Antonina Michajłowna, urodzona w 1915 roku — do 1932 mieszkała w Polsce, w Białymstoku. W 1932 przyjechała do ZSSR i po roku przyjęła obywatelstwo sowieckie. W 1937 jako osoba obcej narodowości była prześladowana i uwięziona. Siedziała w więzieniu dwa straszne lata. Mama zawsze milczała na ten temat, całe jej życie upłynęło w strachu. Zerwała wszystkie kontakty z Polską, dlatego nie znałam krewnych ze strony matki. Wiem tylko, że w Polsce został ojciec mamy — Skrodzki Michał Pawłowicz i sześciu starszych braci. Mamy kilka fotografii z podpisami w polskim języku i kilka listów. Mama zmarła w 1987 roku. Czuję przynależność

do Waszego kraju i dlatego postanowiłam odpowiedzieć na Pani notatkę.

Luiza Iwanowana Szeina

Mój dziadek, Kaliński Aleksander Protowicz, był politycznym zesłańcem polskim z 1863 roku. Zesłany był do niereńskiego więzienia czytyńskiego rejonu. Po trzech latach został wysłany na dożywotnie osiedlenie w carienskiej gubernii, do wsi Czamia. Ożenił się z miejscową sybiraczką, Jewdokią Ogrodnikową. Mieli trzy córki: Elenę, Aleksandrę i Marię i syna Aleksandra (mój ojciec). Jestem starszą córką Aleksandra Aleksandrowicza, mam 80 lat, byłam nauczycielką. Oprócz mnie w rodzinie jest pięć siostr i dwóch braci.

Proszę pytać, odpowiem na wszystkie pytania.

Ija Aleksandrowna Kalińska

Na Pani apel o losy polskich powstańców przesyłam następujące wiadomości: w dzieciństwie słyszałem opowieści babci i ciotek o polskim zesłańcu — księciu Fijałkowskim.

Książę Fijałkowski był zesłany do wsi Nowo-Curuchajtuj, rejon byrkiński, obwód czytyński (według obecnego podziału administracyjnego), to znaczy na sam brzeg rzeki Arguni, która była granicą z Chinami. Myślę, że mógł odbywać wojskową służbę w tamtejszym oddziale gen. Jefgraфа Iwanowicza Razgildjewa, ówczesnego politycznego komisarza nadgranicznej części, którego miejscowa ludność nazywała carskim namiestnikiem (jego rezydencja była w teże wsi). Książę często zmieniał miejsca zamieszkania.

Nasi zabajkalscy kozacy zajmowali się hodowlą bydła. Posiadali wielotysięczne stada bydła, dziesiątki tysięcy baranów, tabuny koni, wielbłądów. Książę, oswoiwszy się z miejscowymi warunkami, zbudował fabrykę sukna i zaczął wytwarzać samodzielnie. Sukno znajdowało zbyt i książę szybko się wzbogacił. Na zesłanie przybył z żoną, dziećmi, ubogą krewną, guwernantką i kucharzem — mistrzem francuskiej kuchni. Jego krewna wyszła za mąż za zarządcę kopalni złota i księżna często gościła u siostry. Pewnego razu księżna pojechała w gości do siostry, lecz po paru dniach wróciła. Okazało się, że panuje szkarlatyna. Moja babcia dowiedziała się od księżnej o metodach zapobiegania zakaźnym chorobom. Od tej pory lepiej leczono dzieci i zapobiegano chorobom, wszystko to dzięki księżnej. Moja babcia zawsze mile wspominała księżną i mówiła, że należy przysłuchiwać się wykształconym ludziom. Lecz swoich dzieci księżna nie ustrzegła. Zachorowały i dwoje z nich umarło. Sam książę bardzo lubił dzieci i wydawało się, że kochał je więcej od matki. Księżna lubiła chodzić na spacer w step w długich sukniach z

trenem. Księżę jeździł na rowerze. Maszyna ta wzbudzała wiele śmiechu i podziwu wśród miejscowych. Dzieci za nim biegały, on się oglądał, śmiał się i rzucał cukierki.

Odnosi się to wszystko do lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Zesłanie z księciem odbywali i moi przodkowie. Oto jakie drobnostki mogę Pani przekazać. Życzę sukcesów w pracy nad badaniem życia Polaków na Syberii. Przez całe swoje życie mam wiele miłości do polskiej narodowości. Myślę, że odrodzenie słowiaństwa zacznie się w Polsce.

F.G. Fiedosiejewa

Przeczytałam Pani notatkę „Polskie ślady”. Poruszyło mnie to i krew moich przodków skłania mnie do wyjaśnienia następującego. Nazywam się Witalij Pawłowicz Parfiljew, mam 64 lata, urodziłem się w rejonie niżno-ilińskim na rzece Ilin (stąd i nazwa miasta Ust-Ilinsk, gdzie teraz mieszkam). Moja ciocia (siostra mojej matki) opowiedziała mi następującą historię:

W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia do obwodu niżno-ilińskiego był zesłany jej dziadek, a mój pradziadek. Za co został zesłany, nie wiem. Wiem tylko, że był Polakiem. Nosił nazwisko Zamradzki. Osiedlili go we wsi Połodajewo. Dziadka swojego — Zamradzkiego Jakowa — prawie nie znam. Byłem mały, kiedy wyjechał na Krym do swojej córki i dalsze jego losy są mi nieznane (zaczęła się II wojna światowa). Mój dziadek miał dużą rodzinę — dwanaścioro dzieci (jeden syn i jedenaście córek). Wszyscy mieli wykształcenie podstawowe. W dokumentach piszę, że jestem Rosjaninem, lecz swoim dzieciom mówię, że nasi przodkowie byli Polakami. Wszystkie dzieci mego dziadka były oddane Syberii, jak i my — dzieci naszej mamy i naszego ojca (a jest nas siedmioro).

Zwracam się do Pani z prośbą o wiadomości o moich krewnych. Rozumiem, że byłoby to trudne, lecz wiele radości by nam sprawiło.

Parfiljew W.P.

Piszą do Pani dwie siostry — Luda i Janina Pośpiech — Polki. Nasi przodkowie, babcia i dziadek, mieszkali w Warszawie. W 1910 roku ich rodzice razem z dziećmi przyjechali na Syberię, w rejon irkucki. W 1937 roku naszego dziadka zabrali, zostawiwszy babcie samą z pięciorgiem dzieci. Babcia dużo pisała, szukała go, lecz przepadł bez wieści. Babcia bardzo dużo opowiadała o Warszawie, o dziadku, bardzo chciała wrócić do ojczyzny. W 1981 roku umarła. Nasi rodzice mieszkają obecnie we wsi Wierszyna. W tej wsi mieszka bardzo dużo Polaków. Mówiliśmy wszystko w języku polskim. Za życia babcia przenie-

rowała polskie czasopisma, prowadziła korespondencję z krewnymi w Polsce, ale to wszystko było kiedy byliśmy jeszcze małe. Pamiętamy jeszcze, że przychodziły przesyłki, przysyłali coś białego, bardzo smacznego. Potem zabroniono prowadzenia korespondencji, nie pamiętamy w którym roku. Oto wszystko. Jeśli Panią interesują szczegóły, podajemy adresy rodziców, Romana i Sabiny.

Ludmiła Romanowna Achunziakowa

Agato! Szuka Pani potomków zesłańców z czasów powstań 1831 i 1863. Mój dziadek i jego rodzina byli zesłani na Syberię. Dziad mój, Kirył Gonsijewski, przybył do miejsca zesłania w kajdanach. Kajdany te zachowały się przez długie lata.

Ojciec — Gonsijewski Jan Kryłowicz — to mój tata. Mieśliśmy bardzo dużą rodzinę. Starszy brat ojca wyjechał do ojczyzny w 1870 roku, ma pięcioro dzieci. Siostra ojca umarła w 1938 roku.

Proszę o wybaczenie, że niepoprawnie piszę, mam niedostateczne wykształcenie. Życzę pomyślności i zdrowia. Czekam na wiadomość. W następnym liście opiszę wszystko dokładniej.

Z pozdrowieniami

Georgij Gonsijewski

Przeczytałem notatkę w naszej gazecie i uznałem, że powinienem się odezwać. Mój ojciec, Balcerzak Stanisław, był polskim powstańcem i zesłany był na Syberię w 1907 roku, na katorgę „Górny Zorientuj” czytyńskiego okręgu. Pochodził z Warszawy, według jego opowiadań zostały tam jego dwie rodzone siostry. Jedna z nich — Franciszka Augustyniak — dokładnego adresu nie pamiętam. Pamiętam tylko miasto Warszawa, Stare Miasto lub Sadowa 37. Miała dzieci, lecz o ich losach nic nie wiem. Druga siostra miała dwie córki i syna Antka, więcej nie wiem. Są to moje cioteczne siostry i brat. Mój ojciec miał na Syberii przyjaciół Polaków. Bielecki, Łopato, Kaczmarek — wszyscy byli zesłani na syberyjską katorgę w latach 1912-13 na stację Mysowaja, położoną od południowej strony Bajkału. (Teraz miasto nosi imię rewolucjonisty Babuski, rozstrzelanego przez białogwardzistów w 1917 roku).

Ojciec mój zginął tragicznie w 1941 roku na służbie. Pracował jako robotnik kolejowy. Lecz trudne lata życia nauczyły go wiele. Był stolarzem, szewcem, muzykantem, sam zrobił skrzypce i grał na nich ulubione piosenki. Lubił np. Warszawiankę. Miejscowym reperował instrumenty, pieniędzy nigdy nie brał. Często wspominał swą ojczyznę i ze łzami w oczach mówił, że już nigdy jej nie zobaczy. Pracował i żył uczciwie, godnie, lubił dyscyplinę. Przeżywszy swoje 56 lat zostawił troje dzieci, dwóch

synów i córkę. Brat dwa lata temu zmarł, zostaliśmy z siostrą. Siostra mieszka w Moskwie, ma 75 lat. Ja mieszkam w Irkucku, mam 73 lata. Kiedy byliśmy młodzi, były to lata trzydzieste, niemożliwym było poznać jego ojczyznę, a teraz jesteśmy starzy.

Wszystkiego dobrego

Wiktor Balcerzak

Szanowna Pani Agato!

Rzecz w tym, że nawet nie wiem dokładnie kim byli moi przodkowie, jakiej byli narodowości, polskiej czy ukraińskiej. Wiem tylko, że byli zubożałymi dworzanami, Jarowye. Byli oficerami i służyli w armii. Pochodzili, jak mi się wydaje, z zachodniej Ukrainy, z władymiro-wołyńskiej guberni, do 1939 roku należącej do Polski. Jak i za co znaleźli się na Syberii, w tomskim rejonie, nie wiem. Chciałbym odszukać ich ślady.

Proszę nie dziwić się z powodu mojego adresu i że od razu nie przedstawiłem się jak należy. Tak ułożyło się moje życie, że obecnie znajduję się w zakładzie karnym i odsiaduję wyrok.

Mikołaj Iwanowicz Martynow

Mój dziad nosił nazwisko Bieleusz, lecz było to nazwisko nieprawdziwe. Staralem się wielokrotnie dowiedzieć czegoś od dziadka, ale zawsze bardzo się złościł. Trochę powiedziała mi babcia. Prawdziwe nazwisko mojego dziadka — Szaszenow Jakof Siemienowicz. Ich rodzina (dokładnie ojca) była zesłana na północ, za co także nie wiem. Mieszkali oni gdzieś pod Petersburgiem (wieś nazywała się także prawdopodobnie Szaszenowo). Na północy dziadek poznał się z Polakami. Kiedy Polacy postanowili uciekać, a wcześniej rodzina dziadka postanowiła zostać na północy, wymienili się dokumentami i w rezultacie cała nasza rodzina nosi nazwisko Bieleusz.

Natalia Poleszczuk

Moja babcia, Maria Gohumbiewska, była Polką. Jej ojca zesłali w 1863 do Nerczyńska, rejon irkucki. Pamiętam dobrze babcię, słabo mówiła po rosyjsku, robiła dużo błędów, zmarła po wojnie. Polacy na Syberii podzielili losy narodu rosyjskiego. Do dowodu wpisywali narodowość rosyjską, żeby nie było kłopotów. To było w latach 30-tych, 40-tych. Nawet imiona rusyfikowali: Florcia, Flora, Frosia. Powiedzieć, że uciskano Polaków za to, że byli Polakami, nie można. Walczyli na froncie. Jedną z naszych krewnych — Bohater Związku Socjalistycznego — powtórzyła czyn Zoi Kosmodiemianskiej. Powojenne czasy pamiętam doskonale. W 1955 roku zostałam studentką instytutu pedagogicznego. Na roku było dużo Polek, wy-

wodzących się z rodzin polskich zesłańców. Problem przynależności narodowej wtedy dla nas nie istniał. Kto tylko ze mną się nie uczył: Litwini, Ukraińcy, Rosjanie, Tatarzy. Wszyscy się przyjaźniliśmy.

Krewni przypominali mi o polskości, odnawia się etnicznie wszystko we mnie, a teraz przedłużeniem mojego życia jest mój syn. Tak więc polskie ślady nie zacierają się, chociaż w dowodzie mamy narodowość rosyjską. Wiem jeszcze o babci, że nie przyjęła wiary chrześcijańskiej, nas nie chrzczono, a kościołów w naszym rejonie nie było.

Obecnie — to piękne — ludzie zaczęli się zastanawiać nad swoją historią, swoim losem. Jestem teraz docentem instytutu pedagogicznego. Mój wujek, komandor statku, w tym roku zginął w katastrofie samochodowej. Drugi, emeryt, był więźniem Buchenwaldu, po wojnie wicedyrektorem instytutu naukowo-badawczego w Leningradzie.

Lidia Michajłowna Kosiukowa

Nazywam się Jadwiga Marianowna Zabłocka (po mężu Kłykowska), córka Polaka represjonowanego przez NKWD w 1938 roku, 28 stycznia obwinionego za udział w kontrrewolucyjnej organizacji. Postanowieniem trójki NKWD 22 lutego był osądzony, a 25 lutego rozstrzelany. Chcę opowiedzieć o losach mojej rodziny. Moi dziadkowie mieszkali w zachodniej Ukrainie, mieli sześcioro dzieci, byli dzierżawcami. Dzieci uczyły się w gimnazjum. Po rewolucji tragiczny los spotkał moją babcię (tylko dlatego, że była dobrze ubrana), wyrzucono ją z pociągu chociaż była w ciąży, po tym wszystkim urodziła martwe bliźnięta. Wkrótce umarła sama, jej śladami podążył dziadek.

Dzieci, już nieco odchowane, pracowały w komunie, ucierpiały bardzo „za winy” rodziców. Kiedy zaczęło się rozkułaczanie, zesłano mojego ojca i jego starszego brata na Syberię. W rejonie irkuckim ojciec pracował w leśnym kolchozie i pomagał w kantorze, jako że umiał pisać. Było nas sześcioro, mieszkaliśmy w baraku. Od czasu aresztowania nie widzieliśmy więcej ojca. Wychowaliśmy się w domach dziecka, według wieku, wszyscy oddzielnie. W metrykach w miejscu „rodzice”, „narodowość” — kreska. Całe życie prześladowano nas przez ojca, chociaż w 1956 był pośmiertnie zrehabilitowany.

Nie mieliśmy nigdy fotografii ojca, ponieważ wszystko zniszczono, a nas wygnano na ulicę. W irkuckim sierocińcu wychowywała się jeszcze jedna polska rodzina, przyjaźniliśmy się. Zosia Pawzyk, 1933-34 rok urodzenia i jej brat. W 1945 roku, kiedy Polacy mogli wyjeżdżać do ojczyzny, oni wyjechali, a nas nie puszczono, jako, że nasz ojciec był represjonowany. Ich rodzice umarli. Szukałam, pisałam, lecz nie udało mi się ich znaleźć.

Może Pani uda się odnaleźć Zosię Wawzyk? I oto jestem Polką, chociaż w dowodzie mam narodowość rosyjską, ale krew mam ojcowską, polską. Obecnie jestem na emeryturze, mam córkę, dwoje wnucząt. To wszystko. Jeśli będą Panią interesować jakieś szczegóły, będę szczęśliwa, jeśli będę mogła pomóc.

Z poważaniem

Jadwiga Marinowna Zabłocka

Szanowna Pani Agato!

Ojciec mojego ojca był zesłany za powstanie 1863 roku do wioski Ilir, guberni irkuckiej. Nazwisko jego — Brikner, imię — Józef. Pochodził z Grodna. Żona i dwoje dzieci zostało w Grodnie. Według mnie byli to bogaci ludzie, dziadek zbudował sobie dom, miał gospodarstwo i żył dostatnio.

W latach 80-tych pozwolono im mieszkać w mieście i dziadek pojechał do Irkucka załatwiać wszelkie sprawy. Zapraszał babcię, lecz dzieci były chore i nie mogła pojechać. Zanim wyzdrowiały, dziadek umarł. Mój ojciec miał wtedy 8 lat. Później, kiedy byłam już duża, ojciec próbował dowiedzieć się czegoś o dziadku, ale nie zdołał.

W 20-tych latach pracowałam w archiwum i szukałam w archiwum kancelarii generał-gubernatora jego sprawy, lecz jej nie było. Według słów jakichś znajomych, był pochowany na polskim cmentarzu, koło bocznej bramy. Chodziłyśmy z mamą do niego. Więcej nic nie wiem.

W.M. Borodaczenko

Interesuje się Pani polskimi zesłańcami. Jednym z nich był mój prapradziad Złotowski. Imienia nie znam. Wiem tylko ze słów mojego ojca — Afanasya Siemionowicza Złotowskiego, że gdzieś w pierwszej połowie XIX stulecia byli zesłani w zabajkalską gubernię dziadek z krewniakiem na wieczne osiedlenie. Odbywszy katorgę w górnojezierenturskim więzieniu, wstąpili do zabajkalskich kozaków i osiedlili się w stancy Ust-Urow nerczyńsko-zawodzkiego rejonu. Tam się poženili. W końcu 1930 roku w 450 kozackich domostwach mieszkało ich 15%. Potem nadszedł 1933 rok, bardzo tragiczny, i prawie wszyscy noszący nasze nazwisko zostali wygnani na Syberię (wschodnie rejon). Po dwóch latach osiedliliśmy się w Irkucku i do tej pory mieszkamy i pracujemy w tym mieście.

Pani Agato, od dawna jestem narodowości rosyjskiej, kiedy to się stało, nie wiem. Lecz jest we mnie coś polskiego. Wiele lat pręnumeruję *Izwiąstie* i zawsze zaczynam od wiadomości o Polsce. Ostatnimi czasy wiele się w Polsce dzieje. Podczas II wojny światowej nie przyszło mi być w Polsce. Nas, sybiraków, wzięto do obrony Murmańska, a potem wyzwalałymi Norwegię.

Jeśli przesłedzić nasz rodowód, to tworzy się taki obraz. Ojciec mój urodził się w 1874 roku. Nie był pierwszym dzieckiem, miał trzech braci i cztery siostry. Mój dziad, Selen Aleksiejewicz, prawdopodobnie urodził się w pięćdziesiątych latach zeszłego stulecia. Lecz i pradziad także urodził się w Ust-Urowie. Stąd można wywnioskować, że zesłano pradziadka w początkach XIX wieku.

W naszej stancy byli jeszcze Polacy: Złatkowski — ksiądz i Tomaszewski — kupiec. Proszę o wiadomość czy moje nazwisko jest w Polsce? Tutaj, w Irkucku, jest bardzo dużo nazwisk z końcówką „ski”, są i polskie imiona: Wojciech, Władysław, Edward.

Michał Afanasjewicz Złotowski

Tylko jednego listu nie musiałam tłumaczyć z rosyjskiego. Napisany polszczyzną niewprawną, dawno nie używaną, ortografią niepostuszną, był dla mnie ważnym znakiem. Prawdziwym polskim głosem stamtąd. Bo jeśli to prawda, że ojczyzna jest w języku, tu nie całkiem została utracona.

1990

Agata TUSZYŃSKA

PO. CZU I (772-846)

FILOZOFOWIE

„Ci, którzy mówią, nie wiedzą,
Ci, którzy wiedzą, milczą”

Te słowa, o ile wiem,
Wyrzekł Lao-tsy.

Jeżeli mamy wierzyć, że Lao-tsy
Sam był tym, który wie,
Czemu napisał książkę,
Pięć tysięcy słów?

MUSO SOSEKI (1275-1351)

STARY CZŁOWIEK BEZ OBOWIĄZKÓW

Duchowe czy świeckie
konwencje i obyczaje
są mu obojętne

Zupełnie wolny
zostawiając wszystko niebu
wygląda na prostaczka

Nikt nie przeniknie
do wnętrza
jego umysłu

Ten stary człowiek
samoistny
między niebem i ziemią

WALT WHITMAN (1819-1892)

Jestem poetą rzeczywistości
Twierdzę, że ziemia nie jest echem
Ani człowiek widmem;
Ale że wszystkie rzeczy widziane są prawdziwe,

Wiersze

Nowe przekłady Czesława Miłosza (II)

TU FU (713-770)

CZYSTO PO DESZCZU

Jesień, ostrza chmur na horyzoncie.
Wiatr zachodni dmie od strony dziesięciu tysięcy mil.
Świt, o rannej czystej pogodzie
Chłopi krzątają się po długim deszczu.
Z drzew pustyni spada ostatni zielony liść.
Górskie gruszki są małe ale już dojrzałe.
Flet tatarski słychać u bramy miasta.
Jedna jedyna dzika gęś wzbija się w pustkę.

WIATR Z POŁUDNIA

Dnie są dłuższe, góry
Śliczne. Wiatr z południa
Wieje nad kwitnącymi łąkami.
Jaskółki wróciły, śmigają
Nad dymiącym moczarem.
Pary kaczek śpią w ciepłym piasku.

Świadectwo i biały świt rzeczy są równie prawdziwe.
Rozciąłem ziemię i twardy węgiel i skały i lite łożysko
morza
zszedłem tam żeby badać długo,
I przynoszę stamtąd sprawozdanie,
Dowodzę, że wszystko tam pozytywne i gęste
I że jest takie jak wydaje się dziecku.

WIEJSKI OBRAZ

W szeroko otwartych wrotach cichej wiejskiej stodoły
Słoneczne pastwisko z pasącym się bydłem i końmi,
I perspektywa i mgielka i rozplywający się w dali horyzont.

ANTONIO MACHADO (1875-1939)

TĘCZA W NOCY

Do Madrytu którejs nocy
idzie pociąg przez Guadarrama.
Na wodzie stoi łuk tęczy,
zbudowały go księżyc i woda.
O kwietniowy księżycu
Popędzający obłoki!

Matka trzyma chłopczyka
Śpiącego na jej kolanach,
Śpi chłopczyk a jednak widzi
mijane zielone pola,
drzewa w słońcu i złote motyle.

Matka z pochmurnym czołem
między wczoraj i jutrem
widzi wygasły ogień
i piec a w nim pająki.

Jest też zboląły podróżny,
pewnie widzi niezwykle rzeczy,
mówi do siebie, a spojrzy
to nas przegania wzrokiem.

Wspominam pola pod śniegiem
i sosny na innych górach.

A Ty, o Panie, co sprawiasz,
że widzimy i widzisz dusze,
powiedz, czy kiedyś my wszyscy
zobaczymy twoje oblicze.

BLAISE CENDRARS (1887-1961)

ZIEMIE ALEUTÓW

I

Wysokie skały smagane przez mroźne wiatry
W środku żyznych prerii
Reny łosie woły piżmowe
Lisy niebieskie bobry
Niska plaża przeznaczona na hodowlę fok
Na szczycie skały zbiera się gniazda edredonów
Których puch jest prawdziwym bogactwem

II

Obszerne i solidne budynki które mieszczą znaczną liczbę
handlowych stoisk
W ich okolu ogródek gdzie zebrano wszelką roślinność zdolną
znieść rygory klimatu
Jarzębiny sosny wierzby arktyczne wyhodowane wrzosy i
[alpejskie krzewy.

III

Zatoka usiana skalistymi wysepkami
W grupkach po pięć i sześć foki wygrzewają się na słońcu
Albo rozciągnięte na piasku
Igrają z gardłowym krzykiem podobnym do szczeknięcia
Przy chacie eskimosów jest szopa gdzie wyprawia się skóry

FRISCO CITY

Jest to stare pudło przeżarte rdzą
Naprawiana dwadzieścia razy maszyna nie daje
więcej niż 7 czy 8 węzłów

Zresztą dla oszczędności pali się tylko żużlem
i węglowym miałem
Ile razy wiatr jest pomyślny rozpina się prowizoryczne
żagle
Krasnolicy, w brwiach krzaczastych, z czerwonym nosem
Mr. Hopkins to prawdziwy marynarz
Małe srebrne kółka wiszą u jego uszu
Ładunkiem statku są wyłącznie trumny Chińczyków
którzy umarli w Ameryce i chcieli żeby ich pochowano
w ich ojczyźnie
Podłużne skrzynki malowane na czerwono i jasnoniebiesko
albo pokryte złotymi literami
Właśnie rodzaj towaru którego nie wolno przewozić

TAMPA

Pociąg zatrzymał się właśnie
Dwaj tylko podróżni wysiadają w ten upalny
ranek późnego lata
Obaj mają ubrania koloru khaki i noszą
korkowe hełmy
Za każdym z nich idzie czarny niosący ich walizki
Obaj obrzucają roztargnionym spojrzeniem
zbyt białe domy miasta pod zanadto niebieskim niebem
Widać jak wiatr wzbija kłęby piasku i jak muchy
obsiadają dwa muły jedynego fiakra
Woźnica śpi z otwartymi ustami

RYBNA ZATOCZKA

Woda jest tak przezroczysta i spokojna
Rozróżnia się w głębi białe zarośla koralu
Przmatyczne kołysania się wiszących meduz
Bystre stada rybek żółtych różowych liliowych
A pod falistymi algami lazurowe strzykwy
I jeżowce zielone i fioletowe

ŻNIWO

Sześciocyndrowe auto i dwa fordys w środku pól
Na wszystkie strony aż po horyzont z lekka ukośne pokosy kreślą
szachownicę niewyraźnych rombów
Ani jednego drzewa
Od północy zbliża się klekotanie motorowej żniwiarki-młocarni
A od południa idzie dwanaście pustych pociągów żeby załadować
zboże

JOHN HAINES (ur. 1924)

POCIĄG PRZYSTAJE W HEALY FORK

Przycisnęliśmy twarze
do zamarzelj szyby,
zobaczyliśmy czerwony grunt
i ogrodzenie z kolczastego drutu.

Rząd wagonów towarowych
stał na sąsiednim torze,
drzwi ich na chwilę
zapalił zachód słońca

Widzieliśmy rozrzucone żelastwo
i belki obozowiska,
żyłę węgla
w urwisku nad rzeką,
zielony zmierzch lodospadu.

Ale plemię miedzianoskórych
którego szukaliśmy, znikło,
dzieci wiatru i cienia
poniosły swoje łachmany
i swój głód
na niebieski skraj nocy.

Nasz pociąg ruszył
idąc na północ,
odzywając się ochryplym gwizdem
w posępnej nocy kanionu.

GARY SNYDER (ur. 1930)

KONIEC PAŹDZIERNIKA, KAMPUJĄC W SAWTOOTH

Blask słońca wspina się na śnieżny szczyt
 płomieniejący bladym karminem
 Chłód opada w parów
 spływają w jedno cienie.
 Rozpalając ognisko sosnowymi gałązkami
 u podnóża skały,
 Pijąc gorącą herbatę z cynowego kubka
 w zimnym powietrzu —
 Naciągnąć sweter i zwinąć skręta.
 liść
 tuż za ogniem
 Iskrzy się nocnym szronem.

WAŻKA

Ważka
 Nieżywa w śniegu
 Jak doleciałaś tak wysoko
 Czy zostawiłaś nasienie swego rodu
 W górskim stawie
 Zanim umarłaś.

Wybory prezydenckie

W oczach Zachodu

WARSZAWA — W DZIEŃ PO PIERWSZEJ TURZE

Od paru dni w salonach Warszawy panuje zamęt. Atmosfera apokalipsy, rozgorączkowane spojrzenia, nagle wybuchy płaczu, rozmowy urywane w połowie. Jedni z bezowocnym wysiłkiem szukają właściwych słów, inni zaś zalewają tak ogromną gadatliwością, że przyprawia to nas o zawrót głowy i udzielają się nam ich obsesje bez wyjścia.

Przyczyną tego zagubienia jest oczywiście też niezwykle sukces Tymieńskiego, a więc o nim się głównie mówi od rana do wieczora i późną nocą aż do zupełnego belkotu.

Skąd przyszedł ten piekielny intruz? Kto go opłaca? Komu przynosi korzyści?

Lecz zdawałoby się, że zjawisko Tymieńskiego nie przynosi tu żadnej nauuczki na temat bolączek post-komunizmu, jego grzechów, jego nędzy i wszystkiego czego nie dokonał. Tymieński jest złem pochodzącym z zewnątrz i ukazującym twarz Polski szpetnej, niedobrej. Jest tworem Bóg wie jakich mrocznych siły pragnących zniszczyć rodzącą się demokrację z jej piękną, zgodną wspólnotą. Najbardziej wtajemniczeni mówią, że wiedzą wszystko i wymachują dowodami potwierdzającymi związki Tymieńskiego z KGB i ze sferami wojskowymi ZSSR. Jego głównym współpracownikiem jest prowokator dawnego reżymu Sławomir Miastowski, który podczas stanu wojennego spowodował aresztowanie wielu członków opozycji. Istnieją poza tym związki Tymieńskiego z Libią i dziwne gloryfikacje Jaruzelskiego.

Elita intelektualna i polityczna wyżywa się w tych tematach, zapominając powoli o tym co najważniejsze, o wyborach które trzeba wygrać, o ślamazarnie ruszającej kampanii do drugiej tury, o dyskusji na temat gospodarki, która jeszcze przed

dwoma dniami wydawała się decydująca i, wreszcie, o polemice na temat zerwania z komunizmem, które, według Mazowieckiego, jest faktem dokonany a zdaniem Wałęsy nawet się nie zaczęło.

Wyborcy, osłupiali, oglądają telewizję i mają wrażenie że zostali bezczelnie nabrani, że, być może, cała polemika pomiędzy dwoma obozami Solidarności nie była prawdziwa i że chodziło raczej o coś w rodzaju kłótni w rodzinie.

Na ekranach telewizyjnych dwoi się i troi Lech Wałęsa. Nie zapominajmy wszakże, że zdominował on pierwszą turę wyborów, wyruszając dzielnie na wojnę przeciw Mazowieckiemu i obiecując zerwanie z bezpośrednią przeszłością, koniec podlizywania się, kompromisów i jednoczących, okrągłych stołów.

„Chciałbym powiedzieć, że gdyby Mazowiecki pozostał kandydatem po pierwszej turze wraz z mną, to wycofałbym się z dalszego współzawodnictwa” — powiadamia jednak nagle elektrotechnik z Gdańska.

Przyjaciele, z którymi oglądam telewizję, milkną, pożerają wszystkie cukierki jakie mają w kieszeni, a jedna z przyjaciółek wrzuca sobie do gardła dwa czy trzy Maalox'y, które przywiozłam z Zachodu, bo dostaje mdłości. Po chwili próbują się pozbierać. Wałęsa musi przecież mieć jakąś strategię — szepczą bez przekonania — usiłuje pewnie uwieść Mazowieckiego, być może ofiaruje gałązkę oliwną intelektualistom, którzy popierali premiera, proponuje wspólny front przeciw głównemu wrogowi, którym jest jak by nie było Tymiński. Dlatego unika polemik, obiecuje rządzić Polską przy pomocy tych samych ministrów jeszcze przez pół roku, aż do wyborów parlamentarnych. Dlatego też może zapewnia, że pod jego rządami świat będzie równocześnie inny i taki sam jak do tej pory, że gospodarka się poprawi, ale że prowadzić ją będzie Balcerowicz, minister Skarbu, którego wyborcy pośrednio odrzucili, nie wybierając Mazowieckiego.

Nie będzie więc wymiany sił politycznych, jeśli zaś jest pewną historią zamiaru wycofania się na rzecz Mazowieckiego, o której wspominał Wałęsa, to wszystko wydaje się być niczym innym niż sztuczką prestidigitatorską, groteskowym baletem wystawionym dla zwodzenia ludzi.

Zawiedzeni czują się wyborcy Wałęsy i liczne organizacje, które postawiły na niego i na wielką zmianę, którą obiecywał.

Zawiedzeni czują się też wyborcy Mazowieckiego, którym przecież powiedziano, że Wałęsa to już nie charyzmatyczny przywódca, lecz niebezpieczny potencjalny dyktator.

Atmosfera jaką odczuwa się w tej chwili w Warszawie nasycona jest tak gęsto histerią, że ktokolwiek bawi tu dłużej, odnosi wrażenie że przebywa w strefie zatrutej ekologicznie, bądź w zakładzie dla umysłowo chorych, w którym jeden wariat

pokazuje palcem na drugiego i wytykając mu szaleństwo, usiłuje uwolnić siebie samego od podejrzania. Psychopata to dziś zresztą często i chętnie stosowane określenie w wypowiedziach tutejszych intelektualistów i polityków.

Psychopatą jest Tymiński, niejasny, oszukańczy „miliarder”, który sprzedaje tanio sny z „Dallas” czy z „Dynasty”.

Psychopatą jest Wałęsa w oczach Adama Michnika, który bardziej historycznie niż ktokolwiek inny atakował w ciągu ubiegłych tygodni tak niegdyś uwielbianego, a dziś tak dlań znenawidzonego związkowca z Gdańska, wyjaśniając górnolotnymi zdaniami, że sukces Tymińskiego może być ostrzeżeniem dla innych, ale nie dla niego, który od dawna wszystko rozumiał.

Ale przede wszystkim określa się jako psychopatów blisko cztery miliony wyborców, którzy w ubiegłą niedzielę głosowali na Tymińskiego. Tonem wyniosłym i łagodnie zatroskanym prawi ks. Józef Tischner, teolog z Krakowa, swoje zaimprovizowane kazanie w zakończeniu dziennika telewizyjnego. Tłumaczy, że wyborca Tymińskiego to *homo sovieticus par excellence*, skorumpowane dziecko dawnego ustroju, stojące do niedawna w ogonku do komunistycznego straganu, a dziś wyczekujące, nie mniej służalczo, przed straganem ohydnygo emigranta.

A tymczasem Tymiński kontynuuje swoją wszechobecną, przebiegłą kampanię, popierany przez neokomunistów, uszczęśliwionych rozłamem w Solidarności, przy czym prawdziwy pluralizm polityczny odłożony zostaje któryś tam raz z rzędu na później. Być może Tymiński naprawdę opłacany jest przez KGB czy powiązany z nomenklaturą. Ludzi jednak mało interesują spóźnione badania i nagłe odkrycia. Słuchają tego, co mówi wzbogacony emigrant, utożsamiają się z nim i czują się „brani pod uwagę”, szanowani, choć nieco na opak. „Rządzący chcą wysprzedać Polskę Zachodowi — grzmi Tymiński, budząc uśpioną dumę narodową. — Nie jesteście żadną drugą Polską, nie jesteście Polską oszalałą czy niedojrzałą. Jesteście narodem, który we własnym kraju ma prawo do wyboru”. I konwersuje przyjacielsko ze śląskimi górnikami, stojącymi wobec groźby bezrobocia. Tymiński nie jest wykształcony i obiecuje współpracę ze wszystkimi, łącznie z nomenklaturą. Jest cynikiem, który szuka słów z wysiłkiem i często czyta z kartek podsuwanych przez tajemniczych współpracowników. Ale jego kampania odbierana jest jak kampania kogoś, kto przyrzeka zerwanie z bezpośrednią przeszłością, kto atakuje rząd frontalnie, kto nie kieruje się zasadami moralnymi, ale za to mówi jasno. Nie przypomina to jego wyborcom fałszywych przemówień tych, co wychwalają etos Solidarności, od dawna poświęcony dla celów osobistych.

„Świat ten jest światem cyników i oszustów — mówi między wierszami — zakasajcie więc i wy rękawy. Jeśli tyłu mogło

się wzbogacić, mimo ogólnej katastrofy, jeśli tyłu zdołało się wybić, potraficie wzbogacić się i wybić również wy". Swoim językiem bez ogródek mówi Tymiński niestety jakąś częściową prawdę. Nie jest tylko wrogiem pochodzącym z zewnątrz, nie jest wyłącznie wcieleniem *homo sovieticus*. Jest jedną z pierwszych wydzielin demokratycznych rewolucji wschodu, często fałszywych, kłamliwych, które nastąpiły ubiegłego roku w Europie Wschodniej, poczynając od Polski. Wyraża gniew narodu, który trzymano przez pół wieku w piwnicy, narodu okupowanego 5 lat przez Niemców i 45 lat przez komunistów, któremu powiedziano: Zostańcie jeszcze trochę w suterenie, zaciśnijcie pasa i pocierpcie. My tymczasem ułożymy się z komunistami o podział władzy, oszczędzimy nomenklaturę, bo nie lubimy polowań na czarownice, ale obiecamy za to Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu politykę gospodarczą najbardziej godną pochwały.

Zrozpaczonemu, zdezorientowanemu i wynędzniałemu narodowi rząd Mazowieckiego i współpracujący z nim intelektualiści z dawnej opozycji nie potrafili dać żadnej busoli, żadnego kierunku, żadnego punktu odniesienia moralnego. Idea, jaką niesli oni w sobie, była ideą sielankowej rodziny supermędrców, zamieszkującej harmonijne i monolityczne sfery niebieskie, nie tolerującej konfliktów ani w polityce ani w społeczeństwie, rodziny ignorującej życie codzienne ludzi, życie zresztą coraz cięższe, pomimo mnożenia się gazet i pism kulturalnych i pomimo sklepów pełnych towarów dla wielu niedostępnych.

Wysoka hierarchia kościelna ponosi niestety dużą część odpowiedzialności za ten stan umysłów i świadomości. Z najwyższą troską, w imię rodzinnej i apostoelskiej wizji życia politycznego, starała się ona unikać wszelkich normalnych napięć. Trzeba było tylko zaciskać pasa, nikt jednak nie otwierał drzwi i okien by wpuścić nowe powietrze i by doznać orzeźwiającego powiewu wolności, jakiego doznały kraje wychodzące z faszyzmu i hitleryzmu.

„Tak naprawdę, to wszyscy byli opozycjoniści są jakoś komunistami, tylko tego nie wiedzą” — mówi jeden z najprzeklętszych obserwatorów Polski, Stefan Kisielewski, atakując tym samym największe niedociągnięcie postkomunistycznego rządu: niezdolność stworzenia atmosfery odbudowy, klimatu, w którym nie jest konieczne wpakowanie do więzienia setek tysięcy komunistycznych funkcjonariuszy, ale w którym mówi się przynajmniej jasno o co chodzi, gdzie są odpowiedzialności, z kim się chce odbudowywać kraj. Trzeba było przynajmniej dać ludziom orientację, gdzie jest dobro i gdzie leży zło, do czego się dąży, a co uważa się za absolutnie niemożliwe do przyjęcia.

Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji część społeczeństwa chwytą się pierwszego lepszego demagoga, który ją uwodzi, obiecując wyważenie piwnicznych drzwi.

Rząd sam zainaugurował erę nowego cynizmu, myśląc że wystarczy powtarzać magiczne słowo demokracja, aby ta stała się rzeczywistością, rząd który więcej czasu poświęcał na dyskusje z komunistami niż z własnym społeczeństwem, uważając Wałęsę za groźniejszego od Jaruzelskiego. To właśnie rządowa bylejakość zdemoralizowała ludzi i wytworzyła tę Polskę bylejaką, która dziś się mści, traci rozsądek, ogląda telewizję, nie widzi w niej zasadniczej zmiany i daje się porwać komuś, kto w sztuce cynizmu nie znajduje sobie równych.

A przecież są w Polsce siły zdolne ją uzdrowić, choć niewidoczne, niepozorne. Widziałam je na własne oczy w szpitalu dziecięcym na Woli, robotniczej peryferii Warszawy, gdzie pielęgniarki, pielęgniarki i chirurdzy harują bohatersko 17 godzin na dobę za głodową pensją, pracując z poświęceniem i żarliwością w pomieszczeniach, gdzie nie sposób jest przestrzegać zasad higieny, gdzie co dzień pękają rury wodociągowe, zaś zapasy tlenu magazynowane są w składzie obok ambulatorium, gdzie w każdej chwili grozi eksplozja.

Tak więc, wśród cynicznych szeptów i historycznych krzyków, rośnie niebezpieczeństwo, że zaprzepaszczony zostanie nawet wspomnienie wielkiego, wspaniałego ruchu oporu, którego uosobieniem była Solidarność. Polska jeszcze raz może przegrać zwycięstwo, jak to już miało niejednokrotnie miejsce w jej historii.

Odcinając się od przyjaciół popierających, wbrew własnej woli, Wałęsę i atakując tego ostatniego, jakby był jego wrogiem osobistym, broniąc post-komunistycznej demokracji, która umiała wprawdzie powstrzymać inflację, ale nie potrafiła tolerować żadnej prawdziwej opozycji, Michnik zdaje się przygotowywać do dziwnych i przewrotnych sojuszków.

Michnik jest zresztą tylko najbardziej jaskrawym wyrazem głębokiej dezorientacji duchowej, jaka opanowała elitę intelektualną i Kościół, który przecież tak wielką rolę odegrał w mrocznych latach totalitaryzmu. Elitę, która nie chce mieć nic wspólnego z Polską przedwojenną, która nie pamięta co to znaczy służyć naprawę krajowi, która żywi pogardę do przedwojennych prób budowania demokracji. Elitę, która jest dzieckiem komunizmu, której brak punktów odniesienia w przeszłości i która siłą rzeczy należy po części do albumu rodzinnego Bieruta, Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego.

Barbara SPINELLI

Tekst opublikowany przez włoski dziennik *La Stampa* w Turynie 30 listopada 1990. Przekład polski B.M.P.

I po krzyku

Dowcip miesiąca udał się ponoć Andrzejowi Micewskiemu. Zapytany tuż po pierwszej turze przez któregoś z korespondentów, co sobie w rok po wyborze będzie myślał polski prezydent, odpowiedział lakonicznie: — Będzie żałował.

Tymczasem jednak prezydent Lech Wałęsa zebrał głosy 39% elektoratu (24% w pierwszej turze) i choć spora część głosowała „na mniejsze zło” w myśl zasady ponownie w Polsce chodliwej, prezydent wydaje się zadowolony: znów miał, ma i będzie miał rację, zawsze! Albowiem wygląda na to, że „lekcja demokracji”, jakiej udzielił elektorat swym politykom przy pomocy Stana Tymińskiego, nie na wiele się zdała.

Kiedy Wałęsa został sam na placu z Czarną Maską — przed wojną w cyrku Staniewskich na Ordynackiej w Warszawie zawsze zgłaszała się do turnieju zapaśniczego taka Czarna Maską i regularnie tłukła wszystkich przeciwników, żeby w finale ulec ulubieńcowi publiczności — kiedy więc Wałęsa został sam na sam z Tymińskim, niemrawa dotąd kampania niebawem się ożywiła. Dreszcz paniki przeszedł po plecach wszystkich naszych pieścuchów. Adam Michnik ogłosił, że prędzej by rękę sobie odrąbał, niżby zezwolił żeby zagłosowała ona — ta ręka — na Tymińskiego. Jarosław Kaczyński ukazywał twarz posępną i pociągłą (sic!), oczy podkrążone i smutne. Nowak-Jeziorański słał postania, Unger Leopold odsyłał społeczeństwo polskie do psychiatry, tylko Urban zapowiedział „całowanie Tymińskiego w tyłek” (tytuł w tygodniku *Nie*). Jak trwoga, to do Boga. Episkopat ogłosił tekst, w którym dużo było solidarności, i to tak zmyślnie, że zarówno małą jak dużą literą można by to zapisać, kiedy zaś Tymiński beczelnie udał, że ów tekst poczytuje za poparcie dla siebie, sam ksiądz prymas przygwoździł kłamstwo ciężkim w kardynalskim języku słowem „tupet”. Skrzyknęli się nawet i wigoru nabrali koledzy dziennikarze, dotąd zasługujący głównie na wyrzucenie z zawodu za nieudolność. Odkryli o Tymińskim wszystko, co było do odkrycia, i pod przewodem nieustraszonego Cześka Bieleckiego odgryźli Czarnej Masce nos. Spod maski wylał dość żalony chłopczyzna ze schizofrenicznym napędem, kiedyś może podwerbowany do zrzutu pomiędzy emigrantów, ale nic poważnego, nie ma go ani w teczkach wywiadu wojskowego, ani w wykazach centrali SB z tamtego czasu (1969), figura zatem całkiem tuzinkowa, choć teraz, w 1990 roku, niewątpliwie znaleźnisko dla esbeków bez przydziału.

Tutaj potrzebny jest dłuższy nawias. Fenomen Tymińskiego zmobilizował natychmiast wiele interpretacji: żalona w polityce, nasza klasa polityczna pozostaje bardzo płodna w teorie.

Wykładnia pierwsza, nazwijmy ją przeżytkową, tłumaczy wszystko przeżytkami komunizmu (skąd my to znamy, te przeżytki dobre na wszystko?). Ks. Tischner np. uznał, że na Tymińskiego głosuje *homo sovieticus*, obecny niestety w każdym Polaku. Czesław Bielecki wślawił się niegdyś aforyzmem o wnuśiu, który zapyta o komunizm, na co dziadzius mu odpowie, że to taki chytry ustrój, co nadal trwa, choć nikt o tym nie wie. Bielecki nie zmienił zdania, dla niego komunizm trwa. Zwolennicy teorii przeżytkowej widzą w komunizmie głównie jego system, spoiwą konstrukcję, nie zaś twór historyczny, a więc ewoluujący. W Polsce istotnie jest bardzo dużo „przeżytków komunizmu”, ale są to głównie przeżytki z jego fazy rozkładu i dlatego właśnie przystosowują się one znakomicie do nowej sytuacji i nowych konstrukcji. *Homo sovieticus* odnajduje się nie tylko w każdym źle i niechlujnie pracującym robotniku, ale również w każdym łapczywym przedsiębiorcy, przy innych okazjach wychwalanym jak sól nowej epoki. Wyborca Tymińskiego to nie tylko struchlały wobec recesji, nie nawykły do inicjatywy poddany opiekuńczego państwa w wydaniu komunistycznym, lecz także spragniony cudu wyznawca wszystkich świętych, oczekujący zbawienia już to od Kuronia, już to od świętego Antoniego, i gotów uwierzyć w każdy czwarty wymiar. Irracjonalizm i powszechny upadek wiary w ludzki rozum i jego godność są właśnie tym produktem rozpadu komunizmu, który najłatwiej staje się lepiszczem nowego ładu intelektualnego.

Interpretację pierwszą uzupełnia druga, spiskowa. Tymiński jest wedle niej „uśpionym” agentem, najlepiej KGB — w ubarwionej wersji podrzuconym dla niepoznaki sekcje Moon — a teraz rozbudzonym i sprowadzonym do Polski, gdzie agentura zafundowała mu niebawem skuteczną kampanię wyborczą dzięki specjalistom z SB i czerwonym przedsiębiorcom z nomenklatury. W przeciwieństwie do pierwszej szkoły, bardzo teoretyzującej, zwolennicy wykładni spiskowej sypią nazwiskami. Stokłosa z Piły — jedyny antysolidarnościowy senator, i to z pieniędzmi, Roman Samsel od Fidela Castro, korespondent *Trybuny Ludu*, komisarz wojenny w radiu, Andrzej Ochalski, niegdyś moczarowski adherent, wydawca książki Tymińskiego, Paweł Kuczyński, filmowiec z Los Angeles, syn rodzony Janusza, niechluby polskiej filozofii, także moczarowca, nadto zaufanego sowieckiej Akademii Nauk, i jeszcze jacyś esbecy z Ochoty i z Kielc, i z brygady antyterrorystycznej, i nawet mój własny „anioł stróż” z 1982 roku, Sławomir Miastowski, który odnalazł się z kamerą w sztabie Tymińskiego... A cóż dopiero, gdy się na serio dobrać do

źródła finansowania tej kampanii, gdyby tak zapytać Stokłosę, Wilczka, Sekułę, Urbana, wielu innych „czerwonych przedsiębiorców”, ile daliście panowie i czekać z prokuratorem na odpowiedź, jak niegdyś IRS — służba podatkowa Stanów Zjednoczonych, na fałszywe zeznania Al Capone... Tylko, że dziurawa ordynacja polska na żadne takie pytania nie zezwała.

Niezależnie od tego, kim jest sam Stan Tymiński i jakie były jego intencje, na pewno jest coś zastanawiającego w tym nagromadzeniu starych esbeków... Ale właśnie — spisek? Tak łatwy do rozszyfrowania, w tak oczywisty sposób „podpisany”? Czy nie prościej, aby nie mnożyć bytów ponad potrzebę, jest przyjąć, że Tymiński rzeczywiście wciela i upostaciowuje najlepiej owo chore przejście od rozkładu polskiego komunizmu do budowy polskiego kapitalizmu, przejście, w którym produkty gnilne rozpadu stają się budulcem nowego, np. SB — sekty Moon, i że dlatego tak się do jego sztabów garnęli i lecieli ci, którzy socjologicznie najlepiej to przejście uosabiają? Tutaj zamykam nawias. Jeśli kołek zbyt łatwo wybija dziurę w materii, nie pytajcie o kołek, pytajcie o materię. Lecz o sukcesie Tymińskiego w pierwszej turze, klęsce Mazowieckiego i porażce Wałęsy napisano już właściwie wszystko. Nie będę więc powtarzał.

Kiedy w piątek 30 listopada Wałęsa przybył na sesję OKP, wielu spodziewało się jakiejś próby pojednania. Ale już po pierwszych słowach gościa było oczywiste, że nic takiego się nie zdarzy. Obóz Mazowieckiego winił Wałęsę za utorowanie drogi Tymińskiemu bezwzględna krytyką rządu, rozbiciem „Solidarności” i nieodpowiedzialnym przyspieszaniem. Wałęsa odpowiedział, że Tymińskiego ściągnął na Polskę rząd przez swoje błędy, zaniechania, opóźnienia i zerwanie komunikacji ze społeczeństwem, i że gdyby on, Wałęsa, jeszcze trochę czekał, to by w ogóle już było za późno, czyli że ulica by zdecydowała, a Tymiński wygrał. Obie strony miały swoje racje całkiem oczywiste i w niczym to nie posunęło sprawy naprzód. Tylko że Wałęsa wiedział, iż ma tamtych w rękę: to nie oni jego, lecz on ich mógł szantażować Tymińskim, bo to on jednak przeszedł do drugiej tury i on jedynie mógł uratować sprawę „Solidarności” czy choćby jej cienia. Jakoż 9 grudnia Wałęsa zyskał w porównaniu z pierwszą turą 15% elektoratu, podczas gdy frekwencja zmalała o 7%. Otóż 15 plus 7 to 22, czyli dokładnie niemal tyle, ile w pierwszej turze zdobyli wszyscy wyeliminowani kandydaci. Oznacza to, że Wałęsa pozyskał około dwóch trzecich elektoratu tej czwórki. Spośród głosujących w drugiej turze wyborców Mazowieckiego Wałęsę poparło 95%, wyborców Moczulskiego — 80%, Bartoszcze — 70% i nawet Cimoszewicza — 65%. Wałęsa zatem wygrał i to wygrał na całej linii: okazał

się w ostatniej chwili jedyną deską ratunku całej właściwie klasy politycznej w Polsce w grudniu 1990 roku. Ale też 9 grudnia, wraz ze zwycięstwem, wyczerpała mu się zgromadzona amunicja.

Jeśli prawdą jest, jak na to wiele wskazuje, że u źródeł politycznego objawienia się fenomenu Tymińskiego tkwi program Balcerowicza, w takim razie rację ma poseł Jan Rokita, gdy twierdzi, że odtąd szansę mają ugrupowania, które będą wyrażać interesy grupowe raczej niż idee ogólne. I konsekwentnie rację ma też poseł Bronisław Geremek, że przyszły obóz rządzący będzie skonstruowany nie na konsensusie jak „Solidarność” — na „zgodzie co do wartości”, lecz na kontrakcie. Istotnie, zbyt rzadko zauważano dotychczas, że jeśli program Balcerowicza, zakreślony przecież dość wąsko i technicznie, zyskał tak niewątpliwie rangę jedynego wszechobecnego programu rządowego, przyczyną była sama metoda jego konstrukcji. Balcerowicz nie odwoływał się do żadnych interesów grupowych, lecz wprost do interesu państwa, racji stanu i ojczyzny i to trybem tak bezalternatywnym, że potem w realizacji nie był zdolny uwzględnić nawet w oczywisty sposób nieuchronnej korekty, jak wobec wsi. Kiedy zaś „program Balcerowicza” trochę się rozluźnił, od sierpnia, inflacja od razu zaczęła rosnać. Jak gdyby było to takie krawiectwo, w którym nie podobna poluzować pod pachami, żeby od razu nie spadły spodnie. Gospodarka jest rzeczywiście strukturą o bardzo licznych więziach, ale jednak nie aż do tego stopnia, żeby nie była możliwa polityka gospodarcza bardziej selektywna poniżej poziomu globalnego. Lecz globalizm programu Balcerowicza dobrze odpowiadał manierze myślowej, wyniesionej z kończącego się okresu walki z komunizmem, kiedy przeciwstawienie „my i komuniści” opisywało wszystko co ważne i co zwykło się notować dużą literą: Ojczyzna, Polska, Wolność, Bóg — czyli razem Solidarność. Dlatego program Balcerowicza zaakceptowali jako bezalternatywną konieczność nawet jego przeciwnicy i dlatego ich krytyki były jak makaron zwany bezjajecznym, w czym w końcu połapali się późniejsi wyborcy Tymińskiego. Te zwłaszcza młodziaki z głębokiej prowincji o niskim poziomie kwalifikacji, o żadnym poziomie szans i perspektyw, wpatrzni w cywilizację masowej konsumpcji już nie w telewizorze, jak 10 lat temu, lecz przez szybę w pobliskim sklepie, i na pytanie o stosunek do „Solidarności” odpowiadają niesłychanym, światoburczym: „Nienawidzę...” (badania towarzyszące CBOS, 17 i 18 listopada).

Czy jednak nowy prezydent i jego otoczenie polityczne są zdolni do takiej „polityki kontraktowej”? Obserwując pierwsze reakcje na ostateczny sukces Wałęsy 9 grudnia można było w to wątpić. Dominowała, jeśli pominąć wpływowe wokół Wałęsy, lecz w istocie marginalne grupki neoliberalów, opinia, że Lechu

wygrywając uratował a właściwie wskrzesił „Solidarność”, a przynajmniej tkwiący u jej podnóża konsensus. Innymi słowy, że było to zwycięstwo ideologiczne; wygrali, jak to sformułował Jarek Kaczyński w TV, przede wszystkim ci, którzy „opowiadają się za tradycją, konserwatyzmem, chrześcijaństwem, patriotyzmem czy nacjonalizmem”. I to oni przede wszystkim muszą być bazą dla rządów nowego prezydenta wszystkich Polaków. Do kontraktu byłoby więc bardzo daleko. Co nie wyklucza, oczywiście, starań o ozdobienie nowego gabinetu i jego większości parlamentarnej postaciami, których obecność na wystawie po zmianie wystroju zachęcałaby ceną klientelę, zwłaszcza tę z Zachodu. Ale to nie jest kontrakt, zaledwie *public relations*. Gdyby ta wersja wydarzeń się sprawdziła, Wałęsa niedługo mógłby się na przywróconym konsensusie wspierać. Raczej znalazłby się wnet w sytuacji jeszcze trudniejszej niż Mazowiecki z Balcerowiczem, ponieważ mimo całej charyzmy przywódcy jego własny obóz polityczny nie wytrzymałby w świętej zgodzie, zламаł dyscyplinę i rozszarpał zbyt wąską koldrę. Prezydent zostałby sam i nie nastarczyłby z premierami na wymianę zderzaków. Paradoksalnie, szansą Wałęsy na utrzymanie jakichś choćby pozorów zgody jest właśnie maksymalne rozszerzenie rządzącego obozu czyli dodanie własnym adherentom różnych, społecznie się liczących, partnerów do rządu — ale dodanie ich właśnie na zasadzie koalicji i kontraktu. Trzonym zaś takiego kontraktu musiałby być nowy program gospodarczy, wcale zresztą nie mniej rygorystyczny niż program Balcerowicza, ale inaczej skonstruowany i z maksymalnym udziałem reprezentacji interesów grupowych, metodą przetargów i wiążących kontraktów i bez ideologicznych aprioryzmów. Zadanie jest karkołomnie trudne, zważywszy zwłaszcza, że Wałęsa ma niewiele czasu, nim zaczną napływać rachunki za obietnice i nadzieje z wyborczej kampanii. Trudności są nie tylko po stronie obozu prezydenckiego. Jeszcze bodaj więcej problemów wynika z braku dobrze określonych politycznych reprezentacji owych społecznych interesów. Wszystkie ugrupowania istniejące poszukują dopiero swojej tożsamości w tym względzie, a czas nagli, bo wybory parlamentarne za pasem. Pokonani z ROAD i Akcji Demokratycznej chcą więc naturalnym trybem skorzystać z porażki i ułatwić sobie samoidentyfikację przez pozostanie w opozycji. Ich rywale z Porozumienia Centrum i pokrewnych formacji będą musieli się zadowolić identyfikacją z prezydentem.

Upłynie niewątpliwie kilka tygodni nim okaże się, czy zadanie, o którym mowa jest wykonalne, przyjmując, że w ogóle zostanie podjęte. W razie odpowiedzi pozytywnej wybory parlamentarne odbędą się w połowie roku 1991 na podstawie ordynacji raczej większościowej (wbrew październikowej uchwale sej-

mu) i zapewne już po uchwaleniu nowej konstytucji, w której w zamian za możliwie szerokie uprawnienia prezydenckie, Wałęsa i jego ludzie przyznają się pośrednio do pochodzenia z okrągłego stołu. Jeśli odpowiedź będzie negatywna, wybory zostaną maksymalnie przyspieszone tak, żeby Wałęsa był jeszcze dobrą lokomotywą wyborczą, a przeciwnicy w rozsypce. Obecny parlament zostanie w tym celu zmuszony do uchwalenia wreszcie ordynacji wyborczej i samorozwiązania. Jeśli zajdzie potrzeba, pod presją ulicy. Tak przyspieszając można się łatwo znaleźć nieopodal zamachu stanu.

Warszawa, 10 grudnia 1990

Krzysztof WOLICKI

Widziane z Brukseli

WYPĘDZANIE SZATANA

„Poświęcenie tego miejsca jest oddaniem placówki pod opiekę Bożą” — tymi słowami bp Władysław Niziołek, sufragan warszawski, rozpoczął uroczystość otwarcia XIV oddziału PKO BP. Na uroczystość przybyły osobistości naszego życia bankowego. Oddział XIV jest obecnie najbardziej nowoczesną placówką bankową w Polsce. Stąpa się po marmurach, na ścianach współczesne malarstwo polskie. Kasy i stanowiska obsługi są austriackie. Oprzyrządowanie elektroniczne — angielskie i amerykańsko-niemieckie. Czteropiętrową placówkę (wraz z piwnicą, w której znalazł pomieszczenie skarbiec) wyremontowano w półtora miesiąca. Czynsz stanowi tajemnicę urzędową. Gazeta Wyborcza, 18.XI.1990.

Dlaczego właśnie od tego epizodu (dziś to rutyna, nie przecież nie odbywa się w Polsce bez inauguracyjnego kropidla i kadzidla), rozpoczynam artykuł o wrażeniach z wyborów prezydenta RP? Z paru przyczyn.

Po pierwsze, wbrew pozorom, nie chodziło tu o rutynę, a o prawdziwą sesję egzorcyzmów, czyli obrzęd liturgiczny polegający na zaklinaniu szatana i wypędzaniu go z człowieka lub rzeczy. W tym przypadku chodzi o jedno i o drugie.

Wypędzono szatana z rzeczy, albowiem XIV oddział PKO

zainstalowany został w gmachu byłego KC PZPR w Warszawie, siedziby „trustu mózgow” (jeżeli można tak powiedzieć), który przez 45 lat pracował nad ruiną Polski.

Wypędzano go też z człowieka, albowiem gospodarzem imprezy i asystą biskupa był prezes PKO Bank Państwowy Marian Krzak, który według prasy krajowej, w tym samym gmachu był w przeszłości wielokrotnie, też na kolanach, ale w innym, mniej bogobojnym, charakterze. I bez święconej wody.

Po drugie, albowiem (gdyby analogia do ojca Ubu nie była tak już zdarta) jest to, wydaje mi się, najbardziej prawidłowy skrót trudności na jakie napotyka zachodni obserwator próbując analizować, a może nawet zrozumieć, skomplikowane układy wyborczej, ale nie tylko, sytuacji politycznej w Polsce końca roku 1990. Zasadniczym elementem działania politycznego były tam bowiem właśnie egzorcyzmy, szukanie i wypędzanie szatanów. A są to, jak wiadomo, z uwagi na ich wątpliwą skuteczność, sposoby mało i rzadko stosowane we współczesnych formacjach rozwiniętego kapitalizmu.

Mówiąc w największym skrócie, Polska ma już prezydenta, ale straciła dziewictwo. Państwo polskie ma już szefa, ale państwa zachodnie straciły złudzenia. Na tym można by artykuł zakończyć, ale — wzbogacony o doświadczenie i dziwną reakcję na mój krótki powyborczy występ w polskiej telewizji — postaram się to twierdzenie uzasadnić.

I. BEZ DRESZCZY

Normalka

Świat zachodni podchodził do wyborów w Polsce bez jakichś wyjątkowych dreszczy. Wybory, rzecz w demokracji normalna. Tutaj właściwie zawsze jest się przed, w czasie albo tuż po wyborach. Wybory prezydenta w Polsce mieściły się w tej normie. Choć — warto to powiedzieć — fachowcy od razu zauważyli, że coś jest nie po kolei i że logicznie biorąc, najpierw powinny się odbyć wybory parlamentarne, potem nowy sejm powinien uchwalić nową konstytucję, a potem dopiero dopasowywać do niej prezydenta, a nie odwrotnie, to detale, powiedziano, kwestia przeszkolenia w demokracji. Czekano, bez emocji, na nowego prezydenta.

Tym spokojniej, że wbrew temu co głosiły pewne koła w Warszawie, nikomu na Zachodzie nie zależało specjalnie na pozostaniu generała Jaruzelskiego w Belwederze do końca wieloletniej jeszcze kadencji.

Odwrotnie, dla interesujących się Polską obserwatorów, po-

zostawanie autora zamachu z 1981 roku i byłego szefa partii komunistycznej na fotelu prezydenckim w Polsce roku 1990, nie miało już po prostu sensu. Nikt tutaj nie kwestionował umiaru generała Jaruzelskiego w korzystaniu, w ostatniej fazie, ze swych prezydenckich prerogatyw, i nikt nie kwestionował tego, że jako jedyny komunistyczny szef państwa, Jaruzelski opuścił prezydencki pałac przez drzwi frontowe i z podniesioną głową, ale nikt też nie uważał aby był on niezbędnym elementem polskiej stabilizacji. Jego obecność w Belwederze w rok po obaleniu muru i półtora roku po objęciu premiershipu przez Mazowieckiego, uznawana była za zwyczajny, albo nadzwyczajny anachronizm. Patrząc zza brukselskich, NATOwskich czy EWGowskich biur i map, jego odejście usuwało anomalie, upraszczało stosunki międzynarodowe (patrz żenujący epizod z niedoszlą podróżą Jaruzelskiego do USA), miało więc najzupełniej normalny charakter.

Nie w porę

Z punktu widzenia Zachodu, wybory w Polsce wypadły w niedobrym momencie. Nie wiadomo zresztą, czy w ogóle istnieją dobre momenty dla wyborów w Polsce, ale powiedzmy, że ten był wyjątkowo niekorzystny. Świat miał akurat inne zmartwienia! Chmury nad Zatoką Perską — i nad naftą, los zakładników, zmierzch pani Thatcher, młodzież szkolna znowu na ulicach Francji, wojna handlowa między EWG a USA, akcja ratowania ZSSR od (rzekomej) klęski głodu i Gorbaczowa od realnej klęski politycznej, no i pierwsze wybory w zjednoczonych Niemczech — to wszystko zdawało się bardziej istotne dla układu stosunków w świecie niż, mówię to z całym szacunkiem, pojedynek (tak się wtedy wydawało) Wałęsa-Mazowiecki.

Gra cieni

W odczuciu zachodnim w Polsce (aż do sprawy Tymieńskiego, ale o tym potem) chodziło wyłącznie o starcie dwóch ludzi, a nie o starcie programów wyznaczających przyszłość dużego kraju w sercu Europy. Naturalnie, tutaj się zakładało, że jakieś programy istnieją, ale — po pierwsze — w ogóle one tutaj nie docierały (mniejsza o to z czyjej winy), a — po drugie — kiedy coś jednak dochodziło, to było to przytłoczone plebiscytowym charakterem kampanii, zakodowanym językiem (co to znaczy „wojna na górze”, „siekiera”, „czysty Polak” itp. brzmiało w tłumaczeniu jeszcze bardziej kompromitująco niż w orygi-

nale), inwektywami i atakami osobistymi schodzącymi nieraz do poziomu magla.

Obraz był tym bardziej niejasny, że obaj liczący się kandydaci — bo o innych, a zwłaszcza Tymińskim, niczego tutaj przez długi czas nie wiadano — wywodzili się z tego samego pnia ideologicznego, to znaczy Solidarności, i rewindykowali te same korzenie nie tylko chrześcijańskie, ale katolickie (to tutaj nie to samo).

Zresztą Kościół nie ułatwił prawidłowej oceny wagi sytuacji. Oficjalna, przed pierwszą turą, neutralność Kościoła, którego ogromna polityczna rola w Polsce jest przecież dobrze znana, odmowa wyboru przez episkopat między dwoma jego ukochanymi synami, sugerowały, że obaj odpowiadają kościelnej wizji szefa państwa, że obaj mają ten sam pogląd na zasadnicze sprawy stosunku i... rozdziału Kościoła od państwa (patrz sprawy aborcji czy religii w szkole) i przyczyniły się w znacznym stopniu do zatarcia różnic między nimi i spadku zachodniego zainteresowania osobą przyszłego prezydenta.

Zza tej mylnej i mylącej kurtyny wniosek wyląniał się prosty: walka jest bratobójcza, a nie polityczna, chodzi o pychę i władzę, a nie o wizję kształtu przyszłego demokratycznego państwa polskiego. To brzmi romantycznie ale w miejscowym rozumieniu oznacza to, że stawka starcia wyborczego nie był model państwa polskiego prawie demokratycznego choć także prawie konfesjonalnego, ale tylko rodzaj stosunków między prezydentem a 37 milionami Polaków. Nic się w Europie od tych wyborów nie zmieni, powiadali w Brukseli. Polacy będą mieli takiego prezydenta na jakiego zasłużyli. Tak będą traktowani, jak sobie wybiorą.

Bez alternatywy

Politycy zachodni mieli naturalnie swoje preferencje. Nie mówili o tym publicznie, bo nie wypada. Niektórzy stawiali na Wałęsę, bo imponował tutaj mitem elektryka zdobywającego świat i nagrodę Nobla. Większość chyba wolała Mazowieckiego, bo po półtorarocznym premierowaniu zdobył sobie tutaj opinię poważnego i wiarygodnego człowieka. Ale ci, którzy się Polską i Europą wschodnią interesowali, nie przejawiali (aż do groteski Tymińskiego) większego niepokoju. Uważano bowiem, że któkolwiek zostałby prezydentem, państwo polskie, jeżeli naprawdę chce wejść do Europy, nie ma właściwie wyboru. Patrząc z Brukseli, stolicy Europy, Polska nie ma alternatywy do drogi, którą kroczyła (znowu do nastania Tymińskiego) i którą, według tutejszych znawców, będzie musiała nadal iść któkolwiek zamieszka w Belwederze.

Dopóki twarzą w twarz stali Wałęsa i Mazowiecki widoczna tu była tendencja do lekceważenia wyborów w Polsce. Panoowało przekonanie, że po okresie wyborczych emocji, kiedy kurz opadnie, rozum weźmie górę. Mimo pasji a nawet akcentów wrogości, obie wysokie zwaśnione strony miałyby — zgodnie z tą analizą — wrócić do współpracy i nawet współrządzenia, coś na kształt francuskiej *cohabitation*. Pogłoski o propozycjach przyszłego prezydenta Wałęsy, bo w zwycięstwo Mazowieckiego mało kto tu wierzył, pod adresem Balcerowicza czy Geremka, miały potwierdzać tę hipotezę.

Zresztą, dodawali stratedzy, Polacy są świadomi swego położenia geopolitycznego. Między walącymi się murami Związku Sowieckiego (nie wiadomo przecież, w którą stronę będą padać gruzy), a zjednoczonymi Niemcami, które nawet gdyby nie chciały, to i tak będą zmuszone sięgać po hegemonię zwłaszcza w Europie środkowej, każdy rozumny Polak, w swoim własnym interesie, będzie się wystrzegał ekstrawagancji czy niepotrzebnego ryzyka, nie mówiąc już o prawdziwym niebezpieczeństwie destabilizacji.

Spółczesność polskie — powiadano tutaj — dało tyle dowodów dojrzałości, samo-ograniczenia się, dyscypliny, mądrości, gotowości do poświęceń, że zmiana układu na górze niczym właściwie nie grozi. Wybory, dodawali, to dobra szkoła demokracji. Przyda się w Polsce, gdzie tradycje demokratyczne nie są zbyt głębokie. O resztę nie trzeba się martwić.

Niesłusznie.

II. W DRESZCZACH

Albowiem potem zjawiał się Tymiński. I wtedy okazało się, że to co słusznie czy niesłusznie z perspektywy Zachodu, jawiło się jako mało czytelne, zaściankowe konwulsje, jako — jak to „ktoś” (tak się mówi w prasie polskiej, kiedy nie chce się powiedzieć „kto”) określił — anachroniczne i nieprzyjemne, ale właściwie niegroźne odruchy dojrzałego poza tym społeczeństwa, kroczącego zygzakami, ale zdecydowanie ku demokracji, że w istocie to zupełnie coś innego. To nie odruchy, a substancja. To zjawisko społecznie i politycznie groźne. Dla Polaków i dla Europy.

Tymiński odegrał — przepraszam za porównanie akurat w roku dwustulecia Mozarta — rolę Komandora (choć Don Juana zabrakło). Wkroczył na scenę i wszystko się zapadło. Poszły do piekielnego ognia polskie mity i legendy. W artykule na temat Tymińskiego w moim *Soir* nazwałem go „królem hucpy”, musiałem tłumaczyć co to znaczy: napisałem *imposteur* (może ktoś ma

lepszy pomysł). W istocie chodzi o coś więcej. Tymiński, taki Artur Ui, zajął na polskiej scenie politycznej miejsce, jakie dla niego specjalnie przygotowali panowie Wałęsa i Mazowiecki, oraz ich ekipy. Mniejsza o to, kto zaczął ten samobójczy *dance macabre*. Ważne, że nikt go na czas nie chciał albo nie mógł przerwać. I ważny jest wynik.

Wszystko w gruzach

Po kilku tygodniach „kampanii” Wałęsy i Mazowieckiego obraz był normalny, jak po bitwie. Nikt nie uszedł cało. Wszystko się w tej bratobójczej wojnie pomieszało. Tak powstał niekoherentny bełkot o niszczących intencjach planu Balcerowicza i nieumiejętności łapania much czy pcheł przez Mazowieckiego, o totalitaryzmie Wałęsy i cynicznej perwersji Kaczyńskich.

W przemiej, jakże swojskiej, atmosferze demagogii, antysemityzmu, ksenofobii i klerykalizmu, całość jest zwana nad Wisłą populizmem, raz jeszcze się okazało, że tam gdzie wałęs się prawdziwe autorytety, tam wychodzą na powierzchnię mierzoty, szumowiny. W 1956 roku Kołakowski uprzedzał, że kiedy tylko na powierzchnię wypływa antysemityzm czy ksenofobia w ogóle, to trzeba uważać, bo za rogiem czai się kanalia. No i ma ciągle rację...

Polska Wałęsy była w oczach świata symbolem zwycięstwa nad komunizmem: Polska Mazowieckiego — symbolem rozumnego i niegwałtownego przechodzenia z dyktatury do demokracji. Dwa polskie symbole zniszczyły się wzajemnie. Dla Gdańska Mazowiecki był nieudolnym fajtlapą; dla Warszawy Wałęsa był niedokształconym gburem. Z tego duetu zrodziła się nostalgia za „trzecim człowiekiem”. „Jest taki człowiek”, krzyknął wtedy Tymiński. I jedna czwarta Polaków mu uwierzyła.

Jaruzelski na odsiecz

Przedtem Polska miała *image* biednego, ale dzielnego kraju, torującego sobie za cenę ogromnych wyrzeczeń drogę — jak się mówi w Warszawie — do Europy. Teraz jest to scena groteski, Artura Ui i króla Ubu razem. Żeby zająć miejsce opróżnione przez Wałęsę i Mazowieckiego Tymiński nie musiał się wysilać. Tymiński to awanturnik, człowiek z buszu, skoczek z bambusa, powiedział przewodniczący. A przecież jedna czwarta dorosłych Polaków na niego głosowała.

Tymiński grał na nieufności do *establishment*’u, niechęci do sitwy. Siebie przedstawiał jako kandydata „niezależnego” taki sze-

ryf spadający na gniazdo zbrodni i zepsucia. Tym sposobem udało mu się zdyskredytować dwóch ludzi najbardziej — albo prawie — zasłużonych dla Polski. Kiedy Tymiński zarabiał dolary w Kanadzie, w Peru czy w Libii, Wałęsa i Mazowiecki najpierw siedzieli, a potem uciekali przed UB. Tymiński niczym nie zarobił na zaufanie Polaków, nawet — jak się okazało — trzymał się daleko od organizacji polonijnych. A jednak jedna czwarta Polaków za nim poszła.

Tymiński grzmiał na nową nomenklaturę, ale w swoim sztabie zatrudniał byłych oficerów bezpieki. Szeffem jego kampanii był dziennikarz z *Trybuny Ludu*. Tymiński wziął udział — widać to było na zdjęciu w *Gazecie* — w libacji z Gierkiem i Jaroszewiczem. Był jedynym z kandydatów na prezydenta, który wziął udział 7 listopada w przyjęciu w ambasadzie ZSSR. Niby nic, a jednak to nie jest właściwe towarzystwo dla kandydata na prezydenta RP.

Ale Tymiński poszedł dalej. Publicznie, na konferencji prasowej, przed kamerami telewizji, bronił generała Jaruzelskiego i stanu wojennego. To prawda, że prasa polska w ogóle prawie na to nie zwróciła uwagi, że Wolna Europa musiała nadać całość dialogu na temat duetu Tymiński-Jaruzelski, bo Polskie Radio w 45-minutowym montażu tego nie zmieściło, że ani jeden tytuł gazetowy nie zadenuncjował tego sojuszu na pozór przeciwnego naturze.

„Jedna pani z pewnego radia” miała nawet pretensję, że „ktoś”, jakiś dziennikarz, nalegał na Tymińskiego, aby ujawnił co myśli o puczu z grudnia 1981. Ale w końcu Tymiński wystękał, że „jest zdania, iż Jaruzelski był wielkim mężem stanu, bo dzięki niemu Polska została w polskich rękach” i wyraził pewność, że „naród polski jeszcze kiedyś zrozumie jakiego w Jaruzelskim miał wielkiego męża stanu”.

Tymiński odmówił odpowiedzi na pytanie, czy gdyby został prezydentem byłby gotów proklamować stan wojenny i choć jestem przekonany, że sam Jaruzelski nie kupiłby od Tymińskiego używanego samochodu, to jedna czwarta Polaków skłonna była w grudniu 1990 r. powierzyć swe losy człowiekowi, który sprzymierzył się z PZPR i z UB.

Prawdziwi Polacy z Peru i Gdańska

Tymiński jest rzekomo przykładem sukcesu w biznesie. Sam siebie dawał za przykład *selfmademan*’a. Ale jak to pogodzić z jego bardzo oklaskiwanym wołaniem na trwogę przed wyprzedają Polskę w obce ręce. To prawda, że Wałęsa mu przygotował teren. Absurdalny, obsesyjny, antysemityczny klimat w Polsce ułatwił Tymińskiemu ataki na obce zagrożenie. Wałęsa

— według Michnika — nie jest antysemitą. Ja mu wierzę — to nie jego format. Ale z tego nic nie wynika. Wałęsa nie przeciwstawił się antysemickiej fali tak jak powinien, skutecznie i niewzruszająco. Nie chciał, nie mógł, wołał nie antagonizować tłumu.

Poszedł dalej, opowiadał brednie o narodzie wybranym i biblii, chwalił się, że on to «czysty Polak», tak jakby nie wiedział jak to podziela na masę stłoczoną na stadionie czy placu. Zaproponowałem człowiekowi bliskiemu Wałęsie, żeby laureat Nobla nie tylko nie tolerował okrzyków pod adresem „żydków w rządzie”, ale żeby wrzasnął z wysokości trybuny, że nie chce aby antysemita na niego głosował. I tak przecież, tłumaczyłem, antysemita będą na niego głosować. Nie chciał, a szkoda.

Mazowiecki przeżywał tortury. Czytałem opis jak milczał kiedy na zebraniu w Płocku jakaś babina, broniąc premiera przed oskarżeniem o nieczyste pochodzenie opowiadała o superkatolickim pogrzebie jego ojca przed wojną. Reportaż *Gazety* był krótki ale przejmujący. Zabrakło tylko kilku słów komentarza. Premier nie powinien być milczeć, a właśnie powiedzieć, że on nie uznaje paragrafów norymberskich. Ja wiem, że nie uznaje, ale babina z Płocka i miliony Polaków mogli tego nie wiedzieć.

Jeszcze bardziej katastrofalna była gafa biskupa Orszulika, który w *Tygodniku Powszechnym* oznajmił, że osobiście badał czystość pochodzenia premiera Mazowieckiego: biskup płocki pokazał mu świadectwa chrztu sięgające XVI wieku. Jak mógł *Tygodnik Powszechny* coś takiego wydrukować? Dlaczego Premier nie napisał listu, że nikogo nie prosił o udowodnienie, iż nikt w jego rodzinie i to w okresie kilku wieków nie popełnił *Rassenschande*? Czy naprawdę tylko w gronostajach zsztych ze świadectw chrztu polski prezydent może zasiąść na belweder-skim tronie?

Mazowieckiemu to i tak nie pomogło. Dopiero na kilka dni przed drugą turą, kiedy padł strach, że trujący opad wciśnie się za głęboko, polski episkopat ogłosił list potępiający antysemityzm. Po sezonie! Było to akurat w dniu kiedy w Paryżu ukazały się w prasie pogłoski na temat panów Fabiusa i Badintera, kandydatów na nowego premiera Francji. Nikt nie wspominał o ich pochodzeniu i nie szukał świadectw chrztu. I słusznie, znalazłby bowiem raczej zdjęcia z bar-micwy...

Polacy byłiby w błędzie gdyby doszli do wniosku, że jest to nowy spis syjonistyczny przeciw Polsce. Tu nie chodzi tylko o antysemityzm ani o Polskę. Zachód dziś niczego się tak nie boi jak wybuchu ksenofobii i nacjonalistycznej zawieruchy w pokomunistycznej i bałkanizującej się Europie, od Odry po Ural. Inni Tymińscy mogą się przecież pojawić wszędzie. W Ru-

munii czy Bułgarii, gdzie też są trudności gospodarcze, też są słabe kiełki demokracji (*if any*), ale gdzie nie ma Wałęsy zdolnego zamknąć Tymińskim drogę ku władzy. W demagogii i ksenofobii peruwiański Dyzma albo (mnie to porównanie bardziej odpowiada) Edzio z mrożkowego „Tanga”, okazał się o wiele mocniejszy od konkurentów. No i to na takiej fali jedna czwarta dorosłych Polaków go poparła.

III. PO DRESZCZACH

W godzinę po potwierdzeniu wyniku o zwycięstwie Tymińskiego nad Mazowieckim wziąłem udział w tzw. panelu dziennikarskim przed telewizją warszawską. Karol Małcużyński Jr. zaczął ode mnie. Powiedziałem wtedy, że nie wiem czy — jak pisze polska prasa — Tymiński cierpi na schorzenia psychiczne. Jeżeli tak jest, to powinien się leczyć, ale to jest jego prywatna sprawa. Natomiast — i to już nie jest prywatna, a państwowa sprawa — dodałem mniej więcej, że seansowi egzorcyzmów albo raczej psychoanalizy powinna się poddać nie filia banku w KC, a spora część wyborców.

Fakt bowiem, że jedna czwarta dorosłych obywateli Polski gotowa była oddać swoje losy w ręce człowieka, który pod żadnym widocznym i dostępnym do sprawdzenia względem nie nadawał się na najwyższe stanowisko w państwie i nie był godzien zaufania społecznego, jest na pograniczu psychozy czy psychopatologii. I natychmiast wyraziłem wątpliwości czy znajdują się szybko właściwi lekarze zdolni do zaaplikowania właściwych środków. Lekarze ci bowiem — klasa czy elita polityczna, wszyscy *decision and opinion-makers* — okazali się nieprzewidyujący i nieskuteczni, żyjący w swoim zamkniętym, nierealnym świecie.

Polska się wtedy podzieliła. Powiedziano mi, że były setki telefonów nie zawsze uprzejmych i rzadko rzeczowych, do telewizji i do biura Wolnej Europy. *Kultura* zresztą także zapewne dostanie w tej sprawie doniesienia od prawdziwych Polaków (tak było kiedy napisałem w *Soir* o „przejęzyczeniach” kardynała Glempa na marginesie sprawy karmelu w Oświęcimiu).

Po transmisji telewizyjnej wiele spotkanych osób, znajomych lub nie, godziło się ze mną, lub nie. Formułowane na rozmaitym poziomie, to rzecz normalna, zarzuty — bo o nie przede wszystkim chodzi, szły w dwóch kierunkach:

Po pierwsze, że nie wolno obrażać społeczeństwa.

Po drugie, że na społeczeństwo nie wolno się obrażać.

Otóż, głosuję dwa razy nie.

Misja obrażenia

Po pierwsze więc, społeczeństwo nie tylko wolno, ale należy — w przenośni naturalnie — obrażać. Taka jest właśnie misja klasy politycznej, prasy, intelektualistów, pisarzy. W Polsce roku 1990 ani prasa, ani klasa polityczna, ani w ogóle nikt tej misji nie wypełnił. Rezultat jest znany. Wybory w Polsce przegrali wszyscy. Wałęsa bardziej od Mazowieckiego, najbardziej klasa polityczna, która pojęcia nie miała o tym co się dzieje i co myślą ludzie w kraju. Gdzie był ten słynny instynkt Wałęsy? Gdzie była prasa? Instynkt miał tylko Tymiąński.

Nie wiem jakie są jego plany na przyszłość. W tym samym, a może w innym — wszystko mi się pomieszało — programie telewizyjnym porównałem go do Poujade'a który, na podobnie demagogicznej zasadzie, zrobił przed laty krótką, ale błyskotliwą karierę polityczną we Francji. Nie wiem jak długo potrwa kariera Tymiąńskiego. Ale spadek po nim zatruwać będzie jeszcze długo życie polityczne w Polsce. Le Pen, duchowy spadkobierca Poujade'a we Francji, dostał ponad 10% głosów w ostatnich wyborach prezydenckich. Za kilka miesięcy odbędą się w Polsce wybory do Sejmu. Warto by chyba tym razem do zjawiska pod nazwą Tymiąński (z nim lub bez niego) podejść nieco poważniej. I na czas.

Po drugie, na społeczeństwo można i należy się obrażać. Co drugi mój przeciwnik cytował Brechta i jego wypowiedział sentencję o tym, że rząd komunistyczny obraził się na naród i wybrał sobie inny naród. Brecht był dobrym dramaturgiem, ale w tym wypadku cytowany jest niesłusznie.

Moje intencje były przeciwne. To nie rząd czyli elita — jak się to teraz mówi w Warszawie — polityczna wybrała sobie inny naród, to przecież naród czyli społeczeństwo wybrało sobie — albo prawie wybrało — inną elitę. Elitę, *pardon le mot* Tymiąńskiego, to znaczy mieszaninę PZPR, UB i polskiej odmiany poujadyzmu.

Dement i reszta

Szkoda, że ktoś nie obraził społeczeństwa niemieckiego kiedy w demokratycznych wyborach wybierało Hitlera. Szkoda, że nie obrażono społeczeństwa austriackiego, kiedy wyległo na ulicę Wiednia aby świętować *Anschluss*. Dobrze się stało, że obrażono społeczeństwo amerykańskie za jego stosunek do Murzynów. Dobrze, że Sołżenicyn obraził społeczeństwo rosyjskie za jego stosunek do komunistycznego kłamstwa. Dobrze, że

prasa francuska obrażała Francuzów, kiedy dotarły wieści o torturach w Algierze, dobrze, że obraziła społeczeństwo po profanacji cmentarza w Carpentras. Dobrze, że telewizja obraziła Niemców pokazując im serial o holocaustie. Szkoda, że mało kto obraził społeczeństwo polskie za hipokryzję, jaka się ujawniła przy okazji debaty i głosowania w senacie nad ustawą o aborcji, w kraju gdzie notuje się najwyższą chyba w Europie liczbę zabiegów przerywania ciąży. Radzę przeczytać pierwszy grudniowy numer tygodnika *Le Nouvel Observateur* z ogromną ankietą na temat francuskich kobiet 1990. Do tej Europy Polsce — tej z kampanii wyborczej końca 1990, na 10 lat przed wejściem w XXI wiek — jeszcze daleko.

Szkoda, że nie obrażono tej (jakiej) części społeczeństwa, która lansowała hasła antysemityczne w kraju bez Żydów, ale jeszcze bardziej szkoda, że nie „obrażono”, tak jak to kiedyś próbował *Tygodnik Powszechny*, na czas i skutecznie tych, którzy to tolerowali. Za naklejanie obelżywego słowa „Żyd” na plakacie Mazowieckiego odpowiada jakiś cymbał, ale za ich nie zrywanie cała reszta. Swastykę na *Umschlagplatzu* namalował jakiś nazistowski dureń, ale setki przechodniów przeszło obok bez żadnej reakcji. Wałęsa wzywał polityków, swych byłych przyjaciół i doradców, do ujawnienia ich pochodzenia. Jego słuchacze wołali już o spuszczenie spodni... I to się nazywało kampanią wyborczą. Tylko taki Tymiąński mógł na tym wygrać. I wygrał.

Prasa polska i polska elita polityczna i intelektualna, powinny naturalnie brać pod uwagę troski i trudności społeczeństwa, ale mam wrażenie, że za słabo i za rzadko, a także za późno, wytykają mu jego schorzenia. A w tym także i te i takie, które sprawiły, że jedna czwarta dorosłego społeczeństwa polskiego zdezwauowała Mazowieckiego, a zaufała Tymiąnskiemu, nadała rangę mandatu ludowego podejrzanemu hochsztaplerowi. Nie tylko Wałęsa grzeszył schlebaniem tłumowi, jeżeli nie tłuszczy. Prasa i intelektualiści także.

Natchnienie „Emmanuelle”

Niech nikt nie tłumaczy, i to także powiedziałem chyba w telewizji lub radiu, że głosowanie na Tymiąńskiego było przede wszystkim głosowaniem przeciw całej solidarnościowej klasie politycznej. Gdyby *tylko* tak miało być, wtedy po prostu wyborcy Tymiąńskiego nie poszliby głosować. Wtedy frekwencja w pierwszej turze (druga się właściwie w tym kontekście nie liczy) wyniosłaby nie 60 a 36%. Wtedy Wałęsa by dostał 36% nie z 60%, a 36% z 38, czyli wygrałby bardzo nikłym procen-

tem uprawnionych do głosu, wtedy głosowanie byłoby rzeczywiście nie za kimkolwiek, a *przeciw* całej Solidarności. Rachunek ten jest naturalnie tylko teoretyczny, w matematyce byłem zawsze słaby, ale wnioski są zbliżone do życia. Wnioski i nauzka udzielona zakłamaniu i arogancji.

Nie, powtarzam, to był głos nie *przeciw* innym, a był to głos *za* Tymińskim i za tym co on sobą przedstawia. Jedna czwarta obywateli RP chciała powiedzieć, że film «Emmanuelle» (na który Tymiński dawał bilet w zamian za podpis) w większym stopniu kieruje wyborem przyszłości kraju niż argumenty Wałęsy czy Mazowieckiego, że suma frustracji ćwierci społeczeństwa polskiego jest większa niż suma jego nadziei, niż głębia jego pamięci, skala jego godności, poczucia dumy i jego poczucie... śmieszności. W skrócie, 4 miliony zawiadzonych i zniecierpliwionych Polaków były gotowe do zaprzepaszczenia skromnego, ale jakże ważnego dorobku młodziutkiej polskiej demokracji, oddając swój los w ręce peruwiańskiego świętego Mikołaja.

Nie ktoś, a Stefan K., mój przyjaciel i ulubiony przeciwnik polityczny powiedział, z przekory naturalnie: „Niepotrzebnie się rzucasz, bo fuksy wychodzą wszędzie, pamiętasz przecież Cartera, Trumana czy Reagana?” Nie zgadzam się i robię to także w druku, bo gdzie indziej słyszałem podobne argumenty. Zanim kandydował na prezydenta, Carter był gubernatorem ogromnego stanu, Truman — senatorem przez kilkanaście lat, a Reagan — zawiadywał Kalifornią, piątym czy szóstym państwem (gdyby była państwem) na światowej skali produktu narodowego. Co to ma wspólnego z peruwiańskim cudotwórcą, adeptem *new-age* i telepatii?

Nie warto ciągnąć dalej. W demokratycznym społeczeństwie żyjącym w demokratycznym państwie pod demokratyczną władzą pod okiem demokratycznej prasy, całość stosunków między rządem a obywatelami polega na nieustannym „obrażaniu się”, na nieustannym referendum, na stałym konfrontowaniu obietnic z rzeczywistością. Społeczeństwo, zresztą i władza — nie leczone, nie „obrażane” ciągle i ostro, wiotczą, więdną, zamierają.

Spiz z papieru

Polska ma prezydenta, ale straciła kilka mitów. Upadł mit Wałęsy, który zamienił spiz pomnika na afisz wyborczy, rozwiął się mit symbolu zredukowanego do rangi wiecowego agitatora. Zmałał prestiż laureata Nobla, który przeniósł się sam do kategorii jednego z sześciu kandydatów na ważne, ale jednak urzędnicze stanowisko w maszynie państwowej, no a przede wszystkim

stopniała charyzma ludowego trybuna, który w drodze po najwyższe stanowisko w państwie musiał się bić i ścigać z niejakim Tymińskim.

To nie było dla prezydenta Wałęsy odpowiednie towarzystwo.

Do mety w tym wyścigu także nie dotarła już legenda Solidarności. Padła ofiarą polityki. Ale jedna czwarta dorosłych obywateli RP tak sobie właśnie zawinszowała. Czy ktoś jest jeszcze zdania, że zdrowe jest społeczeństwo, którego jedna czwarta część w ten właśnie sposób była gotowa popełnić samobójstwo?

Demokracja w Polsce została na razie uratowana. Ale za jaką cenę?! Wszystkie drogi — jak się okazało — prowadzą do Belwederu. Nie jestem pewny czy prowadzą także do Europy.

IV. CZEKAJĄC NA DRESZCZE

Karol Radek był inteligentnym i dowcipnym bolszewikiem. Sprzeciwiał się, i miał rację, jak to dziś z opóźnieniem potwierdza Gorbaczow, stalinowskiej koncepcji budowy socjalizmu w jednym kraju, bez czekania na rewolucję światową. Po kilku latach gułagu, tuż przed rozstrzelaniem, Radek wezwany został do Stalina, który ufny w wychowawcze skutki kajdan, spytał więźnia: „No jak, Radek, czy teraz już rozumiesz, że można zbudować socjalizm w jednym kraju?”

Radek na to: „Można, towarzyszu Stalin, ale kraju szkoda”.

Suwerenne społeczeństwo polskie mogło sobie pozwolić na sprzydenturę Tymińskiego. Ale byłoby szkoda społeczeństwa. I kraju. Tym razem nieleczone frustracje znalazły ujście w urnie wyborczej. Jeżeli polska medycyna polityczna nie przystąpi natychmiast do poważnej i podwójnej terapii, to znaczy do „obrażania” siebie i społeczeństwa, to stanie wobec ryzyka, że następne wybory odbędą się na ulicy.

Witold Pawłowski w orzeźwiającej artykule w *Polityce* przypomniał nie Stalina, a Marksa: „W życiu narodu i kobiety nie wybaczają się krótkich chwil słabości, kiedy może je osiąść byle awanturnik”.

To prawda. Dodać tylko trzeba, że sądząc z „wizji lokalnej” awantura z Tymińskim to dla kobiety byłby nieprzyjemny chyba, ale tylko epizod. Dla dużego kraju straty byłyby znacznie większe.

Epilog

Lotnisko Okęcie w Warszawie. Przylatuję 19 listopada 1990, wracam do Brukseli 29 listopada. Za każdym razem pokazuję mój belgijski paszport (ja nie Tymiński, mam tylko jeden). Za każdym razem oficer WOP'u każe mi grzecznie, ale stanowczo stanąć z boku, za drzwiami, pod takim lokalnym pręgierzem, po czym z moim paszportem i ważną wizą w rękę udaje się na konsultację do zwierzchnika. Stoję pod pręgierzem, nie wolno mi się ruszać, tylko gestem mogę dać do zrozumienia moim belgijskim kolegom, zmierzającym spokojnie do wyjścia, żeby w razie czego zawiadomili rodzinę. Po chwili oficer wraca, oddaje paszport i wpuszcza do Polski, albo wypuszcza (to ważniejsze) do Belgii.

Mam trzy uwagi końcowe:

Pierwsza to ta, że stwierdzam istotny postęp. Poprzednim razem zostałem zatrzymany tylko przy wjeździe, tym razem dwukrotnie, przy wjeździe i wyjeździe. Czujność widocznie zaostrzona. Oficerowie UB obecni są nie tylko w sztabie Tymińskiego.

Druga to ta, że MSW straciło autorytet, nikt się już nie boi Rakowieckiej. Jak się bowiem na Okęciu okazało, interwencja ministra spraw wewnętrznych nie poskutkowała. Po poprzednim (wiosną tego roku) zatrzymaniu mnie w charakterze podejrzanego na Okęciu, minister Kozłowski, w mojej zresztą obecności, polecił usunąć moje nazwisko z „czarnej listy” (nie wiem jak się to nazywa) WOP-u. Nie podziałało. Być może tu także, tak jak w KC PZPR, do wypędzania demonów potrzebny jest seans egzorcystyczny. Gdyby zabrakło biskupa, zwrócić się można, w moim przypadku, do rabina. A gdyby i to zawiodło, można poprosić Kaspirowskiego. To (pod nieobecność Tymińskiego) dziś najpotężniejszy człowiek w Polsce.

Trzecia to ta, że jak powiedział Gombrowicz, nikt nie lubi prawdy w lustrze. Ale jest to bardzo skuteczny środek terapeutyczny. Lepszy nawet niż egzorcyzmy, mimo że też chodzi o demony.

Pisane w Brukseli, 13 grudnia 1990

Leopold UNGER

Z ukosa

(POŚPIESZNIE SPISANE 10 DNI W POLSCE — CZYLI
KRAJ W KLESZCZACH 1 I 2 TURY WYBORÓW).

Miesiąc temu większość moich znajomych przysięgała, że spakują walizki, jeżeli Wałęsa zostanie prezydentem. Biedni. Nie wiedzieli, że dno naszego piekielka jest wiele niżej. Przybył z czwartego wymiaru Tymiński i pokazał. A przy okazji rzucił miękkie i ciepłe światło na oblicze Wałęsy. Teraz te same walizki są w pogotowiu, gdyby Tymiński. ...Dramatyczne listy zbiorowe intelektualistów, tych samych od walizek, ich wybitne nazwiska ustawiane w dumnych słupkach apelują do Narodu, by ratował sam siebie i głosował na Wałęsę.

Poszedłem na bankiet, jeden z tysięcy bankietów, jakie urządziła inteligentka Warszawa, zmarznięta i struchlała po klęsce. Tak zaskoczeni przez mrok i mróz rozpalają w lesie ognie, by ogrzać skostniałe dłonie. Ujrzałem rzeszę głów pochylonych w gorączkowych rozmowach. Nad powierzchnię wyskakują jak z kipieli bąbelki, a rozpryskując się wydalają z siebie dwa słowa: Tymiński, Wałęsa. Klęska Mazowieckiego zdaje się stać w kącie i lkać bezgłośnie. Przybywa nowy gość. Oczywiście wysoko zaawansowany w państwowych tajemnicach. Przecież w Urzędzie Ochrony Państwa już roi się od ludzi z towarzystwa. Mają wiele zalet, również tę, że nie są zbyt dyskretni. Już wiemy, że Służby nie śpią po nocach, bo myszczą szukając jakiegoś paskudztwa na Tymińskiego. Podobno nawet znaleźli, ale nie mogą ujawnić, dlaczego, to już prawdziwa tajemnica.

Obóz Mazowieckiego twierdzi, że to wypowiedzenie wojny na górze wypuściło wszystkie polskie demony. Obóz Wałęsy ogłasza, że Przewodniczący przewidział otwarcie puszkę Pandory i wyszedł złemu naprzeciw z mieczem w dłoni. A lud uważa, czy może raczej co bardziej światłe kawałki tego ludu, że to obie zwaśnione strony doprowadziły naród do ostateczności w postaci Tymińskiego. Oto głosy ludzi, tak zwanych ludzi prostych, zlane w jeden strumień, któremu spróbuję odnaleźć wspólny nurt:

Mamy dosyć arogancji władzy, którą poparliśmy. Oni nie chcieli, nie potrafili z nami rozmawiać. Dokonali na naszym brzuchu operacji bez znieczulenia, a nie raczyli jasno powiedzieć,

dłaczego tak trzeba i kiedy będzie najbardziej bolało. Rozmawiał z nimi tylko Kuroń, ale on miał jedynie grochówkę. Spodobala im się władza, ale my rozwaliliśmy starą nomenklaturę, to rozbijemy teraz nową. Wałęsa ma rację, że rzucił się rządowi do gardła, ale on to robi tylko dla swojego interesu. Gdyby było inaczej, nie mówiłby ciągle: ja, ja. Kiedy dojdzie do władzy, zamordzie wprowadzi. Nie możemy już słuchać o „Solidarności”, o stanie wojennym i że każdy porządny człowiek był kiedyś internowany. Gadające gęby posłów i senatorów doprowadzają nas do szewskiej pasji. Na Tymińskiego głosowaliśmy na złość, z gniewu i rozpacz, i bo nie było innego. Teraz nawet jeżeli będzie gorzej, to będzie inaczej.

Czy to jednak do końca tłumaczy, że 4 miliony dorosłych i zdrowych na umyśle ludzi postanowiło oddać swoją przyszłość w ręce człowieka, którego wnętrze głowy wydaje się być ofiarą poważnej katastrofy. (Niemał został wcielony w życie scenariusz filmu i powieść Kosińskiego „Wystarczy być”, rzecz o kretynie, który zostaje prezydentem USA).

Każdy ruch ma swoje jądro, szlachetny środek i daleki brzeg, gdzie wirują odpady. I oto dzisiaj, kiedy ruch przejął władzę, samo jądro nie potrafi zaspokoić potrzeb obsadzania stanowisk. Nieudacznicy zostali więc wessani na górę. Oto jestem u Wielkiego G. Gabinet ugina się od dostojnych mebli, wytartych przez zady partyjnego aparatu. Jest wzywana prawa ręka G., ważny dyrektor. Otwierają się obite pierzyną drzwi i oczom nie wierzę, wkracza uroczyście D., znany w opozycji nieudacznik. Zawsze niechlujny, ale teraz wszelkie zaniedbania pokryte są krawatem. Od razu widać, że wielki pan, może zostać nawet ministrem, czemu nie?

Miotła nowego jak wiadomo ma wielkie szczyrby. Nic dziwnego, że w innym gabinecie siedzi relikw przeszłości. Gdy wchodzę, nie unosi głowy zajęty składaniem swoich podpisów. Niechętnie odrywa się od tego szlachetnego zajęcia i podaje mi dłoń, jest chłodna jak wyjęta z wody butelka. Patrzy na mnie przez grube szkła okularów, jakby przez szybę akwarium oglądała mnie ryba. Okazuje się, że sprawa nie jest w jego gestii, to znaczy w jego, ale nie w jego. Lepiej byłoby udać się do kogoś innego. Zdenerwowałem się. Wtedy po barwie mego gniewu poznał, że ja z Nowych. Widzę pełną mobilizację organizmu, otwiera się jak stara szafa, gdzie wiszą zakurzone ubrania. Wychodzę, biegnie za mną ciągnąc za sobą stary korzeń, ten korzeń błaga — ja się jeszcze przyjmę w nowej glebie.

L. jest świeżo po studiach, a teraz wróciła z rocznego pobytu za granicą. Co ją uderzyło po powrocie do kraju? —

Nie zmieniło się prawie nic, a przede wszystkim nie zmieniło się, co tak różni nas od Zachodu, a co w pełni widać dopiero teraz. — Smutek i niekompetencja. — Nasz świat obrócił się przez ten rok o kilka stopni, ale wszyscy młodzi znajomi zostali w dawnych bezradnych pozach, a zarządziała osią tego ruchu są — smutek i niekompetencja.

Uniwersytet, do Audytorium Maximum przybywa Mazowiecki. Idzie korytarzem oklasków. Sala pełna delegatów z całego kraju. To właściwie pogrzeb, a przynajmniej wielka klęska ROAD, ale jest atmosfera radosnego triumfu. A przecież byłoby naturalne, gdyby premiera niesiono na noszach w grobowym milczeniu. Ta euforia jest wzruszająca, bo świadczy jak wielu ludzi go kocha, i że nie zawsze jest u nas jak w piosence: „Kiedy ułan z konia spadnie, koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go tratują”. Zresztą właściwie spadliśmy wszyscy i cała inteligencja jest w gipsie. Na taką przykrość czasami dobra jest wesoła kompania i wspólny śpiew. I tak właśnie bawiono się w Audytorium Maximum. Starsi i zaci zasedli na trybunie, szlachetna siwa głowa Turowicza, piękny profil Frasyniuka, nieco pochylone oblicze Tadeusza Mazowieckiego, którego szczupłe barki nie mogły udźwignąć tak wielkiego aplauzu. Kolejni mówcy składali hołd temu, co przegrał tak szlachetnie, że właściwie wygrał. Pewna niewiasta ogłosiła, że należy wszystko odłożyć na bok i zająć się edukacją społeczeństwa, bo ono jest po prostu głupie.

Kłaskano nieustannie, by dodać sobie animuszu, a czasami wstawano wachlując skrzydłami oklasków. Gdy podjęto decyzję o zawiązaniu „Unii Demokratycznej”, został odśpiewany hymn. Poczulem nagle, że nie mam ochoty wstawać, śpiewać ani niczego zawiązywać. A jako że wśród wstających i wivatujących roilo się od znajomych, poczułem się nagle przeraźliwie samotnie w tym tłumie, a może nawet w Polsce, kto wie? Premier zaapelował, by mimo wszystko głosować na Wałęsę, co spotkało się z chłodnym przyjęciem. Jakiś młodzian ogłosił, że na siekierę Wałęsy musimy przygotować siekierę jeszcze ostrzejszą. Ale był też głos kreślący wizję obozu koncentracyjnego, gdzie wszyscy obecni na sali znajdują się... jeżeli Tymiński. Ktoś wtedy oświadczył: „Nie mamy wyjścia, bo przy Wałęsie da się jakoś żyć, a przy Tymińskim nie”.

Miarę rzeczy przywrócił na chwilę poseł Rokita, zauważając, że na tej sali Polska się nie kończy i że tworzy się tu najwyraźniej partia arogancji.

Uderzyło mnie, że niektóre ważne osoby nieustannie wymykały się na korytarz, bo jak wiadomo najważniejsze decyzje nie lubią u nas tłumu i najlepiej się czują w korytarzach, gdzie lekko przeciągi zwiewają papierosowy dym i chłodzą gorące szept.

Wyszedłem czując gdzieś z boku, niepokojąco blisko prześać, która się nagle otworzyła pomiędzy elitą a resztą, czyli motłochem. Zagroził drogę memu zamyśleniu pogrzeb, który szeroką rzeką i biciem dzwonów wylewał się z kościoła św. Krzyża, sunęły czarne potoki siostr zakonnych i księży, niesiono sztandary i szli harcerze. Czyżby tu grzebano nasze inteligenckie złudzenia? — Kogo to niosą? — pytam milicjanta — „A kto tam wie, mówią, że jakiegoś biskupa”. Uspokojony wracam do swych myśli. Nie sądzę, by w Polsce było więcej głupoty niż gdziekolwiek indziej, mam nawet wrażenie, że w tej dziedzinie Bóg dzielił świat nadzwyczaj sprawiedliwie. Są tylko różne rodzaje mądrości i głupoty. Otóż nasze wyżyny intelektualne są wyjątkowo nadęte i skłonne do lekceważenia nizin. Z kolei głupota nasza odznacza się niezwykłą aktywnością, a organ dumy, który nosi przed sobą, jest w stanie nieustannej erekcji. Sztab Mazowieckiego uczynił wszystko, by Mazowiecki przegrał, jeszcze więcej zrobiła telewizja.

W ciągu jednego roku dramatycznie kręta stała się droga naszej elity. Od miłości do Wałęsy do nienawiści, i oto w ciągu kilku dni nienawiść poddana niezwykłemu ciśnieniu zmieniła się w heroizm zaakceptowania historycznej konieczności.

Przedwojenny dom z podwórkiem ogrodzonym murem, okupacyjna kapliczka z Matką Boską, która miała chronić przed diabłem, co hula na zewnątrz i pomyślałem, że teraz to może się znowu przydać. W tym domu mieszkał poeta Kamil Baczyński. W tym domu od jakiegoś czasu uparcie nie grzeją kaloryfery, a właściciele mniejszych mieszkań polują na większe, na wyższych piętrach. Moi znajomi, których tu odwiedzam, w żaden sposób nie mogą wyżyć ze swojej pensji. Przy bramie wejściowej wisi niechlujna gablota podobna do tych, w których wieszane są zdjęcia prezentujące ćwiczenia obrony cywilnej. „OBRONA CYWILNA CZUWA”. W blasku okrutnej jarzeniowej rurki wisi zdjęcie Baczyńskiego z napisem — tu w latach... mieszkał... wyszedł na powstanie...

Baczyński blady, ledwie widoczny na czarno białym zdjęciu, a po bokach dołożono dwa rumiane portrety Wałęsy podkreślone okrzykiem: „Wybór jest prosty, Wałęsa. Tak!” „Wybierz swego!” — To ten Baczyński dorobił się dwóch braciów — mówią poważnie pan Jasio, dozorca, i rusza na barykadę zimnych kaloryferów uzbrojony we francuski klucz.

Po raz pierwszy od czasu stanu wojennego niepewnie się czuję na ulicach mojego miasta. Właściwie już nie znam nikogo, kto by nie padł ofiarą jakiegoś przestępstwa. Sąsiad z dołu poszedł wczoraj po wódkę. Nowe wspaniałe czasy! Jest sklep al-

koholowy czynny całą noc, trochę smutno, bo wymrą rozsiane po okolicy alkoholowe babcie. W tym sklepie młodzian wyciągnął pistolet, bo ktoś się wepchnął przed niego. Jestem u znajomej, bardzo już starszej Pani, pokazuje mi ślady na przegubach. Miesiąc temu wtargnęło dwóch do mieszkania, związali, na łóżko rzucili, przeprosili za brutalność, ale muszą przecież z czegoś żyć. Potem krzyżeć zaczęli: — „Powiedz, gdzie masz złoto”. A jej się wydawało, że czas nagle się cofnął i znowu jest okupacja, kiedy też ją związali...

Spotykam znajomego, wygląda, jakby bolały go zęby. Tłumaczy skąd to cierpienie: „W klasie mojego syna przybito krzyż”. Proszę, by rozwinął tę kwestię. Okazuje się, że jego syn jest niewierzący, ale na szczęście ma do towarzystwa kilku antychrystów. Szkołą praktycznie rządzi obecnie siostra zakonna, osoba bardzo zasadnicza. I chociaż ustalono na zebraniu rodziców, że z powodu tych kilku antychrystów krzyża nie będzie, przybyło dwóch oprawców z młotkiem, drabiną, i na oczach dzieci krzyż przybili. Bywa w tej szkole również ksiądz, ale on się nie liczy i, jak głosi plotka, nawet po kryjomu uprawia sprzeciw wobec lekcji religii w szkole. Inna ulotka, tym razem ogólnomiejska, mówi o księdzu, co kazał nie przeciwko Żydom, a przeciw antysemityzmowi i miał nawet powiedzieć rzecz niesłychaną, co aż strach na głos powtarzać, że Matka Boska była Żydówką. Ten ksiądz na podobieństwo cudu miał się objawić na Muranowie.

Bezradność Kościoła. Nieprzepuszczalność wiernych na kościelne argumenty, jak szczelność kamiennej kropielnicy wobec święconej wody. Gromy Kościoła przeciw Tymińskiemu nie zostały dosłyszane i nie dostrzeżono błyskawic. A więc jeszcze jeden dowód, że mamy do czynienia z diabelską robotą.

Wałęsa, który wycofuje się ze swoich wypowiedzi, tych uznanych za antysemityczne. Przypomina kota przykrytego nagle kocem. Jakże jest nieporadny, kiedy kroczy tyłem. Problem wydaje się w tym, że przyszły prezydent nie wie, iż rasizm zaczyna się od momentu rozróżniania i że ten wysiłek, by wiedzieć — jest? nie jest? — stanowi bazę do uprzedzeń. Nie czując tego, doprawdy trudno wycofać się zręcznie. Postulat „ujawniania się” obnaży swoje perspektywy i bogactwa, jeżeli zapytać — do którego pokolenia?

Niezwykle ciekawa nowa kategoria powstała w Polsce — nieantysemita — a więc wolny od uprzedzeń, ale musi wiedzieć.

Kraży po mieście ulotka, której narodziny lokuje się w koś-

ciele na Solcu, gdzie wymieniono kilkunastu biskupów jako nosiciele żydowskiego wirusa. Nie ma na tej liście biskupa Orszulika, więc powinien być wiarygodny jego wywód, iż podejrzany o nazwisku Mazowiecki Tadeusz został sprawdzony do wieku 16-go i jest czysty.

Myślałem, że nasze polityczne bagno nie zostawi na mnie jednej suchej nitki metafizycznej. Dał mi taką szansę mój dom rodzinny. Oto idąc po schodach, po schodach, które osiwiwały, nie do wiary, ale one rzeczywiście osiwiwały, ujrzałem nagle, że uchylają się drzwi na pierwszym piętrze i staje w nich kobieta z butelką mleka w ręku, a ta butelka ma mokry smoczek najwyraźniej przed chwilą odjęty z ust niemowlęcia. Ta kobieta to przecież dziewczynka, z którą bawiłem się na podwórku, a teraz stoi z tą butelką, z brzuchem i twarzą bardziej zniszczoną niż pamiętana przeze mnie twarz jej matki.

Podłuchane rozmowy bab warszawskich.

— Ten Wałęsa to chłop jak rzepa, gruby, z rumieńcem, Tymiński przy nim nic, impotent.

— Jaki z niego impotent kiedy zmajstrował tyle dzieci.

— Pewnie mu ta Indianka gorące kompresy gdzie trzeba przykłada.

A co piszczy w trawie naszej prowincji, wiem od znajomej, proszę posłuchać, jak grają tam zimowe świerszcze. Znajoma z S. pisze, że w Filipowie i okolicy chłopci zwołują komitet obrony Tymińskiego, bo, jak mówią, „mogą człowieka wykończyć”. A poza tym...

„Więć gminna niesie, że koło Giżycka, że trzy kilometry będzie od szosy w bok, jasnovidz mieszka, który przepowiada, że będzie na najwyższym urzędzie w Polsce rycerz z wężem, który przejdzie jak huragan wzdłuż i wszerz kraju aż dojdzie do gór gdzie zmienieni w kamienie śpią rycerze, a one te rycerze obudzą się, a mocne takie są, że im ten Arab od tej nafty nie da rady. I posłuchanie będą mieć te rycerze ze swym hersztem tym z wężem aż przy rzece Loarze, a rzeka będzie płynąć cała krwią amerykańsko-żydowsko-germańską... itd...”

I pisze znajoma, że co rusz elektryzuje S. i okolice wiadomość o przegranych w karty częściach parafii. I że kilku ludzi z Komitetu Obywatelskiego poprzemnowało sklepy państwowe, pozakładali spółki. Ludzie mówią mafia. Ten kto dostanie lokal musi zamówić mszę świętą, pokropić lokal, zawiesić krzyż i może działać. A dziesiąty pułk Ułanów Krechowieckich urządza capstrzyk i patriotyczne obchody, opowiadając się za Moczulskim. Rośnie antysemityzm, bo oddaje się dawnym właścicielom, co im kiedyś zabrano, a okazało się, że większość kamienic przy

głównej ulicy jest własnością Żyda, który jest na tyle złośliwy, że żyje. I jakby było mało sensacji, otwarto w S. sklep porno. Baba wiejska, która łażąc po ulicach trafiła na ten sklep, mówiła:

— „Jakie dziwolągi w tym nowym sklepie kiele kościoła, jakieś majtki, co nawet dupy nie zakrywajom, toż w takich można się ciężkiej choroby nerek nabawić”.

O Tymińskim: — „Powiadają, że wariat, to może i dobrze, bo prezydent wariat to przynajmniej naród zrozumie, bo kto nie zwariował, to na pewno zwariuje”.

O wolności: — „Jaka to wolność, kiedy wszystko upada, a nas Zachód wykupi za marne grosze i będziemy Murzynami Europy”.

Tak pisze do mnie znajoma z S.

Walka wyborcza również na plakaty. Nasza wojna na plakaty ma w sobie element magiczno-pierwotny. W portretach atakuje się przede wszystkim oczy. Ulice przypominają pobożewisko pełne połamanych kości hasel i pokiereszowanych głów. Rozpaczliwy wyraz tych ulic patrzących pustymi oczodołami portretów do wczoraj uwielbianych przywódców.

Powszechny kac, który najbarwniej opisał mój przyjaciel, opisując przy okazji dwa poprzednie kace, które przy wszystkich swoich okropnościach zdawał się przy tym obecnym lekceważyć. — „Pierwszy; gdy obudziłem się w izbie wytrzeźwień przypięty skórzanym pasem w izbie gołej jak obdarta ze skóry jaszczurka, na której drzwiach widniał napis 'przypadki ciężkie'. Drugi: gdy obudziłem się rankiem w szczelnie zapiętym namiocie, w którym gotowało się powietrze i wychynałem na zewnątrz, kołatając jak bocian o podniebieniu sztywnym jak kołek językiem, by dopelznąć do jeziora, pić i rzygać, pić i rzygać... Tak oto teraz pełzną w kierunku 9 grudnia” — zakończył swoją opowieść mój przyjaciel.

Potem rozmawiamy o naszych lękach, opowiada, jak złudne i płytkie wydają mu się teraz dawne lęki; lęk przed rewizją, więzieniem, milicyjną pałką. Prawdziwy lęk jest teraz. I coraz większe poczucie samotności, które z nim dzieje. Mówi: „Tymiński obrzydliwy jak organ płciowy płaza, i na ten organ głosowało 4 miliony moich rodaków. Mazowiecki, którego szanuję, otoczony jest przez ludzi, którymi głęboko gardzę. Wałęsa, nasz marchołt coraz mniejszy i mniejszy. Chodzę ulicami wśród coraz bardziej obcych ludzi. A w tle roztrzaskane środowiska z których cieknie posoka...”

I tu mój przyjaciel błysnął łzą w oku. A ja mu odbłysnąłem swoją.

Debata telewizyjna Tymiński — Wałęsa. Została gorycz upokorzenia. Każdy, kto czuje się związany z Polską, otrzymał

tego wieczora policzek. Znam nawet takich, co gorzko płakali. Ja stary kpiarz nie znalazłem w sobie ani okruszka drwiny. Wałęsa okazał się przy Tymińskim orłem, ale orłem bez piór.

Hala Gwardii otoczona policyjnymi budami. Wilgotny mrok, ludzie przemykają się jak mieszkańcy wilgotnego czyścica. Wewnątrz mdle światło i uderzający brud tej sali, w której ściany wsiąkły tysiące walk bokserskich i wieloletni ryk kibiców. Na podium Tymiński gładki i bez wyrazu jak przed chwilą rozpakowany cukierek. Dwuosobowa grupa zwolenników Wałęsy zbita w twardą kupę skanduje hasła „KGB”, „Doswidania”, „Wasze czasy już minęły”.

„Nasze czasy jeszcze nie nadeszły” — mówi spokojnie Tymiński, a to nagle pobudza salę, która wybucha entuzjazmem. „Nasz kraj tonie — mówi Tymiński — do tego doprowadził pan Wałęsa, pan Mazowiecki. Czym bliższe nasze zwycięstwo, tym większy krzyk, bo to jest strach”.

Patrzę na zgromadzoną publiczność, wiele umalowanych kobiet w futrach, mężczyzn, którzy wyglądają na majstrów z fabryk, trochę urzędników... Zwolennicy Tymińskiego i jego przeciwnicy wyją do siebie, opluwają się, robią miny, nikt już nie zwraca uwagi na samego idola, który nie wydaje się wytrącony z równowagi i coś bajdurzy, kalecząc przy okazji niemiłosiernie polski język. Umiejętność gadania bredni opanował do perfekcji. Gdy tak majaczy, czuję niemal ból pod czołem, gdy próba wypłatania z tego sensu grzęźnie w kolejnych supłach. Ochrypli monotonny głos pijaczka z alkoholowego baru w Mławie. I myślę, że gdyby losowo wybrać z takiego baru jednego bywalca, umyć, przespać, ubrać, dla kurażu dać setkę, dla rumieńca w gębę i postawić przed narodem, zaprezentowałby poziom nie gorszy, bynajmniej.

Bohater wiecu dopuszcza do mikrofonu ludzi z sali. Wszyscy wydają się być pacjentami zbiegłymi z psychiatrycznego szpitala. „Jestem czystym Polakiem a nie jakimś mieszkańcem” — drze się zwolennik Moczulskiego, od wczoraj zwolennik Wałęsy. Głos zabiera narodowiec niejaki Rybicki. Dostarczył sali atrakcji opowiadając, jak to w czasach stalinowskich Geremek biegał z pistoletem i dowiedzieliśmy się, że Bujak był agentem, bo jakże inaczej, skoro przez tyle lat nie mogli go złapać. Poczuliśmy w tym momencie, że wszystkie granice zostały przekroczone, ale byłem w błędzie. Tłum zerwał się, żeby bić brawo.

Znowu bierze górę młodzież od Wałęsy, krzyczą: „Tu jest Polska” i krzyczą to wszystko, co w ostatnich latach na ulicach ciskano w tarcze ZOMO. Teraz te okrzyki... jakby ktoś rzucał perły prosto w pysk wieprza.

Na ratunek mężowi rusza żona, Peruwianka z czarnym wło-

sem i białozębnym uśmiechem. Wykonuje jakiś latynoski taniec i krzycząc po hiszpańsku wprowadza salę w stan euforii.

Potem, gdy Tymiński nie może poradzić sobie z salą, zarządza śpiewanie hymnu narodowego. Co się rozkrzyczą, jest hymn, i wszyscy pogodzeni śpiewają na baczność. Doprawdy nie pamiętam, by kiedyś było mi równie ciężko wstać, a ten śpiew zdawał mi się czymś w rodzaju przymusowego karmienia gęsi. Doświadczyłem oto gwału przy użyciu „Jeszcze Polska...”

Mieszam się z wychodzącym tłumem, a ten tłum wylewa się strumieniami na wilgotne i ciemne ulice i szemrze, z tego szmeru wyławiam jeden dźwięk, „Żydzi, Żydzi”, ale uszom nie wierzę, pewien, że się przesłyszałem. Część ludzi zbija się w małe grupki — co oni tam robią? Skradam się, podpatruję i nie do wiary... wyjmują swoje antysemityczne organy i wymieniają się pieścizotami. Słychać takie odgłosy: „Rozpanoszyli się Żydzi”; „Znowu będą ich kamienie”.

Miesiąc temu chodząc po ulicach Warszawy czułem zapach czarciej sierści, napisałem to i sam się przestraszyłem swego powonienia. A jednak nie myliłem się. Imię tego czarta jest faszizm. I nieważne jaki ma kolor, ile w nim pocziwej słowiańskiej domieszki... to właśnie jest to.

Dzwoni do mnie mama. Otwórz telewizor, jest powstanie. Zdenerwowałem się, bo była przejęta. Myślę... secesja Śląska, a może nowy bunt chłopski? Okazało się, że przerwano „Wiadomości” i do studia wkroczyło dwóch niemłodych, ale krzepkich powstańców warszawskich i ogłosili jutro na Zamku Warszawskim mobilizację przeciwko Tymińskiemu. To był początek ofensywy. Do boju ruszyła cała telewizja, już nie mazowiecka, jeszcze nie wałęsowska, ale telewizja wprzęgnięta w świętą sprawę ratowania Narodu przed kanadyjsko-peruwiańskim potworem. Pojechano za ocean, użyto pierwszej żony prezydenta, jego dziątek, ujawniono, że nie mówią po polsku, że musiały być chrzczone po kryjomu, sąsiadka ujawniła, że ma mniej pieniędzy niż to się ludziom marzyło. I przez chwilę miałem wrażenie, że oglądam w stanie wojennym program o opozycji montowany przez kapitana Marka Barańskiego. Ale Barański jest dzisiaj w sztabie Tymińskiego.

Zaraz po tym programie przygotowano kubel święconej wody, by odkazić teren po paskudztwie. I oto nadano program wyborczy Wałęsy. Uznano, że sprawa jest gardłowa i tak zwana racja stanu upoważnia, by sięgnąć do świętego narodowego arsenału. I popłynął anielski śpiew Joan Baez o „Solidarności”, a na falach tego śpiewu unosił się sierpniowy strajk, uliczne manifestacje atakowały zębę imperium zła, objawił się duch księdza Popiełuszki, błogosławił nasz Papież.

I nagle poczułem, że jestem jak przekluty balon, z którego ucieka, wypływa na zawsze, nasza, moja najdroższa mitologia.

Wałęsa im bliżej prezydenckiego fotela, tym bardziej przerażony. Zobaczył, że ten mebel, co tak szlachetnie wyglądał z daleka, teraz niespodziewanie przybrał postać narzędzia tortur. Takie urządzenie złamie kark każdego mitu, a co dopiero mitu tak wychudzonego. Dlatego zrobiło się nagle cicho, łagodnie i dosyć spolegliwie.

Miesiąc temu niemal wszyscy moi znajomi na górze szykowali się, by wracać z gabinetów do skromniejszych pokoi, jeżeli Wałęsa... teraz już na pewno Wałęsa, a nikt się nie pakuje. (Nikt jak nikt — pakują się w Gdańsku). Poświęcą się dla Ojczyzny, jeżeli okoliczności pozwolą. Co nie znaczy, że nie dręczą pytania. Jak będzie wyglądało wietrzenie Warszawy, gdzie podzieje się lok Niezabitowskiej, czy znikną brody w rządzie, czy nastanie moda na wasy? Ciemno wszędzie, głucho wszędzie... a w tych mrokach snują się plotki na temat składu nowego rządu, nadzieje i lęki zaplatają warkocze i słyszą szepty: „Kiedy to się w końcu skończy, kiedy się skończy to paskudztwo, ta obrzydliwość, ta kampania”.

Ktoś na ulicy: „Człowiek się czuje, jakby go głową zanurzyli w gównianym kanale i wyciągli”.

Byłe do niedzieli, do niedzieli. Nowe życie zacznie się od poniedziałku. A więc Polska zaczyna się od poniedziałku. Dobranoc.

SMECZ

W poszukiwaniu dróg wyjścia z kryzysu

Niepohamowane ambicje Wałęsy i pasywność Mazowieckiego doprowadziły do paradoksalnej sytuacji, w której przeprowadzono wybory na prezydenta przed wyborami do parlamentu i przed zmianami konstytucji, która m.in. ma określić kompetencje prezydenta. Kampania wyborcza oparła się na demagogii, jak np. obiecywanie przez Wałęsę po 100 mln złotych dla obywateli na zakładanie spółek itp. To właśnie sprowokowało feno-

men Tymińskiego, który w demagogii poszedł jeszcze dalej, zyskując niespodziewanie ogromną popularność. Zadział tu mit Polaka, który zrobił fortunę na Zachodzie i który wszystkim obiecał łatwe pieniądze bez wielkiego wysiłku. Cała ta demagogia udała się tym bardziej, że rząd Mazowieckiego od samego początku utracił kontakt ze społeczeństwem i nie potrafił mu wytłumaczyć, po co potrzebne są tak ciężkie wyrzeczenia społeczeństwa i co one mogą dać. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby społeczeństwo było przekonane o konieczności tych ofiar, to licytacja demagogów byłaby znakomicie zredukowana. Obecnie powstaje sytuacja tego rodzaju, że Wałęsa prawdopodobnie zostanie wybrany prezydentem niewielką większością głosów i — przynajmniej do wyboru parlamentu — będzie mógł prowadzić politykę zupełnie niekontrolowaną. Ta sytuacja nie tylko ośmieszyła Polskę na świecie, ale spowodowała zawieszenie wszelkiej pomocy, jakichkolwiek umów czy pertraktacji.

Co robić w tej sytuacji?

Używając gromkich określeń — należałoby utworzyć rząd ocalenia narodowego, najlepiej z Mazowieckim jako premierem. Sprawa personalii tego rządu jest mniej ważna, poza tym, że należałoby utrzymać min. Balcerowicza — przy złagodzeniu jego polityki duszenia życia gospodarczego dla względnej stabilizacji złotego i inflacji, oraz min. Skubiszewskiego — nie dlatego, że był dobrym ministrem, bo nim nie był, ale po prostu zdobył duże doświadczenie i ma dobrą opinię na świecie. Rząd miałby prawo wydawania dekretów, które winny być zatwierdzane przez nowoobрани parlament. Dekrety prezydenta musiałyby być parafowane przez rząd.

Nie ulega wątpliwości, że członkowie rządu powinni być odpowiednio uposażeni i nie mieć kłopotów materialnych. Jednak nie powinno się to pokrywać z utrzymaniem, a nawet rozbudowaniem przywilejów z poprzedniej nomenklatury. Na tle ogólnej nędzy i nastrojów w kraju, nieuregulowanie tej sprawy może mieć bardzo niedobre konsekwencje. Należałoby również ograniczyć masowe rozjazdy członków rządu, Senatu i Sejmu po całym świecie, pod różnymi pretekstami. Wprowadzają oni przede wszystkim zamieszanie. Od takich spraw jest wyłącznie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i polskie placówki dyplomatyczne. Ponadto utrwalił się niedobry zwyczaj jeżdżenia, głównie do Stanów Zjednoczonych, różnych działaczy czy przedstawicieli rozmaitych instytucji celem wyciągania pieniędzy. Nie można dopuścić do tego, aby każdy robił to na własną rękę. Przy

okazji należałoby poddać rewizji dotacje Senatu amerykańskiego przyznawane Wałęsie, które nie podlegają żadnej kontroli i praktycznie biorąc są jego funduszem dyspozycyjnym. NSZZ „Solidarność” także otrzymuje bardzo poważne dotacje amerykańskie w wysokości ok. 400 tys. dolarów rocznie. Przy kompletnym rozbięciu „Solidarności” ta dotacja jest również w dyspozycji Wałęsy.

Po zakończeniu kampanii wyborczej powinny być ustalone jej koszty i zbadane metody ich finansowania.

Sprawy najważniejsze:

Jedną z najpilniejszych spraw, która stoi przed rządem i musi zostać natychmiast załatwiona, jest usprawnienie informowania społeczeństwa, co wymaga kompletnej reorganizacji zabagnionej sytuacji w radiu i telewizji. Jedynym człowiekiem, który mógłby to przeprowadzić jest Jan Nowak, mający nie tylko doświadczenie, ale i bardzo twardą rękę i który na pewno nie będzie paraliżowany strachem przed oskarżeniem o polowanie na czarownice. Należałoby zrobić wszystko, aby Jan Nowak zdobył się na poświęcenie i objął to stanowisko na okres roku, czy dwóch. Miejmy nadzieję, że nowy rząd zrobi absolutnie wszystko, żeby Nowaka nakłonić do podjęcia tak ciężkiego obowiązku i że patriotyzm Nowaka skłoni go do tego poświęcenia.

Jeśli idzie o gospodarkę, to należałoby utworzyć komisję międzyministerialną, która w możliwie szybkim, określonym terminie opracuje odpowiednią ustawę podatkową, która umożliwi rozwój gospodarczy kraju. W tej dziedzinie dzieją się rzeczy po prostu obłędne, jak np. obciążenie 40% podatkiem eksportu, kiedy na całym świecie przedsiębiorca za eksport dostaje premię.

Jednocześnie należy jak najszybciej rozpocząć na serio walkę z nadużyciami, a to wymaga reorganizacji Najwyższej Izby Kontroli i rozszerzenia jej kompetencji — wydaje mi się, że najlepszym kandydatem do prowadzenia tej walki byłby niewątpliwie Zbigniew Romaszewski. Należy dodać, że działalność NIK-u musi być zharmonizowana z sądownictwem, by zapewnić szybkie i bezwzględne tępienie nadużyć. Niestety jest to choroba sięgająca tak głęboko, że nie należy wykluczyć wprowadzenia na określony okres czasu sądów doraźnych. Przy okazji — sprawą równie pilną jest zlikwidowanie kompromitujących bazarów, które przy tym uniemożliwiają jakąkolwiek współpracę z sąsiedami. Jest rzeczą niepoważną domaganie się zniesienia wiz z powoływaniem się na prawa człowieka bez opanowania tego

zjawiska. Dotychczasowa służba celna funkcjonuje źle i jest niewystarczająca. Należałoby tutaj uciec się do pomocy wojska.

Rzeczą niezmiernie ważną jest przywrócenie społeczeństwu poczucia praworządności. Dopóki prezydentem był Jaruzelski, trudno było stawiać przed sądem ludzi odpowiedzialnych za szczególnie rażące i ciężkie nadużycia w przeszłości. Należy to zrobić teraz i to nie, jak mogliby sądzić niektórzy, dla zaspokojenia „potrzeby zemsty”, dla „odwetu”, ale w ramach nieodzownego w zdrowej demokracji wychowania obywatelskiego.

Jest rzeczą absolutnie nieodzowną stopniowe pozbywanie się starej nomenklatury. Widać jak głęboko ten kolec tkwi za skórą Polaków. Nonsensem jest argument, że nie można na ich miejsce znaleźć i szybko przeszkolić kilkudziesięciu tysięcy inteligentnych ludzi w blisko 40-milionowym narodzie. Nie ma też tutaj nic do rzeczy „etyka chrześcijańska”, którą szermują niektórzy w obronie biednych, godnych miłosierdzia „nomenklaturówców”. Polak wchodzący do urzędu w RP musi wyraźnie odczuwać, że ma do czynienia z *innymi* ludźmi, którzy w sposób uczciwy załatwią jego sprawę. Demokracja zależy od takich właśnie, na pozór drobnych, przemian.

Polityka zagraniczna

Przede wszystkim należy do niej unormowanie stosunków polsko-sowieckich. Jest to zagadnienie ogromne, które wymaga stworzenia specjalnego ministerstwa zajmującego się tymi sprawami oraz kompetentnej obsady placówek dyplomatycznych i handlowych na terenie ZSSR. To zagadnienie jest do tej chwili nieruszone. Niezależnie od planów na dłuższą metę, są sprawy wymagające najszybszego załatwienia: np. wyjazd garnizonów sowieckich z terenu Polski i związane z tym odszkodowania za koszty ich pobytu. W najbliższym czasie zaczną się transporty wojsk sowieckich z Niemiec, które będą wracały przez Polskę. Jest to problem niezmiernie zapalny w związku z coraz liczniejszymi dezercjami żołnierzy sowieckich, które mogą mieć miejsce i na terenie Polski. Najrozsądniejszym wyjściem dla Polski byłoby wykorzystanie promów, które od pewnego czasu funkcjonują między Niemcami i Związkiem Sowieckim. Promy te, przystosowane do masowych ładunków, mogłyby nie tylko tę ewakuację przyspieszyć, ale także wyłączyć z niej Polskę.

Jesteśmy świadkami brutalnego nieliczenia się mocarstw z małymi narodami. Poświęcono Liban dla koniunkturalnej współ-

pracy z Syrią. Kraje bałtyckie zostały potraktowane w sposób wręcz haniebny przez prezydenta Mitterranda. W tej chwili istnieje niebezpieczeństwo, że w związku z nieustannymi zabiegami Zachodu u Gorbaczowa mogą być zagrożone republiki bałtyckie. Otóż rolę historyczną Polski może być obrona małych narodów. Należałoby to zacząć od najszybszego uznania niepodległości krajów bałtyckich i nawiązania z nimi stosunków dyplomatycznych. Jest to gest, który będzie się liczył. Nie należy, jak do tej pory, umierać ze strachu przed reakcją Gorbaczowa, który w obecnej sytuacji nie będzie mógł niczego zrobić, a tym bardziej nie podejmie działalności, która mogłaby mu zaszkodzić w opinii światowej.

Przejawy szowinizmu w stosunku do *wszystkich* mniejszości narodowych powinny być surowo karane. Nie wystarczy tu zwalczanie go jedynie w prasie i w środkach przekazu.

Kultura

Nie należy zapominać, że sprawa kultury polskiej jest rzeczą wielkiej wagi, a w tej chwili znajduje się w kompletnym upadku. Zarówno w zakresie koncepcyjnym, jak finansowym i organizacyjnym. Wymaga to bardziej kompetentnego i przebojowego kierownictwa Ministerstwa Kultury. Zresztą dotyczy to również problemu nauki. Kultura polska odegrała na tyle poważną rolę w okresie ostatnich dziesięciu lat walki, że zasługuje na to, by jej pomóc w obecnym okresie trudnego wychodzenia z kryzysu. Niewątpliwie jest rzeczą słuszną oparcie wydawnictw na zasadach prywatnych przedsiębiorstw, ale trzeba wydawnictwom pomóc teraz, aby przebrnęły przez najbliższe dwa-trzy lata i stanęły na nogach. Tę pomoc może dać tylko państwo w ramach koniecznego i krótkotrwałego mecenatu. To samo zresztą odnosi się do teatru, filmu, sztuk plastycznych etc.

Wolno sobie życzyć szybkiego unieważnienia ustawy aborcyjnej. Jak mawiali wszyscy dostojnicy kościelni w Rzymie (zmieniwszy potem, nie wiadomo dlaczego, zdanie) — jest to sprawa konfesjonatu a nie trybunału.

Wprowadzenie lekcji religii w szkołach nie jest, jak ktoś gromko zapewniał, „skandalem”. Jest po prostu błędem Kościoła, który przyczyni się w przyszłości do spłytenia uczuć religijnych, a nie do ich pogłębienia.

Byłoby rzeczą wskazaną stworzenie z kilku doświadczonych emigracyjnych prominentów Rady przy premierze, która zbierałaby się raz na jakiś czas z udziałem premiera lub jego przedstawiciela w randze ministra. Taką Radę utworzył prezydent Havel i stała się ona jego pożytecznym organem doradczym.

Jerzy GIEDROYC

Powyższy tekst napisałem po pierwszej turze wyborów na prezydenta licząc, że moje postulaty będą znane wyborcom przed drugą turą. Okazało się jednak, że niewiele się zmieniło od ostatniego okresu. Istnieje nadal cenzura i autocenzura. Radio Wolna Europa odmówiło nadania mego tekstu, odmówiły także druku — pod różnymi pretekstami — redakcja Życia Warszawy i Rzeczypospolitej. Ostatecznie tekst mój ukaże się dopiero w numerach świątecznych Tygodnika Małopolska (Solidarność) w Krakowie i Tygodnika Gdańskiego.

J.G.

Polnische Buchhandlung

KSIEGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

wskim łatwo dostrzec Polskę inną od tej właśnie: dwustulecnej. Łatwo wówczas dowiedzieć się, że Bielsk Podlaski pragnąłby być stolicą polskiej Białorusi, Puńsk centrum polskiej Litwy, Gdańsk — polskich Kaszub, Przemyśl — centrum życia polskich Ukraińców. Że tak naprawdę miejscowości godnych miana stolicy jest w Polsce dużo więcej. To w końcu Smółdzino wraz z przyległymi Klukami pełniło taką stołeczną rolę dla społeczności słowińskiej (kto w ogóle w Polsce wie o ich istnieniu?).

Należałoby się wreszcie otworzyć na inne kultury, inne narodowości, na wyznania różne do własnego. No i oderwać od gubiącej Polskę od stuleci osi Kraków — Warszawa. Stefan Bratkowski pospołu z Andrzejem Twerdochlibem wykreowali świat biznesów, koligacji, patriotyzmów wielkopolskich. Spoza tej osi. To jednak wciąż za mało.

Że to nie wszystko, zobaczyliśmy niedawno. Gdy nagle, kilkadziesiąt lat po wojnie, wybory senatorskie na Opolszczyźnie, ich rezultat, a zwłaszcza przebieg, były jak grom z jasnego nieba. Świadczyły, że coś istotnego przespaliśmy, czegoś nie doceniliśmy, coś nam się wymknęło spod kontroli. Że jest inaczej, niż pospołu myśleliśmy.

Już nam się wydawało, żeśmy tacy jednacy chłopcy krakowiacy, chłopcy-warszawiacy, tu zaś miało się okazać, że wcale nie, że figa z makiem. Czy to bowiem nie Jałta i Stalin w duecie byli gwarantami polskiej jedności? I teraz oto wszystko nam się rozsypało. Rozpadły się klocki z misternie szykowanej narodowościowej konstrukcji. Nie tylko tam, na Opolszczyźnie.

W sumie zgoda na ową mozaikę, rozumianą właśnie jako zestaw kolorowych, folklorystycznych motywów, była w PRL zawsze. Zgoda na Łowicz i bazie wielkanocne, na góralskie śpiewy przy ognisku, na Śląsk i Mazowsze, na Cepelię. Już na kurpiowskiego szlachetkę spod Myszynca w dużo mniejszym stopniu.

Ze Śląskiem nie inaczej. Mógł fedrować ponad normę, mógł też w pióropuszu wypinać pierś po jeden z wielu PRL-owskich modeli, mógł wykrzykiwać gromadnie: „Gierek, partia”. W imię jedności.

Na jedno — na Cepelię — zgoda była zupełna i rozgrzeszenie kompletne, na inne zaś rzucano szczerłą zasłonę, grożono anatamą. Polska mogła się różnić, lecz nie nazbyt. Przy tym było to zróżnicowanie niejako koncesjonowane, za przyzwoleniem władz zwierzchnich, dozujących ową *couleur locale*, dopuszczających ją na łamy gazet, do muzeów, do telewizji. Z książkami inaczej. Na te o mniejszościowej tematyce były już bariery liczne, stawiane przez cenzorów kaszubskości, mazurskości, śląskości, nie mówiąc już o ukraińskości, czy białorusińskości.

Na Kaszubach zlikwidowano dwutygodnik *Kaszebë*, w Olsz-

Kraj

Polska wielu ojczyzn

Jest jedna — ta wielka — dla wszystkich w niej mieszkających. Jest nią także dla emigracji. Rzecz jednak w tym, iż jedną będąc, Polska nie jest, bo nie powinna być, żadnym monolitem.

Kaszubi znają piękne określenie: *tatczëzna*, ziemia ojców. Mają też na podorędziu inne słowo: *otczëzna*. Znaczy zaś ono w ich ustach tyle samo, co dla nas ojczyzna. Słowa znaczą, znaczą niemało, mają, prócz jawnego, także sens ukryty.

Czas po ostatniej wojnie nie sprzyjał uznaniu istnienia wielu enklaw ludnościowych w naszym kraju. Pomniki trwania mniejszości narodowych niszczały, nieraz wręcz grabione gwoli zapomnienia o wszystkim, co było uprzednio. Znikały napisy pisane gotykiem po kościołach mazurskich i dolnośląskich. Wydrapywał je starannie historyk i urzędnik-policjant, często w jednej osobie. Kościoły wielu wyznań skazywano na rujnację, zamieniano np. na spichlerze zbożowe. Rzadko znajdował w nich przytulisko dom kultury, częściej już remiza strażacka. W podlubelskiej Łęcznej natrafiłem, owszem, na synagogę, w której urządzono muzeum, lecz nie kultury żydowskiej a lubelskiego zagłębia węglowego. Zapewne ta sama ręka zamieniła przepiękny zamek leszczyński w Baranowie Sandomierskim na muzeum „Siarkopolu”.

I tak się to rozmijało, tak nam się układała nasza najnowszą historią, w której ksenofobia mieszała się z obawami o uchybienie narodowej jedności.

Kisiel suponował na łamach *Tygodnika Solidarność*, iż to Stalinowi Polska powojenna zawdzięcza jedność i jednolitość wyznaniową, narodowościową, a nawet geograficzną. Twierdził nadto, iż Stalin chciał dla Polski jak najgorzej, ale mu się nie udało i chcąc nie chcąc stało się to, co się stało, mamy to, co mamy, czyli Polskę spójną pod każdym z poważnych względów.

A tak naprawdę to wojażując na szlaku krakowsko-warsza-

tynie do piachu poszło Stowarzyszenie Mazurskie, porą stanu wojennego internowano Kazimierza Kutza, filmowego piewce śląskich powstań.

Wcześniej, po drodze łamano charaktery oraz sumienia innych twórców mazurskich, kaszubskich i śląskich, skazując ich na izolację nawet we własnej krainie, na odosobnienie wśród swoich. Bo sprawiedliwych w kaszubskiej, mazurskiej, śląskiej Sodomie nie braknie. Więźniowie sumienia lat 40-tych, 50-tych, 60-tych. To wcale nie był wynalazek dopiero lat 80-tych, owo od początku świadome i konsekwentne pozostawanie na uboczu, nieomal pustelnicze, straceńcze. Nierzadko dawaliśmy się wciągać w rozmaite kampanie nienawiści wobec nich. Milcząc, przystawaliśmy na takie ich traktowanie, gdy akurat byli nam wszystkim najbardziej potrzebni. Najcięższe to ofiary naszych czasów, tak z wierzchu pokojowych.

Polska mogła więc być różnorodna wewnątrz, ale tylko do pewnego stopnia. Na zewnątrz winna była być jednolita jak granit, spoista jak beton.

Jak z tą jednolitością było? Ksiądz Franciszek Gruzca, Kaszub rodem ze wsi Gowidlino, przez lata proboszcz jednej z sopockich parafii, już przed wojną tworzący po kaszubsku, za to też więzień Stutthofu, po wojnie wskrzesiciel kultu Matki Boskiej Sianowskiej (co osobiście wychodzi u Papieża Pawła VI), tłumacz mszy św. oraz Biblii na język kaszubski, dziesiątkami lat będzie przechowywał w swojej sopockiej plebanii „stanicę” kaszubską, flagę kaszubską z czarnym gryfem na złotym tle. Przed wojną odprowadzała do grobu Aleksandra Majkowskiego, największego z kaszubskich twórców, po wojnie innych: Aleksandra Arendta, Feliksa Marszałkowskiego, Lecha Bądkowskiego. U niego, przypomnijmy, „stanica” kaszubska zajmowała pół trumny, drugie pół wyścielała bowiem flaga „Solidarności”. Taką ją zobaczył, przemawiając nad grobem swego towarzysza ze stocznioowego strajku roku 1980, Lech Wałęsa.

Jak z tą spoistością, skoro teraz, w jednej ze wsi opolskich — w tej samej, w której przed wojną 90% obywateli optowało za Polską — taki sam procent mieszkańców głosi w senatorских wyborach za kandydatem mniejszości niemieckiej, przeciwko kandydatowi „Solidarności”?

Przestrzeń czasowo-historyczna oddzielająca owe dwa wybory w opolskiej wsi Dobrzeń stanowi o ogromie strat oraz przewartościowań. Miały one miejsce na tej ziemi z racji naszego kunktatorstwa, zaniedbania, niedoceny, z racji wielu krzywd dziejowych doznanych przez ludność autochtoniczną ze strony ludności allochtonicznej, ze strony administracji państwowej, milicji, szkoły, nierzadko, wolno mniemać, także i Kościoła.

Ogrom jest krzywd, jakie popełniliśmy wobec siebie samych,

równoprawnych obywateli tego kraju nad Wisłą, Sanem (Łemkowie), Łabą (Słowińcy), Łyną oraz Krutynią (Mazurzy), Wieżycą (Kaszubi), Motławą (Gdańszczanie), Brynicą (Ślązacy).

Odwrociliśmy się plecami od krakowskiego Kazimierza, setek szczątkowych kirkutów, czekając aż fundacja Nissenbaumów za nas cokolwiek wykona. Zapuściliśmy ponemieckie cmentarze powodowani szokiem dwóch światowych wojen. Za „niemieckie” uznaliśmy też słowińskie i mazurskie cmentarze, bo były ewangeliczne. Zabytki architektury cerkiewnej traktowaliśmy jako rezerwuar ikon do wykradzenia. Rodowitych Mazurów, Słowińców wysiedliliśmy potem pod płaszczykiem ich „niemieckości”, aby się wprowadzić do ich chałup, po czym w nich tworzyć: pisać, malować, układać wiersze. Dla niepoznaki chyba zezwalaliśmy polskim Litwinom na wydawanie ich pisma *Ausra*.

Już jednak arcydzieła śląskiej rubasznej literatury wydawano najpierw nad Łabą, po czym my sobie te teksty, uprzednio je przetłumaczywszy na śląską gwara, wydawaliśmy w Wydawnictwie Śląskim. I tak przecież bywało...

Tak się to więc ciągnęło latami całymi. Ślązacy czuli się coraz bardziej osobni, z upływem lat wykazywali swe dojmujące osowienie, co wobec braku zaufania do nich i niezrozumienia ich kultury i cywilizacji było jak najbardziej zrozumiałe. Tymczasem suną sobie w najlepsze pociągi z południowego wschodu na północny zachód w imię odwiedzania swych starych stron rodzinnych przez tych spod Pyrzyc i Łobza oraz Przemysła i Krosna. Akcja „W” („Wisła”) rozdzieliła ich od siebie. Przymusowa, nakazana dekretem. Wędrówka ludów się nie skończyła, trwa w najlepsze.

Mazurów sekowali ci spod Mławy, wyzuwając ich z gospodarstw, z ziemi praocjów. Kaszubów próbowali zdominować ci spod Wilna, ale im się to nie w pełni udało. Wielu Wilniuków rychło przeszło zresztą na wiarę oraz myślenie kaszubskie. Na Ślązaków antidotum mieli być ci ze Lwowa i też wielu z nich, w nowym otoczeniu, poczuło się wcale różnie. Podzielono tę umęczoną wojną Polskę na siedemnaście, później na czterdzieści dziewięć województw. Poszatkowano je rastrem, cyrklem i ołówkiem, siatką sztucznych odniesień nałożoną na to, co w swej istocie kulturowej, cywilizacyjnej, historycznej ma się nierzadko zgoła inaczej od takich biurokratycznych założeń.

Kaszuby, dla przykładu, trafiły aż do pięciu województw. W tej zaś sytuacji wiele zależało od postawy poszczególnych władz lokalnych. Jeżeli odczuwały potrzebę znajdowania dawniejszych aniżeli powojenne odniesień (władze śląsko-koszalińskie), to akceptacja spraw kaszubsko-słowińskich bywała dość znaczna. Tam, gdzie to z jakiś względów mogło być dla władzy niekorzystne, ową kaszubskość usidlono, pozbawiono dotacji pań-

stwowych, wzywano na komitetowy dywanik, czyniono, już potem, PRON-owskie propozycje, z reguły zresztą z niesmakiem odrzucane przez miejscową społeczność, dziwnie biegłą w sztuce oddzielania dobra od zła.

Pół biedy, gdy, jak na Kaszubach, istniała owa obliczana na trzysta tysięcy społeczność. Gdy jej jednak, jak na rozdzielonych tylko Warmią Mazurach, zabrakło? Znaczne było wówczas pole do popisu dla rozmaitych organizacyjnych surogatów, kamuflaży i pojedynczych hochsztaplerów, uzurpujących sobie prawo do reprezentowania Warmiaków oraz Mazurów. Kaszub — poseł, Kaszub — wojewoda? Rzecz ta była możliwa na Śląsku (Jerzy Ziętek), okazywała się zaś nie do przeprowadzenia na naszej niegdysiejszej zachodniej i północnej rubieży. Owszem, trafiał się poseł z Mazur, lecz jedynie na zasadzie rodzyńka w ogólnie zakalcowatym cieście.

A Kociewiaci — jeżeli kto w ogóle o nich w Polsce słyszał — dopiero teraz nieco śmieiej dobijają się o prawo głosu. Podpowiem więc tylko, iż zamieszkują obszar pomiędzy Tczewem, Skórczem, Pelplinem i Starogardem Gdańskim. A reprezentantów swych polskiej społeczności dawali niezgorszych: Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Ryszard Karczykowski, Kazimierz Deyna, Andrzej Szarmach.

Okres wymuszonej jedności mamy za sobą. Pozostaje wiara, iż nigdy więcej Polacy nie będą egzekwowali integracji swych ziem nie bacząc na lokalne uwarunkowania kulturowe, narodowościowe, etniczne, wyznaniowe. I że już zawsze Polak będzie Polakowi bratem, niezależnie od języka domowego, którym włada, kościoła, którego wnętrza modlitewne nawiedza, szkoły do jakiej uczęszcza.

Ryszard CIEMIŃSKI

Finansowe czynniki skuteczności gospodarczej

Włączenie gospodarki do systemu światowego wymaga uwzględnienia w polityce finansowej ogólnych trendów monetarnych. Głównym aktorem jest tutaj nadal amerykański dolar. Jest to moneta cykliczna, ponieważ taka jest natura gospodarki kapitalistycznej, której zielony pieniądź stanowi zarówno symbol, jak i życiową tkankę. Analiza fluktuacji tej monety niezbędna jest przed określeniem parytetu złotego. Możliwy tu jest szeroki wachlarz opcji, od ścisłego związania złotego z dolarem, na podobieństwo waluty tajwańskiej czy południowo-koreańskiej, poprzez luźny, lecz zdyscyplinowany związek w rodzaju uczestnictwa w zachodnioeuropejskim węzlu walutowym, do pełnego oportunistycznego, w ramach którego złoty wykorzystując fluktuacje dolara, ulegałby wahaniom podług krótkoterminowych interesów gospodarki polskiej.

Dolar — moneta nieobliczalna

Wahania dolara od roku 1980 znacznie przekroczyły dynamikę koniunktury gospodarczej w tym okresie. Na przykład w odniesieniu do monety francuskiej stosunek wahał się jak jeden do dwóch. Przed dziesięciu laty płacono za dolara mniej niż pięć franków, w latach 85-86 Reagan za pomocą wysokiej stopy procentowej wywindował dolara na dziesięć franków, a w listopadzie ub. roku opadł on ponownie poniżej pięciu franków. Kurs z połowy lat osiemdziesiątych miał charakter sztuczny, był przejawem rozrzutności konsumpcyjnej i tendencji spekulacyjnych, nie odzwierciedlał więc stanu gospodarki, lecz wynikał z krótkowzrocznej woli politycznej Waszyngtonu, podporządkowanej społecznej niefrasobliwości amerykańskich wyborców. Bariera drogiego dolara nadzarpnęła jednak konkurencyjność amerykańskich towarów, podminowała tamtejszą gospodarkę i spowodowała zwrócenie się światowych bankierów w kierunku solidniejszych rynków finansowych. Tak więc Japończycy przenieśli swoje zainteresowanie na markę, a Niemcy — na japońskiego yena. Następstwem zmniejszenia popytu na dolara był spadek jego wartości. W głównej mierze na obniżenie dolara pracowały jednak same władze amerykańskie, celem promocji

eksportu oraz dlatego, że korzystne jest zadłużyć się na setki miliardów mocnych dolarów, a potem podzielić ich wartość przez dwa. Paradoxem światowego układu finansowego jest fakt, że na obniżkę dolara korzystają właściwie wszyscy, z wyjątkiem rekinów — jak Japonia czy Niemcy, którzy w odróżnieniu od reszty świata nie tylko nie są zadłużeni, lecz posiadają kolosalne nadwyżki handlowe. Spadek dolara zmniejsza zawarte w tej monecie długi oraz stanowi tampon łagodzący obciążenia importerów ropy. Dla dalszego obniżenia kursu dolara, którego optymalne minimum niektórzy oceniają na cztery i pół franka, rząd prezydenta Busha nalegał w listopadzie na kolejną obniżkę stopy procentowej. Niższe bowiem koszty kredytu sprzyjać powinny ożywieniu słabnącego tempa gospodarki amerykańskiej. Po nadaniu jej impulsu okaże się zapewne, że korzystny jest wzrost dolara, po kilku tygodniach powinien on zatem wspiąć się na nowo — chyba jednak bez spekulacyjnych ekscesów, ponieważ tym razem natknąłby się on na zorganizowany opór wyrosłych w międzyczasie potężnych stabilizatorów finansowych Tokio i Berlina.

Wszystko to wskazuje na znaczenie wahań kursu dolara dla każdej gospodarki i dowodzi konieczności świadomego modulowania własnych parytetów monetarnych. Imperatywem te nabierają szczególnego znaczenia dla krajów o zrujnowanej gospodarce. Okresowość i amplituda wahań dolara — sto procent w ciągu pięciu lat — podobnie jak utrata stabilności dramatycznie zadłużonej gospodarki amerykańskiej stanowią przeciwwskazanie dla wiązania złotego z dolarem. Ze względów psychologicznych dolar długo jeszcze zachowa swoje magiczne oblicze w społeczeństwie polskim, ale w strategii finansowej rozważyć należałoby oparcie się raczej o markę — zarówno z uwagi na jej stabilność, jak i na przesłanki geografii gospodarczej.

Jaką drogą do realnego związku monety i gospodarki

Reformy monetarnej nie da się przeprowadzić w oderwaniu od całego aparatu gospodarczego. Jak dalece rozłączenie tych dwóch czynników jest objawem załuki ekonomicznego świadczącego sytuacja sowieckiej ropy. W normalnych warunkach ekonomicznych kryzys w Zatoce Perskiej i związany z nim wzrost ceny ropy naftowej powinien odbić się bardzo korzystnie na bilansie ZSSR, który produkuje jej niewiele mniej niż cały Bliski Wschód. Tymczasem katastrofa sowieckiej gospodarki powoduje, że nie tylko nie jest ona w stanie zareagować zwiększoną podażą na nieoczekiwaną koniunkturę, lecz przeciwnie, całkowicie biernie reaguje na spadek wydobycia własnych kopalń i na

obniżkę kursu dolara. Żadne mechanizmy motywacyjne nie są w stanie uruchomić ani wzrostu wydajności, ani napływu inwestycji, ani powiększenia zapasów w drodze zmniejszenia marnotrawstwa energii. W gruncie rzeczy, niezależnie od tego czy kurs ropy będzie wysoki czy niski, czy dolar będzie się wymieniał za pięć franków, czy za dziesięć, sto yenów czy za dwieście, oderwana od trendów i kryteriów światowych gospodarka ZSSR wykazywać będzie tylko jedną tendencję: upadek.

Za największą więc słabość gospodarek wschodnich, w tym polskiej, nie uważam ani katastrofalnego stanu technologii, ani nieproduktywnych obyczajów zawodowych, lecz brak mechanizmów restrukturacyjnych i tych, które dotyczą motywacji dobrej pracy. Mechanizmy takie, wdrożone na wielką skalę byłyby w stanie przekształcić oblicze kraju niezależnie od rozmiarów upadku gospodarczego. Dla tego celu konieczne jest masowe wiązanie ekonomii kraju z gospodarką światową.

Problemem centralnym jest tutaj sprawa monety. Nieustabilizowana złotówka uniemożliwia jakiegokolwiek gospodarowanie. Kiedy minister Balcerowicz przystąpił do realizacji swego planu z początkiem roku 1990, wyglądało na to, że ustalony kurs nieco ponad 9 tys. zł za dolara nie może się utrzymać wobec jawnie recesyjnego charakteru programu ministra i że wobec tego dolar poleci w górę. Można było tak rozumować zakładając, że rząd będzie choć trochę panował nad sytuacją i reagując na jej pogarszanie się uruchomi mechanizmy dewaluacyjne. Dla szerokiej rzesz ludności nadal oznaczałoby to biedę, ale przynajmniej utrzymany byłby związek pomiędzy towarem a rynkami zagranicznymi, co sprzyjałoby eksportowi i inwestycjom, i ostatecznie pozostawiałoby szansę na strukturalną poprawę. Czas pokazał, że programowa recesja rządu to blokada gospodarcza połączona z uporczywym wyciskaniem środków dla osiągnięcia dodatnich bilansów budżetowych. Nastąpiła zatem pełna deregulacja rynku towarowego i pieniądza i mamy nie dewaluację, która od biedy mogłaby uchodzić za rodzaj świadomej polityki, lecz przekraczającą sto procent inflację. Ma ona przedziwny, poza-gospodarczy charakter, ponieważ nie brakuje towarów, natomiast ludność odczuwa dotkliwy niedostatek pieniędzy, to znaczy wszystko jest na odwrót, niż w gospodarce inflacyjnej. Rząd bowiem nie stwarza rynku, lecz realizuje zagraniczne polecenia statycznej, akademickiej kontroli złotówki i budżetu polskiego. Gospodarka więc ulega rozkładowi, złotówka stoi w niezmiennym parytecie 9 tysięcy z hakiem, które w rzeczywistości warte są dwa razy mniej niż przed rokiem, inflacja bynajmniej nie jest opanowana i od masowych inwestycji z Zachodu dalsi jesteśmy dziś, niż kiedykolwiek.

Główną przyczyną słabości polskiej polityki monetarnej jest

oparcie jej o czysto finansowe wskazania Międzynarodowego Funduszu Walutowego, z pełną deregulacją stosunków finansowych i gospodarczych. Ceny w kraju są wprawdzie wysokie, ale nadal odbiegają od norm światowych, za to płace zablokowano na poziomie iście egipskim. Tym sposobem, z pomocą ponadto środków czysto politycznych, jak zakaz sprzedaży ziemi obco-krajowcom, restrykcje prywatyzacyjne, czy zakaz transferu zysków, gospodarka utrzymywana jest w izolacji od świata, co powoduje, że kurs złotówki jest sztuczny, a zamiast mechanizmów rynkowych działa system nakazowy, którego celem nie jest rozwój gospodarki, lecz ochrona budżetu centralnego i nienaturalne, rozgrywające się na wegetującym rynku, duszenie inflacji.

Wszystko to dowodzi, że można uprawiać świadomą politykę finansową, albo obcą politykę finansową.

Przyczyny konserwatyzmu światowych sfer finansowych

Warto zwrócić uwagę na rozbieżność między powściągliwością światowego kapitału, a przychylną oceną recesyjnego programu Balcerowicza ze strony sfer politycznych Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Dla Banku Światowego, MFW, jak i rządu USA kwestia polska jest drobną częścią polityki globalnej, w obszarze której nasz kraj jest nie podmiotem, lecz pionkiem w ich własnej grze. Nadrzędnymi celami tej gry są obrona międzynarodowych stosunków finansowych oraz utrzymanie stabilności dwubiegunowego dotąd świata.

Powojenny podział świata okazał się korzystny dla zachodniej hemisfery i podkreślał zalety systemu liberalnego z wiodącą rolą Stanów Zjednoczonych, stąd trudno oczekiwać, żeby tamtejsi politycy podjęli rolę chorążych nowej organizacji globu, uwzględniającej aspiracje także małych narodów. Dla Amerykanów priorytetowe znaczenie ma dzisiaj zagospodarowanie trójbiegunowego obszaru gospodarczego USA-Niemcy-Japonia, co narzuca nowe kryteria cywilizacyjne po latach dominacji amerykańskiej. Dla tego celu korzystne byłoby uniknięcie zasadniczych zmian w obszarze sowieckiego Imperium, czemu na krótką metę dobrze służy samoograniczenie się polityki polskiej.

Konserwatyzm amerykańskich opcji politycznych znajduje zarówno swoje odbicie, jak i najlepszą realizację w poczynaniach międzynarodowych organizacji finansowych. Znajdują się one pod dużym wpływem administracji waszyngtońskiej, która w największym stopniu uczestniczy w ich kapitale. Dwie z tych organizacji, to jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, powołane zostały w następstwie układów z Bretton Woods z 1944 roku. Układy te miały na celu ustalenie zasad

współpracy monetarnej dla ułatwienia międzynarodowego handlu. MFW i MŚ miały w szczególności gwarantować trwały parytet dewiz, odniesionych do niezmiennego dolara. Był to bardzo dobry system dla zachodniej hemisfery, a jeszcze lepszy dla jej lidera — Stanów Zjednoczonych. W dużym stopniu sprzyjał on międzynarodowej wymianie towarowej na rozległym obszarze świata zachodniego, gdzie doszło do zbieżności trzech bardzo korzystnych czynników rozwojowych: nierównowagi gospodarczej pomiędzy potężnymi Stanami i zniszczoną po wojnie Europą, woli Stanów odtworzenia potężnych rynków zagranicznych poprzez transfer własnych dóbr i inwestycji, oraz wspólnoty kulturowej i zawodowej całego Zachodu. Zauważmy, że finansowy mechanizm integracyjny USA-Europa zachodnia, który zadziałał 40 lat temu, dziś nie może być bezpośrednio zastosowany w stosunkach Zachód-Wschód, ponieważ spełniony jest tylko pierwszy z powyższych warunków, to jest gospodarcza przepaść dzieląca jednych od drugich. Już choćby to wskazuje na niedostateczną kwalifikację skutecznych wówczas instytucji i pojęć do rozwiązywania kryzysów końca wieku dwudziestego.

Tymczasem zachodni system finansowy ewoluował zgodnie z wymogami własnego interesu, którym w miarę wpływu lat nie było już dźwignięcie się z wojennych zniszczeń, lecz systematyczny zysk w warunkach głęboko i stabilnie podzielonego świata. W latach siedemdziesiątych Amerykanie odeszli od kanonu Bretton Woods, jakim był trwały dolar, ponieważ z jednej strony rozwój przemysłowy Zachodu odebrał rację bytu konstruktywizmowi powojennych wizji, a z drugiej płynny dolar umożliwił stawienie czoła kryzysowi naftowemu. Był to pierwszy paroksyzm nabrzmiewającego konfliktu zacofanej części świata z wszechpotężną strukturą finansową Zachodu, z którego ten ostatni wyszedł zwycięsko, przechwytyjąc atuty przeciwnika.

Kryzys naftowy w pełni wykazał partykularny charakter ogólnie obowiązujących mechanizmów finansowych. Ich integralnie korzystne znaczenie zawężone jest mianowicie do obszarów uprzemysłowionych. Groźba blokady naftowej w latach siedemdziesiątych spowodowała spiralę cen, co na sprawną gospodarkę Zachodu miało wpływ wręcz zbawienny, doprowadzając w ciągu dziesięciolecia do przestawienia jej na tory energo- i materiałoozczędne. Czysty bodziec finansowy spowodował więc przyspieszenie cywilizacyjne. Mechanizm ten nie mógł zadziałać w groteskowej ekonomii komunistycznego Wschodu, która utrzymała jedyną znaną sobie strategię gospodarowania ekstensywnego, przygotowując tym samym własny grób. Pozostał on również bez wpływu na feudalne obyczaje i ekstrawagancje Bliskiego Wschodu oraz producentów Ameryki Łacińskiej. To pierwsze zwarcie na skalę planety okazało się dla trzeciego świata ste-

rylne, ponieważ rozgrywało się ono wyłącznie w kategoriach finansowych.

Ciągłość układów finansowych czynnikiem podziału świata

Ruch finansów po kryzysie naftowym jest fenomenalnym przykładem powyższej prawidłowości. Miliardy petrodolarów, złożone przez szejków z powrotem w bankach zachodnich, mogłyby spowodować przegrzanie się zachodniej gospodarki gdyby inwestowano je bezpośrednio na Zachodzie. Jakby przypadkiem Kreml uchwalił, witaną fanfarami na Zachodzie, epokę odprężenia, dzięki czemu mogło dojść do masowych pożyczek dla wschodnich rządów. Pożyczki te służyły głównie do zakupu towarów w krajach uprzemysłowionych, co przyczyniło się do stworzenia tam setek tysięcy nowych miejsc pracy, natomiast, siłą reguły, nie załatwiły żadnych problemów społeczeństw obozu wschodniego, przeciwnie, pogłębiły ich niezaradność i przedłużyły trwanie reżimów. Ruina tych krajów osiągnęła dno, sztucznie podkarmiane reżimy mimo wszystko upadły, a dziś Zachód trzyma się coraz lepiej, Wschód coraz gorzej oraz jedni są winni drugim kolosalne pieniądze.

Dodać przy tym trzeba, że informacje o rzeczywistej wysokości długu pozostają w pieczy administracji amerykańskiej. Amplituda wahań parytetu dolara w ciągu ostatnich pięciu lat sięgnęła stu procent wartości tej waluty, ile więc wyniesie zadłużenie Polski jutro? O jakich regułach finansowych chce rozmawiać MFW z małym dłużnikiem o zrujnowanej gospodarce, któremu zaleca ascezę dla uzdrowienia jego finansów? A co MFW zaleca wielkiemu dłużnikowi? Zadłużenie Stanów pięciokrotnie przewyższa długi wszystkich krajów imperium sowieckiego i Amerykanie co kwartał powiększają je o całą wartość zamrożonego długu polskiego. Nieopanowanemu wzrostowi zadłużenia ze strony najpotężniejszego państwa świata towarzyszy rozwój protekcyjizmu Stanów przeciwko Europie, Europy przeciwko Japonii i Japonii przeciwko wszystkim. Od dziesięciu lat zaczyna się kolosalny wzrost obrotów w sferze finansowej zachodniej hemisfery, bez wspólnej miary z rzeczywistym rozwojem gospodarki i handlu. Z jednej strony wynika to z braku racjonalnych celów inwestycyjnych dla części masy pieniężnej, która podlega imperatywowi maksymalizacji zysku cyfrowego bez względu na inne koszty i często bez związku z realnymi potrzebami. Z drugiej strony spekulacja odzwierciedliła niesłychany rozwój sfery kredytowej, która w trzecim świecie ma postać niespłacalnych długów, dławiących gospodarkę dłużników, a na Zachodzie jest przejawem rozpowszechniającego się oby-

czaju życia ponad stan. Operacje na wielką skalę mają coraz częściej charakter spekulacyjny, setki miliardów dolarów sztucznie rozdętych walorów wstrzykiwane są w obwody giełdowe, bankowe i asekuracyjne, powodując trudny do pojęcia chaos w finansach, gospodarce nieruchomościami, surowcami, dziełami sztuki, w inwestycjach i w stosunkach międzynarodowych. Wprawdzie te nadmiernie ruchliwe biliony nie są nasze i nie powinny nas obchodzić — ale to tylko część prawdy, ponieważ spekulacyjne obyczaje administratorów i posiadaczy wielkich kwot wpływają bezpośrednio na parytety walut i ceny towarów. Czy w tych warunkach system, w ramach którego MFW i BŚ chcą załatwić sprawę polskiego długu jest nadal systemem wolnego handlu i racjonalnych układów finansowych?

Gigantyzm, szybkość i związana z wprowadzeniem informatyki automatyzacja operacji finansowych wywołują pokusę spekulacji i prowadzą do dyktatu łatwego pieniądza. Przypomina to trochę szesnastowieczny zalew Europy złotem hiszpańskich kolonii. Szybko wzbogacili się wówczas hiszpańscy grandowie, ale na dłuższą metę obfitość łatwego złota zrujnowała Hiszpanię i na całe stulecia zakłóciła gospodarkę Europy. Dzisiejsze rozdecie obwodów finansowych prowadzić może mniej więcej do tego samego. Innymi słowy, obłędny taniec ogromnych, nierealnych kwot rozwiązywany w oderwaniu od pełnego kompleksu zagadnień gospodarczych prowadzi do nikąd. Finanse muszą zostać ponownie skorelowane z realiami w drodze przerywania ciągłości dotychczasowego systemu.

Zachodnie sfery finansowe często formułują tezę, że światowy system bankowy uległby załamaniu, gdyby doszło do anulowania całego międzynarodowego długu, przekraczającego zawiązką tysiąc miliardów dolarów. Chętnie dam temu wiarę, wysuwając przy tym alternatywną tezę, że system ten uległby załamaniu także w wypadku, gdyby nagle spłacono wszystkie długi. Chorobą tego systemu nie jest nieściągalność wierzytelności, lecz ich rzeczywista iluzoryczność. Dalsze negocjowanie sprawy w kategoriach czysto finansowych podtrzyma blokadę gospodarki krajów niedorozwiniętych, natomiast wzmocni sytuację Zachodu, a głównie USA.

Dotychczasowe inicjatywy, zmierzające do przerywania impulsu martwych wierzytelności, na ogół nie wychodzą poza krąg mechanizmów finansowych. W taką grę włączył się minister Balcerowicz, który za „radikalny” środek uważa zamrożenie długu i spłacanie go po dwa procent rocznie. Popelnia podwójny błąd. Po pierwsze godząc się na rozważanie sprawy w kategoriach czysto finansowych, podtrzymuje żywotność sterylnych opcji cyfrowych wielkiej finansjery i przy okazji rujnuje własny kraj. Operacyjne kryterium ministra stanowi układ płace-ceny, to zna-

czy, że wizjami resortu rządzi imperatyw powstrzymania wzrostu cen przez blokadę plac. Przedmiotem dumy ministra jest zatem osiągnięcie tą drogą kilkumiliardowej nadwyżki handlu zagranicznego. To wyczyn zgodny z interesami panów z MFW i amerykańskiej rezerwy federalnej, ale sprzeczny z potrzebami społeczeństwa polskiego. Efektem takiej polityki jest nierealny charakter polskiej monety, inflacja i rozkład gospodarki. Drugim błędem ministra jest operowanie argumentami historycznych obligacji, całkowicie niestrawnymi w świecie. Jeszcze z końcem listopada w wywiadzie dla francuskiego *Les Echos* mówił na poparcie swoich propozycji zmniejszenia długów: „Zachód powinien sobie zdać sprawę z tego, że w Polsce dzieją się rzeczy wyjątkowe...”. To przecież dziś już belkot.

W gruncie rzeczy odizolowane próby rachunkowego ratowania martwych wierzytelności stanowią część szerszej spekulacji. Popularny w Polsce plan Brady'ego, o zastosowanie którego zabiegają polscy dyplomaci, przewiduje zamianę części polskich długów na obligacje o niższej wartości, albo zmniejszenie ciężaru obsługi długów głównie w drodze obniżki ich stopy procentowej. Iluzoryczność takich zabiegów wynika przede wszystkim z pełnej abstrakcji kryteriów finansowych. Plan Brady'ego można by uznać za krok we właściwym kierunku, gdyby towarzyszył mu pakt handlowy — ale o tym nie ma mowy.

Tendencja wzrostu gospodarczego za wszelką cenę i dominująca rola mechanizmów finansowych to dwie strony tej samej uniwersalnej ideologii XX wieku, która przeżyła ideologie gwałtu, jak nazizm czy komunizm, i prowadzi do skuteczniejszej niż tamte formy dominacji i wyzysku. Dalekosiężnym jej efektem jest pogłębianie się podziału świata i rabunkowa gospodarka zasobami planety. Zarówno dominacja, jak i rozrzutność działają ostatecznie na szkodę wszystkich, także zamożnych, co uwyłu-kła wspólny interes wypracowania nowej formy współżycia międzynarodowego. Narzuca to potrzebę opracowania nowych układów finansowych, które będą w stanie animować inicjatywę gospodarczą ubogich, raczej niż dławić ich zaradność, a z drugiej strony wprowadzą zasady pewnego rozsądku konsumpcyjnego w społeczeństwach uprzywilejowanych. W szczególności nowy układ, porzucając perspektywę czysto finansową, opierać by się musiał o pełny zespół kategorii cywilizacyjnych. Innymi słowy musiałby być przejawem woli politycznej integrowania świata, który po upadku komunizmu przeżywa kryzys wymagający co najmniej takiej mobilizacji, jak ta, której wynikiem czterdzieści pięć lat temu był dynamiczny wówczas układ z Bretton Woods i plan Marshalla. Jeśli kryzys ten rozwiązywany będzie nadal klasycznymi metodami, drogą blokady gospodarczej dłużnika i wyciskania zeń w tych warunkach nadwyżek budżetowych,

oczekiwać należy podobnego wyniku, jakim uwieńczony został zespół konwersji w świecie po szoku naftowym: Zachód ulegnie kolejnemu wzmocnieniu, Wschód dalszej dezintegracji, a świat zrobi następny krok w kierunku destabilizacji.

Zauważmy, że powyższa logika nie odwołuje się do obowiązku pomocy państw zachodnich, lecz do pojęcia wspólnego interesu.

Imperatywy polskiej polityki finansowej

Dla Polski wynikają stąd dwa praktyczne wnioski. W dalszej perspektywie szukać trzeba sposobu na stworzenie wspólnego frontu krajów eks-komunistycznych dla daleko zakrojonej ofensywy dyplomatycznej, której celem byłoby nakłonienie Zachodu do wypracowania nowego ładu gospodarczego, począwszy od ogólnego układu finansowego. Jednym z argumentów będzie tu konieczność przejścia także przez byłe Imperium własnej części odpowiedzialności za równowagę Północ-Południe, stanowiącą podstawowy warunek zachowania globalnego pokoju.

Na bliższą zaś metę konieczne jest przeniesienie środka ciężkości polskiej polityki, a wraz z nią i całej polskiej reformy, z konserwatyizmu finansowego wywołanego bezgraniczną wiarą w zlecenia zagranicznych biurokratów — w sferę skutecznego gospodarowania.

Dla osiągnięcia obu tych celów potrzebne jest przede wszystkim zrozumienie światowych mechanizmów finansowych i dokładna ocena intencji zachodnich polityków. Swoje wizje opierają oni na doświadczeniach z krajami Ameryki Łacińskiej i Afryki, gdzie notoryczna korupcja i trwała nieudolność władz zdawały się narzucać programy recesyjne jako jedyną skuteczną strategię. Skuteczność ta okazała się złudzeniem, dziś już bowiem wiadomo, że międzynarodowe długi nigdy nie zostaną spłacone. Mimo to administracja amerykańska, MFW i Bank Światowy wskazują dla postkomunistycznej Polski identyczny model recesji gospodarczej jako środek i warunek sanacji finansowej. Opieszałość maszyny biurokratycznej, przywiązanej do znanych sobie rozwiązań, nie stanowi wystarczającego wyjaśnienia.

Stanowisko Amerykanów jest wyrazem logiki imperialnej. Z jednej strony istniejące normy stosunków finansowych przynoszą Stanom doraźne korzyści i na krótką metę nie ma potrzeby ich zmieniać, a z drugiej statyczna Polska stanowi mniejsze zagrożenie destabilizacji zachodnich obszarów ZSSR, pozostając jednocześnie w sferze wpływów USA. Amerykański plan uzdrowienia polskich finansów to prawdziwy majstersztyk.

Jest jednak także druga strona medalu, mianowicie brak przesłanek o determinacji i zaradności Polaków. Obraz przywódców Solidarności poszukujących na Zachodzie wyłącznie pomocy uległ silnemu wzmocnieniu przez pierwszy okres niezależności narodu, kiedy przywódcy związkowi przemierzali świat z kategorycznym żądaniem gotówki, zresztą nie wiadomo na co. Niewielkie osiągnięte tą drogą fundusze, przeznaczone na rozwój prywatnych inicjatyw rolniczych i przemysłowych, nie zostały w należyty sposób zagospodarowane, czemu władze polskie, zajęte czym innym niż rozwojem zaradności społecznej, bardzo się skądinąd dziwią. Naukowe ustawodawstwo w kraju oraz sposób sprawowania rządów wykazują nieudolność i konserwatyzm polityków wszystkich odcieni. Dochodzi do tego rosnąca przepaść między społeczeństwem i elitą władzy. Nic więc nie daje podstaw do lepszej oceny umiejętności polskich władców, niż autokratów Ameryki Łacińskiej i Afryki.

Dla odwrócenia tego fatalizmu potrzebne jest stworzenie odważnej i świadomej polskiej doktryny aktywizacji gospodarczej kraju. Sprawie długów należy nadać charakter warunkowy. Polska będzie w stanie honorować odziedziczone zobowiązania tylko pod warunkiem wcześniejszego rozwoju gospodarczego. Oznacza to konieczność masowego transferu technologii i finansów z Zachodu. Warunkiem wstępnym byłoby wprowadzenie u nas całego zespołu praw liberalizujących stosunki pracy, ułatwiających rzeczywistą prywatyzację, w tym nabywanie fabryk, nieruchomości i ziemi przez obcych oraz umożliwiających swobodny transfer kapitałów, w tym przelew zysków za granicę. Dopóki płace mają charakter fikcyjny, wszelkie rozważania o zwalczaniu inflacji i utrzymaniu równowagi budżetowej to kpina ze zdrowego rozsądku. Zadaniem rządu w dziedzinie finansowej nie jest utrzymywanie fikcji budżetowych i monetarnych, lecz przerwanie obłędnego kręgu, w którym państwo udaje, że płaci (i pozwala płacić), a obywatele udają, że pracują.

Świadoma polityka finansowa polega na stwarzaniu bodźców do podnoszenia wydajności pracy, rozwoju przedsiębiorczości i zwiększania eksportu przez wzrost płac, motywacyjny system podatkowy i promocyjne cła, czemu towarzyszy elastyczna polityka kosztów kredytu i parytetu własnej waluty. W takich warunkach kontrola inflacji polega na korelowaniu dynamiki płac i wzrostu wydajności oraz utrzymaniu wzrostu spożycia w ścisłym związku z poziomem produkcji i założeniami budżetowymi. Polityka antyinflacyjna musi się przy tym odwołać do świadomości społecznej, wymaga bowiem potężnego porozumienia narodowego dla wywołania odruchów oszczędzania w obligacjach lub na długoterminowych kontaktach inwestycyjnych. Z drugiej strony poziom płac uwzględnić musi konieczność osiąga-

nia zysków przez przedsiębiorstwa, które bez wielkich środków inwestycyjnych — zginą.

Rozpocząć należy od urealnienia monety poprzez odpowiednie wybory polityczne. Jeśli Stany Zjednoczone i międzynarodowe ośrodki koordynacji finansowej gotowe będą do rozwinięcia nowego systemu międzynarodowej współpracy, wówczas korzystne może się okazać związanie złotego z dolarem albo z talarem europejskim. Jeśli podobnej woli po tamtej stronie brakuje, wówczas opcje amerykańska czy paneuropejska wykażą całą swoją ideologiczną pustkę. Pozostanie odejść od nich i dokonać wyboru, jaki podsuwają rozważania już choćby tylko geopolityczne. Ten wybór, to opcja niemiecka, z oparciem złotego o markę i pełnym otwarciem na zachodniego sąsiada.

Mimo wzrostu popularności talara europejskiego — tzw. *écu* — nie sądzę, by wziął on górę nad marką, a to dla dwóch powodów. Po pierwsze marka trwale odzwierciedla solidne zdrowie gospodarki niemieckiej, podczas gdy *écu* wykazuje tendencje inflacyjne będące przeciętną wskaźników wszystkich monet zachodnioeuropejskich. Przede wszystkim jednak nie widać siły, jaka skłoniłaby markę do ustąpienia pola talarowi.

Gospodarka potrzebuje sprawnego systemu bankowego. To jeden z priorytetów świadomej polityki finansowej, dla którego żaden wysiłek nie będzie przesadzony: uproszczenie procedury powstawania i działania krajowych banków i towarzystw ubezpieczeniowych, negocjacje o zamianę długów zagranicznych na fundusze rozwojowe, odstąpienie od nierealnych żądań odszkodowań w zamian za otwarcie banków niemieckich u nas... Decydującą zachętą dla instalowania się niemieckich banków w Polsce będzie oczywiście oparcie złotówki o markę. Porównywalnej korzyści nie można by oczekiwać ani po wybraniu parytetowej opcji dolarowej, ani związanej z *écu*.

Związanie złotego z marką pograżyłoby na międzynarodowych rynkach znaczenie polskiej oferty towarowej o dzisiejszej, bardzo niskiej jakości, ale stanowiłoby czynnik zachęcający do inwestowania, pod warunkiem wprowadzenia pełnego zespołu czynników prawnych i finansowych faworyzujących zyski przedsiębiorstw. Przyjęcie takiej opcji byłoby wyborem racjonalnym w perspektywie realnych możliwości integracyjnych, jakie na średnią metę stoją przed Polską.

Trzeba sobie zdać sprawę, że praktyka sojuszków z odległymi państwami, dla trzymania w szachu sąsiadów, dobra była w epoce konfrontacji zbrojnych, lecz traci na znaczeniu w czasach integracji gospodarczej. Znaczenia nabierają natomiast regiony. Amerykanie skłonni będą do dużego wysiłku dla pogłębienia związku gospodarczego z Meksykiem, ale nie z Polską. Francja wydaje się bardziej zainteresowana Afryką i basenem śródziemno-

morskim, niż Europą Wschodnią. Wielka Brytania zajęta jest głównie sobą. Nie bardzo wierzę w bliskie zjednoczenie Polski z Europą. Bardziej realne wydaje mi się związanie kraju z Niemcami — pod warunkiem oczywiście zakwestionowania przez obie strony historycznego fatalizmu wrogości.

Do tego potrzebna jest wizja i wola polityczna, wielkość mierzona nie urojonymi przewagami moralnymi, lecz rzeczywistą umiejętnością przewycięzania fatalizmów.

Wałęsa i Balcerowicz: najbliższą przyszłość kraju widzę czarno, nawet nie dlatego, że do steru spraw doszli ludzie nie z tej epoki, którzy posługując się metodą najmniejszego wysiłku stale sięgają będą po modele z trudem wytaszczone ze składowiska przeszłości, lecz dlatego, że w doświadczeniach, jakim poddadzą Polskę wypali się bezpowrotnie niewykorzystany potencjał — zaufanie i cierpliwość społeczeństwa, po czym ludzie nie uwierzą już nikomu. Ale czyż droga do dojrzałości nie prowadzi przez utratę złudzeń?

1.12.90

Robert KACZMAREK

Manna z nieba

Taki złośliwy tytuł wyraża kwintesencję dotychczasowej polityki rządu RP w dziedzinie prywatyzacji i inwestycji zagranicznych. Obserwuję tę politykę od dwu lat, czyli od czasu rozmów przy „okrągłym stole”. Przyleciałem do Warszawy, aby znaleźć się w środku dziejowych przemian i włączyłem telewizor w hotelu Victoria, by wysłuchać dziennika. Reporter TV przeprowadzał właśnie wywiad z człowiekiem, który rozwodził się nad polityką inwestycyjną w budownictwie mieszkaniowym. Język i kompetencje były mi znajome, mniej więcej takie same, jakie ostatni raz słyszałem w 1965 r., przed emigracją z Polski.

„Musimy mieć więcej pieniędzy na budownictwo i mamy nadzieję, że pokierujemy tymi inwestycjami w lepszy niż dotychczas sposób, zapewniając klasie pracującej lepsze warunki bytowe” — grzmiał z przekonaniem indagowany działacz. Niecierpliwie czekałem, kiedy dziennikarz zagadnie na ten sam temat przedstawiciela Solidarności. Jakież było moje zdziwienie, kiedy dziennikarz na koniec powiedział, że właśnie zakończył

rozmowę z przedstawicielem Solidarności, zasiadającym przy stole zajmującym się problemami budownictwa mieszkaniowego. Przedstawiciel Solidarności nie wspomniał, że budownictwo mieszkaniowe winno być zwolnione z kajdan gospodarki państwowej i, że prywatne cegielnie wyrosną jak grzyby po deszczu dla potrzeb budowy domków jednorodzinnych. Wręcz przeciwnie, mówił o „środkach”, którymi będzie lepiej gospodarować, aby zapewnić klasie pracującej lepszy byt. Jeśliby to samo mówił tow. Gierek przejmując władzę po Gomułku albo Gomułka po Ochabie, nie miałbym zastrzeżeń, ale to był przedstawiciel Solidarności... podobno antykomunistycznej. Z telewizora powiało stęchlizną.

Mniej więcej co sześć miesięcy ciągnie mnie do Polski, aby na własne oczy zobaczyć jakoby rewolucyjne zmiany, o jakich mówią prasa polska i amerykańska. Za każdym razem wyjeżdżam z Warszawy zawiedziony i zde gustowany ślamazarnym tempem reform. Nowa władza, aczkolwiek katolicka i odzgnunająca się od komuny jak od czerwonego diabła, w gruncie rzeczy popełnia ten sam błąd. Zamiast zawierzyć społeczeństwu, traktuje Polaków jak zagubione owce, a siebie jak szlachetnych właścicieli folwarku pod nazwą Rzeczpospolita Polska. Dawna cyniczna komuna przynajmniej nie aspirowała do szlachetności ani arystokratycznego rodowodu. Wiadomo, że w dawnych czasach właścicielowi folwarku głowa puchła o to, jak zadbać o chłopstwo w czworakach, jak karczmę puścić warendę najbardziej obrotnemu Żydowi, jak Kaśkę, której zrobił dziecko, wydać za stangreta itp., itd. Podobnie i teraz od tych ziemiańskich kłopotów głowa rządowi pęka. A tu na dodatek dzisiejszy rząd RP ma trudności, o których paniczowi się nie śniło, np. telefonizacja kraju.

Zabawa w głuchy telefon

Brak telefonów i zachowanie rządu RP w tej dziedzinie są doskonałym wykładnikiem tego, co dzieje się z tak zwaną reformą gospodarki w ogólności. Podczas jednej z wizyt w Polsce przez 6 godzin próbowałem dodzwonić się do Stanów Zjednoczonych z hotelu Marriott: było to tzw. połączenie błyskawiczne. Po 6-ciu godzinach połączono mnie na 30 sek., potem rozłączono. Ponieważ pochodzę z częstochowskiej rodziny telefonicznej — moja matka była telefonistką, a ojciec technikiem od telefonów — poczułem się wręcz zobowiązany, aby się w tę sprawę „wdać”. Moi koledzy ze studiów na Politechnice Wrocławskiej od lat zdobyli swą obecnością ministerstwa i urzędy od polskich telefonów. Innymi słowy, mam w polskich

telefonach tzw. chody. Jeśli ja nie załatwię, by z Polski można było się gdzieś dodzwonić, to inni nie mają żadnych szans — myślałem. Poza wyżej wymienionymi polskimi chodami, mam także podobne chody w USA, jako że mój przyjaciel w Columbus ma wielkie przedsiębiorstwo telefoniczne i pali się do inwestycji w Europie Wschodniej. Na początek wymyśliliśmy sobie z kolegą z Columbus, że zainstalujemy satelitarne łącze na hotelu Marriott w Warszawie.

Z załatwieniem odpowiednich audiencji w Warszawie nie miałem kłopotu z uwagi na wyżej wspomniane „chody”, natomiast z ministerialnych rozmów na wysokim szczeblu wynioskowałem, że jestem brany za zaoceanicznego frajera, który da się namówić na tzw. analizę wstępną oferowaną przez ministerstwo. Mimo mej nienaganej polszczyzny i zwierzenia, że kiedyś przed laty sam byłem ZMP-owcem, moi rozmówcy traktowali mnie jak nieobytego przybysza z obcej planety, który sam się podkłada, aby go „zrobić w konia”. Trzeba jednak przyznać moim ministerialnym „konsultantom” swoistą etykę zawodową, gdyż jednak powiedzieli mi, że nawet z analizą wstępną mój projekt nie ma szansy z powodu braku odpowiedniej ustawy prawnej i monopolu państwa na telefony. Na zapytanie jaki jest wobec tego sens analiz wstępnych, odpowiedziano mi prawie po amerykańsku: „Będziesz miał wyprzedzenie (w polskich interesach)”. Dla mnie było natomiast jasne, że co prawda będę „do przodu” w interesach, ale „do tyłu” w dolarach. Latem 1990 będąc w Niemczech słyszałem w Polskim Radio debatę w Sejmie poświęconą sprawie telefonów. Wiceminister od telefonów płaczącym głosem błagał sejm o decyzję, „jakąkolwiek decyzję”, w sprawie inwestycji zagranicznych i monopolu państwa na telefony.

Nadzieja wstąpiła powtórnie w mą duszę, kiedy w listopadzie 1990 przeczytałem w *Wall Street Journal*, że podobno zniesiono w Polsce monopol państwa na telefony. Radość ma być bez granic, aczkolwiek przedwczesna, gdyż jak się okazało, co prawda zezwolono na inwestycje w komunikacji wewnętrznej, ale utrzymano monopol w komunikacji międzynarodowej. Chyba dlatego, aby zagraniczni inwestorzy się za bardzo nie wzbogacili na intratnej komunikacji międzynarodowej. Czy rzeczywiście agresywni kapitaliści mają interes, by zdzierać z Polaków skórę, odpowiem w następnym paragrafie.

W międzyczasie nabrałem pewności, że sytuacja z telefonami się nie zmieni i po stracie kilku następnych lat nowy, bardzo antykomunistyczny rząd RP w końcu dojdzie do wniosku, że należy całkowicie znieść monopol państwa zarówno na łączność krajową jak i międzynarodową. Obawiam się jednak, że taka wiadomość może nie dotrzeć na czas do zagranicznych

inwestorów, jako że przesyłana będzie transatlantyckim gołębiem pocztowym rasy polskiej.

Ci samolubni kapitaliści zawiedli nas

Podczas jednego z pobytów w Polsce przeczytałem notatkę w polskiej prasie, że jeden z parlamentarnych mędrców „Solidarności” jest bardzo zawiedziony brakiem masowych inwestycji zagranicznych w postaci *joint-venture*. Miał on jakoby powiedzieć, że „już więcej nie będzie chodził do hotelu Marriott na obiady z zagranicznymi gośćmi, bo to strata czasu, oni nie inwestują, a on może się najeść w domu”. Z tej wypowiedzi przebija zawód na przyjaciółach, którzy zamiast pomóc Polsce w ciężkiej sytuacji, zachłannie ściskają kiesę...

Te i podobne wypowiedzi świadczą o zupełnej ignorancji zełaznych praw rynku, które wymagają, aby trwałe inwestycje były opłacalne. Może Pan Profesor razem z Lechem, miast się obrażać, po prostu postawią kapitalistom pytanie, dlaczego nie inwestują w Polsce. Może dowiedzieliby się, że przerażają ich obłądne bizantyjskie przepisy, które trzeba uprościć, może podatki za duże, może brak telefonów, a może właśnie monopol państwa w jakiejś dziedzinie, jak np. komunikacji międzynarodowej.

Polska dziewica chciałaby (kapitału), ale się boi

Z różnymi zachętami dla kapitalistów zagranicznych to śmieszne. Na początku była obawa, że nas wykupią. Po jakimś czasie dopuszczono zagraniczne firmy pod warunkiem, że zainwestują \$50.000. Ostatnio słyszę, pogłoski (ale bez pokrycia) że na wysokich szczeblach rozpatruje się możliwość zniesienia wymogu inwestycji \$50.000 dla zagranicznych przedsiębiorców. Wzisiaj czytam w *Gazecie Wyborczej*, że nie ma nadziei na nową ustawę regulującą inwestycje zagraniczne przed końcem 1990. Może to i dobrze, jako że jest nadzieja, że mój artykuł da ustawodawcom realny punkt widzenia na problem inwestycji zagranicznych. Gdyby Stany Zjednoczone miały podobne przepisy jak dzisiejsza Polska, ja sam nigdy nie stałbym się amerykańskim przemysłowcem. Kiedy w 1968 r. w Columbus, Ohio zakładałem firmę, nie musiałem wypełniać żadnego formularza. Nie trzeba było żadnych zezwoleń, żadnych rejestracji, żadnego minimum. Jedynym obowiązkiem było złożenie deklaracji z dochodów w końcu roku podatkowego. A przecież Amerykanie mogli mnie podejrzewać, że jestem komunistycznym szpiegiem, gdyż miało to miejsce w szczytowym momencie wojny w Wietnamie.

Panowie ministrowie i wy ciała ustawodawcze, obudźcie się

Jeśli nawet przekonałem Państwa, że trzeba maksymalnie uprościć i ułatwić procedurę zakładania firm zagranicznych w Polsce, nie spodziewajcie się po tym wielkich sukcesów. Polska stanowi znikomą atrakcję dla inwestorów zagranicznych z następujących powodów:

Proponowane podatki są przynajmniej o 10% wyższe niż w Stanach Zjednoczonych. Załatwienie najprostszej sprawy ciągnie się tygodniami z powodu idiotycznych przepisów, które zamiast być wyeliminowane, zostają wzbogacone nowymi „ulepszonymi” regułami. Brak telefonów i banków z powodu jak dwa powyżej. Ciągłe powtarzaniem argumentem jest rzekoma taniość polskiej siły roboczej. Czy ta siła jest rzeczywiście taka tania, nie wiadomo. Dla wyjaśnienia, na czym stoimy w konkurencji o obce inwestycje, proponuję kilka rzeczowych analiz obliczających wydajność na godzinę polskiego pracownika. Może się okazać po bliższym przyjrzeniu, że z powodu czynników od pracownika niezależnych, np. komunikacji, wykonanie tej samej czynności w Polsce wymaga 10 razy dłuższego czasu niż w USA, czyli że praca w Polsce może być droższa niż w USA, mimo 10 razy niższych dochodów polskiego robotnika. Nawet bez naukowych badań wiadomo, że konkurencyjność produktów krajów uprzemysłowionych nie polega na ich taniej sile roboczej. Dla porównania polskiej oferty z ofertami konkurentów ubiegających się o zagraniczną inwestycję, a także aby zaoszczędzić Panom Posłom i Ministrom niestrawności po obiadach z konsultantami i inwestorami w hotelu Marriott, załączam tłumaczenie (w skrócie) listu, jaki otrzymałem do firmy zajmującej się szukaniem inwestorów zagranicznych dla obcych krajów. W tym wypadku chodzi o maleńki kraj, a właściwie kraik Isle of Man (Wyspę Człowieka), położony między Anglią i Irlandią. Oferta ta powinna pozwolić zrozumieć, dlaczego jest tak mizernie z inwestycjami z Zachodu. Może nie jesteście Panowie konkurencyjni, chociaż chcecie koniecznie zbudować Polskę opartą na konkurencji? Pozostaje do wyboru albo liczyć na własne (kapitalistyczne oczywiście) siły albo dać kapitalistom i przedsiębiorcom wolną rękę. Trzeciego wyjścia nie widać. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że skończy się głównie na własnych siłach.

Nadawca: Intercon Research Associates Ltd
Lincolnwood, Illinois
22 października

Do: Pana Jana Czekajewskiego
Columbus Instruments
Columbus, Ohio

„Intercon” ma za sobą 27 lat doświadczeń w rozwijaniu międzynarodowej współpracy przemysłowej. Aktualnie reprezentujemy mały niezależny kraj Isle of Man (Wyspę Człowieka), który ma bardzo interesujący program rozwoju przemysłowego, na pewno interesujący dla Pańskiego przedsiębiorstwa.

Isle of Man oferuje kombinację finansowej pomocy z innymi zachętami, aby przyciągnąć producentów do swych brzegów. Isle of Man oferuje także niezwykle wysoką jakość życia i środowiska w postaci pięknych widoków, nieskazitelnych plaż, małej gęstości zaludnienia, wspaniałych pól golfowych itd. Jeśli firma Pańska zdecyduje się założyć filię na tej wyspie, przykładowo oferujemy:

1. Isle of Man ma tylko jeden podatek 15%. Nie ma natomiast podatku od zarobku na kapitale, podatku dochodowego i podatku od nieruchomości.
2. Bezcłowy ruch towarowy z krajami Wspólnego Rynku Europejskiego (EWG)
3. Język angielski, który jest językiem oficjalnym, i środki transportowe oraz komunikacyjne (telefony!) które działają bez zarzutu.

Isle of Man posiada wysoko wykwalifikowaną kadrę pracowników. Politycznie kraj ten jest niezwykle stabilny, jako że ma rząd parlamentarny od ponad 900 lat. Kraj ten znajduje się na Morzu Irlandzkim między Anglią i Irlandią, w rezultacie czego ma bardzo umiarkowany klimat, który czyni turystykę znaczną i atrakcyjną częścią jego gospodarki.

Poza wyżej wymienionymi zachętami rząd Isle of Man oferuje dodatkowo:

4. Dotacje do wysokości 40% kosztów nowych budynków, remontu starych budynków, nowych zakładów i maszyn.
5. Dotacje w wysokości do 40% na pokrycie kosztów wypożyczenia maszyn lub budynków oraz kosztów na reklamę i szkolenie personelu.
6. Niskoprocentowe pożyczki poparte przez rząd do wysokości 50% inwestycji na „kapitał roboczy” (fundusz płac, reklamę, koszty materiałowe i energię).

Być może, że jednym z najważniejszych argumentów powyżej opisanych zachęt jest fakt, że administracja rządowego programu pomocy inwestycyjnych jest pozbawiona biurokracji, z

którą spotkacie się w innych krajach rozwijających się.

Isle of Man nadaje się doskonale na miejsce dla małych przedsiębiorstw. W chwili obecnej mamy około 150 firm zagranicznych działających na naszej wyspie i jest miejsce dla wielu więcej.

Z przyjemnością prześlemy Panu dalsze informacje o naszym programie rozwoju zagranicznych inwestycji. Wszystkie opłaty związane z konsultacjami są opłacane przez rząd Isle of Man i dlatego dalsze dyskusje nie będą stanowić dla Panów żadnego obciążenia.

Bardzo bym chciał przy najbliższej okazji, osobiście porozmawiać z Panem na temat powyżej oferowanych możliwości inwestycyjnych.

Z poważaniem,

(podpis)

Ani dodać ani ująć. Panowie Posłowie i Ty Ministrze do Spraw Przekształceniowych i Ty od Finansów, ustosunkujcie się do tej oferty. Osobiście mam obawę, że objęta zostanie cenzurą, jako „zagrożająca żywotnym interesom Polski”. Może zaistnieć obawa, że rodzimi polscy przedsiębiorcy uznają kraik „Isle of Man” za lepsze miejsce do prowadzenia interesów niż Polska i zainwestują tam swą energię i wymiennalną złotówkę. Podobnych listów otrzymuję około 10 miesięcznie od rządów i firm konsultingowych reprezentujących 100 lub więcej krajów. Powiedzmy sobie szczerze: Polska nie ma żadnych szans w tej konkurencji, dopóki nie zadba o kilka podstawowych elementów — maksymalnie uproszczenie formalności biurokratycznych, powtórne późne odkrycie komunikacji telefonicznej, bardzo, ale to bardzo liberalna polityka podatkowa, bo na dotacje chyba nie ma skąd wziąć. Jeśli powyższe podstawowe warunki zostaną spełnione, wtedy należy przeprosić rodzimych „prywaciarzy” i „kombinatorów”, których widziałem tysiące czekających dniami i nocami, w słocie i skwarze, na ślamazarną odprawę celną i paszportową na granicach polskich i przed urzędami celnymi. Należy ich przemianować na polskich przedsiębiorców i podarować im dyplomy „bohaterskich pionierów wolnego rynku” i „męczenników wolnego handlu zagranicznego” za ich zasługi na polu zachowania zdrowego ekonomicznego rozrachunku w obłędnej matni bizantyjskiego widzimisię. Wedle mnie to oni winni i będą tworzyć nową polską gospodarkę, jeśli zdejmie im się pęta biurokracji, która może nie jest już czerwona, ale ciągle ma wiele wspólnego z Bizancjum.

Ze wszystkich amerykańskich zasad chciałbym Polakom przekazać jedną. *Time is money* (czas to pieniądz) powiedział podobno Benjamin Franklin. Dla Polaków zdanie sobie sprawy z tej lakonicznej prawdy jest warunkiem koniecznym dalszego rozwoju.

1 grudnia 1990

Jan A. CZEKAJEWSKI

P.S. Dziękuję „kinomanom”, prof. dr. Karolowi I. Pelcowi z Michigan Technological University (kiedyś z Politechniki Wrocławskiej) i jego małżonce, znanej polsko-amerykańskiej literatce, Ryszardzie Pelc, za wnikliwe uwagi, poprawki i pomysły, które wykorzystałem w powyższym artykule.

Incydent

Latem 1990 roku włamano się do dwóch mikrobusów moich studentów zaparkowanych w Warszawie pod Hotelem Nauczyciela nad Wisłą. Skradziono pamiątkowe krawaty i parasolki przeznaczone dla polskich gospodarzy naszych spotkań i wylamano dwie boczne szybki. Konieczność odzyskania pieniędzy z towarzystwa ubezpieczeniowego zmusiła nas do złożenia długich (4 godziny) i wyczerpujących (żaden policjant na Wilczej w Warszawie nie znał angielskiego lub niemieckiego) oświadczeń w bsdnych i zaniedbanych pokojkach wylepionych tandetnymi kalendarzami ściennymi z półnagami kobietami. Przedmiotów skradzionych nie odzyskano, zresztą nie liczyliśmy na to. Ale zdarzenie to miało ciąg dalszy, dość typowy dla sposobu działania policji, to znaczy jej zweryfikowanych z byłej milicji funkcjonariuszy.

Pół roku później, w sobotę wieczór, dwóch cywilnych funkcjonariuszy korzystających ze służbowego „Poloneza” pojawiło się na poznańskim Junikowie i usiłowało wdrzeć się do mojego domu pod pretekstem wręczenia wezwania na świadka. Wypędzeni stamtąd, pozostawili jednak typowe dla ubecji wezwanie „w charakterze świadka”, nie podając żadnych wyjaśnień co do rodzaju sprawy, za to podkreślając jej pilność żądaniem zgłoszenia się albo w sobotę wieczorem, albo w niedzielę rano na ulicy Rycerskiej w Poznaniu. Ulica Rycerska to ponury kompleks rozrastających się jak rak w czasach późnego Gierka i stanu wojennego pomieszczeń policyjnych, do których zadzwoniłem oburzony zaburzeniem weekendu.

Niejaki Żołnierzek wyjaśnił, że otrzymał telefonogram od niejakiego Deputu, funkcjonariusza policji z Warszawy i w tej właśnie sprawie chciał się ze mną widzieć. Dodzwoniwszy się po długich tarapatkach do warszaw-

skiego komisariatu dowiedziałem się, iż Deptuła pragnie wiedzieć, czy kraty skradziono z jednego czy z dwóch samochodów.

Pytanie dotyczące tego, bardzo zresztą typowego dla działania polskiej policji, incydentu, jest następujące. Dlaczego nawet w błahych sprawach funkcjonariusze posługują się tajnikami, dużymi samochodami, usiłują wtargnąć do prywatnych domów i wyznaczają stawiennictwo w swoich pomieszczeniach na sobotę wieczór lub niedzielę rano? Może im tak wygodniej, ale nie dlatego chcą ich utrzymywać z budżetu, który musi uchwalić mój poseł, żeby im było jak najwygodniej kosztem reszty społeczeństwa. I co się stało z siatkami powiązań łączących uprzednich ubeków z różnymi kolegami — czy nie mają przypadkiem za dużo swobody, niekontrolowanego czasu i zasobów, skoro stać ich wręcz na bezczelne zastraszanie obywateli? Jeżeli mają co do tego swobodę, to prawdopodobnie mają też swobodę w operowaniu swoimi zasobami dolarowymi, w przekształcaniu swej byłej politycznej bezkarności na ekonomiczny przywilej — choćby pierwszeństwa w prywatyzacji (do własnej kieszeni) mienia państwowego. Jednym słowem, pilnują, by zasada socjalizmu pańszczyźnianego przetrwała wprowadzenie gospodarki rynkowej i parlamentarnej reprezentacji sił społecznych.

Sławomir MAGALA

Jedyna w Bawarii POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA

KONTRAST

BREITENSTEINSTRASSE 33 D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031/7777

WYKONUJE:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty,
odezwy, ulotki, blankiety, karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne

prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich,
głównie w polskim i rosyjskim.

Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

Sprawy i troski

Polacy: bohaterowie czy handlarze?

We własnym wyobrażeniu, co potwierdzają nadal chociażby kolejne roczniki wypowiadających się w tej sprawie studentów, jesteśmy narodem ludzi bohaterskich, honorowych i gościnnych, posiadamy przekonanie o naszej szlachetnej niezwykłości, wysoce cenimy sobie wolność i w praktyce niemożliwe czynimy możliwym. Zastanawia więc tylko, dlaczego o Polakach negatywnie wypowiadają się zagraniczne publikatory, źle mówią zwykli ludzie, członkowie różnych narodów, a rządy wielu państw ostrzegają, że zamkną przed nami swoje granice. Czy mamy może do czynienia ze spiskiem zmierzającym do izolacji i ukarania dzielnego narodu?

Wiele świadczy o tym, że idee kształtujące wyobrażenie o nas samych były i w pewnym stopniu są nadal starannie przygotowywane, wręcz podsuwane „gdzieś z góry” jako coś oczywistego, co wymaga jedynie uświadomienia i afirmacji przez ogół obywateli. Lektury szkolne, filmy, przemówienia i czytanki wyraźnie szkicowały przyczynki do autoportretu Polaków — jako niezłomnych patriotów i najlepszych na świecie żołnierzy, walczących wszędzie za słuszną sprawę. Czasem, co prawda pod naciskiem bieżących potrzeb politycznych, ta walka nie była „potrzebna” ani „słuszną” — na przykład 63 dni Powstania Warszawskiego (jak w takim razie oceniać 900 dni Stalingradu?), ale przywoływanie czynów lotników i marynarzy, uczestników wszystkich formacji i frontów przekonywało o wyjątkowości naszego narodu. I tego nie chciałbym wcale umniejszać. Po przymiotach wziętych z pól bitewnych, współcześnie w portrecie własnym drugie miejsce zajmuje staropolska gościnność, odmienniana w różnych postaciach wizja chleba i soli, wolnego miejsca przy stole wigilijnym, słowem wszelkich łask spływających na

gościa, który nas, Polaków, zaszczyci. Są to wartości naczelné w wyobrażeniach o nas samych, a towarzyszy im jeszcze przekonanie o umiłowaniu prawdy i podstawowych wartości tkwiących u źródeł naczelných zasad moralnych. Takie pozytywne wyobrażenie o nas samych, taki nasz autostereotyp poddawany jest od kilkunastu lat coraz cięższej próbie. Coraz częściej i powszechniej jesteśmy przez europejską rodzinę narodów postrzegani jako handlarze, spekulanci i kombinatorzy — słowem ludzie od podejrzaných interesów. A spotykałem się też z określeniem „Jewrieje Jewropy”, o czym powinni wiedzieć wskrzeszający się właśnie narodowcy.

W sezonie turystycznym prawie codziennie dowiadywaliśmy się o „nieuzasadnionych szykanach” greckich władz celnych, o „niezrozumiałych praktykach” ze strony Szwedów, o „bezprawnym postępowaniu” celników jugosłowiańskich, o „osobliwym traktowaniu” Polaków na granicy węgierskiej, o „dzikich praktykach” rumuńskich władz granicznych, o „nieuzasadnionej docieklivości” celników austriackich. Jeśli do tego dodać ciągłe boje i szykany ze strony terytorialnie nam najbliższych Czechów i Enerdownców, służb sowieckich i skutecznie broniących się przed nami braci Litwinów, to otrzymamy bardzo sugestywny przyczynek do wyobrażeń na temat Polaków.

Tymczasem przegląd oficjalnych wypowiedzi z ostatnich kilku lat i większości krajowych publikacji skłania do odmiennych opinii. Można nawet odnieść wrażenie, że w powszechnym potopie złej woli i niechęci obcych stanowimy jedyną w swoim rodzaju kryształową górę. Bo handlują wszystkie nacje po trochu, a my, choć biedni i w kryzysie — przed nikim nie chronimy tego, co zostało jeszcze na półkach sklepowych ani nie ścigamy nikogo za handel.

Tak paranoiczny obraz wydarzeń wspierali swoimi wypowiedziami przedstawiciele władz różnego szczebla, dyplomaci, dziennikarze i sprawozdawcy *ancien régime*'u. Można to oczywiście tłumaczyć sytuacją, że wszyscy oni mieli jakiegoś wroga na zewnątrz. Walczono z nim treścią oświadczeń i artykułów, co poprawiało własne samopoczucie i czyniło wrażenie, że nasi przedstawiciele zwyciężają nieprzyjazne nam służby i siły. Broniąc Polaków na obczyźnie (przynajmniej w gorliwie rozpowszechnianych oświadczeniach), władze dokumentowały swe zaangażowanie po stronie obywateli i polską proveniencję. Co prawda pętla wokół Polaków zacieśniała się w kolejnych latach coraz bardziej, ale dobre wyobrażenie o nas samych, wspierane takimi urzędowymi deklaracjami, pozostawało ciągle nienaruszone.

Czasem też można było dostrzec udane akcje odwetowe. Na przykład w roku 1987, gdy Polacy podjeżdżali do kolejnych

przejsć na granicy jugosłowiańskiej z nadzieją, że zostaną tym razem wpuszczeni (a Jugosłowianie żądali wysokich ceł za wwożony towar), rzecznik rządowy przedstawił sylwetkę przemytnika-bandziora, rodem właśnie z Jugosławii, który w Świnoujściu zaatakował milicjanta nożem. Kiedy z kolei celnicy węgierscy wyznaczili dodatkowe cło przy tranzycie i osobny pas dla samochodów z polską rejestracją, a południowi sąsiedzi wykazywali na granicy tradycyjną skrupulatność, to w kraju centralne i wojewódzkie gazety rozpisywały się na temat spustoszenia, jakie na Śląsku czynią właśnie Węgrzy i Czesi, uszczuplając masę towarową przeznaczoną dla polskiego odbiorcy. Kiedy swoje przepisy wywozowe zastrzyła NRD, to z publikatorów dowiadywaliśmy się o handlu Enerdownców w Polsce: jak nie przywiezionym przez siebie towarem, to walutą, a jeden z nich został nawet zatrzymany na targowisku we Wrocławiu. Czyli jesteśmy tacy jak wszyscy.

Wydaje się jednak, że zasadniczą przyczyną wciąż nowych zadrażeń za różnymi granicami i na granicach jest brak rzetelnego spojrzenia prawdzie w oczy. Nikt na poważnie nie próbował powiedzieć, ilu Polaków handluje i spekuluje w poszczególnych krajach ani ilu obywateli tych krajów czyni u nas to samo. Nie próbowano też określić bliżej struktury asortymentowej tego procederu i wpływu prywatnej działalności handlowej na stopień zaopatrzenia rynków wewnętrznych poszczególnych krajów. Ponieważ jest to pozainstytucjonalna działalność „na czarno”, to trudno o dokładne statystyki, ale sądzę, że bez większego ryzyka można wskazać na ogólne tendencje.

Czasem zastanawiałem się, czy dziennikarze są przekonani o słuszności linii i spraw, których podjęli się bronić. Z początkiem grudnia 1989 udało się do NRD wielu przedstawicieli prasy codziennej. W natłoku relacji o szykanach, jakie spadły na Polaków w NRD, znalazłem też fragmenty wskazujące, że tak naprawdę to głowa do góry. Bo Polacy sobie poradzą, choćby z samym diabłem. Otóż jeden z wysłanników stawia fundamentalne dla sprawy pytanie: „A co na to nasi?” I dalej: „Nasi sobie zawsze jakoś poradzą i znajdą swoje sposoby”. I to prawda (bo w tym czasie rodacy największe interesy robili na obrotach marką NRD, kupowaną śmiesznie tanio na Zachodzie i sprzedawaną później w Polsce za duże pieniądze tym, co przewożą towar z NRD). Ale jest też prawda innej natury. Pamiętać trzeba, że takie krzepiące oczekiwania i nadzieje są odczytywane przez Polaków życzliwie, może nawet z dumą i wzmacniają obraz własny ludzi, którzy nigdy nie poddają się losowi i zawsze radzą sobie w najtrudniejszych nawet sytuacjach. Tym samym rozmaite „radzenie sobie” za granicą barwi pozytywnymi cechami nasz autostereotyp. Ale na przykład dla Niemca z NRD cały

ten polski handel to żadne pozytywne dokonanie Polaków, tylko przykład odwiecznego braku poszanowania prawa i występowanie przeciwko porządkowi społecznemu. W ten sposób na aktualności zyskują negatywne cechy stereotypu Polaków, świadomie kreowanego w czasach zaborów czy okupacji.

Przypadki z NRD i zaczerpnięte tam wątki do rozważań nad stereotypem narodowym są tylko fragmentem złożonego procesu przebiegającego w różnym stopniu wśród tych wszystkich narodów i służb, z którymi przez ostatnie kilkanaście lat prowadziliśmy „wojny celne”. Można wymienić następujące kraje, które w związku z nazwaniem Polaków (handlarzy) musiały zaostriżyć swoje przepisy celne lub wjazdowe: Austria, Czechosłowacja, Grecja, Jugosławia, NRD, Rumunia, Węgry, Szwecja, ZSSR. W tej różności krajów, wątków i zdarzeń są też sytuacje zupełnie niesmaczne, a nawet odrażające. Można bowiem przeczytać i usłyszeć, że handlem zajmują się też — na szczęście w mniejszym stopniu — Polacy jadący zapalić znicze do Katynia i pielgrzymi spieszący do Watykanu.

Wielu tzw. przeciętnych Polaków i większość czytelników może zżymać się w trakcie tej lektury. Jak to, przecież ja nie jeżdżę za granicę? Na pewno nigdy tak nie postępowałbym, ani moja rodzina, no, moi znajomi też chyba nie, bo to porządni ludzie. Albo inaczej: no tak — byłem i coś tam sprzedawałem, ale to drobiazg, dają małą wymianę, więc musiałem. To też prawda. Pamiętać należy jednak i o tym, że ci, co podróżują, by zarobić, co bywają za granicą z towarem, co maluchem wypełnionym różnymi dobrami „wypoczywają” tranzytem w kilku krajach po kilkanaście godzin w każdym, dają podstawy temu, że w kształtujemy się na zewnątrz stereotypie jesteśmy uważani za naród handlarzy. Bo stereotyp jest zawsze uproszczony i kształtuje się w wyniku niekorzystnych dla grupy generalizacji. Możemy o tym przekonać się sami na zupełnie nowych przykładach, kiedy pomyślimy choćby o Arabach w Polsce. Nie tylko sondaże, ale i mury wskazują na negatywny stosunek do nich, na przykład napisy „*Araby do domu*”. A przecież w Polsce była znikoma część tej ponad 50-milionowej ludności. Lecz wśród odwiedzających nasz kraj dominują ci, co przyjechali na panienki, mają dużo i bardzo dużo pieniędzy, a zdesperowani mogą ukłuć nożem. To właśnie obraz tej stosunkowo niewielkiej grupy rzutuje na niekorzystny stereotyp całych narodów arabskich. Podobnie przedstawiają się sprawy z Polakami za granicą i z kształtującym się tam naszym stereotypem.

Od kilku miesięcy coś się jednak zmieniło. Pisz się już u nas o handlowych skłonnościach i przygodach Polaków bez ogródek. Dowiadujemy się coraz więcej o praktykach rodaków, nie tylko u najbliższych sąsiadów, ale też za kilkoma granicami i na innych kontynentach. Choćby złoty szlak na trasie Delhi-Katmandu (we wrześniu 1989 tylko jednej z polskich grup przemysłowych skonfiskowano 27 kg złota i kilkanaście kamer video). Albo wyprawy do

Bangkoku i Singapuru po tony szmat lub elektronikę. Lub handel morski, na przykład na trasie: Gdynia-Rzym-Istambuł-Odessa. W marcu 1990 docierały do Polski wiadomości o okupowaniu przez naszych turystów statku pasażerskiego „Estonia”, którzy po kilku dniach zostali odprawieni przez władze sowieckie wprost do Przemysła. Jak się później okazało, na każdego z 280 polskich pasażerów przypadało 120 kg bagażu. Dla pełni obrazu należy jeszcze dołączyć informacje o udziale naszych rodaków w handlu kradzionymi samochodami i środkami odurzającymi w różnych krajach. To tylko niektóre sygnały z bogatej kroniki polskiego handlu prywatnego w świecie.

Jeszcze niedawno działalność handlowa Polaków za granicą była przez krajowe środki masowego przekazu wyciszana lub też przedstawiano handlowanie jako coś normalnego i występującego po trosze w każdym narodzie. Kiedy obecnie nie można już ukryć charakteru i rozmiarów tej aktywności, to z procederu turystów handlowych próbuje się uczynić cnotę, nawet w perspektywie ideologicznej i kulturowej. Na przykład Wojciech Maziarski w obszernym artykule świątecznego wydania *Gazety Wyborczej* (nr 158/1989) dowodzi tezy, że dzisiejsza Europa Środkowa odrodziła się nie dzięki uniwersyteckim seminariom, nie dzięki wymianie wielkich myśli i idei, ale za sprawą wędrujących z towarem szmuglerów i geszefciarzy. W takim odrodzeniu czy powrocie do Europy największe zasługi miałby Polacy, którzy jako pierwsi wystąpili w roli obwoźnych sprzedawców. Ten handel jest nową wspólnotą interesów zastępującą dawne waśnie. *„Bo przecież w zdezelowanych trabantach, moskwiaczach i ładach przez granicę przelewa się nie tylko strumień dóbr materialnych: butów, dezodorantów, proszków do prania i Bóg jeden raczy wiedzieć czego jeszcze. Krążący po środkowoeuropejskich (dziurawych, a jakże!) drogach kupcy-szmuglerzy sami w sobie są ucieleśnieniem idei przenikalności, otwartości granic oraz przepływu materii i myśli, która nie uznaje żadnych podziałów i barier*”. Sentymentalne obrazy, biorące początek w obserwacji międzynarodowej kolejki turystów-handlarzy przed wjazdem na Węgry, mimo deklaracji autora skłonnościami wyjaśniać chwilę obecną, bardziej zdają się wyrażać tęsknotę za światem peryferii monarchii austro-węgierskiej.

Natomiast bardzo serio traktują handlowanie Polaków za granicą polscy konserwatyści. W ich przekonaniu dzięki wędrownym handlarzom zyskaliśmy już wiele, a rozwój tego handlu świadczy o cywilizacyjnej dojrzałości naszego społeczeństwa. S. Michalkiewicz w piśmie *Czas* (nr 2/1990) przypisuje wędrownym handlarzom następujące zasługi: komputeryzacja kraju, zaopatrzenie polskich rodzin w aparaturę video, przywóz dolarów na

fundusz stabilizacyjny Balcerowicza. Jeszcze głębiej sięga w swych rozważaniach Janusz Korwin-Mikke (*Młoda Polska 12/1990*). „Rzecz w tym, że pozbawieni w tragicznym trybie Żydów, którzy przez kilka stuleci wypełniali tę rolę — Polacy sami wytworzyli własną warstwę handlową, co raz jeszcze dowodzi, że społeczeństwo jest homeostatem. Serce rośliny, gdy patrzę na te miliony Polaków handlujących na bazarach i bohatersko przemycających co się da i gdzie się da, czynem walczących z uciskiem Nowej Klasy we wszystkich krajach ościennych, krzewiących wyższość Cywilizacji Handlowej nad Biurową”. Dla poparcia swych tez obaj konserwatyści mocno ujeżdżają kobyłę historii, odwołując się do przykładów starożytnych Aten i imperialnej Anglii. Państwa te bowiem nie tylko popierały handel prywatny swych obywateli, ale w razie potrzeby wysyłały im na pomoc okręty wojenne. Ostatecznie J. Korwin-Mikke jest realistą i rozumuje zgodnie z duchem czasu, dlatego wobec państw tępiących naszych handlarzy proponuje co najwyżej zastosowanie groźby zerwania stosunków dyplomatycznych.

Jeśli handel dał całemu społeczeństwu bogactwo i uznanie, to co w takim razie powoduje, że obecne handlowanie nie przysparza nam sympatii w świecie, lecz prowadzi do uprzedzeń wobec Polaków? Grecy, Anglicy czy Żydzi rozwijali rzemiosło handlowe w zupełnie innych warunkach cywilizacyjnych i historycznych. W dawnych czasach i ustrojach inaczej postrzegano ludzi handlu obwoźnego. W wielu miejscach był to jedyny rodzaj handlowania, a kupcy przywozili nie tylko towar, ale wiadomości ze świata, nowinki techniczne i idee. Tymczasem dzisiaj, w epoce specjalistycznych firm i biur, przy rozbudowanej sieci przedstawicielstw i domów handlowych wyposażonych w nowoczesne środki łączności, wędrowni kupcy są po prostu przeżytkiem istniejącym poza społecznymi strukturami gospodarczymi, państwowymi i prawnymi. Dlatego nie można się zgodzić z konserwatystami, że dalszy rozwój wędrownego handlu będzie stanowił o spełnieniu zasad, które w rozwoju społeczeństw są konieczne dla osiągnięcia ich cywilizacyjnej dojrzałości. Budowanie społeczeństwa dzięki inicjatywom obwoźnych handlarzy z nadzieją, że w taki sposób szybko uzupełnimy nieobecne u nas warstwy kupieckie i dogonimy w ten sposób zamożne społeczeństwa, to próba ścigania pegaza na grzbiecie utykającego muła.

Największym chyba obciążeniem polskiego handlu za granicą jest pochodzenie, zachowanie i zwyczaje żywiołowo kształtującej się warstwy handlarzy. Podejmując się działań zwykle od początku sprzecznych z przepisami celnymi i prawnymi nawet własnego państwa, ludzie ci za każdą następną granicą i w każdym miejscu oby-

tu łamią kolejne przepisy i zakazy. Funkcjonowanie w warunkach ciągłego zagrożenia i wychodzenie ze wszelkich opresji z zyskiem (bo tylko to ważne) powoduje, że handlarze nabierają przekonania o swojej szczególnej wartości i stają się dumni ze swoich osiągnięć. Równocześnie wszystkich innych, wśród których znaleźli się, uważają za coś gorszego. W ich przekonaniu na świecie są przemysłni i sprytni Polacy oraz masy frajerów i naiwniaków, którzy nie umieją żyć i robić dobrych interesów w swoich bogatych społeczeństwach. Znajduje to odzwierciedlenie w przewiskach nadawanych innym. Wiedeńczyk, choćby z ciekawości odwiedzający polskie stoiska, to „Kasztan”, mieszkaniec Berlina — to „Goebbels” czy „Szwab”, choć nie ma w tym żadnej niechęci ani resentymentów narodowopolitycznych, ale swoista wzgarda dla głupca, który wszystko ma w zasięgu ręki, lecz niczego nie rozumie. Nie inaczej jest na Wschodzie, Rumun nie będzie Rumunem, ale „Romkiem” lub „Cyganem”, a obywatel ZSSR w najlepszym razie „Wańką”. Turysty handlowi nie oszczędzają też własnych rodaków, a za szczególnie ciemną masę uważają tych spośród nich, którzy bywają za granicą, znają obce języki, posiadają zagraniczne kontakty, ale nie wykorzystują tego dla własnych korzyści materialnych. Uważam, że ta część charakterystyki polskich turystów handlowych umożliwia zrozumienie ich postaw, zachowań i działań.

W działalności handlarzy nie ma niczego z zabawy, lecz jedynie dążenie do zysku, i to do zysku za wszelką cenę. Dlatego, gdzie to tylko możliwe, szukają źródeł oszczędności lub dodatkowych korzyści. Choć obracają okrągłymi sumami, nie stać ich na opłacenie toalety i wykorzystują w to miejsce skwery, parki i bramy najbliższych kamienic. Korzystają bez opłaty ze środków komunikacji miejskiej, przyłapani zaś stawiają czynny opór. Dzwonią do swoich bliskich do Polski, posługując się nie markami czy szylingami, ale monetami z naszym niekoronowanym jeszcze orłem, które stanowią materialny dowód przestępstwa. Kiedy indziej znów działalność kupiecką uzupełniają kradzieżami, a nawet rozbojem. Równie częste są sygnały o świadczeniu usług seksualnych za śmiesznie niskie stawki, i to gdzie popadnie (nawet w budkach telefonicznych). Pobytowi i działalności handlowej towarzyszy w większości przypadków hałaśliwe i wyzywające zachowanie, posługiwanie się plugawymi słowami zastępującymi wszystkie części mowy i ciągłe krzepienie się alkoholem. „Turystyczny handel” stanowi w wielu wypadkach źródło rekrutacji do dużego przemytu, bo Polacy — członkowie międzynarodowych grup zajmujących się na wielką skalę przemytem i wymianą walut, obrotem kradzionymi samochodami czy przemytem narkotyków — musieli od czegoś rozpocząć. Dlatego też stereotyp Polaka w Berlinie czy Wiedniu to handlarz, pijak i złodziej.

Zachowanie handlarzy, którzy bezwiednie stają się reprezentacją narodu (bo z takimi Polakami przede wszystkim mają do

czynienia obcy), prowadzi powszechnie do krzywdzących uogólnień. Na nic zdają się wtedy nawet najbardziej chwytliwe argumenty, bo tak zwani zwykli ludzie, członkowie innych nacji, sądzą na podstawie tego, co widzą. Charakterystyczną ilustracją jest tu rozmowa Grzegorza Górnego (*Gazeta Wyborcza* nr 93/1990) z mieszkanką Wiednia, doświadczaną z powodu sąsiedztwa handlujących Polaków. Skargi na brak godności, pijaństwo, kradzieże, prostytucję próbował Górny osłabić wieloletnim wpływem komunizmu. Jednak w odpowiedzi usłyszał coś zgoła innego. „*A Czesi i Węgrzy to w komunizmie nie żyli? Dlaczego oni nie handlują i nie zadowolają swoich potrzeb fizjologicznych na mojej klatce schodowej? Austria przeznaczyła na pomoc żywnościową dla Polski 20 mln szylingów, a wy tu tylko na sprzedaż przywozicie. Wy Polacy jesteście źli*”. Podobnie widzą Polaków tysiące ludzi w różnych częściach Europy. Przed tymi handlarzami jako niechcianymi ambasadorami niosącymi cały bagaż przywar przestrzegał też ostatnio wieloletni przyjaciel Polaków Günter Grass (*Polityka* nr 25/1990). „*Z ogromną troską patrzę na trudną sytuację gospodarczą Polski i na to, że narasta coś, co dawniej nazywano lumpenproletariatem, warstwa najniższa, że rośnie przestępczość, i że pewien typ Polaków wylewa się na zewnątrz poza granice kraju, na przykład do Berlina Zachodniego, potwierdzając swym zachowaniem dawne uprzedzenia*”.

Jak w takim razie wyjaśnić dobre samopoczucie i zadowolenie handlarzy, ich hałaśliwy i chamski, a czasami ostentacyjnie pański sposób bycia? Z powodu dzikiego statusu, statystycznej nieuchwytności, wręcz podziemnego charakteru działalności prowadzonej przez tych ludzi trudno o jednoznaczną odpowiedź. Wydaje się jednak, że w pewnej przynajmniej mierze postawy i zachowania handlujących można wyjaśnić dzięki odwołaniu się do teorii grup odniesienia. Szczególnie jeśli pamiętamy o ich dwojakim charakterze. To znaczy o występowaniu grup odniesienia o charakterze porównawczym (na ich tle oglądamy i oceniamy siebie) oraz grup odniesienia o charakterze normatywnym (jesteśmy ich członkami lub przez podejmowanie określonych zachowań pragniemy takimi się stać). Tak więc turyści handlowi porównują swoje położenie z sytuacją rodaków na etatach pracowniczych w Polsce i stwierdzają swoją wyższość. Z porównania tego wynika, że dzięki własnej pomysłowości i działaniom zarabiają wielokrotnie więcej, prowadząc przy okazji światowe życie. Z czasem nabierają przekonania o swojej wyższej wartości i zajmowaniu w społeczeństwie lepszych pozycji niż ogół zasiadających rodaków. Ta wysoka samoocena pozwala im jako osobom uprzywilejowanym na podejmowanie niekonwencjonalnych, wymykających się wszelkiej kontroli zachowań. W swoim przekonaniu stoją oni ponad wszystkim: w drodze do sukcesu

pokonali różne, tak własne jak i obce prawa, strażę i policję. Doświadczyli wiele, ale też wytrwali i wygrali ze wszystkimi przeciwnościami, a przeto nic już nie jest w stanie im zagrozić. Teraz mogą zachowywać się jak tylko zechcą, tworząc przy okazji bliskie swej kondycji wzory moralne. Dramat tych ludzi, a za ich sprawą w jakimś stopniu i nas wszystkich, bierze swój początek w zasadniczej pomyłce. Handlarze bowiem porównują siebie na tle reszty Polaków i tu formułują wysoką samoocenę. Natomiast naganne zachowania i działania podejmują na tle innej już grupy, tym razem obcokrajowców, którym pragną w jakimś stopniu dorównać, a czynią to jak widać w dość opacznie pojmowany sposób. Ci z kolei nie dostrzegają w naszych turystach handlowych żadnych partnerów, co najwyżej biednych ludzi, przestępców, wykojeńców lub pariasów. Wydaje się tu występować sytuacja opisana przed laty przez warszawskiego socjologa J. Sowę. Murzyn w USA miał średnio płatną pracę. Porównał swoją sytuację do bezrobotnych z własnej grupy etnicznej i doszedł do wniosku, że jest bogaty. A jeśli tak, to żył przez pewien czas jak bogaci ... biali, zmieniał garnitury i lokale, ale też szybko źle kończył.

Naganne zachowanie naszych turystów handlowych, tkających współcześnie negatywny stereotyp Polaka, można interpretować też zupełnie inaczej, na przykład z perspektywy psychologii. W kontakcie z zamożnością odwiedzanych społeczeństw, polskich turystów handlowych ogarnia poczucie upośledzenia. Reakcją na nie jest potrzeba kompensacji, zrównoważenia własnej niższości, co przejawia się w dążeniu do górowania nad innymi. To zdobywanie mocy równoważącej własne upośledzenie odbywa się w tym wypadku na dość osobliwej skali. Swoiście pojmowana niezależność — przejawiająca się w hałaśliwym sposobie bycia, nieobyczajności, nadużywaniu alkoholu czy pospolitym przestępstwem — kompensuje poczucie poniżenia, powstałe w wyniku podstawowych porównań. Przywraca też równowagę psychiczną, stanowi źródło pewności siebie, dobrego samopoczucia i jest najlepszym środkiem na odsunięcie poprzednich wyobrażeń o własnej niższości. Jednak takie rekompensowanie niższości jest działaniem na niby, ważnym jedynie dla samych „turystów”. Tym bardziej bowiem nie zyskują oni sympatii, zaufania ani szacunku otoczenia, w którym przychodzi im działać. O ludziach, którzy poczucie własnej niższości maskują hałaśliwością, ruchliwością, zuchwałością, bezczelnością, arogancją, zarozumiałstwem i napastliwością, pisał już przed kilkudziesięciu laty Alfred Adler i widać nic tutaj nie zmieniło się.

Poznając zachowania naszych turystów handlowych za granicą, można też stwierdzić występowanie wątku patriotycznej racjonalizacji własnych występów. Wielu spośród nich przemysł

artykułów szczególnie tropionych przez służby celne kraju przyjazdu lub inne nadużycia dokonywane tam na miejscu tłumaczy na przykład chęcią odwetu za grabieże dokonane kiedyś przez Austriaków czy Niemców w Polsce, albo uciskiem przez cały Układ Warszawski. Charakterystyczne jest tu śpiewanie hymnu narodowego przez handlarzy wysadzanych z pociągu, przepędzanych z targowiska lub represjonowanych w jakiś inny sposób.

Jakkolwiek by tłumaczyć działalność polskich „turystów handlowych” za granicą, nie usunie się w cień ani nie wymaże pośrednich skutków ich działalności. Wśród narodów kiedyś nam nieprzyjaznych następuje tym samym ożywienie rozpowszechnianych przez dawnych wrogów wyobrażeń i uprzedzeń. Natomiast w percepcji innych narodów bohaterski, honorowy i gościnniej Polak ustępuje miejsca obrazowi podejrzanego obywatela świata i cwaniaka, dążącego za wszelką cenę do osiągnięcia korzyści.

Nie można żyć tym, co inni o nas powiedzą — nawet gdyby mówili najlepiej, ale też nie można lekceważyć tego, jak inni nas widzą i sądzą.

Odra nr 10/1990

Zbigniew KURCZ

Russo turlisto

ROZMYŚLANIA PO PODRÓŻY

Podróż zagraniczna — której „wariant włoski” np. kosztuje okrągłą sumkę 1800 rubli za osiem dni — przede wszystkim daje człowiekowi nieznaną mu dotychczas uczucie, że jest osobnikiem nędznym i pozbawionym wszelkich praw. Osądźcie sami. W przypadku Włoch człowiek ma prawo wymienić 500 rubli. Przy specjalnym kursie wymiany dostanie do ręki trochę ponad 100 tysięcy lirów. Dla porównania: cztery porcje lodów plus butelka wody mineralnej kosztują 26 tysięcy. Porządna męska koszula — 90 tysięcy. Tak to jest. I nie obrzucajcie mnie błotem, że nie po lody człowiek jedzie ani nie po koszule, tylko po to, żeby się zapoznać ze starożytną i wieczną kulturą. Tak, z kulturą, co też wszystkim radzę. Nie zapominajmy jednak, że przyjeżdżamy z kraju wiecznego deficytu, kraju nagminnego głodu towarów. Tak że nie boję się

zanadto krytyki i kontynuuję liczenie. Średnia pensja wynosi u nas 250 rubli, z czego wynika, że pozwalają nam wymienić dwie pensje. Dalej wynika z tego, że przez dwa miesiące zarabiamy równoważność koszuli albo szesnastu porcji lodów z czterema butelkami wody mineralnej, oraz że nasze żony, o ile trafią do Włoch, powinny z daleka obchodzić oształamiające wtryny włoskich sklepów.

Szanowni towarzysze z *Sowminu*, *Minfinu* i innych urzędów, które uchwały tak zwany „specjalny kurs”! Czy naprawdę czujecie do nas taką nienawiść i pogardę, że uznaliście za dopuszczalne takie kpiny z sowieckich turystów? Wiecie przecież doskonale, że np. włoski kierowca zarabia miesięcznie średnio 1,5 miliona lirów! Czyli waszym zdaniem kierowca sowiecki zarabia piętnaście razy mniej? W takim razie o jakiej *pieriestrojce* może w ogóle być mowa? O co się mamy spierać — o to, cośmy zbudowali przez ponad siedemdziesiąt lat i czy mamy odstąpić od „socjalistycznych” zasad czy też nie? Z torbą żebraczy ukłęknać przed światem i czołem bić: dajcie nam, ubogim i głodnym. Czy o to wam chodzi?

W każdym razie pewne jest, że taka polityka walutowa przyczynia się do dyskredytacji ZSSR w świecie. Na bazarach Jugosławii, Węgier, Polski, Czechosłowacji, Turcji i wielu innych krajów Rosjanie stali się tradycyjnymi dostawcami aparatów fotograficznych, zegarków, wyrobów lnianych, okularów, wódki, wyrobów ludowych, przy czym sprzedają je za świadomie niskie, śmieszne wręcz ceny — byle sprzedać. Nie wspomnę już o szturmowych oddziałach zdobywców żywności, które mimo wszelkich zakazów oblegają punkty celne na zachodnich granicach naszej nieogarnionej ojczyzny.

W Rzymie zaś Afrykańczycy, którzy poznają w smutno obliczającym w kieszeni liry człowieku naszego rodaka, śmiało zaczepiają: *Russo*, dawaj *change*! Co wy na to, panowie twórcy nowych koncepcji ekonomicznych? Dlaczego mam po przepracowaniu ponad dwudziestu lat jechać na urlop jak żebrak? Czy może nie ma już różnicy między waszym położeniem za kremłowskim murem a naszym w rozmaitych Czertanowskach i Oriechowo-Borysowskach? A skoro wyznaczyliście nam takie pensje, to wymieniacie je przy wyjazdach za granicę po normalnym kursie, żebyśmy mogli coś kupić i przywieźć do domu, gdzie niczego kupić nie można. Chyba że się kupuje na talony w miejscu pracy. A jeśli nie możecie, to idźcie do diabła! Może innym się uda. Przecież człowiek wstydi się za siebie i za nas wszystkich, kiedy powiedzmy we Florencji spotykają się dwie sowieckie grupy i rozmowa zaraz schodzi na to, po ile w Rzymie idzie wódka.¹

Udało mi się. W Muzeum Watykanu znalazłem w jednej z sal odłamek starożytnej rzymskiej mozaiki sprzed około dwu tysięcy

1. Nawiasem mówiąc, na święto *Unity*, w którym i my na swój sposób uczestniczyliśmy, przyjechał naczelny redaktor *Prawdy*, I.T. Frołow. Ciekawe, ile on miał lirów?

lat. To moja najcenniejsza pamiątka z Włoch. Ale podobnie jak inni rodacy musiałem pokombinować, pokręcić się, ruszyć głową. Tak tak, chociaż to wyznanie będzie mnie może kosztowało paszport w przyszłości. Wszyscy nasi handlują, tylko milczą, tak że nic im się nie dzieje. A ten przed całym światem o czymś takim...

A tak. Przed całym światem. Bo człowiek goły i głodny nie buja na ideologicznych wyżynach, tylko najpierw myśli o tym, jak się ubrać i najeść. Niewymienialność rubla to jedna z najcięższych sieci, pętających obywatela totalitarnego państwa. Ponieważ wszędzie poza swoją ojczyzną człowiek jest nagi i bosy. A wobec tego nie jest wolny. Zależy całkowicie od łaskawych władz. Sam przez się jest nic nie znaczącym pyłkiem, niezależnie od tego, jakie ma stanowisko w społeczeństwie sowieckim, jaki staż pracy i wreszcie jaką płacę. W nędzy wszyscy jesteśmy równi, mówi nam nasze umiłowane państwo.

Niepotrzebnie, och jak niepotrzebnie zaczęto nas wypuszczać za granicę. Bo kiedy człowiek widzi w bazylice świętego Piotra amerykańskich licealistów, którzy bez wysiłku przyjechali za pieniądze rodziców, a zarazem wie, że rejonowa szkoła, do której uczęszcza jego dziecko, może mu co najwyżej zaproponować wycieczkę na zbiór kartofli do podmoskiewskiego sowchozu, to do głowy pchają się rozmaite niestosowne myśli pod adresem naszego państwa.

A wśród nich znowu pojawia się sprawa wymienialności rubla. Jest nam ona niezbędna, za każdą cenę. Przecież tylko wolność ekonomiczna może człowieka naprawdę uniezależnić od nacisku totalitaryzmu. Żadne rozważania o demokracji, żadne wprowadzone „odgórnie” ustawy demokratyczne bez bazy ekonomicznej niczego nie zmieniają. O żadnej integracji ze światową wspólnotą ekonomiczną też nie ma co mówić, dopóki inne kraje nie będą przyjmowały rubla do wymiany. Ani o żadnych poważnych wspólnych przedsięwzięciach, bo żadna naprawdę solidna firma albo koncern nie będzie intensywnie zarabiał naszych „drewnianych pieniędzy”. (Nawiasem mówiąc, MacDonalda do Florencji nie wpuścili, żeby nie szpecił zabytkowego miasta).

I jeszcze coś. Do czasu przewrotu październikowego jeżdżono z Rosji na Zachód leczyć się, uczyć, podróżować, nawet na emigrację jeżdżono bez specjalnych kłopotów dewizowych. Rubel stał wysoko i był wszędzie ceniony. Jak im się to udawało? Ale dość już o pieniądzach. Powiedzmy kilka słów o Włoszech.

We Włoszech właściwie wszystko jest. Istnieje nawet agencja podróży pod zachęcającą nazwą „Misza Travel”, prowadzi ją Towarzystwo Przyjaźni Włosko-Sowieckiej. Właśnie ta agencja była partnerem naszego instytutu podczas opisywanej tu podróży. Jeszcze w Moskwie zaniepokoiły nas wielokrotne uprzedzenia odpowiedzialnej damy z instytutu, żebyśmy się przygotowali, bo jedziemy do najniższej kategorii: płacicie przecież w rublach... Za to instytut zapewnia minimum. Zresztą, ciągnęła dalej dama, możecie sobie kupić wycieczkę także za dewizy. Wtedy wszystko będzie znacznie lepiej.

Skąd wziąć dewizy, nie powiedziała. Pojechaliśmy więc za ruble. Ciekawa rzecz — przyjaźń dwóch agencji podróży potwierdziła stare porzekadło „pokaż mi swoich przyjaciół, a powiem ci, kim jesteś”. Autobus moskiewskiego *Inturista* przyjechał na miejsce zbiórki o piątej rano i potem pętaliśmy się po Szeremietiewie około dwóch godzin, ponieważ wszystkie formalności zajęły najwyżej godzinę. To samo było w Rzymie: autobus przyjechał o pół do szóstej rano i na rzymskim lotnisku znów spędziliśmy beczynną dwie godziny. Nasza przewodniczka z *Inturista* spokojnie tłumaczyła, że autobus ma jeszcze innych klientów, musimy to zrozumieć. Tak że nie autobus jest dla sowieckiego turysty, tylko turysta dla autobusu.

Teraz kilka słów o przewodniczkach. Szanowni towarzysze z instytutu! Po co nam ona była? Po co opłaciliśmy jej maraton po sklepach Italii? Nasza kochana Nadzia praktycznie w niczym nam nie pomagała. Nawiasem mówiąc, wiedzieliśmy, że mamy w programie spotkanie z kolegami z rozmaitych włoskich gazet i radia. Ale Nadzia nawet tłumaczyć doręcznie nie umiała: nie znała specyfiki. Poza tym we Włoszech towarzyszyła nam przedstawicielka „Misza Travel”, która zresztą też się nie przemęczała, ale wystarczyłoby tej jednej. Więc raz jeszcze pytam: jakie specjalne zadania spełnia przewodnik *Inturista* i dlaczego turyści muszą opłacać rozrywki pracowników tej firmy?

Nawiasem mówiąc uderzyła nas zawodowa przyjaźń pracownicy agencji włoskiej i sowieckiej, która zepchnęła na dalszy plan interesy całej grupy. Były tak uprzedzająco grzeczne jedna dla drugiej i obie razem dla naszego szofera — pięknego chłopaka z imponującym czarnym wąsem — że takie problemy, jak fatalny pokój w hotelu (prawda, że tylko w Rzymie), fakt, że niepodobna było dokądkolwiek dojechać na czas i na odpowiednią ilość czasu (na galerię Pitti i Uffici we Florencji wyznaczono nam wszystkie półtorej godziny) i wszelkie inne sprawy utrudniające pobyt po prostu uchodziły uwadze naszych przewodniczek. Wielu rzeczy nie zauważał też *Inturist*. Na przykład program święta gazety *Unita* w dniu, w którym byliśmy w Modenie, wydrukowany zawczasu, przewidywał różne ciekawe imprezy — od koncertów do lotów helikopterem i fajerków, oczywiście wieczorem. Ale przywieziono nas tam o jedenastej rano i po półtorej godzinie kazano wyjeżdżać. Zresztą potem, pod lekkim naciskiem, zaproponowano nam, żebyśmy wrócili tam wieczorem, ale wracać mielibyśmy „we własnym zakresie”. Chętnych oczywiście nie znaleziono. Jak by nie było noc, za miastem i w obcym kraju. Następnego dnia okazało się, że nasza Nadzia jednak się tam wieczorem wybrała: w przeciwnieństwie do nas nie miała bariery językowej.

„Misza Travel” także dostarczył nam wielu „przyjemnych” chwil. Ta wyśmienita agencja prawdopodobnie wiedziała, że hotel „Pacyfik” w Rzymie jest odmianą brudnego domu studenckiego. Tak że można sobie doskonale wyobrazić następującą kalkulację: Rzym — ostatni punkt programu, jest na co popatrzeć, trzeba też

wydać ostatnie grosze, tak że ci Ruscy niczego nie zauważą, a jeśli nawet zauważą — to zmilczą. A hotel „Pacyfik” w Rzymie to, drodzy przyjaciele, stajnia. Mamy z czym porównać: „Starotel” w Mediolanie, „Ritz” w Modenie i „Albion” we Florencji to wszystko hotele klasy turystycznej. Nic ponadto. Ale są to całkiem przyzwoite miejsca. Zwłaszcza „Albion” ze swymi czarującymi gospodarzami — siwowłosym właścicielem hotelu z XIV wieku Augusto, który pracuje równocześnie jako oficjant, jego córką i zięciem, który pełni obowiązki portiera, kucharza, administratora itd. Tak że w Rzymie „Misza Travel” postąpił z nami po prostu nieprzyzwoicie, a instytut tę nieprzyzwoicość zaakceptował.

Niejednokrotnie spotykaliśmy rodaków, którzy korzystali z usług jakiegoś prywatnego biura podróży z Leningradu (nie zapytałem niestety o jego nazwę albo ją zapomniałem). Ci nie mieli takich problemów: ani z obsługą, ani z hotelami, ani z programem. Może by instytut poprosił prywaciarzy, aby podzielili się z nim swoim doświadczeniem?

...Wyjazd za granicę nie wymaga już, dzięki Bogu, rekomendacji komitetu partyjnego i miejskiego. Za własne pieniądze możemy już sami wybrać, dokąd jedziemy i po co. Będziemy też jeździć: świat jest szeroki i ciekawy. Ale wszyscy chcemy za granicą prezentować się godnie. A to zależy nie tylko od nas. Zresztą, jeśli uchwalili się ustawę o wyjazdach, to poważnie obawiam się o staruszkę Europę, w której mogą się pojawić tysiące robociarzy, przyzwyczajonych do koczowania dziesiątkami lat w wagonach, oraz ich żony, karmiące rodzinę zupą z proszku. Tak, za 500 dolarów miesięcznie, o tysiącu nie wspominając, będą zębami gryzli drut kolczasty, rękami kopali rowy, bo za swoje sowieckie ruble ani za granicą, ani w kraju niczego kupić nie mogą. Zresztą w ZSSR dolar jest już swojego rodzaju drugą, a nawet główną walutą.

Zresztą Szwajcarzy już wszystko zrozumieli i szybciotko uchwalili surowsze zasady przyjmowania cudzoziemców do pracy. I dla swoich nie ma za dużo miejsc. Szwajcarzy są mądrzy i dlatego są bogaci. A do Włoch na przykład wpuszczają prawie każdego: przed magistratem rzymskim widzieliśmy demonstrację Afrykańczyków, domagających się mieszkań i pracy. Skoroście wpuścili, to pomagajcie.

...Być może to i owo przedstawiłem ostrzej niż jest, ale piszę zaraz po powrocie, jak to się mówi na gorąco. A nie powiedzieć wszystkiego, co powiedziałem, po prostu nie mogę.

Ogoniok nr 46, listopad 1990.

Siergiej SZACHMAJEW

Wywiady „Kultury”

„Wszystko przesłaniają handlarze...”

ROZMOWA Z DR. LADISLAVEM VOLKO,
SŁOWAKIEM*

ROMAN LEWANDOWSKI: — O tym, co się dziś dzieje na Słowacji, panuje w Polsce mgliste wyobrażenie...

LADISLAV VOLKO: — Jest nas w Słowacji 5 milionów, z czego 600 tys. to Węgrzy, mieszkający na południu, pół miliona Cyganów. Mniejszości polska i ukraińska stanowią margines. Węgrzy ciążą w stronę Budapesztu. Ukraińcy są pochłonięci własnymi podziałami. Nikt z Ukraińców nie chce mieszkać po sowieckiej stronie, raczej odwrotnie. Polacy z Orawy i Spiszu mówią o sobie najczęściej: my jesteśmy miejscowi. Najważniejszy jest konflikt z Węgrami. Oni chcą po prostu oderwać się od Republiki i przyłączyć do Węgier. Mają tam poparcie w wielu kręgach.

R. L.: — Czy konflikt może się zaostrzyć?

L. V.: — Ostatnia ustawa o języku wcale nie poprawiła sytuacji,

* Dr Ladislav VOLKO, l. 46, publicysta, tłumacz, poeta (także w języku polskim). W latach 1966-71 studiował socjologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem — do 74 roku — jako stypendysta rządu czechosłowackiego przebywał na Uniwersytecie Warszawskim, jednocześnie pisując korespondencje dla pism *Młoda Fronta* i *Smena*. Obecnie jest redaktorem naczelnym bratysławskiego pisma *Film a divadlo*. Wyróżniony przez min. I. Cywińską medalem „Zasłużony dla kultury polskiej”.

była zbyt długo przygotowywana. Słowacy są za tą ustawą bez wyjątku — językiem urzędowym ma być słowacki na terenie całej naszej republiki zamiennie z czeskim, ale nie węgierskim ani ukraińskim. Węgrzy nie chcą się uczyć słowackiego, jadąc na Węgry mówią, że jadą do „swoich”. Chcą mieć w Komarnie uniwersytet — my mówimy, że z Bratysławy do Budapesztu jest 200 kilometrów i kto chce studiować na węgierskim uniwersytecie, może tam jechać. Są wioski, gdzie Węgrzy i Słowacy żyją zgodnie, ale są i sytuacje, że mówiąc po słowacku można nie być obsłużonym w restauracji. W jednej ze szkół na rozpoczęcie roku szkolnego zagrano hymn węgierski. To stary, historyczny antagonizm, przez wieki byliśmy poddaniymi. W węgierskim funkcjonuje określenie „głupi Słowak”. Natomiast nasz konflikt z Czechami jest konfliktem wewnętrznym — my chcemy zmiany dotychczasowych stosunków w ramach istniejącej Federacji.

R. L.: — *Jak Czeši przyjmują wasze aspiracje?*

L. V.: — Niestety nie dostrzegają nas, tak jakby w ogóle nie rozumieli o co nam chodzi. Traktują nas jak młodszego brata, podczas kiedy myśmy już wyrosli. Przyznaję, że jest w tym i nasza wina. Zawsze prosiliśmy o opiekę.

R. L.: — *Czego domagacie się konkretnie?*

L. V.: — Zaczniemy od przypomnienia. Kiedy Masaryk zawierał w 1918 roku układ ze Słowakami (było to w Stanach Zjednoczonych) postanowienia były jasne: ma powstać Czecho-Słowacja, państwo dwu narodów, na równych prawach, z równą reprezentacją. Ustanowiono podstawy federacji. Podczas I Republiki, do 38 roku, Słowacja pozostawała zdecydowanie słabszym partnerem. Taki otrzymaliśmy spadek. W ramach Austro-Węgier podlegaliśmy Węgrom, tworząc zaplecze rolnicze cesarstwa, natomiast Czechy i Morawy były jedynie pod protektoratem Austrii. Przypomnijmy, że Czechy były przed wojną jednym z najbardziej uprzemysłowionych krajów Europy. Mimo oczywistych różnic Masaryk twierdził, że istnieje jeden naród czechosłowacki.

R. L.: — *Potem była wojna...*

L. V.: — Wiedza o wojnie i jej interpretacje są bardzo okrojone, obraz jest zamazany, ponieważ mamy tylko opracowania partyjne. Istnieje na pewno kilka prawd o tym okresie. Republikę podzielono na Czechy, Morawy i powstało Państwo Słowac-

kie, pod auspicjami i za zgodą Hitlera. Przypomnijmy, że pierwszym krajem, który je uznał, był Związek Sowiecki. Niemal jednocześnie zawiązała się opozycja przeciwko temu państwu. Podziały polityczne szły prawie przez każdą rodzinę. Jeden brat był w lesie, drugi należał do Hlinkowej Gardy, bojówek popierających księdza Tiso.

R. L.: — *Kto tworzył opozycję?*

L. V.: — Byli także komuniści, ale nie można powiedzieć, że tylko oni. Powtarzam: powojenne interpretacje tego okresu zawężają problem jedynie do nich. W istocie była to koalicja kilku ugrupowań, nie tylko lewicowych, które były przeciw stojącemu na czele państwa księdzu Tiso. W Boże Narodzenie 44 roku właśnie ta koalicja spotkała się i dyskutowano o kształcie powojennym Słowacji. Już po Powstaniu Słowackim, które rozpoczęło się w sierpniu 44 roku. Opowiedziano się za układem przedwojennym z Czechami, ale z wyraźniejszym podziałem, np. w parlamencie. Akcentowano mocno federację.

R. L.: — *W jakiej sytuacji psychologicznej przyjęto na początku wojny ofertę Hitlera?*

L. V.: — Hitler postawił na aspiracje narodowe Słowaków, a w zamian chciał ich wykorzystać. Czechy eksploatował gospodarczo. Pojawiła się alternatywa: albo państwo słowackie będzie z Hitlerem, albo w ogóle go nie będzie. Na tę kartę postawił właśnie ksiądz Tiso. Po wojnie jego współpracownicy, którzy zdążyli zbiec na Zachód, twierdzili, że był to wybór polityczny, a nie ideowy. Psychologicznie, jak sobie wyobrażam, tłumaczono sytuację „brakiem innego wyjścia”. Co więcej, w pierwszym okresie podjęta decyzja wydawała się słuszna. Dotrzymywano obietnic. Jeśli chodzi o rozwój gospodarczy, był to dla Słowacji najlepszy okres. Wielu starych Słowaków do dzisiaj powtarza, że nigdy im się tak dobrze nie żyło, jak wtedy.

R. L.: — *Jak wyglądała rzeczywistość wojenna?*

L. V.: — Ostre represje pojawiły się dopiero w czasie Powstania Słowackiego i po nim. Wcześniej zagłada objęła — oczywiście — słowackich Żydów, których 60 tys. wywieziono do obozów koncentracyjnych. Klimat wojenny był jednak zupełnie inny niż w Polsce. Członkowie poszczególnych ugrupowań politycznych praktycznie się znali, co więcej, wiedzieli, co kto robi. Komunista Husak uniknął aresztowania dzięki ówczesnemu ministrowi

spraw wewnętrznych, który mu powiedział „Słuchaj, nie spiskujcie tak po tych kawiarniach, bo ja po prostu o was wszystko wiem”. Ocalił mu życie.

R.L.: — *Kto organizował Powstanie Słowackie?*

L.V.: — Powiedziałbym, że wszyscy. Pod koniec wojny sprzyjały mu nawet struktury państwa słowackiego. Czaploš, jeden z ministrów, nawiązywał kontakty ze Związkiem Sowieckim, chciał pomóc Armii Czerwonej w przejściu przez Słowację, dążył do upadku reżymu, w którym uczestniczył. Nie wiadomo, czy sam Tiso wiedział o szykowaniu powstania, ale jego współpracownicy musieli wiedzieć. Proszę sobie wyobrazić, że w państwie, które było w stanie wojny, gdzie jest policja i wojsko, przygotowuje się powstanie — nie z dnia na dzień, ale przez kilka miesięcy. Pieniądze i złoto z Banku Słowackiego przesyła się do Bańskiej Bystrzycy na potrzeby opozycji. W zrywzię wzięły udział wszystkie słowackie dywizje stacjonujące w kraju, oprócz dwu. Bili się też licznie Polacy, co się im do dzisiaj na Słowacji pamięta. Udział Polaków może potwierdzać tezę, że nie było to powstanie o charakterze komunistycznym. Można je interpretować jako próbę oczyszczenia sytuacji politycznej z paktu z Niemcami, ponieważ sam Tiso uważany był jednak za kolaboranta.

R.L.: — *Czy taka interpretacja dominuje dzisiaj?*

L.V.: — Nie. Część społeczeństwa znajduje się ciągle pod wpływem partyjnej propagandy, niekiedy bardzo mocno zakorzenionej. Mówi się wyjątkowo krytycznie o przeszłości: kolaboracja z Hitlerem, Tiso — zdrajca, państwo faszystowsko-klerykalne. Inni starają się dostrzegać złożoność epoki, oceny nie są jednoznacznie negatywne. Podkreśla się, że „była to jedyna szansa przeżycia Słowaków”. W skrajny sposób odwołuje się do wojny wskrzeszona niedawno, już po dojściu do władzy Havla, Słowacka Partia Narodowa (Slovenska Narodna Strana), która akcentuje istnienie po raz pierwszy suwerennego państwa słowackiego. Powraca do oczernionego po wojnie księdza Tiso. Radykalne skrzydło partii podejmuje nawet dyskusje „czy Tiso wiedział o losie słowackich Żydów”. Nie brak też porównań holocaustu do losu Niemców sudeckich wysiedlanych przez Czechów. Mówię, naturalnie, o stanowiskach skrajnych. Do istnienia państwa słowackiego odwołują się także inne ugrupowania polityczne, mniej radykalne. Nie można temu przeczyć.

R.L.: — *Jaki jest stosunek do Niemców?*

L.V.: — Nie jest na pewno wrogi. Niemcom z NRD trochę się współczuło, mówiąc „mają jeszcze gorzej niż my, bo nie mogą wyjeżdżać”. Wobec Niemców z RFN zasadnicza zmiana nastąpiła po 68 roku. Po fali emigracyjnej wiele osób w naturalny sposób zaczęło odnosić się do RFN z sympatią. Niemcy Zachodnie były tym wspaniałym krajem, który przyjmował uchodźców, dawał szansę przeżycia i realizacji planów. Większość szlaków emigracyjnych prowadziła do Niemiec albo przez Niemcy dalej. „Pruskie porządki”, dodajmy, stanowiły zawsze w świadomości Słowaków synonim organizacji, siły i ładu.

R.L.: — *Wracając do przeszłości — co było po wojnie?*

L.V.: — Wrócił zasadniczy problem koegzystencji Czechów i Słowaków. Większość widziała się w naturalny sposób w ramach tej samej federacji. Tendencje do separacji nie wygasły, ale pojawił się „internacjonalizm” i wszystkie problemy narodowościowe trafiły pod klosz. Oprócz wielkiego procesu Slansky’ego i innych, mniejszych, gdzie się wykańczali wzajemnie, doszło też do procesu „nacionalistów słowackich”. W 1951 sędzono współpracowników Tiso, ale także komunistów, którzy głosili, że istnieją „drogi narodowe do socjalizmu”. Wśród oskarżonych był Husak. Warstwa komunistów intelektualistów ucierpiała wtedy najbardziej. Potem federacja „rozłaziła” się po ustawach, realnie jej nie było. Dopiero w 68 roku ustanowiono federację, nawet w nazwie, gwarantującą obu narodom i wszystkim narodowościom równe prawa.

R.L.: — *Czym to było podyktowane?*

L.V.: — Powszechną wolnością i otwartością dyskusji. Mówiono: Czesi muszą zrozumieć, że jeśli Słowacy to bratni naród, sami muszą wziąć swój los w swoje ręce. Pamiętam dyskusje: demokracja czy federacja? Czy najpierw demokratyzować kraj, a potem ustanawiać federację, czy odwrotnie. Po zdławieniu Praskiej Wiosny znów wszystko zostało na papierze. Tak jak przedtem utrzymywała się nierówność reprezentacji, nierówność reprezentacji zagranicznej, dochód gospodarczy pozostawał mniejszy, a ceny wyższe.

R.L.: — *Słowakom żyło się gorzej...*

L.V.: — Nadal mieliśmy poczucie dyskryminacji. Pod każdym względem. Na Orawie, w Istiebnjej, gdzie są lasy, wybudowano ogromny zakład przeróbki sowieckiej rudy. Półprodukty odsyła-

no potem do Ostravy. Orawa została zanieczyszczona, tam powinien być rozwijany przemysł drzewny. W środkowej Słowacji wybudowano z kolei kombinat przeróbki aluminium, tam nie ma żadnej rudy. Wszystko trzeba dowozić z Albanii, z Węgier. Przerobione aluminium trafia do Czech. Produkty końcowe, jak wiadomo, są droższe. To jest nieproporcjonalne. Traktowani jesteśmy, w pewnym sensie, jak kolonia. Weźmy na przykład korpus dyplomatyczny. W ogóle nie jesteśmy reprezentowani — a uważam, że mamy już tylu zdolnych i wykształconych ludzi, że można byłoby dobierać kadry proporcjonalnie. Na imprezy międzynarodowe — targi, kongresy, seminaria — jeżdżą Czesi w naszym imieniu. Nawet w sporcie, jeśli jest dwu równorzędnych zawodników, do kadry wybiera się Czecha. To się teraz trochę zmienia, ale nie ma jeszcze dokładnych analiz. Jeżeli najnowsza władza, której reprezentantem jest Havel, się pomyli, to będzie to woda na młyn wszystkich tendencji odśrodkowych, nacjonalistycznych.

R. L.: — *Czy Havel się myli?*

L. V.: — Obchodzono niedawno uroczyste rocznicę powstania Republiki Czecho-Słowackiej, tej pierwszej. Był wielki koncert, rozmaite sesje. Na wspomnianym koncercie nie odegrano ani jednej melodii słowackiej, nie było ani jednego akcentu słowackiego. Na pozostałych imprezach, podobnie, akcent słowacki jakby nie istniał. Słowacka Partia Narodowa mówi od razu: widzicie, z nimi po prostu nie da się współpracować, oni się niczego nie nauczyli. Oni oczywiście chcą, żebyśmy się oderwali, sami nas do tego pchają.

R. L.: — *Czy Słowacy nie mają „kompleksu czeskiego”?*

L. V.: — Czesi są starym narodem o ogromnej tradycji, mają historyczną przeszłość. To rzutuje na ogólne wyrobienie narodu, jego inteligencję. Są na pewno na wyższym poziomie. Słowacy, na dobrą sprawę, swój awans cywilizacyjny osiągnęli dopiero po wojnie. Cała inteligencja, techniczna i humanistyczna, wykształciła się po wojnie. Byliśmy narodem chłopskim, bez mieszczaństwa. Dlatego ten socjalizm, nawet u zdeklarowanych antykomunistów, siedzi w każdym... Wracając do kompleksu — myślę, że go nie mamy. Z tym, że Czesi w swej masie wiedzą o wiele mniej o Słowacji niż Słowacy o Czechach. Podobnie z książkami. Słowak, jeśli czyta książki, czyta także po czesku, o Czechach i czeskiej kulturze. Natomiast Czesi czytają po słowacku bardzo rzadko.

R. L.: — *Rządzą wami?*

L. V.: — Centrum było zawsze w Pradze. Mieliliśmy wprowadzić rząd, ale decyzje, te najważniejsze, zapadały w Pradze. Ze wszystkim trzeba było zwracać się do Pragi. Zachodzą zmiany, ale minimalne. Chcąc na Słowacji zawiązać spółkę *joint-venture*, trzeba mieć zgodę Pragi. Praga daje zezwolenie na działalność międzynarodową. W urzędach centralnych pracują Słowacy, ale są w mniejszości i — wydaje mi się — że nie są to reprezentanci Słowacji. I tu dotykam innego problemu. W wyniku rewolucji zmieniono jedynie prezydenta. Cała struktura władzy w kraju pozostała nienaruszona. I to zaczyna powoli ludzi denerwować. Na rynku są braki, a tutaj szef tej czy innej centrali, jak nim był, tak nim jest. Cena benzyny podskoczyła do 12 koron za litr, czyli przy dobrym zarobku, powiedzmy 3 tys. koron, trzeba prawie tydzień pracować na bak. Tak nigdy nie było. Oczywiście z wymianą kadr trzeba bardzo uważać, podchodzić indywidualnie do każdego przypadku. Nie każdy komunista jest złym fachowcem.

R. L.: — *Czym różnią się nastroje na Słowacji od nastrojów w Czechach?*

L. V.: — Sytuacja psychologiczna jest zupełnie inna. Tam po Praskiej Wiosnie dokonano czystek wyjątkowo bezwzględnie. Inteligenci szli do kotłowni, u nas było więcej wzajemnego przenikania, wszystko przebiegło łagodnie. Twórców objętych zakazem dało się policzyć na palcach. W Paryżu usłyszałem, że w bibliotece Akademii w Bratysławie można było wypożyczać cały czas bez kłopotów *Kulturę*. Nawet tego nie wiedziałem. Witkacy był objęty w Czechosłowacji całkowitym zakazem, mnie natomiast udało się bez większych kłopotów zorganizować przy pomocy Ośrodka Polskiej Kultury w Bratysławie imprezę na stu-lecie jego urodzin. W Czechach pojawił się samizdat, u nas nie. Emigracja słowacka jest liczniejsza od czeskiej, ale intelektualnie wiele nie zdziałała. Nie było pomocy z jej strony. Na Słowacji od początku wiązano ogromne nadzieje z dojściem do władzy Gorbaczowa. Kiedy odwiedził Słowację, chyba w 1985, ludzie byli przygnębieni, bo nic nie powiedział. W nocy malowano hasła „Czekamy na Gorbaczowa!”, które milicja zamazywała. Rosjanie są na Słowacji dobrze widziani, nie ma wobec nich nienawiści. Idee panslawizmu, wielkiej słowiańszczyzny, to się zawsze podobało. Inteligencja słowacka w XIX wieku fascynowała się Rosją.

R. L.: — *Ilu Słowaków było wśród sygnatariuszy Karty 77?*

L. V.: — Mało. Z osób sprawujących obecnie władzę prawie nikt. Na Słowacji przyjęło się takie rozumowanie, że lepiej nie być w Karcie, która jest prześladowana, a robić swoją robotę. Przykładem takiej inicjatywy byli Zieloni, którzy nazywali się skromnie ruchem ekologicznym, lecz tak naprawdę dążyli do przebudowy społecznej. Próbowali coś zmieniać. Mieli kontakty z Kartą, ale niczego nie podpisywali. Potem był manifest Havla „Kilka słów”, pod którym podpisało się już wiele osób, także ze struktur oficjalnych.

R. L.: — *Kto dziś rządzi Słowacją?*

L. V.: — Wyłoniona w wolnych wyborach koalicja ruchu „Verejnost Protiv Nasihu” (Społeczeństwo Przeciw Przemocy, odpowiednik czeskiego Forum Obywatelskiego) i chadecji. Głosowało 80 proc. uprawnionych. Rozłożenie głosów było inne niż w Czechach. Tam wygrało bezdyskusyjnie Forum Obywatelskie, u nas pozostałe ugrupowania — chadecja, komuniści, wspomniana już Słowacka Partia Narodowa, Partia Demokratyczna, partia Zielonych — zebrały proporcjonalnie więcej głosów. Animosje etniczne wygrywa Słowacka Partia Narodowa, mówiąc o sobie, że są centro-prawicą. Nikt z jej przywódców nie ma doświadczenia politycznego. Szef, Vitazoslav Moric, pracował w zarządzie przetwórci warzywno-owocowej w Martinie. Nie kryją że dążą do takiej federacji z Czechami, która umożliwi oderwanie Słowacji. To oni pierwsi podnieśli sprawę języka twierdząc, że jeśli ma być jeden język urzędowy — będzie nim słowacki na terenie całej Słowacji bez wyjątku. Zamiennie z czeskim, ale nie z węgierskim, ani ukraińskim. Jeśli w Pradze, czy gdzie indziej, powtarzać się będą głosy „czego chcą ci Słowacy” jej wpływy mogą rosnąć. Teraz odbędą się wybory do władz terenowych, partia ta ma potencjalnych zwolenników i być może wygra teraz te decydujące wybory. Może dojść do dziwnej sytuacji — władzę w Bratysławie sprawować będzie dotychczasowa koalicja, a na niskich szczeblach rządzić będzie Partia Narodowa, albo nawet komuniści.

R. L.: — *Nie ma chęci brania odwetu na komunistach?*

L. V.: — Trochę tak. Przy obsadzaniu nowych stanowisk mówi się: byle to nie był komunista. Pamiętajmy jednak, że u nas komunistów było bardzo wielu. Nie było dla nich żadnej przeciwwagi — Kościoła, emigracji, opozycji, samizdatu. Teraz po połączeniu się obu partii komunistycznych — słowackiej i czeskiej — komuniści nie są skazani na zniknięcie. Z dziennikar-

skiego punktu widzenia najlepszą gazetą na Słowacji jest bratysławska komunistyczna *Pravda*. Wojują zarówno przeciw Partii Narodowej, jak i koalicji rządzącej. Wyróżnia ich to, że są młodzi, pokolenie 30 i 40-latków. W psychice Słowaków nie ma takiego urazu do komunistów, jak gdzie indziej. Chociaż pojawiają się głosy, że najważniejszych, chociażby Huska, należy postawić przed sądem jak przywódcę Państwa Słowackiego, księdza Tiso. Myślę nawet, że do takich procesów dojdzie.

R. L.: — *Jaka jest rola Kościołów w Słowacji?*

L. V.: — Są ewangelicy i katolicy. Katolicy, nie chcą nikogo obrażać, ale to raczej proszą ludzi. Ich katolicyzm nie jest na poziomie europejskim, chociaż zdarzają się wyjątki. Kościół katolicki, który był bardzo silny na Słowacji, został zniszczony po wojnie. Niektóre diecezje nie były obsadzane, aż do Praskiej Wiosny. Wybudowano wtedy wiele kościołów, wyswięcono mnóstwo księży, ale nie tylu, na ilu zgłaszano zapotrzebowanie. Teraz obserwuje się renesans, którego ja się obawiam. Kiedy papież był na Słowacji i widziałem te kamienie, gdzie mają powstać nowe kościoły, zaniepokoiłem się dokąd to nas poprowadzi. Księża domagają się zwrotu zagarniętych dóbr. Świeckie szkoły mieszczą się często w klasztorach, teraz te klasztory są zwracane. Tu będzie szkoła, mówią księża, ale z religią. Według moich ocen w Bratysławie 80 proc. rodziców nie chce szkół klasztornych. Na razie dochodzi do kompromisów — tworzy się klasy z nabożeństwem i bez. Może być jak w Polsce. Zamiast na domy cegła pójdzie na kościoły. Wchodząca w skład koalicji rządzącej chadecja mówi otwarcie o potrzebie nauczania religii w szkole.

R. L.: — *Jak układają się stosunki z Polską w wyobrażeniu Słowaków?*

L. V.: — Już mówiłem: Polakom pamięta się udział w Powstaniu Słowackim, to jest dość mocno zakorzenione w świadomości. Wiem, że w Polsce z kolei Słowacja z okresu wojny jest widziana, jako „droga do wolności”. Tędy wiodły wszystkie szlaki kurierskie. Ale mam wrażenie, że akurat ten epizod jest u nas mniej znany. Polska zawsze w świadomości Słowaków oznaczała kraj wolnych ludzi. Polacy się nie dają, coś zrobią, i pójść się bić. Ja nigdy nie byłem prześladowany, ale ponieważ studio- wałem w Krakowie miałem etykietę buntownika. Jest też świadomość tego, że Polacy posiadają bardzo dobrą i liczną elitę artystyczną i intelektualną, że przez Polskę idą wszystkie nowe

prądy i że stamtąd trafiają na Słowację. Kultura polska jest lubiana i popularna. Zresztą w Czechach również, o ile wolno mi się wypowiadać na ten temat, z tym że tam dochodzi pierwiastek rywalizacji. U nas tego nie ma, ciężyliśmy ku Polsce, szukaliśmy kontaktów. Wpływy polskie da się porównać z wpływami czeskimi. Teraz przesłaniają wszystko handlarze i to jest prawdziwe nieszczęście.

Paryż, listopad 1990

Rozmawiał Roman LEWANDOWSKI

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •

Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,

12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Sąsiedzi

Podłość

Francja, która nigdy nie uznała aneksji krajów bałtyckich, zaprosiła te trzy stare narody europejskie na konferencję KBWE w Paryżu. Jednak po rozmowie Gorbaczowa z Mitterrandem rankiem 19 listopada przedstawiciele Litwy, Łotwy i Estonii poproszono o opuszczenie sali i oddanie swoich emblematów — krótko mówiąc, Francja, która ich zaprosiła, haniebnie wyprosiła ich za drzwi. Znaczy to, że Gorbaczow:

1. narzucając Mitterrandowi swój dyktat, już zachowuje się jak pan i władca „wspólnego europejskiego domu”.

2. Zmuszając prezydenta Francji do podłości, osłabia go i szykuje grunt pod przyszłe akty kapitulacji. Jest to proceder typowy dla komunistycznych policji: przeciwnika, którego chce się złamać, należy najpierw pohańbić.

3. Wytycza oś Moskwa-Paryż. Uprzednio zbudował już (przeciwko Niemcom) oś Moskwa-Warszawa, a z Niemcami, za cenę ich zjednoczenia, oś Moskwa-Berlin. Oś Moskwa-Paryż, która działa już w stu procentach w kryzysie irackim, może przynieść Francji tylko straty. Korzyści sprowadzają się do łechtania próżności — trzeba przyznać, że nasi politycy cenią je sobie, i to tym wyżej, im bardziej są dęte.

4. Dostawszy z kieszeni podatnika francuskiego miliardowe kredyty, Gorbaczow uzyskał od Mitterranda jeszcze ważniejszą przysługę polityczną: prezydent Francji stanął mianowicie w obronie jedności imperium sowieckiego dokładnie w chwili, w której Gorbaczow zdobył instrumenty władzy, pozwalające mu złamać ruch wyzwolenczy narodów ujarzmionych.

Imperium

Głównym celem Gorbaczowa, podobnie zresztą jak Jelcyna, jest utrzymanie imperium. Chce on przekonać Zachód, że taki jest warunek przeprowadzenia reform i utrzymania pokoju. Prawda jest

dokładnie odwrotna. Dopóki ZSSR zachowa swą obecną postać imperialną, dopóty imperium to będzie musiało strzec instrumentów swojego imperializmu. Instrumenty te — komunistyczne metody represji — są nie do pogodzenia z jakąkolwiek poważną reformą. Zagrożają one również całej Europie, ponieważ struktura imperialna, która chce zachować się, musi się rozszerzać. Niewypowiedzianym powodem haniebnego wyproszenia Bałtów jest strach, jaki wciąż jeszcze budzi w nas to żebracze, a zarazem bezczelne imperium. Tymczasem mogliśmy mu się sprzeciwić bez żadnego ryzyka.

Na Wschodzie wszyscy to rozumieją. Dobrze byłoby, gdyby nasza klasa polityczna zechciała dokonać wysiłku umysłowego, by również to pojąć. Czy Mitterrand zda sobie kiedyś sprawę, że podeptał honor Francji, gospodyni KBWE, nie dla ratowania pokoju i nie po to, by „pomóc Gorbaczowowi”, jak z lubością powtarza, ale głównie wskutek swojej ignorancji politycznej?*

Alain BESANÇON

* *Le Figaro* z 22.11.1990. Ostatnie zdanie, zaczynające się od „Czy Mitterrand zda sobie kiedyś sprawę...”, zostało przez redakcję *Le Figaro* ocenzone i ukazuje się tylko w *Kulturze*.

INFORMACJA O POBYCIE DELEGACJI LITEWSKIEJ W PARYŻU

17 listopada 1990 roku odbyła się w Paryżu konferencja pod hasłem: Litwa, Łotwa, Estonia prawnymi członkami Wspólnoty europejskiej, z udziałem szczególnie licznej delegacji litewskiej.

18 listopada ministrowie spraw zagranicznych A. Saudargas (Litwa), J. Jurkans (Łotwa) i L. Meri (Estonia) spotkali się z sekretarzem stanu USA Bakerem. Nie mogli oni wziąć udziału w konferencji KBWE, gdyż w zgodzie z przepisami, ZSSR postawił veto. Wówczas Francja zaproponowała Bałtom status gości w swojej delegacji. 19 listopada (poniedziałek) przybyli oni na konferencję, ale o godz. 10 min. 30 zostali wywołani z sali, po czym odebrano im akredytacje. Stało się tak na żądanie Gorbaczowa, który zagroził Fr. Mitterrandowi, że w przeciwnym wypadku delegacja sowiecka wycofa się z konferencji.

W czasie konferencji prasowej trzech ministrów bałtyckich francuska służba porządkowa zabroniła im rozdawania dziennikarzom, poza salą konferencyjną, oświadczeń w sprawie wydarzeń poniedziałkowych.

Gdy członkowie Komitetu poparcia Bałtów, założonego na Sorbonie, pod Katedrą Notre Dame rozdawali ulotki potępiające zachowanie rządu francuskiego, policja nakazała zaprzestanie akcji w tym miejscu.

22 listopada Juozas Tumelis, przewodniczący Rady Sejmu Sajudisu i Emmanuelis Zingeris, przewodniczący Komisji spraw zagranicznych Rady Najwyższej Litwy, złożyli wizytę w redakcji *Kultury*. Omawiano stosunki polsko-litewskie, konieczność wymiany informacji (stały korespondent PAP w Wilnie), wymiany kulturalnej, naukowej i młodzieżowej, dążenie do ukształtowania na Litwie polskiej elity inteligentnej, a nade wszystko potrzebę uznania Litwy przez rząd Polski i nawiązania stosunków dyplomatycznych, co można osiągnąć jedynie poprzez wywieranie nacisku społecznego na rząd w Warszawie.

W sowieckiej prasie

Na niedawnej międzynarodowej konferencji wdał się w mną w rozmowę młody ukraiński robotnik, deputowany do Rady Najwyższej Ukrainy. Opowiadał mi oczywiście o trudnościach i dodał, że jego rodacy marzą tylko o jednym: żeby ktoś kupił Ukrainę. Zły przykład dały Niemcy zachodnie: wykupując calusięnką NRD, otwarty drogę marzeniom. W zjednoczonych Niemczech nie wszystko jeszcze się unormowało, wschodnie tereny przeżywają „trudności wzrostu”. Któż jednak wątpi, że w stosunkowo krótkim czasie poziom życia w różnych częściach państwa niemieckiego się wyrówna? Były obóz socjalistyczny to co innego: tutaj trudności narastają, a nad przyszłością unoszą się czarne chmury.

To samo dotyczy — w jeszcze większym stopniu — republik sowieckich. Sytuacja jest coraz gorsza, a światła w tunelu nie widać. Jedyłą nadzieją jest Zachód. Z dwóch powodów: po pierwsze, Zachód rzeczywiście może pomóc; po drugie — może i chce pomóc osobiście Gorbaczowowi. *Washington Post* pisał 22.XI.: „Rząd amerykański przyzwyczał się do Gorbaczowa i zachwyca się nim, ma więc nadzieję, że utrzyma się przy władzy i dopnie swego”. Pomoc Zachodu stała się główną podstawą władzy Gorbaczowa. Przez ostatnich pięć i pół roku odnotowuję w przeglądach prasy sowieckiej, jak generalny sekretarz, a od marca 1990 roku także prezydent ZSSR, zdobywa wciąż nowe poławie władzy. Nie zadowala się legalną władzą, wciąż domaga się i uzyskuje specjalne pełnomocnictwa. Na początku grudnia Gorbaczow zdobył kolejną, niebywałą prerogatywę: rząd znalazł się mianowicie pod jego bezpośrednią kontrolą.

Wszyscy obserwatorzy jednomyślnie odnotowują, że im większa jest teoretyczna, formalna władza *genseka* i prezydenta, tym mniej ma władzy rzeczywistej. Stwierdzenie to nie wydaje mi się w stu procentach słuszne. Przede wszystkim Gorbaczow zawsze uzyskuje to, o co mu w zasadzie chodzi, a po drugie wciąż jest jedynym i wyłącznym rozmówcą Zachodu. Daje mu to ogromne możliwości,

jeśli chodzi o rozdzielanie kredytów. Po trzecie wreszcie, w jego i tylko jego rękach spoczywają tarcza i miecz — KGB i wojsko. Machiavelli zauważył, że zwyciężają tylko uzbrojeni prorocy: prorok Gorbaczow ma w rękach potężne instrumenty władzy.

Przekonanie o jego bezsilności ma dwie przyczyny: kraj pogrąża się w chaosie, zapowiedziane reformy realizowane są źle i połowicznie, a struktura państwa w zasadzie pozostaje bez zmian. Powołałam się na źródło, w którego kompetencji trudno wątpić. Przemawiając w grudniu 1990 r. w Radzie Najwyższej RSFSR, Borys Jelcyn mówił o kryzysie ustroju totalitarnego, który „wciąż jeszcze w naszym kraju istnieje”. Przywódca Republiki Rosyjskiej wie chyba, co mówi. W związku z tym narzuca się przemożnie pytanie, czy aby obserwatorzy, którzy tak ubolewają nad bezsilnością Gorbaczowa, dobrze rozumieją cele jego strategii. Być może nie wiedzą, o co mu w rzeczywistości chodzi?

Przyjrzyjmy się ostatnim „reformom”. Wszyscy wreszcie zgodzili się, że głównym ekonomicznym problemem kraju jest problem ziemi. A Gorbaczow stwierdził z oszałamiającym, podziwu godnym marksistowskim oślim uporem: „Jestem kategorycznie przeciwny prywatnej własności ziemi”. Gotów jest oddawać ziemię w dzierżawę na sto lat, byle nie zezwolić na „prywatną własność”. 3 grudnia Rada Najwyższa Rosji uchwaliła — mimo sprzeciwu Gorbaczowa — pakiet ustaw o reformie rolnej. Teraz można już być pewnym, że długo jeszcze nie będzie w Rosji farmerów. Ustawa o prywatnej własności ziemi obwarowuje ją takimi warunkami, że trzeba być bezmyślnym entuzjastą, aby poważyć się na takie awanturnictwo, jak nabywanie ziemi. Dość powiedzieć, że nabywcy ziemi nie wolno jej sprzedawać wcześniej niż za dziesięć lat, i to tylko państwu. Przy tej okazji Borys Jelcyn wyjaśnił, że pojęcia kupna i sprzedaży ziemi są obce rosyjskiej duszy. Gorbaczow może spać spokojnie (zresztą ten problem i tak nie spędzał mu snu z powiek): reforma rolna nie naruszy podstaw systemu. Inna reforma, o której nieprzerwanie mowa od dwóch lat, dotyczy rynku. Wszyscy ekonomiści, eksperci-akademicy i publicyści powtarzają: rynek jest niezbędny, bez niego stoczmy się w przepaść. Wśród licznych propozycji, reform i specjalnych środków, mających zrodzić cud — rynek — poważne miejsce zajmują tzw. spółki mieszane, zwane teraz *joint-ventures*. Wydawałoby się, że wszystko jest proste: z jednej strony przedsiębiorcy, z drugiej — zagraniczne kapitały... Gospodarka rozkwitnie. Okazuje się jednak, że gospodarka jak była, tak pozostaje sowiecką i ani myśli kwitnąć, a jeśli nawet gdzieś wysunie łepkę jakis skromny kwiatek, natychmiast ścina go państwo. Na początku listopada rozpoczęła się w Moskwie konferencja Rosyjskiego Związku Przedsiębiorstw Mieszanych. W całej Rosji zarejestrowano ich 2.000, liczba to skromna, ale wszyscy mówcy na konferencji mówili tylko o jednym: o intensywnej kampanii likwidacji spółek mieszanych. Obłożono je horrendalnymi podatkami: 60-70% zabiera państwo. Mało tego, podczas konferencji prasowej poświęconej zorga-

nizowanej przestępczości (początek listopada) przewodniczący KGB Władimir Kriuczow oznajmił, że „należy zbadać”, czym są spółki mieszane. „Przynoszą one naszemu państwu ogromne straty — dodał — wielkości miliardów rubli...”.

W odpowiedzi na życzenia KGB Gorbaczow podpisał w grudniu ukaz prezydencki o utworzeniu „kontroli robotniczej”: mianowicie drużyn, które będą sprawdzały działalność spółek mieszanych, kooperatyw itd. W drugiej połowie lat 30-tych, apogeum stalinizmu, „kontrolę robotniczą” sprawowały „brygady lekkiej kawalerii”. Podczas chińskiej rewolucji kulturalnej szalały — jak pewnie jeszcze ten i ów pamięta — oddziały hunwejbiniów. Nauczycieli nie brak.

Jeden z mówców zacytował podczas konferencji dokument sowieckich służb specjalnych, znaleziony w gabinecie Bolesława Bieruta. Dokument ten ogłosiła moskiewska gazeta *Demokratyczeskaja Rossija* (czy był drukowany w Polsce, nie wiem). „Należy zrobić co tylko można — zaleca instrukcja — aby dyrektywy i uchwały, zarówno prawne jak ekonomiczne oraz administracyjne, zawierały element niekonkretności. Należy koniecznie zrobić co tylko się da, aby każdą kwestią zajmowało się równocześnie kilka komitetów, urzędów i organizacji, ale aby żadne z nich nie miało uprawnień, pozwalających mu wpływać na działalność przedsiębiorstw. Kierownictwo powinno ograniczać się do wykonywania dyrektyw”. Taka była praktyka sowiecka od pierwszych dni istnienia systemu. Taką też została przez pięć i pół roku *periestrojki*.

Jeśli uznamy, że Gorbaczow nie chciał i nie chce radykalnie zmienić fundamentów, że chce tylko ulepszyć działanie socjalizmu, to w tym szaleństwie odkryjemy metodę. Wszystko mianowicie służy systemowi. Gorbaczow znajduje kupców na wszystko, co chce sprzedać. A oferuje bogaty asortyment pończotnych towarów. Przede wszystkim, rzecz jasna, wystawia na sprzedaż „gigantyczny sowiecki rynek”. Kapitałiści zawsze marzyli o mitycznym rosyjskim rynku. Mity są uparte i wbrew rzeczywistości mają długi żywot. Gorbaczow sprzedaje też panikę. Grozi: jeśli mi nie pomożecie, Europę pochłonie chaos, „czarna dziura”. Straszy: rakiety nuklearne znajdują się (w razie rozpadu Związku Sowieckiego) w rękach ekstremistycznych nacjonalistów i spowodują zabójczą wojnę. Zachód mu wierzy. *International Herald Tribune* (2.XII.90) ogłosił artykuł, zatytułowany „Wspólnota Europejska nie może pozwolić, aby Wschodnia Europa poszła na dno”. Wydawałoby się, że to bardzo ładnie. Okazuje się jednak, że autorowi chodzi o to, iż należy koniecznie zachować przy życiu RWPG, główny instrument wyzysku krajów socjalistycznych. *New York Times* ostrzega (11.XII.90) „nacjonalistyczne gorące głowy” w republikach nadbałtyckich, żeby się nie spieszyły z żądaniem suwerenności, bo to może utrudnić Gorbaczowowi doprowadzenie do końca negocjacji na temat nowego traktatu związkowego.

Masowa emigracja z ZSSR stała się ostatnimi czasy poważnym zagrożeniem. Prasa sowiecka sporo pisze o tym, że w najbliższym

czasie, po otwarciu granic, runie na Zachód od 7-miu do 30-tu milionów obywateli sowieckich — na saksy. Deng Tsiao-ping, kiedy był jeszcze kochany, podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych repelikował na zarzuty, że Chiny są odcięte od świata żelazną kurtyną: a ile chcecie przyjąć Chińczyków? Pięćdziesiąt milionów? Sto milionów? Gorbaczow nie ma takich zasobów, ale liczby, którymi grozi, robią wystarczające wrażenie.

Wśród towarów, które wystawia na sprzedaż Gorbaczow, specjalnym powodzeniem cieszy się „żelazna ręka”. Może być nawet bez aksamitnej rękawiczki. Z perspektywy Zachodu chaos w Związku Sowieckim osiągnął już takie rozmiary, że wszyscy rozmówcy prezydenta ZSSR coraz lepiej rozumieją, iż musi on „przedsięwziąć środki”. Zarówno wewnątrz ZSSR, jak i za jego granicami. W listopadzie i grudniu 1990 Michaił Gorbaczow zademonstrował, że jest gotów i zamierza „zaprowadzić porządek”. 2 grudnia TASS zawiadomił krótko i jasno — w czterech wierszach — że ministra spraw wewnętrznych Wadima Bakatina zastąpił Borys Pugo. Bakatin uchodził za liberała. O Pugo nikt tego nie powie. Ulubieniec Breżniewa, przez cztery lata przewodniczący łotewskiego KGB, za Gorbaczowa mianowany szefem Komisji Kontroli Partyniej KC KPZS, Borys Pugo nawet swoim łotewskim pochodzeniem przypomina pamiętne pierwsze dni czekistowskiego terroru, kiedy na czele policji politycznej Lenina stanęli Dzierżyński, Łacis i inni „obcoplemieńcy”, bez litości dla rdzennego rosyjskiego narodu.

Nie mniejsze wrażenie zrobiło mianowanie na stanowisko wiceministra spraw wewnętrznych generała Borysa Gromowa. Ostatni dowódca wojsk sowieckich w Afganistanie, Gromow należy do szeregu kandydatów na Bonapartego. Trudno powiedzieć, czy rola zastępcy ober-zandarma kraju odpowiada ambicjom młodego (stosunkowo) generała. Pewne jest natomiast, że skierowanie zasłużonego generała do „organów” oznacza wciągnięcie armii do walki z chaosem. Francuzi nazywają wojsko „wielkim milczkiem”. Wojsko sowieckie, w osobie ministra obrony marszałka Jazowa, wiele przez ostatnie tygodnie mówiło. Zawsze tonem pogroźki. Jazow ostrzegł m.in. w telewizyjnym przemówieniu, że „armia nikomu nie pozwoli z siebie szydzić”. Miał na myśli ataki na żołnierzy w niektórych „zbuntowanych” republikach. Gorbaczow przydenkim ukazem pozwolił wojsku użyć broni w razie napaści.

Jeszcze więcej niż Jazow mówi — zwłaszcza od niedawna — przewodniczący KGB Władimir Kriuczukow. 11 grudnia oświadczył w telewizji, że „organy” przystąpiły do kontraktacji i gotowe są użyć wszystkich dostępnych im środków w walce z „antykomunistycznymi siłami” w kraju i za granicą, zagrażającymi autorytetowi centralnej władzy. „KGB dokonało wyboru — jest nim obrona socjalistycznej ojczyzny” — zapewnił przewodniczący. Szczególnie wart uwagi był w jego przemówieniu nacisk na konieczność walki ze szkodliwymi wpływami zachodnich wywiadów. Kriuczukow uprzedził, że „niektóre radykalne ruchy polityczne otrzymują poparcie

zza granicy” i dodał, że teraz, kiedy „nasz kraj bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje jedności”, należy koniecznie wzmocnić walkę z tymi siłami, które sabotują braterstwo narodów. Przypomniał zapomniane wydawałoby się formułki, jak „niewypowiedziana wojna” przeciw państwu socjalistycznemu itp.

Władimir Kriuczukow zapewnił widzów, że on i jego podwładni są oddani *perestrojce* i zmianom demokratycznym, ale uprzedził, że kraj nie może dłużej tolerować „walki na ustawy”, kiedy to republikańskie Rady Najwyższe uchwalają prawa sprzeczne ze związkowymi i nie wykonują prezydenckich ukazów. Odmalował mroczny obraz: istnieje niebezpieczeństwo, że Związek Sowiecki się rozpadnie, „rozpala się szowinizm narodowy, prowokuje się masowe zamieszki i akty gwałtu”. Kriuczukowa szczególnie boli, że „antykomunistyczne siły w walce o władzę stosują niedemokratyczną taktykę”. Wreszcie wspominał, że władzy sowieckiej szkoda sabotażyści ekonomiczni i czarny rynek, korzystający z obecnego kryzysu żywnościowego.

Przemówienie przewodniczącego KGB to cały program, którego zastosowanie ma „znormalizować” Związek Sowiecki. I to jest właśnie polityka Gorbaczowa. Przez ponad pięć lat udawał — a komentatorzy, zwłaszcza zachodni, wierzyli — że na przeszkodzie stoją mu Ligaczow i Jelcyn, prawica i lewica, konserwa i liberałowie. Jak zły baletnicy, przeszkadzał mu nawet rąbek u spódnicy. W rzeczywistości prowadził umiejętną, przemyślaną politykę, której celem było zdobycie pełnej władzy. Sowiecka historia świadczy, że tak samo postępowali wszyscy jego poprzednicy. Każdemu z nich — od Stalina do Breżniewa — zajęto to około pięciu lat (nie biorę pod uwagę krótkich rządów Andropowa i Czernienki). Z punktu widzenia władzy personalnej Gorbaczow doskonale wykorzystał minione pięć lat. Teraz może przystąpić do przykręcania śruby. Wspiera go potężny i życzliwy świat kapitalistyczny.

Trudno zaprzeczyć: trudności widać gołym okiem. W pogoni za władzą Gorbaczow złożył wielkie ofiary. Liczy teraz na zapłatę. Najwyższej ceny żąda za zachowanie imperium. Można się obawiać, że dostanie wszystko, czego żąda: żywność, technikę, kredyty. Można też spodziewać się, że im twardsza będzie jego polityka, tym hojniejsza zapłata. Zachód zawsze kochał sowieckich wodzów. Im bardziej byli krwawi, tym goręcej ich zresztą kochał.

Norwescy dyplomaci wspominają rozmowę, jaką odbył w 1945 r. minister spraw zagranicznych Norwegii z Mołotowem. Ulubiony dyplomata Stalina przyjął Norwega i po omówieniu ważnych spraw zapytał: A co zamierzacie zrobić z Knutem Hamsunem? Jak wiadomo, autor „Głodu” niezwykle życzliwie odnosił się do niemieckich okupantów Norwegii. — Zamierzamy oddać go pod sąd — odparł norweski minister. — Ależ on ma ponad osiemdziesiąt lat! — wykrzyknął sowiecki minister. — Trzeba być wyrozumiałym. — Norweg nieustępliwie odparł: — Pan jest za miękki, panie Mołotow!

Zachód nie lubi miękkich sowieckich przywódców. Z reguły do-

staje zresztą takich, jakich lubi. I odpowiednio ich nagradza. Istnieje niezliczona ilość planów i projektów, jak pomóc Gorbaczowowi. Jeden z najciekawszych spłynął z pióra profesora Harvardu, ekonomisty Jeoffreya Sachsa, doradcy Tadeusza Mazowieckiego. Porady, jak uratować polską gospodarkę, widocznie mu nie wystarczyły, amerykański profesor postanowił więc udzielić kilku rad także gospodarce sowieckiej. W rozmowie z francuskim ekonomistą François Lazare (*Le Monde* z 9-10 XII 90) dał wyraz nieufności wobec rozmaitych projektów pomocy dla ZSSR, które na ogół, jak powiedział, odpowiadają interesom „zachodnich lobbies”. Związek Sowietki — tłumaczy ekonomista — nie potrzebuje, jak niektórzy twierdzą, nowych domów, nowego systemu komunikacji ani modernizacji energetyki. Potrzebuje natomiast nowego systemu ekonomicznego. Ten zaś można uzyskać, kupując go od Związku Sowieckiego za gotówkę. Należy dawać Moskwie pieniądze, na przykład ok. 30 miliardów dolarów rocznie. Co nieco — ale mniej — ma też kapnąć krajom Europy Wschodniej.

Myślę, że gdyby Jeoffrey Sachs wystawił swoją kandydaturę na stanowisko prezydenta ZSSR, zostałaby z łatwością wybrany, zwłaszcza jeśliby obiecał, że te 30 miliardów rozdzieli między obywateli i będzie to następnie robił co rok. Cokolwiek by myśleć o projekcie harwardzkiego profesora (jestem przekonany, że nie wszystkich zachwyci), trudno nie przyznać, że tylko wdzięk Gorbaczowa mógł być przyczyną takiej hojności.

12.XII.1990

Adam KRUCZEK

Niemcy na rozdrożu

Na tytułowych stronach popularnych i licznych w tym kraju ilustrowanych tygodników postać kanclerz Helmuta Kohla w triumfalnej pozie. Super-kanclerz, albo jeszcze lepiej „kanclerz słońca”, piszą często w nagłówkach czasopisma, które jeszcze niedawno utyskiwały na brak wyobraźni i koncepcji sternika rządu i chadecji w Bonn. Duch sukcesu, nieporadne dziecię wieku kultury masowej i dyktatu telewizji, wyciska swe piętno również na niemieckich środkach przekazu. W tej dziedzinie Niemcy są od dawna mistrzami w recepcji amerykańskich obyczajów kreowania nowoczesnej kultury politycznej wraz z jej blaskami i cieniami. Zresztą trudno wymagać od kierowników ośrodków informacji, aby w imię wczorajszych poglądów redaktorów i komentatorów, gwałcili prawa rynku i reklamy.

Kohl jest zwycięzcą w pierwszych od 1932 roku wolnych ogólnoniemieckich wyborach do parlamentu i nikt mu tej satysfakcji nie odbierze. W znakomity sposób wyczuł atmosferę dziejową w obydwu społeczeństwach do niedawna podzielonego kraju i szybko ten kapitał zaufania do jego polityki zjednoczeniowej wykorzystał. Każda zwłoka, każde opóźnienie, wszelkie kunktatorstwa stanowiły, jego zdaniem, niepotrzebne ryzyko. Wykazał talent polityczny, który przyznawali mu nieliczni znawcy jego prawdziwych zdolności, obserwujący od lata, jak ten na pozór jowialny Nadreńczyk wypunktowywał po kolei wszystkich dotychczasowych rywali, począwszy od Reinera Barzela, Franza Josepha Straussa, Kurta Biedenkopfa i kilku późniejszych pretendentów. W swoim długim marszu do ponownej kadencji kanclerskiej popełnił kilka gaff, ale w sumie wykazał w momencie powstawania nowych szans dla federacji Niemiec świetny węch i skoncentrowaną wolę realizacji tych możliwości. Dwóch ludzi miało w tym udział, zwłaszcza jeśli chodzi o wykorzystywanie nowych możliwości na polu polityki zagranicznej lub przygotowywania przedpola do kolejnych kroków w kierunku obranego przed laty celu, a mianowicie uzyskania zaufania możliwych tego świata, a następnie stworzenia odpowiednich warunków międzynarodowych do obalenia podziału Niemiec — mianowicie wicekanclerz i minister spraw zagranicznych z ramienia liberałów Hans Guenter Genscher i osobisty doradca w urzędzie kanclerskim Horst Teltschik.

Ten świadomie praktykowany przez kanclerza dualizm w polityce zagranicznej był przez długie lata solą w oku niemniej ambitnego Genschera i wywołał bezsilną irytację w kancelariach Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żyjącego od czasów carskich Niemiec w atmosferze profesjonalnej zarozumiałości. Teraz ironia losu zrzędziła, że Kohl mimo wyborczego triumfu musiał zrezygnować z dotychczasowej gry na dwóch fortepianach. Zmusili go do tego liberałowie z Genscherem na czele, którzy w wyborach parlamentarnych i w głosowaniu w Berlinie uzyskali w swym daleko skromniejszym elektoracie ogromny sukces podwoiwszy stan posiadania w Republice i przeskoczywszy pięcioprocentowy limit nad Szprewą w wyborach do nowego, wspólnego dla całego Berlina, Zgromadzenia Przedstawicielskiego. Horst Teltschik, któremu kanclerz za zasługi w targach z Gorbaczowem o zjednoczenie obiecał awans na podsekretarza stanu do specjalnych poruczeń w urzędzie kanclerskim, musiał się — pod kanonadą protestów partnerskiego obozu liberałów — szybko wycofać. Długoletni wierny towarzysz i doradca Kohla nie przeboleał porażki i w tydzień po zadanym ciosie podał się do dymisji. Znalazł zresztą pocieszenie w najbogatszym koncernie wydawniczym Niemiec i Europy Bertelsmana, stanąwszy na czele jego fundacji, przy skromnym honorarium sześciuset tysięcy marek rocznie. Następcą Teltschika został, odkomenderowany do kanclerza jako referent Hartmann — lojalny urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ale grudniowe wybory niemieckie to nie tylko zwycięstwo Kohla i chadecji i nie wyłącznie sukces liberałów Genschera i barona Lambsdorffa. To również porażka socjaldemokracji niemieckiej i kłeska Zielonych. Dla SPD przegrana w wyborach do Bundestagu i do miejskiego parlamentu w zjednoczonym Berlinie — to nie zwykła rutynowa przegrana, jaka każdej partii może się wydarzyć i co jakiś czas się zdarza. Wybory z 2 grudnia 1990 roku były w pełnym tego słowa znaczeniu wyborami historycznymi. Jeszcze trudniejsze będzie odbudowanie ekologicznej partii Zielonych z jej niemal zupełnie zniszczonej egzystencji politycznej.

Nie zapominajmy, że nowoobрани Bundestag to przyszły tygiel, w którym w ciągu czteroletnich debat, spotkań i sporów będzie powstawała nowa niemiecka wspólnota narodowa, nowa spójnia myślowa. Z tego tygla, w którym będą się warzyły rozmaite, dotąd odrębne mentalności, wyłoni się coś nowego. Duchowo, mimo — a może na skutek — błyskawicznego, przez wielu nieprzewidzianego, a potem pod żywiołowym naciskiem wydarzeń i wschodnioniemieckich mas, często *ad hoc* przebiegającego procesu zjednoczeniowego, Niemcy są wciąż jeszcze rozdarte. Scalanie dwóch części kraju, które ponad czterdzieści lat rozwijały się w przeciwstawnych systemach ideologicznych, społecznych i gospodarczych jest dziejowym eksperymentem, jakiego dotychczas nikt nigdzie nie wypróbował. Nawet doświadczenia Polski porozbiorowej niewiele Niemcom mogą pomóc, gdyż mimo wszystkich ówczesnych różnic, charakterystycznych dla mocarstw rozbiorowych, które ciemniły Polskę, istniały pomiędzy nimi pewne wspólne elementy, jak prywatna własność, pokrewna rola politycznych klas, istnienie warstw ziemiaństwa, chłopstwa, kupiectwa, inteligencji, kleru. Komuniści wszystko to zniszczyli i stąd nawet w krajach tak zdolnych jak Niemcy do organizacyjnego wysiłku i do zdyscyplinowanych akcji działania w kierunku scalenia obydwu części kraju natrafiają na nieprzewidziane opory.

Dla socjaldemokracji niemieckiej niepowodzenie w tych wyborach, i to zarówno w zasięgu ogólnoniemieckim jak i w obrębie berlińskim, jest wstrząsem, który wywołał największy chyba w powojennej historii Niemiec wewnętrzny kryzys w tradycyjnym stronnictwie. SPD jest zresztą jedyną historyczną partią, która przetrwała burze historii i stała się — wbrew doświadczeniom innych krajów — potężną siłą polityczną wykraczającą daleko poza granice dawnego czysto robotniczego elektoratu. Obecna przegrana stanowi poważny sygnał ostrzegawczy. Przyczyny porażki są wielorakie. Oczywiście patriotycznemu i bardzo optymistycznemu programowi Helmuta Kohla jego adwersarz, kandydat na kanclerza SPD, inteligentny i elokwentny premier rządu prowincji Zagłębia Saary, Oskar Lafontaine, przeciwstawił projekt kontrakcji, pełnej sceptycyzmu, ostrożności i katastroficznych przepowiedni na temat groźących kosztów zjednoczenia i przyszłych kłesk społeczno-ekonomicznych nieprzemysłanej i chaotycznej polityki rządzącej koalicji w

Bonn. Możliwe — w każdym razie niewykluczone — że na dalszą metę kandydat opozycji miał rację, ale jego racjonalistyczno-krytyczna filozofia nie pasowała do dzisiejszego dnia. Społeczeństwo niemieckie, szczególnie to na wschodzie, które czekało na koniec rozbioru jak na objawienie, nie chce słuchać czarnych przepowiedni.

To pierwsza i najważniejsza przyczyna politycznego zawału SPD. Druga, to sprawa partyjnej dyscypliny i zwartości. Tradycyjną cnotą socjaldemokracji niemieckiej była jej wewnętrzna spójność. Kiedy szła do wyborów, znikwały wewnętrzne kłótnie i programowe przegrody. Tym razem owa tradycja nawaliła. Zdziwiony wyborca wnet spostrzegł, że w kierownictwie czołowi politycy ciągną wóz wyborczy w rozmaite strony. W jedną, narodową, eks-kanclerz Willy Brandt, w inną przewodniczący Vogel, zaś inny eks-kanclerz Schmidt, zamiast kandydata własnej partii publicznie chwalił Helmuta Kohla. Trudno się dziwić przegranemu Saarlandczykowi z pięknym francuskim nazwiskiem, który tuż przed kampanią wyborczą ledwie przeżył zamach na swoje życie i potrzebował kilku miesięcy wytchnienia, iż przyparty do muru przez niezbyt lojalnych kolegów z zarządu partii, z miejsca odrzucił natarczywe oferty przejęcia kierownictwa stronnictwa i frakcji w parlamencie. Nikt dziś jeszcze nie wie, czy jest to prawdziwa rezygnacja, czy jedynie jakiś niemiecki Sulejówek. Tak czy owak w SPD wybuchła panika i gwałtowne poszukiwania godnego następcy.

A ponieważ nieszczęścia często nie lubią chodzić w pojedynkę, to los ukarał jednocześnie socjaldemokratów berlińskich, Waltera Mompera w zachodnim Berlinie i Toniego Swierczynę na wschodzie. Obydwaj byli do wyborów burmistrzami w dwóch częściach miasta. Momper, Niemiec z krwi i kości, a Swierczyna człowiek z przedziwną biografią. Urodził się przed wojną na Górnym Śląsku, matka była Niemką, ojciec zawodowym oficerem polskim. Przyszedł wrzesień 1939. Ojciec zginął w walce z Niemcami, a matka posłała syna na naukę do Niemiec. Nie miał łatwego życia, ale jakoś się prześliznął przez hitlerowców i komunistów i pozostał porządnym człowiekiem. Ale kłeska socjaldemokracji nad Szprewą rozegrała się nie na wschodzie miasta. Tam espedowcy zdobyli nawet większość głosów. Tam też byli komuniści, którzy się przekształcili w Partię Demokratycznego Socjalizmu, pozostali znaczącą siłą. Było to votum nieufności wobec sojuszu socjaldemokratów z Zielonymi, który istotnie nie zdał egzaminu. Winna temu była nie socjaldemokracja lecz zupełnie zwariowana partia młodych ekologów, zwłaszcza jej feministyczne skrzydło. Owe zielone Amazonki przewróciły zachodnioberliński Senat do góry nogami i za to zapłaciła teraz socjaldemokracja. Z drugiej strony zachodni berlińczycy zateęsknili za chadecją, którą przed dwoma laty porzucili. Owa nostalgia jest następstwem niezadowolona, szczególnie wśród dominującej starszej generacji, po zniesieniu muru. Napływ biednych krewnych zza między sprawił, że w zachodnim Berlinie zrobiło się ciasno, niewygodnie i trochę zapachniało socjalizmem.

Ale pech chciał, że chadecja nie może inaczej powrócić do władzy jak tylko w koalicji z dotychczasowym przeciwnikiem, socjaldemokracją. I oto Berlin jako jedyne miejsce w Niemczech będzie miał czarno-czerwoną koalicję. Natomiast nie będzie już miał w parlamencie szowinistycznej prawicy w postaci Partii Republikańców. Ten późny post-nazistowski przeszczep nie przyjął się. I to nie tylko w Berlinie, ale i w całym Niemczech.

BERLIŃCZYK

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

7 listopada Litwini uniemożliwili paradę Armii Sowieckiej w Wilnie. Czołgi musiały zawrócić, gdyż ludzie kładli się na jezdni. Atak komandosów na budynek Konserwatorium Wileńskiego, gdzie odbywały się wiece protestacyjne młodzieży, został odparty.

17 listopada doszło w Wilnie pod koszarami do starć między manifestantami, którzy domagali się wycofania armii Sowieckiej z Litwy i żołnierzami rosyjskimi. 5 manifestantów odwieziono do szpitala.

13 listopada V. Landsbergis przyjęty został przez premier M. Thatcher jako prezydent Litwy.

Konsultacje prowadzone w listopadzie z Moskwą nie dały żadnych wyników. Nie podpisano również umowy handlowo-gospodarczej na rok 1991 między Litwą, Łotwą i Estonią a ZSSR, ponieważ rząd sowiecki ultimatywnie zażądał, by państwa bałtyckie uznały ustawodawstwo ZSSR i zgodnie z nim tworzyły gospodarkę. Stosunki gospodarcze między Litwą i ZSSR ustaną więc 1 stycznia 1991 roku.

Pod koniec listopada odbyło się w Wilnie wspólne posiedzenie parlamentarzystów krajów bałtyckich. Miało ono zapoczątkować wspólną obronę przed ZSSR.

Sabotaż lokalnych komunistów spowodował gwałtowne pogorszenie się stanu zaopatrzenia na Litwie i zniknięcie produktów żywnościowych z półek sklepowych.

Na 11 tys. poborowych na Litwie, zgłosiło się 500, w tym większość Rosjan. Około tysiąca Litwinów z zeszłorocznego poboru opuściło szeregi Armii Sowieckiej. KGB zapowiada ściganie dezertorów. Jednocześnie parlament uchwalił ustawę o służbie alternatywnej. Organizacja Jaunoji Lietuva („Młoda Litwa”) przystąpiła do

tworzenia armii litewskiej, ale nacisk KGB wydaje się paraliżować te działania.

Prezydent Landsbergis wezwał do biernego oporu i nieuczestniczenia w nowych wyborach, w wypadku wprowadzenia na Litwie władzy prezydenckiej Gorbaczowa. Możliwy scenariusz przewiduje zajęcie budynków państwowych przez komandosów, aresztowanie (internowanie) działaczy antykomunistycznych, rozwiązanie parlamentu, przekazanie władzy Brazauskasowi (tzw. niezależna KPL) i dogadanie się z poputczykami, gotowymi zaakceptować władzę Moskwy w imię unikania ofiar, czyli powrót do pierwotnego scenariusza fikcyjnej niepodległości w ramach ZSSR, zakłóconego przez wybór V. Landsbergisa na stanowisko przewodniczącego Rady Najwyższej Litwy. Napięcie na Litwie stale rośnie, zaś KGB działa otwarcie. Litwini obawiają się, że Moskwa utworzy własne MSW, podobnie jak już ma własnego prokuratora na Litwie.

10 grudnia po spotkaniu z G. Bushem V. Landsbergis oświadczył, że Litwa przygotowuje się do przetrwania nowej blokady sowieckiej, która rozpocznie się 1 stycznia 1991 roku. Będzie to „decydująca zima”. Litwa będzie musiała więc stawić czoła znacznie ostrzejszej blokadzie w o wiele gorszych dla siebie warunkach niż latem, tylko dlatego, że w korzystniejszych warunkach uległa naciskom rodzimych komunistów i poputczyków, uchwalając deklarację o moratorium.

Nowa *Gazeta Wileńska* (*Vilniaus Laikraštis*) drukuje jedną stronę po polsku. Gazeta zamieszcza sprawozdanie z dyskusji Litwinów w klubie „Forum Przyszłości Litwy” na temat stosunków z Polakami. Uczestnicy Forum uważają, iż „należy się spodziewać, że nacisk Polski na Litwę będzie wzrastał o tyle, o ile bezpieczne będą jej granice zachodnie, a ekspansja na Wschód jest możliwa o tyle, o ile nie zaprzeczy to interesom Białorusi, Ukrainy i Rosji”. Polska będzie starała się kontrolować życie tutejszych Polaków. Litwini widzą dla siebie „nie najlepsze skutki”, gdyby otwarto powtórnie Uniwersytet Batorego i uczyniono zeń centrum kultury dla wszystkich Polaków w ZSSR. Problem stwarza rozdzielanie szkół polskich i litewskich. Dyskutanci uznali, że „trzeba zmienić status Polaków, jakoby spolszczonych Litwinów”.

29 Polaków litewskich wystosowało do rządu RP i ONZ Memorandum, oskarżając władze litewskie o depolonizację ludności polskiej i domagając się autonomii terytorialnej. 28 września poseł OKP St. Niesiołowski wygłosił w Sejmie mowę, w której powtórzył zarzuty zawarte w Memorandum i porównał stosunek władz litewskich do Polaków do akcji bułgaryzacji Turków w Bułgarii Żiwkowa. Niesiołowski stwierdził, że polityka poparcia praw Litwy do niepodległości „nie może oznaczać zgody na prześladowanie Polaków”. Przemówienie Niesiołowskiego wywołało z kolei oburzenie na Litwie. Tak nacjonaliści po obu stronach ułatwiają akcję skłócania obu narodów, lubując się w wyliczaniu prawdziwych i wymagowanych wzajemnych krzywd. Istnieje niebezpieczeństwo, że nacjionali-

styczna propaganda będzie uniemożliwiała działania zwolennikom porozumienia, którzy nie znajdą dość odwagi, by przeciwstawić się naciskowi nacjonalistów po własnej stronie. Już biuletyn Związku Polaków na Litwie *Nasza Gazeta* zarzuca „Znad Willii”, iż w zamian za dotacje rządu reprezentuje litewski punkt widzenia.

Ministerstwo Kultury przyznało dotację 1 mld zł na Centrum kultury Litewskiej w Puńsku.

22 radnych mińskiej rady miejskiej zadeklarowało przystąpienie do nurtu demokratycznego, uznającego platformę Białoruskiego Bloku Demokratycznego.

Powoli rozwija się białoruska prasa niezależna. Do nowych tytułów, wydawanych przez Front Ludowy „Adradzennie”, należą: *Bobrujski Kurier*, *Ranica* w Mołodecznie, *Bruk*, *Pozirk* i *Wolny Mazyr* w Mozyrzju.

W roku szkolnym 1990/1991 w 485 białoruskich klasach pierwszych nauk rozpoczęło 7 tys. dzieci. W miasteczku Asipowicze otwarto pierwsze gimnazjum białoruskie.

Na Białorusi znalazło się zaledwie kilkuset rolników, którzy zaryzykowali wydzierżawienie ziemi (opłata tysiąc rubli za hektar). Powstało też 1500 spółek, które będą dzierżawiły budynki, sprzęt i ziemię kołchozową. Jest to rolniczy odpowiednik znanego z Polski procesu uwłaszczania nomenklatury.

60% zakładów przemysłowych Białorusi podporządkowanych jest ministerstwu związkowym w Moskwie. Obecnie więzi horyzontalne zastępuje się poziomymi w drodze tworzenia wspólnych przedsiębiorstw białorusko-centralnych (rosyjskich).

100 tysięcy mieszkańców z rejonów dotkniętych skutkami katastrofy czarnobylskiej zostanie przesiedlonych w okolice Grodna i Witebska.

Pisarz Wasil Bykau wypowiedział się przeciwko wejściu Białorusi do proponowanego przez Sołżenicyna Związku Rosyjskiego i podkreślił konieczność odzyskania pełnej niepodległości.

W Grodnie otwarto Katolickie Seminarium Duchowne, w którym naukę rozpoczęło 40 kleryków. Nauka języka białoruskiego będzie dla kleryków obowiązkowa. W Homlu zarejestrowano Związek Unitów Białorusi, zaś w Mińsku rozpoczęto wydawanie w języku białoruskim grekokatolickiego czasopisma *Unija*. Jest ono zarejestrowane przy Towarzystwie Języka Białoruskiego. W Mińsku powstała grupa katolików-Białorusinów „Czerwony Kościół”, która stawia sobie za cel walkę o język białoruski w kościołach republiki, żeby zapobiec „podziałowi Białorusinów na Polaków i Rosjan”. Nazwa grupy pochodzi od kościoła w Mińsku, który teoretycznie zwrócono katolikom, ale w praktyce nadal znajduje się on pod zarządem kinematografii.

Emigracyjny Komitet Wolnej Białorusi oświadczył, iż republika

Białoruska winna obejmować cały etniczny obszar białoruski od Smoleńszczyzny, Brańszczyzny i Zachodniej Pskowszczyzny po część Podlasia, Wileńszczyzny i Dźwińszczyzny. Dlatego w sprawie zwrotu tych terenów należy rozpocząć rozmowy odpowiednio z rządami: rosyjskim, litewskim, polskim i łotewskim.

Przedstawiciele siedmiu gminnych samorządów w Białostockim, w których Białorusini otrzymali większość mandatów, utworzyli z inicjatywy działacza Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego Ja. Mironowicza i wójta Narewki Ja. Tapłańskiego Związek Gmin Wschodniej Białostockizny.

Na Białostocczyźnie, wśród rodzin polskich, przebywała grupa dzieci z regionu Homla, szczególnie narażonych na promieniowanie po katastrofie czarnobylskiej.

Białoruś utworzyła z Ukrainą 6 przejść granicznych i ograniczyła przywóz i wywóz towarów z Ukrainy.

Premierem Ukrainy został Witold Fokin, autor oficjalnego programu przejścia do gospodarki rynkowej, Rosjanin znający język ukraiński i zwolennik ekonomicznej suwerenności Ukrainy przy jednoczesnym powiązaniu politycznym z rosyjskim centrum.

W. Czornowił, przewodniczący Rady *oblasti* lwowskiej, uważa, iż w momencie nieuchronnego wprowadzania stanu wojennego na Ukrainie należy rozpocząć powszechny strajk polityczny połączony z masowymi aktami cywilnego nieposłuszeństwa i zablokować arterie komunikacyjne. „Trzeba przygotowywać naród do ostatniego, decydującego uderzenia”. W sytuacji chaosu i walki władzę powinna przejmować Asocjacja demokratycznych rad i grup demokratycznych radnych w lokalnych sołdach, a nie Ruch.

Roman Kowal, sekretarz Ukraińskiej Partii Republikańskiej — URP — uważa, że niepowodzeniem zakończyła się taktyka polegająca na próbach oddolnego odwoływania komunistycznych posłów i nowych wyborów, celem uzyskania przez Blok Demokratyczny liczebności wystarczającej do zmuszenia Sowietu do rozwiązania się i rozpisania nowych, już wielopartyjnych wyborów. Zdaniem Kowala należy zmusić komunistyczną większość Sowietu do przyjęcia odpowiednich ustaw drogą nacisków pozaparlamentarnych, manifestacji, wieców, przejmując zakłady przemysłowe należące do ministerstw ogólnozwiązkowych, rozpocząć pracę wśród milicji itp.

Wyniki badań statystyczno-porównawczych wskazują, iż w październiku Ukraina, obok Armenii, osiągnęła najwyższy wskaźnik niezadowolenia społecznego w ZSSR, który odpowiada poziomowi regionalnych wybuchów społecznych.

7 listopada KGB dokonało udanej prowokacji. Płk Grigorijew ubrany po cywilnemu uderzył w przejściu podziemnym w Kijowie kobietę, jak się później okazało, również agenta policji. Poseł Stepan Chmara, wiceprzewodniczący Ukraińskiej Partii Republikańskiej,

widząc, że ktoś bije kobietę, interweniował wraz z przechodniami, zatrzymał i wylegitymował Grigorijewa. Incydent został sfilmowany i Chmarę oskarżono o napaść na pułkownika. Komunistyczna większość Sowietu pozbawiła Chmarę immunitetu poselskiego i 17 listopada KGB pobiło i aresztowało deputowanego w budynku parlamentu.

19 listopada B. Jelcyn, komunistyczny prezydent Federacji Rosyjskiej i Ł. Krawczuk, komunistyczny prezydent USSR, podpisali umowę o współpracy obu republik, a 22 listopada ukraińska Rada Najwyższa jednogłośnie ją ratyfikowała. Umowa opiera się na deklaracji suwerenności Ukrainy z 16 lipca, która z kolei przewiduje podpisanie nowego układu związkowego. Obie strony uznały się wzajemnie jako suwerenne i równe państwa w obecnych granicach. W sferze ich wspólnej działalności będzie odtąd współdziałanie w polityce zagranicznej, tworzeniu przestrzeni ekonomicznej, w transporcie, ochronie środowiska i migracji. Na konferencji prasowej Jelcyn stwierdził, że umowa z 1922 roku trwała dwa lata, a „później zaczął się reżim totalitarny”, obecnie zaś nie można czekać na podpisanie nowej umowy związkowej. Krawczuk zadeklarował: „zjednoczyliśmy wysiłki dwu republik... zjednoczyliśmy potężne zasoby dwu republik... zjednoczenie wysiłków i potencjałów będzie trwało dalej, będzie ono coraz dokładniejsze i będzie uzupełniane za pomocą innych umów”. Dodał też, że Ukraina dała w ten sposób przykład innym republikom.

Podpisanie umowy można uznać za udany początek zastępowania w ramach Sowietów więzi pionowych — poziomymi. W ten sposób Ukraina kierowana przez komunistów, zachowując pewną autonomię, wiąże się z Rosją. Realizacja scenariusza „niepodległości” i faktycznego pozostania w ZSSR następuje więc za pełną aprobatą posłów Ruchu, którzy w Rosji Jelcyna chcą widzieć niepodległe państwo. D. Pawłyczko mówił nawet o „demokratycznej Rosji Jelcyna”.

Na paryską konferencję KBWE przybyli I. Dracz, D. Pawłyczko i B. Horyń, by w imieniu opozycji w Sowiecie Ukrainy złożyć deklarację, iż Ukraina nie jest reprezentowana w delegacji ZSSR. Delegacja oczywiście nie została dopuszczona do obrad.

Na 51,5 mln mieszkańców Ukrainy 33,2 mln używa ukraińskiego jako ojczystego, zaś 6,9 mln mówi nim swobodnie jako drugim językiem (tj. razem 78% mieszkańców). Językiem ukraińskim nie posługuje się więc 10,4 mln osób. Ukraińcy stanowią 72,7% ludności (1989 r.), ponadto 15 mln Ukraińców mieszka poza republiką, w tym: w Rosji — 4,4 mln, w Kazachstanie około 0,9 mln, w Mołdawii — 0,6 mln, na Białorusi — około 300 tys., w Uzbekistanie — 150 tys. i w Kirgizji — 100 tys.

Ukraińcy stanowią 50,7%, a Rosjanie 43,6% ludności Donbasu. W *oblasti* Ługańskiej Ukraińców jest o 2-3% więcej, ale ponieważ w obu okręgach znaczna część Ukraińców (30-40%) używa języka rosyjskiego, większość ludności obu *oblasti* jest rosyjsko-

języczna. Na tym terenie do szkół ukraińskich uczęszcza jedynie 2-3% uczniów.

Z inicjatywy nomenklatury Rosjanie założyli w Odessie Związek Demokratyczny Noworosji. Jego celem jest utworzenie na terenie dawnych guberni noworosyjskich, czyli od Besarabii do Stawropola i Rostowa nowej, rosyjskiej republiki, która następnie weszłaby w związek konfederacyjny z Rosją lub Ukrainą. Aparat partyjny planuje też utworzenie republik Naddniestrzańskiej i Krzyworosko-Donieckiej. Sowieci *oblasti* krymskiej uchwalili przywrócenie statusu autonomicznego z 1945 roku. Krym zamieszkuje 1,2 mln Rosjan, 800 tys. Ukraińców i 85 tys. Tatarów. Na Krymie nie ma ani jednej ukraińskiej szkoły. Nomenklatura i część ugrupowań rosyjskich chcą proklamowania republiki krymskiej i przyłączenia jej do Rosji. Wśród Tatarów grupa byłych dysydentów M. Dżemilewa woli związek z Ukrainą, zaś grupa J. Osmanowa popiera aparat partyjny. Przygotowania do podziału Ukrainy mają zmusić ją do podpisania nowego układu związkowego i ograniczenia oraz izolacji okręgów, w których przeważają wpływy ruchu narodowego.

Józef DARSKI

nasza emigracja polityczna, nie wolno nam zapominać o roli, jaką odgrywała w niej do końca Lidia Ciołkoszowa.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

Wojciech Wasiułyński należy do najwybitniejszych współczesnych publicystów polskich, a jest z pewnością najwybitniejszym publicystą obozu narodowego. Na ogół więc nie dzielimy jego poglądów, lecz nie to odgrywa główną rolę przy przyznawaniu nagrody im. Juliusza Mieroszewskiego. Otrzymuje ją i winien zawsze otrzymać publicysta, obdarzony umiejętnością myślenia politycznego, niezależnie od jego orientacji politycznej. Wasiułyński zaś niewątpliwie ten dar w wysokim stopniu posiada.

Przed wojną był przez jakiś czas ideologiem ONR. Jesienią 1938 oderwał się od Piaseckiego, zakładając własny miesięcznik *Wielka Polska*. W *Prosto z Mostu* prowadził własną rubrykę „Z duchem czasu”, która młodą inteligencję narodową wprowadzała w ewolucję problematyki międzynarodowej, politycznej, religijnej, filozoficznej i naukowej. Był w obozie narodowym jedynym może publicystą i komentatorem, wyczulonym już wtedy na niebezpieczeństwa totalitarne. Wyczulonym rzecz jasna także, aż do dzisiaj (w korespondencjach z Ameryki, takich np. jak ogłoszona niedawno *Złota Wolność na Kapitolu*) na niebezpieczeństwo przerostów liberalno-demokratycznych.

Podczas wojny na emigracji we Francji (także pod okupacją niemiecką) wrócił do Stronnictwa Narodowego i zaczął trwającą do dziś współpracę z jego organem *Mysł Polska*. Udało mu się przedostać do Anglii i tam na jakiś czas osiedlić. Przeniósł się stamtąd do Stanów Zjednoczonych, gdzie związał się z sekcją polską Radia Wolna Europa. Nie przerwał jednak nigdy swej działalności publicystycznej, zarówno w różnych radiostacjach, jak w prasie emigracyjnej (ostatnio stał się również stałym współpracownikiem gdańskiej *Młodej Polski*). Nie porzucił też zainteresowań historycznych, niekiedy *pro domo sua*. Ogłosił studium z historii Ruchu Narodowego *Czwarte pokolenie*, które opracował częściowo z autopsji, a więc nie tylko jako świadek lecz i współuczestnik historii. Pisarstwo polityczne Wasiułyńskiego cechują rzadki w polskiej publicystyce, szczególnie w publicystyce obozu narodowego, obiektywizm i elegancja w polemice z przeciwnikami.

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: TOMASZ JASTRUN (WITOLD CHARŁAMPA)

Nasi czytelnicy znają go przede wszystkim jako Witolda Charłampa, autora *Dziennika zewnętrznego*. Aż do wyjazdu do Sztokholmu, na stanowisko dyrektora Instytutu Polskiego, był przez długi

Nagrody „Kultury” za r. 1990

NAGRODY PUBLICYSTYCZNE IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO*: LIDIA CIOŁKOSZOWA WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LIDIA CIOŁKOSZOWA

Lidia Ciołkoszowa jest z wykształcenia polonistką (doktoryzowała się w Krakowie u profesora Ignacego Chrzanowskiego pracą o Żeromskim), z zawodu historyczką (*Zarys dziejów socjalizmu polskiego*, napisany wspólnie z mężem śp. Adamem) i działaczką polityczną. Z publicystyką wiąże ją nie tylko obszerna i ważna praca o polskiej publicystyce emigracyjnej w jednym z tomów historii naszej literatury na obczyźnie pod redakcją Tymona Terleckiego. Chwyta co prawda za publicystyczne pióro rzadko i jedynie w wyjątkowych wypadkach, jest natomiast świetną publicystką oratorską: świadczy o tym niezliczona ilość przemówień na zgromadzeniach pepesowskich, na posiedzeniach ciał politycznych, w programach radiowych nadawanych do Kraju. Zawsze dobrze przygotowana historycznie, pełna pasji politycznej, gdy chodzi o przedstawienie punktu widzenia socjalizmu niepodległościowego, ale nigdy nie ulegająca pokusom uroczyściej retoryki i frazeologii. Precyzyjne rozumowanie jest głównym motorem jej publicystyki mówionej. Tak było za życia jej męża Adama, tak jest na szczęście dalej. Oboje ucieleśniali najlepsze tradycje Polskiej Partii Socjalistycznej.

Jako działaczka polityczna Lidia Ciołkoszowa jest w Londynie (a świeżo także w Warszawie, gdzie przyczyniła się walcnie do zjednoczenia poróżnionych odłamów PPS) jedną z bardzo niewielu osób, które stoją wiernie na straży ideałów niepodległościowych i przestrzegających surowo procedur demokratycznych. Mieliśmy tego dowody ostatnio. Kiedy zbliża się do swego naturalnego kresu

* W tym roku postanowiliśmy przyznać dwie nagrody publicystyczne.

czas, w każdym niemal numerze *Kultury*, niezmiernie wnikliwym — choć często kontrowersyjnym, a niekiedy nawet odrobinę irytującym — obserwatorem polskiej rzeczywistości. Stworzył gatunek unikalny: w polskiej powodzi analiz i polemik politycznych oraz sporów ideowych umiał chwytać i żywo opisywać absurdy i dokuczliwość życia codziennego w kraju, sfery ignorowanej przeważnie lub słabo dostrzeganej przez większość naszych pisarzy na gruzach zbankrutowanego „socrealizmu”. Umiał też z błogosławionym poczuciem humoru patrzeć i na resztki władzy komunistycznej (co względnie łatwe w stosunku do „dyktatury ciemniaków”) i na opozycję antykomunistyczną (co trudniejsze w atmosferze „taryfy ulgowej” z tytułu zasług patriotycznych). *Dziennik zewnętrzny* Charłampa, jeśli ukaże się kiedyś w książce, będzie dobrym i wiarygodnym obrazem ostatnich lat PRL i pierwszych kroków RP.

Nagradzając Charłampa, nagradzamy równocześnie młodego, utalentowanego poetę Tomasza Jastruna, autora kilku tomików wierszy, laureata nagrody poetyckiej fundacji Roberta Gravesa (za *Promienie błędnego koła*) i nagrody TTK NSZZ „Solidarność” (za poezje stanu wojennego). Jastrun jest również dziennikarzem i reporterem. Pracował w Regionie Mazowsze, gdzie redagował *Informator Kulturalny „Solidarność”*. Po 13 grudnia ukrywał się. W listopadzie 1982 internowano go w Białolece. Podczas strajku w Stoczni Gdańskiej był wśród strajkujących (*Zapiski z błędnego koła*), w kilka lat potem napisał *Życie Anny Walentynowicz*. W roku 1988 wydał swoje wrażenia z pobytu w Stanach (*W złotej klatce — notatnik amerykański*).

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Ci, co odeszli

Karol Zbyszewski

Gdy redaktor *Kultury* zwrócił się do mnie, bym napisała o Karolu Zbyszewskim, który zmarł w Londynie 16 listopada, w pierwszym odruchu chciałam odpowiedzieć, że nie mogę, nie potrafię. Że nie znałam Karola, choć spotykaliśmy się przez parę dziesiątków lat i lubili wzajemnie. Nie znali go i inni. „Cóż ja mogę o nim napisać? — martwił się zaprzyjaźniony z nim, długoletni kolega dziennikarz, od którego oczekiwano wspomnienia. — Przecież nic o nim nie wiem”.

Można było znaleźć fakty, cytować daty, przypomnieć co zrobił, co pisał, podać suchą biografię. Ale to nie byłby Karol. To byłby czcigodny zmarły, cień z nekrologów, jakie ukazywały się w londyńskim *Dzienniku*, którego był redaktorem przez wiele lat.

Bracia Zbyszewscy, Karol i starszy od niego o rok Wacław, byli inni od wszystkich, nie można ich było umieścić w żadnej kategorii. Była to inność ludzi czymś porażonych, noszących w sobie jakąś bolesną skazę, jedyne ich podobieństwo. Szukano jej w genetycznym dziedzictwie, bo trudno było o inne wytłumaczenie, obejmujące ich obu.

Poznałem ich w czasie wojny, gdy mieli koło 40-stki i byli już gotowymi, nie zmieniającymi się ludźmi. Odbijali od otoczenia, uchodzili za oryginałów. Samotny, obcy wszelkiemu ustaleniu Wacław zawsze potrzebował audytorium, szukał towarzysztwa i wyładowywał swoją gorzkość nieustannym potokiem słów mówionych i pisanych. Łagodny Karol, zapałony sportowiec, mąż, ojciec, żołnierz, redaktor, wbrew tej pozornej normalności był hermetycznie zamkniętym odludkiem, porozumiewał się monosylabami i spotykał z ludźmi tylko wtedy, gdy było to konieczne. Przez wiele lat życie towarzyskie w emigracyjnym Londynie było bardzo ożywione, wciąż odbywały się jakieś przyjacielskie spotkania, na których czasami spotykało się Karola z

zoną. Ale nie znam nikogo, kto by ich odwiedzał, kto byłby do nich zapraszany.

W zbiorowej książeczce „Kraj lat dziecinnych”, jaka ukazała się w pierwszych latach wojny w Londynie, Karol — który urodził się na Ukrainie w 1904 r. — opisał koszmar rewolucji, która zmiażdżyła jego bezpieczny, beztroski świat, i swoją samotną ucieczkę, grożącą śmiercią na każdym kroku, aby jako 15-letni chłopiec znaleźć się w Polsce. Trudno było jednak uwierzyć, by te młodzieńcze przejścia zdecydowały o późniejszym charakterze obu braci Zbyszewskich. Wielu ich rówieśników podobnego pochodzenia i z podobną przeszłością, w tym kilka wybitnych braterskich par pisarzy, wyrosło na ludzi bez widocznych kompleksów. Brezowie, Mackiewicz, Pruszyńscy, Bocheńscy. I wielu innych.

Dla Karola traumatycznym przeżyciem musiał być nieczęsty w akademickich dziejach wypadek odrzucenia jego pracy doktorskiej. „Niemcewicz od przodu i od tyłu”, szargający świętości, pisany z bezczelną młodzieńczą dezynwolturą, stał się głośnym przedwojennym skandalem, który przywarł do Karola na resztę życia. Profesor Kukiel, jeden z namiętnych krytyków tej książki, pamiętał ją dobrze, gdy jako generał Kukiel spotkał w czasie wojny szeregowca Zbyszewskiego w Szkocji. Nieortodoksyjne opinie i drażniący, nonszalancki ton, nie liczący się z nikim i niczym, był świadomą postawą Karola, więc konsekwencje tego trudno było zwalać na niesprawiedliwość losu czy ludzi. Ale gdy dziś o tym myślę, zaczynam wierzyć, że właśnie w tym zdarzeniu tkwiła, choćby częściowo, przyczyna jego urazu. Nigdy później nie napisał innej poważnej książki, przestał zajmować się historią. Kilkadziesiąt lat swej nieustannej pracy wypełniał dziennikarskimi drobiazgami, prowadząc w pismach różne swoje rubryki, które składały się z krótkich felietonów i jeszcze częściej migawek na bieżące tematy. Nie znałam jego rubryki w wileńskim *Słowie*, nie pamiętam jego „Ryżowej szcztotki” w warszawskim *Prosto z mostu* (gdzie kolegował m.in. z Jerzym Andrzejewskim, Iłakowiczówną, Pietrkiewiczem, Gałczyńskim, Bolesławem Micińskim). Sądzę, że były podobne do tych, które później przez lata prowadził w Londynie („To i owo”, „Tylon”). Te drobne utwory, pisane ze specyficznym, cichym humorem, jeśli czytało się je regularnie lub znalazło zebrane w książce („Wczoraj na wrywki”), można było uznać za małą rewolucję wśród polskich lektur. Czytelnicy zaczynali od nich, otwierając *Dziennik*, chichotali po cichu i głośno oburzali się na brak szacunku dla popularnych fetyszów. Karol był zaprzeczeniem przyjętych szablonów, unikał sentymentalizmu, dowcipem rozbrajał wszelki patos, drażnił zwięzłością, niepopularną w kulturze polskiego rozgadania. Zwięzłość tę doprowadzał czasem do ostat-

nich granic, przeskakując je z zacięciem sportowym. W telegraficznych notatkach nieraz szwankowała składnia i język, niejednego złościły swą obcesowością, mimo to były klasycznymi palcówkami, na których początkujący dziennikarze mogli byli uczyć się, jak podać najwięcej wiadomości w najmniejszej ilości słów. W jednym zdaniu potrafił zmieścić całą historię rodziną. „Do Tadeusza Miazgi, właściciela baru Antelope Inn, w Warwick, przyjechali przed świętami na dwumiesięczną wizytę rodzice z Białegostoku, 77-letni pan Józef i 70-letnia pani Stefania. Tadeusz — żonaty z Angielką, Pat — uciekł z Polski w 1941 r. gdy rodzice zostali wywiezieni do Rosji, dostał się do Anglii i był pilotem w RAF”.

Karol miał niebywałą odwagę, by prowadzić prywatną wojnę ze skłonnościami i sposobem myślenia większości czytelników i bezceremonialnie pokazywał Polaków mało znanych w naszej literaturze, nie niezłomnych, nie świetlanych, nie zawsze mających rację, tylko małych, zwykłych ludzi, dla których wad, śmieszności i trosk codziennego życia miał wiele życzliwości i zrozumienia.

W podobnie niepoważny sposób, pod łagodnymi kpinami kryjąc nieraz ważniejsze prawdy, pisał o sobie, o swej młodości, o pobycie w Coëtquidan, pod Narwikiem, w Szkocji, potem już, w pokojowych czasach, o swoich samochodowych wyprawach z „Kłocią”, symbolizującą różne kobiece słabości. Czasem w tych podróżach po Europie towarzyszył Karolowi i jego żonie brat, którego nieustanne przycinki Karol, zapatrzony w niego, potulnie przyjmował. Wacek chciał stawać przy każdej katedrze, zwiedzać każdy zamek, każde muzeum, a Karol chciał tylko pędzić dalej, przed siebie, od siebie.

W obecnych czasach rozrachunków „Niemcewicz” Karola przeżywa nieoczekiwany renesans. Wydała go londyńska PFK, w Polsce ukazał się w podziemnym obiegu, a teraz dwa oficjalne krajowe wydawnictwa zwróciły się o pozwolenie na przedruk. Gdy rozmawiałam o tym z Karolem w szpitalu, niewiele godzin przed jego śmiercią, był jak to on, po cichu zadowolony i niezadowolony. „Eee, co tam... Niech sobie wydają jak chcą...”

Usłyszałam echo słów jego brata: „Mój biedny Karolu, jakie to ma znaczenie?...”

Stefania KOSSOWSKA

Kronika kulturalna

Przelotne uwagi o mowie

HISTORIA NATURALNA LEGENDY

Wyraz „legenda” (który w ubiegłym stuleciu pisano i mówiono „legienda”) ma wiele znaczeń. Od napisu objaśniającego na mapach, rysunkach, monetach itd., od utworu poetyckiego lub muzycznego o treści religijnej i opowiadań świętych, po podanie ludowe o wydarzeniu historycznym. Ta polisemia wyrazu jest wynikiem jego przejęcia z łaciny, gdzie wyraz „legenda” jest w istocie dwoma równobrzmiącymi wyrazami o różnych znaczeniach pochodzących od różnych czasowników. Jeden od *lego*, *legatum*, *legare* (powierzyć coś komu, przekazać w spadku lub wyznaczyć jakąś wiadomość), drugi od *lego*, *lectum*, *legere* (gromadzić, zbierać, nawet ukraść, oraz czytać głośno).

Obchodzić nas tu będą legendy — przekazy o postaciach i wydarzeniach zapewne najważniejszych w dziejach naszego narodu. Legendy, jakie przekazywane były z pokolenia na pokolenie w żywej mowie, ongiś zasadniczo przez członków klanu, który był zróżniczkowany na dwie grupy funkcyjne: kapłańsko-wróźbiarsko-lekarską oraz poetyczno-recytatorską. Członkostwo klanu było wyłącznie dziedziczne, ale wykonywany rodzaj funkcji zależał od indywidualnych uzdolnień i skłonności oraz „terminatorstwa”, zaś stanowisko funkcyjne było wyznaczane przez starszyznę klanową. Ta zaś, której liczebność utrzymywała się drogą jakby „kooptacji”, stanowiła również zespół doradczy przywódcy plemienia oraz grono, z którego dobierał on sobie „gabinet rządzący”.

Juliusz Cezar opisując system społeczny celtyckich szczepów w Galii nazywa te dwie grupy klanu druidami i bardami, podkreślając, że mimo posiadania rozwiniętej techniki pisania, a nawet oddzielnego bóstwa nazywanego wynalazcą alfabetu i sztuki

ki pisania, stanowczo zabraniają zapisywania jakichkolwiek tekstów dotyczących wierzeń i obrzędów oraz wszelkich wiadomości o wydarzeniach z dziejów plemienia, wymagając przechowywania ich wyłącznie w pamięci.

Był to wynik przekonania, że mowa, a nawet poszczególne wyrazy, takie zwłaszcza jak imiona osobowe, mają właściwości magiczne. Odpowiednio dobrane wyrazy zestawione według rygorystycznych praw gramatyki oraz wygłoszone z odpowiednią dykcją i retoryką stanowią żywą mowę, która zdolna jest wzbudzać i kierować emocje ludzkich gromad, napełniać słuchaczy zapalem, determinacją i porywać do działań. Natomiast mowa zapisana na skórze zwierzęcej (pergamin), błonie roślinnej (papiirus), czy wyrta na kamieniu lub metalu jest mową martwą. Nie ma w niej duszy. Może, wbrew zamiarom piszącego, stawać się dla czytających nawet trucizną.

Jeszcze w końcu pierwszego tysiąclecia naszej ery bardowie plemion słowiańskich i celtyckich umieli utrzymywać w pamięci i wygłaszać godzinami recytacje bez powtarzania ani jednego wątku.

Podania i legendy, które w ten sposób przekazywano z pokolenia na pokolenie, opowiadały o wydarzeniach, których przebieg nierzadko obejmował wiele wieków. Oczywiście nie mogły to być relacje jednego „świadka naoczego”, ale zredagowane zestawienia wielu relacji, z zasady członków klanu kapłańsko-bardowskiego. Taki obserwator patrzył na wydarzenia, których był świadkiem lub nawet współuczestnikiem, nieco inaczej niż inni obecni, bierni czy aktywni. Różnicę stanowiło jego głębokie przekonanie, że wszystko, co się dzieje, co obserwuje lub w czym bierze udział, jest prostym wynikiem decyzji i działań istot boskich. Czynnym albo osobiście, albo przez atrybuty wcielone w postaci osób, zwierząt, roślin lub przedmiotów sobie poświęconych. Przy tym działania te nie są przypadkowym odruchem, ale akcją celową, mającą głębokie przyczyny, wyznaczony przebieg i zamierzony skutek. Chyba że nastąpi przypadek konfliktu między dwiema czy więcej istotami boskimi, co będzie wymagać trudnych i skomplikowanych zabiegów magicznych, aby całą rzecz zrozumieć i móc z niej wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Tym sposobem relacja nierzadko ulegała w różnych pokoleniach kapłanów wielokrotnym przeredagowaniom, aby właściwy sens wydarzenia wydobyć i przekazać tradycji plemiennej. Sens taki mógł być, oczywiście, przekazany tylko metaforycznie, co teraz nazywamy mitologizowaniem.

Tak sformułowane opowiadanie przekazywały sobie teraz pokolenia laickich gawędziarzy przy zbiorowych pracach gospodarskich lub tradycyjnych obchodach i lokalnych zgromadzeniach,

łączących zwykle cele kultowo-rytualne ze spotkaniami handlowo-przemysłowymi lub po prostu towarzyskimi.

Wciąż jeszcze są to legendy przekazywane żywą mową bardów, a powtarzane z mniej lub więcej obszernymi „ozdobnikami” i objaśnieniami przez gromadzkich gawędziarzy.

Dopiero po kolejnej rewolucji społecznej, w której przywódca plemienia porzuca dawny system wierzeń i obrządków przyjmując nową religię oraz stara się utwierdzić swoje prawa do wodzostwa, dzierżonego dotychczas na mocy właśnie odrzuconych tradycji, będą mu w tym pomocni ludzie z innego zespołu kapłańskiego, a więc kleru chrześcijańskiego, sprawującego opiekę nad jego nową tradycją wyznania religijnego. Teraz legendy plemiennicze będą zapisywane (i uzupełniane) w ciągu wielu wieków zasadniczo przez członków zespołów kapłańskich chrześcijaństwa. Warto dodać, że legendy przez nich zapisywane lub uzupełniane przekazami na temat cudów dokonywanych przez różnych świętych, powstają w istocie w taki sam sposób, jak rosły legendy pogańskie i zawierają takie same pierwiastki mitologizowania. Cały zaś ten schemat przekazywania potomnym wiadomości zdaje się być pochodną strukturalno-psychologicznego ustroju indywidualnych jednostek ludzkich. Bowiernie zasadniczo identyczne elementy takiego schematu można odnaleźć także w wielu utworach powieściowych, dramatycznych oraz poematach pisarzy wszystkich epok historycznych, nie wyłączając najnowszych.

Duchowny, który takie pierwsze kroniki spisuje, jest zazwyczaj osobą dość odległą nie tylko od plemienniczej tradycji przywódcy, ale i od dialektu plemiennego języka. Również tekst kroniki spisuje w innym niż plemienny języku. Nie ma też bezpośredniego kontaktu informacyjnego z plemienną tradycją i korzysta z pomocy pośredników, którzy pochodząc z lokalnej gromady „ludowej”, posiadają mniej lub więcej pobieżną, „pochwytną” raczej niż narzuconą znajomość mowy kronikarza, a dla uzyskiwanych czy spodziewanych korzyści, choćby tylko w formie osiąganego tym sposobem „poważania” gromadzkiego, chętni są udzielać kronikarzowi wiadomości o obyczajach, obrzędach i wierzeniach pokoleń wczorajszych, a które wciąż jeszcze niezupełnie wygasły.

Poza tym owe wczesne kroniki przeważnie nie doszły do naszych rąk w tekstach oryginalnych, ale w kopiach wykonywanych częstokroć więcej niż o jedno pokolenie później, a pisanych i przeredagowywanych w różnych celach przeważnie dalekich od zasady obiektywnej ścisłości historycznej. Tłumaczenia kronik na język plemienny są, jak przekład każdego tekstu, w istocie nie dosłownym tłumaczeniem — co dawałoby treść stylowo niezdarną, a często po prostu niezrozumiałą — ale interpreta-

cją. Dlatego też przekłady dokonane przez różne osoby lub w różnych czasach mogą podawać teksty bardzo różnie. Pierwsze przekłady tekstów kronik z zapisów zawierających niemało błędów kopistów, czy nawet celowych „poprawek” oryginału, bywają tak nacechowane indywidualnymi poglądami i spekulacyjnymi wyjaśnieniami, że prowadziło to niekiedy do znakomych, dużo później potwierdzanych odkrywczych wniosków, jak również do stwierdzeń które okazywały się kompletnie błędne. Niektóre z takich stwierdzeń sygnowane przez cenione nazwiska uczonych, powtarzane wielokrotnie w ciągu wieków, utrwalały się jako opinie ekspertów i potrzebowały wielu wysiłków, aby je sprostować.

Nowe, bardziej uzasadnione porównania i wywody, a także zestawienia krytyczne zredagowanych tekstów legendy z faktami poznanymi z innych źródeł — historycznych, archeologicznych, antropologicznych — mogą pozwolić na konstruowanie obrazu wydarzeń bardziej zbliżonego do rzeczywistości.

Legenda, którą się tu zajmujemy, opowiada pierwotnie o dziejach dwóch braci, może bliźniaków, o imionach Lech lub Lach i Czech, którzy byli przywódcami (ostatnimi?) plemion zamieszkałych w dwóch grodach czy osiedlach położonych na wzgórzach czy wyspach, połączonych ze sobą mostem, brodem czy też groblą, na północnym wybrzeżu Morza Adriatyckiego. Później pojawia się trzeci brat i powstaje trójka: Lech, Czech i Mech (albo Miech, później zwany Rus). Owi bracia mieli być inicjatorami i kierownikami podjazdowych walk z Rzymianami, którzy narzucali swą władzę na całym terenie wybrzeża z grupą wysp zamieszkałych przez plemiona pra-celtyckie i pra-słowiańskie, które pisarze bizantyjscy nazywali Wenetami. (Tym imieniem kronikarze bizantyjscy, tak samo jak arabscy, nazywają rozmaite plemiona słowiańskie, a nawet i nie-słowiańskie).

Walka z Rzymianami to był jeden z motywów działań braci, drugim było dążenie do usunięcia i zastąpienia dotychczasowej przywódczej władzy kapłańskiej pełnionej przez naczelną kapłankę Wielkiej Białej Bogini, przez Rzymian zwaną Gwenerą. Jej naczelną kapłankę noszącą zapewne imię Gwenda albo Wenda traktowali jako lenniczkę, panującą nad plemieniem, które uważali za podległy ich władzy przygraniczny szczepek satelitarny. Sądząc z formy imion owych trzech braci, które nie mają nic wspólnego z jakimkolwiek atrybutem boga słonecznego (czy jakiegoś innego) nie należeli oni do klanu kapłańskiego, a byli prekursorami władzy przywódczej typu wojskowego.

Poza mniej lub więcej ułamkowymi tekstami tej legendy u zachodnich i południowych plemion słowiańskich, podane to jest także notowane w „Powieści Dorocznej”, nazywanej pospo-

licie kroniką Nestora¹, która imiona trzech braci podaje w innym brzmieniu, mianowicie: Choriw, Szczech i Kij. Nie ulega wątpliwości, że jest to relacja o tych samych wydarzeniach i osobach co w naszej legendzie, a różnica w formie imion może przedstawiać skrócone czy inne imiona zastępcze. Wyraz „Oriw” lub „Choriw” w języku cerkiewno-słowiańskim znaczy „podstępny”. Wyraz „Lech” może być wyprowadzany z jednego z synonimów starosłowiańskiego wyrazu „lestny”, który także znaczy „podstępny”. Zatem „Choriw” może być cerkiewno-słowiańskim przekładem imienia „Lech” albo skrótem imienia z przymiotnikiem „Lech choriw”. Słowianie wschodu od wieków uważają Lachów — Lestkowiczów — za obłudnych i podstępnych. Szczech jest oczywiście tylko ortograficzną odmianą wyrazu Czech, zaś Kij zamiast Mecha (Miecha, czyli Mieszka-Niedźwiedzia) może jest imieniem zastępczym urobionym od bizantyjskiego terminu Kio, Kiomi o znaczeniu takim jak w cerkiewno-słowiańskim „bieżeniec” tj. uchodźca, uciekinier.

Dzieje walk Lecha i Czecha z Rzymianami mogą się odnosić do drugiej połowy VI wieku. Mogli się oni starać wykorzystać klęski, jakie Rzymianie ponosili wtedy w walce z Lombardią (Longobardami). Rzym był już wtedy złupiony, najeżdźcy zajmowali północne okęgi półwyspu wraz z Mediolanem. Rzymianie wycofali się do Padwy, a uciekinierzy rzymscy masowo uchodzili na teren Wenetów. Naczelną kapłanką Wenda zabrania przywódcom plemion Lecha i Czecha urządzania rabunkowych napadów na uchodźców rzymskich, chronionych tylko przez nieliczne grupy legionistów. Lech i Czech uznają to za jawną zdradę interesów plemienia Wenetów i zabijają Wendę, zapewne przez tradycyjne utopienie.

Potem, może w wyniku pojawienia się silniejszych oddziałów rzymskich oraz ich odwetowych okrucieństw, plemiona Lecha i Czecha, które zdolne były tylko do walk podjazdowych, jakich nauczyli się od Awarów, opuszczają w końcu VI stulecia swe siedziby i z całym dobytkiem ruszają na wędrowną, w czym towarzyszy im również Mech-Rus-Kij.

Po przebyciu doliny opuszczonej już przez niedobitki Awarów i przekroczeniu Dunaju na jednym z dwóch „handlowych” szlaków bursztynowych, plemiona uchodźców rozdzielają się.

1. Mnich Nestor z klasztoru w Kijowie był autorem tekstu tzw. pierwszej redakcji „Powieści Dorocznej”, spisanej około 1113 roku. Drugą redakcję zapisał w kilka lat później mnich Sylwester, a jeszcze później powstała trzecia redakcja czy wersja, którą napisał mnich Mściśław. Inną redakcją „Powieści”, z przeróbkami i uzupełnieniami z drugiej i trzeciej redakcji, sporządził lub przepisał w XIV wieku mnich Lawrentij. Ostateczny zaś tekst „Powieści Dorocznej”, czyli latopisu, sporządzony był około roku 1425 i przechowywany w Kostromie.

Rus-Kij ze swym plemieniem powędrował na wschód, a potem do Morza Czarnego na północ, wzdłuż doliny Dniepru. Po minięciu porohów zatrzymał się i założył podwaliny osiedla, później grodu, zwanego następnie Kijowem. Plemiona Czecha i Lecha posuwały się na północny zachód i rozdzieliły się na podnóżach Sudetów i Beskidów. Plemiona czeskie po minięciu grodów morawskich rozproszyły się, zakładając kilka osad w niezaludnionych podgórszych okolicach. Lech ze swoimi grupami starannie omijając tereny na których buszował wtedy młody przywódca Wiślan, noszący imię Leszek czy Lestek, który pochodząc z rodu (także) Lecha, uzurpatora władzy i zabójcy brata Kraka, bohaterskiego zwycięzcy awarskiego „smoka”, musiał ogniem i mieczem umacniać i utrzymywać swą władzę nad krajem z ludnością niechętną i przy wrogim stosunku ośrodków kapłańskich.

Plemiona Lecha zostawiły wtedy parę osad pomiędzy Stobrawą i Wisawą, dopływami Odry. Główna masa posuwała się dalej wzdłuż Proсны, zapewne omijając umocniony gród Kalisz, a po przebyciu brodów Warty Lech wybrał dogodnie miejsce na założenie grodu w pobliżu źródeł Welny, na wzgórzu między dwoma jeziorami. Legenda mitologizuje ten wybór, opisując że na osadę i gród wybrane zostało wzgórze, na którego szczycie stało rozłożyste drzewo z białym orłem siedzącym na gnieździe w jego konarach.

Rozłożyste drzewo to znany mitologiom symbol zorganizowanego świata, a biały orzeł to atrybut Boga Słonecznego. Można przyjąć, że wśród plemion prowadzonych przez Lecha znajdowała się komórka celtycko-słowiańskiego klanu kapłańskiego.

W tym czasie, to jest w pierwszej połowie siódmego stulecia, władca Gniezna i obszaru na którym osiadły plemiona Polan i Goplan z niewielkimi grupami Celtów, musiał być według ówczesnych pojęć człowiekiem w podeszłym wieku, liczył bowiem zapewne około 50 lat. Następca Lecha, może o imieniu Lestek, niewątpliwie kontynuował stanowisko Lecha wobec sąsiedzkich dawno osiadłych plemion słowiańskich, co stanowiło o bycie lub niebycie młodego księstwa Polan. Zachodni sąsiedzi wzdłuż wybrzeża bałtyckiego, bliżsi — Pomorzanie i dalsi — Weleci, byli stale narażeni na powtarzające się napady rabunkowe duńskich Wikingów. To samo musiało wkrótce grozić Polanom, bowiem zagony Wikingów sięgały nawet do ich wschodnich sąsiadów, Prusów i Jaćwingów. Może Lestek proponował sąsiadom sojusz obronny, oferując pomoc wzajemną przeciwko napastnikom. Ale Pomorzanie, a tym bardziej Weleci oczywiście lekceważyli nowopowstałe księstwo przybyszów, mi-

mo że Lestkowicze chępli się wspomnieniami odnoszonych zwycięstw w walkach z Rzymianami. Dla zachodnich księstw słowiańskich Polanie byli wciąż jeszcze jednostką nieznaną i niechętnie widzianą jako konkurenci w handlu jantarem.

Może przy pomocy okrężnych kontaktów między klanami kapłańskimi władca Polan nawiązał kontakt z duńskimi Wikingami, którym mógł oferować użyteczne schrony portowe na swym wybrzeżu w najbliższym sąsiedztwie grodów pomorskich i siedzib pruskich dla niespodziewanych napadów i szybkich odwrotów. Za to mógł otrzymać zapewnienie względnego bezpieczeństwa od wikingowych napadów, a zapewne także i udział w ich wyprawach i łupach. Czy nie stąd wynikła wielowiekowa nienawiść i walki Pomorzan i Weletów z Polanami, przeniesione później i na chrześcijańskie królestwo Piastowiczów?

Jeżeli taki sojusz z duńskimi Wikingami rzeczywiście zaistniał, to nie byłoby dziwne, gdyby któryś z młodych następców Lestka otrzymał za żonę księżniczkę z królewskiego klanu wikingowego. Wśród ich potomstwa córki wychowywały się oczywiście na dworze matki i niejedna z nich mogła czuć się bardziej księżniczką wikingowską niż polańską. Mogła też za męża dostać młodego Wikinga, który nosił imię Knut (Kanut), dość częste wśród duńskich Wikingów. Mogło się też zdarzyć, co nie było wypadkiem rzadkim, że gdy władca Polan zginął na wyprawie wojennej, czy na polowaniu na niedźwiedzie, to mąż jego siostry z pomocą swej wikingowskiej drużyny zagarnie władzę w księstwie Polan. Ale dla Polan jego imię Knut nie będzie odpowiednie. Nazbyt przypomina słowiańską nazwę bata ze splecionych rzemieni, jakim Awarowie wymuszali posłuch swych słowiańskich niewolników. Toteż doradcy z klanu kapłańskiego przetłumaczą znaczenie tego imienia na dialekt polański, a w tym będzie ono brzmieć... Pąpel². Może w taki lub podobny sposób zaczęła się dynastia Popielidów?

Naturalnie, całe to opowiadanie o dziejach plemion prowadzonych przez Lecha z kraju Wenetów — legendowe, ale potwierdzone w wielu podaniach, od chwili założenia Gniezna aż do Pąpela z kroniki Anonima — jest czysto spekulacyjne. Jest ono oparte tylko na sytuacjach mających spory ładunek prawdopodobieństwa i pewne nikłe ślady, jak nazwa zatoki gdańskiej i parę nazw i wyrazów pochodzenia wikingowego. Dotyczy też nie więcej niż ośmiu pokoleń. Pąpiel Gallusa Anonima był najwyższym prawnikiem prawnika Lecha.

2. Słowiański wyraz pąpel (inaczej bąpel) który w imieniu władcy Gniezna późniejsi kronikarze przerobili na Popiel, ma to samo znaczenie co wikingowski wyraz knut. Mianowicie przymiotnikowe znaczenie „krępy, mocno zbudowany, wypełniony do rozpuku jakąś siłą, chciwością, mocą”, przypominając w tym „pąpie”, czyli pąki liści na drzewach na przedwiosniu.

Imię drugiej najważniejszej postaci legendy autor kroniki Anonima słyszał i kilkakrotnie zapisał w formie „Past”. Imię Past wywodzi się z tego samego źródła co wyrazy „pasterz, patrzyć, opatrność”, mianowicie z I.E. PA (sansk. pa, pati — strzec, chronić, uważać, obserwować), z którego pochodzi grecki i łaciński wyraz „pater”, tłumaczony na język polski jako „ojciec” (ociiec, hociec) pierwotnie w znaczeniu „ojciec czeladny, gospodarz”. Do dziś w społecznościach wiejskich do każdego mężczyzny należącego rzeczywiście lub domyślnie do starszyny gromadzkiej mówi się „ojcze”. Jest w tym ślad pierwotnego matriarchalnego ustroju społecznego, kiedy głową rodu była matka-rodzicielka. Dokładała ona starań, aby płodzić dzieci z najlepszym myśliwym, dostawcą żywności, który by był także najlepszym wojakiem, obrońcą szczepu. Takie zaś stanowisko nie było trwałe i narażone na wiele niebezpieczeństw. Stąd też ród w ustroju matriarchalnym składał się w synów i córek jednej matki, ale różnych ojców. A za członków klanu uważano tylko tych, którzy mają wspólną prababkę.

Opiekunem, wychowawcą i preceptorem dzieci był jeden z braci matki rodu, który z powodu kalectwa nabytego czy wrodzonego był niezdolny do funkcji wojskowych lub myśliwskich, a odznaczał się bystrością umysłu. Taki zostawał, mówiąc nowoczesnym idiomem społecznym, organem wykonawczym przywódcy — w tym wypadku „ojcem rodziny”³.

Kronika Anonima wymieniając imię Past dodaje też jedno z kilku używanych określeń (za każdym razem inne), w tłumaczeniu polskim „ubożuchny, oracz, wieśniak, rolnik”. Świętochowski w „Historii chłopów” tak określa termin „oracz”: „włościanie rolni, wyraźnie odróżniani od najmitów, występują pod nazwą oraczów...”. Nazwa oracz zaznaczałaby więc w pewnym stopniu społeczną pozycję Pasta. Jednakże ani Gall Anonim ani biskup Wincenty nie wspominają jeszcze jednego tytułu czy określenia statusu Pasta, który w innych podaniach nazywany jest „kołodziejem”. W przypadku Anonima takie pominięcie określenia Pasta może być zrozumiałe. Jego utwór w istocie nie jest „kroniką”, ale panegirycznym poematem dworskim z rodzaju modnego w owych czasach na dworach książęcych i możnowładców, zwłaszcza frankońskich. Wskazuje na to szczególnie rytmiczny układ zdań, wyraźny przy głośnym płynnym czy-

3. Wyraz ojciec, który oczywiście nie jest dobrym tłumaczeniem wyrazu „pater”, wywodzi się z I.E.*AT(TA), sanskr. tata, który oznacza ojca fizjologicznego. Polski wyraz „ojciec” pierwotnie „otciec” ze starosłowiańskiego „otc” zgubił niejako rozróżnienie znaczeń „ojciec rodziny” i „ojciec rodziciel”. Choć istnieje jeszcze niezupełnie przestarzały wyraz „rodzic”, jak również wyraz „tata”, wciąż żywy w dialektach ludowych (oraz w idiomie dziecięcym w formie „tatus”).

taniu, stylistyczno-retoryczne ozdobniki wypowiedzi oraz konstrukcyjny schemat wątków. Autor kroniki Anonima niewątpliwie wiedział, że nazwa „kołodziej” nie oznacza rzemieślnika trudniącego się wyrobem czy reperacją kół pojazdów chłopskich, kupieckich, dworskich czy wojennych. Rzemieślnik tego rodzaju znany był pod nazwą stelmach, kolarz, koleśnik lub kolesarz. Natomiast Kołodziej sporządzał takie koła, jakimi posługiwali się w swych obserwacjach astronomowie jak np. Ptolemeusz, a dawniej jeszcze babilońscy wynalazcy zodiaku, a także koła rytualne służące raz w roku, w dniu letniego przesilenia słońca dla krzesania świętego ognia do zapalania stosów na cześć Boga Słońca. Był to zatem człowiek należący niewątpliwie do pogańskiego zespółu kapłańskiego.

Nie mógł więc Gallus wypominać pogańskiego kołodziejstwa, a równocześnie przedstawiać Pasta jak niemal zwiastuna chrześcijaństwa i pradziada króla, który potępił wierzenia pogańskie i przyjął nową wiarę, stając się założycielem chrześcijańskiej dynastii Piastowiczów. Ta nitka w istocie poszła, że Past należał do dziedzicznego klanu słowiańskich druidów, otrzymała ostatnio wyraźne poparcie, przekształcając ją w niemal dowód. W obszernym studium porównawczym podania o Piaście i Popielu (PWN, Warszawa 1986) Banaszekiewicz, zajmując się osobą ojca Pasta, stwierdził że imię to, pisane przez Anonima „Chossistco”, a przez Długosza „Chosizsko”, należałoby czytać tak jak to ongiś proponował Karłowicz — „Kosisko”. Wtedy wyraz ten, pochodzący ze starosłowiańskiego „kosa”, czyli „warkocz”, oznaczałby człowieka o długich trefionych włosach. Notuje on także, że władców o tak znaczącej nazwie (choć w innych językach) było więcej. To samo znaczy imię protoplasty władców celtyckich z rodu Gwartheyrna — Gloyv Gvalltir (tj. Gloyv o Długich Włosach), tak jak i imię Haddingr z królewskiej dynastii duńskich Wikingów. I w jednym i w drugim przypadku są to postacie założycieli dynastii władców pochodzących z klanów kapłańskich, a ściślej tych kapłanów, którzy należeli do kultu bóstw bliźniaków. (Jak Kastor i Pollux, Lelum i Polelum, Aświnas itd.). Szczególny rodzaj długich włosów plecionych w kosy lub owiniętych taśmą (jak koński ogon) stanowił wyłączną oznakę tych kapłanów.

Tak więc samo imię, pod którym ojciec Pasta jest znany wskazuje, że musiał on należeć do klanu kapłańskiego, a wobec ściślej dziedziczności tego klanu należy do niego także Past.

Można dalej wnosić, że dwaj wędrowcy, których Pąpel nie chciał przyjąć, a którzy wobec tego zatrzymali się u Pasta — a których kroniki Galla i Wincentego traktują jak wysłanników Boga — byli zapewne posłami głównego ośrodka kapłańskiego, którzy mogli Pąpelowi przynosić jakieś propozycje czy ultimatyw-

ne żądania, aby dopełnił zobowiązań w stosunku do kultowych bóstw, a których coraz jaskrawsze zaniedbywanie odbija się oczywiście na stanie zasobów materialnych i zakresie działania grup kapłańskich w dwóch niemal sąsiedzkich (odległych o 50 km) grodach Gniezna i Kruszwicy, z których pierwszy był ośrodkiem władzy królewskiej, a drugi kultowej i kapłańskiej. Nietrudno byłoby przypuścić, że Past jako kołodziej oraz syn i dziedzic Kosiska pełnił w ośrodku kapłańskim dużą rolę. Wskazywałby na to także fakt, że miał dwie siedziby, jedną w Gnieźnie, a drugą w Kruszwicy, oraz że właśnie do niego zwrócili się wysłannicy większego ośrodka kapłańskiego, może np. z dużo starszego celtycko-słowiańskiego ośrodka kaliskiego lub nawet wielkiego ośrodka z Gór Świętokrzyskich, gdzie mogły już dostrzawać tendencje połączenia czy zbliżenia księstw Polan i Wiślan pod jednym przywództwem. Jak wiemy z legend o Kraku i Wandzie, zbrodnia bratobójstwa młodego księcia pozbawiła jego potomstwo (jeżeli je miał) praw do dziedziczenia tronu.

Oczywiście zapasy jedła i napoju na ucztę w domostwie „ubogiego oracza” zostały dostarczone przez służbę przybyłych wysłanników kolegium kapłańskiego. Na ucztę tę zwołano przodowników i starszyznę różnych ugrupowań społeczności gnieźniańskiej w tym samym dniu, kiedy odbywał się bankiet na dworze króla Pąpela z okazji postrzyżyn jego syna i następcy, co odbyło się bez uczestnictwa plemiennych kapłanów i przywódców gromadzkich.

Pąpel, zapewne ostrzeżony przez swych doradców o niebezpieczeństwie, na jakie go naraża konflikt z ośrodkiem kapłańskim, będzie się starał załagodzić sytuację wynikłą jakoby wskutek nieporozumienia czy niedopatrzeń jego służby i weźmie osobisty udział w zorganizowanym wkrótce w Kruszwicy bankiecie u Pasta z okazji postrzyżyn jego syna Semowita w obecności wysłanników wielkich ośrodków kapłańskich. I tu Pąpel, mimo swej obecności, którą chciał uroczystość uświetnić i okazać łaskawość, usłyszał sam, jak kapłan w chwili, kiedy Past dokonywał obrzędu postrzyżyn, wypowiedział formułę błogosławiając chłopca jako konsekrowanego następcę jego, Pąpela, dynastii królewskiej.

Zrozumiawszy, że nie są to czcze pogrożki, a nadto otrzymawszy wiadomość o zbrojeniu się gromad w bliższych i dalszych osiedlach, zapewne pod wpływem miejscowych bardów, gdy w dodatku ze służby pałacowej zaczęli znikać miejscowi ludzie, Pąpel z rodziną i nieliczną służbą schronił się w obronnej wieży, zbudowanej na wyspie na jeziorze Gopło. W sam czas zanim przybyły tłumy wieśniaków rozłożyły się obozem dokoła jeziora.

Niewiele tygodni upłynęło, kiedy wyczerpani głodem ludzie ze służby pałacowej zaczęli wymykać się z wieży i starali się wpław

przedostać na brzeg, co nie wszystkim się udało. Bowiern rodzina królewska zabrała na własny użytek niewielkie zapasy żywności zgromadzone od dawna w śpichlerzu wieży, a dawno nie odnawiane. Wtedy otworzył się upust gniewu bogów za łamanie świętego obowiązku przyjęcia w dom i ugoszczenia przybyszów, którzy byli posłannikami bogów. Niezliczone tłumy myszy zjawyły się nie wiadomo skąd, zaciekłe atakując wszystkich z rodziny królewskiej. Bronili się oni dzielnie, zabijając mieczami i kijami setki gryzoniów, ale na ich miejsce natychmiast przybywały tysiące i w rezultacie, wśród rozpaczliwych krzyków i jęków, wszyscy w komnatach królewskich zostali przez myszy zagryzieni.

Tak opowiada podanie „ludowe” i ten jego fragment był tematem dziesiątków rozważań i prób rozwikłania zagadki, co i jak w istocie miało miejsce w „Mysiej Wieży”. Istniały próby wyszukania (czy wynalezienia) plemienia Myszków, którzy będąc natury wojowniczej i rebelianckiej, mieliby być narzędziem „woli bogów”. Trudno tylko było wyjaśnić, dlaczego ten lud po dokonaniu egzekucji rodu Pąpela nagle zapadł się w nicłość i zniknął z powierzchni ziemi. Wypowiadano także przypuszczenia, że rodzina Pąpela zamknięta w wieży z niewielkim zapasem żywności i odcięta od wszelkich dostaw, po chorobie mieszkańców obłożenia prostu wymarła z głodu i chorób. Kiedy zaś wreszcie drużyna nowego władcy tj. Semowita albo może raczej zespołu kapłańskiego weszła do niebronionej wieży, znalazła zwłoki ponadgryzane przez myszy czy szczury, równie wyglądające.

Te i inne próby wyjaśnienia zagadki nie wydają się zadowalające przede wszystkim dlatego, że opis zagryzienia przez myszy nie jest bynajmniej zarezerwowany dla dziejów Popielidów. Tuziny takich wypadków notowały kroniki w ciągu średniowiecza w chrześcijańskiej Europie. Niektóre z bardzo szczegółowymi opisami przebiegu ataków i prób obrony przez napadniętych, we wszystkich wypadkach kończące się śmiercią osób, w ten sposób karanych okrutnie za złamanie obowiązku gościnnego przyjęcia i ugoszczenia przybyszów zjawiających się jako wysłannicy Boga. Próbowano wyjaśniać ten wątek podań jako tradycyjny, symboliczny i alegoryczny obraz surowej ale sprawiedliwej kary za zniewagę zadaną świętości obowiązku społecznego. Takie wyjaśnienie trudno uznać za wyjaśnienie zagadki, bo dlaczego tradycyjne alegorie miałyby być takie same przy kulcie bogów pogańskich jak w chrześcijaństwie? Poza tym w wielu podaniach tak żywe są i bogate w szczegóły relacje autora z miejscowej społeczności, w której opisywany wypadek miał miejsce tak stosunkowo niedawno, że wśród współczesnych kronikarzowi osób musiało być sporo rzeczywistych świadków i kro-

nikarz pragnący zachować poważanie i wiarę swej społeczności, nie mógłby ukrywać prawdy pod tak szczególną aluzją. Trzeba zatem przyjąć, że opisy ataków myszy muszą być oparte na faktach.

Naturalnie, nie na rzeczywistości zagryzienia winowajcy przez setki i tysiące myszy, ale na rzeczywistym przekonaniu jego, że jest atakowany i gryziony przez takie zwierzęta. Słowem na jego halucynacji w rodzaju *delirium tremens*. Jest zupełnie zrozumiałe, jak i dlaczego takie halucynacje mogły zachodzić i prowadzić do śmierci. Takie sytuacje zapewne zdarzały się częściej, a do kronik i legend dostawały się wypadki, które dotyczyły szczególnie ważnych osobistości i mogły być uważane za wyrok wydany przez święte lub boskie istoty.

W czasach, kiedy takie kronikarskie podania zapisywano, wśród środków żywności wybitne miejsce zajmował chleb i inne produkty wyrabiane z mąki i ziaren zbożowych. W tych zaś bardzo często znajdowały się produkty grzybków z rodziny *Claviceps*, pasożytujących na roślinach zbożowych i trawiastych, zawierających ergot, substancję nie tylko silnie trującą, ale również wytwarzającą przy procesach chemicznych przygotowań kuchennych (fermentacje, gotowanie, pieczenie) substancje halucynogenne tego samego rodzaju, co narkotyk dziś znany pod nazwą LSD (*lysergic acid diethylamine*). Rodzaj halucynacji wywoływanych tym środkiem zależy od emocjonalnego stanu człowieka oraz od odmian czy może zanieczyszczeń i rodzaju zmian chemicznych, jakim ergot był poddany (np. rodzaj drożdży na których ciasto rośnie, dodatki protein, jak mleko czy jajka, obecność substancji słodzących, temperatura, która jest różna przy gotowaniu, smażeniu lub pieczeniu). Stąd też w różnych przypadkach zatrucia produktami ergotu symptomy mogą być różne zarówno w formie halucynacji, jak ich przebiegu.

Halucynogenne produkty różnych grzybków narkotyzujących bywały znane „wtajemniczonym” od tysięcy i stosowane zarówno w celach leczniczych, jak magicznych. Wiedźmy skazywane na stos niejednokrotnie nie tylko przyznawały się do latania na miotle na odległą Łysą Górę, gdzie brały udział w towarzystwie podobnych czarownic w zabawach i ucztach na cześć wyznawanego przez nich bóstwa, ale nawet opisywały przygotowania do takich podróży. Z reguły polegało to na zbieraniu rytualnie przepisanych sposobem pewnych ziół i traw i sporządzaniu z nich ekstraktów, którymi nacierano całe ciało. Jeżeli rośliny były zebrane i substancje przygotowane „właściwie”, to wznosiły się one w powietrze i leciały na owe konwentyle. Oczywiście właściwy ekstrakt zawierał ergot, a jego przygotowanie produkowało LSD i nacieranie całego ciała powodowało jego wchłanianie przez skórę. Cała podróż na zebranie i zabawy

odbywała się wyłącznie w halucynacji, ale wiedźma była całkowicie przekonana o rzeczywistości wydarzenia.

O dość szerokim rozpowszechnieniu ergotu świadczą liczne, znane w średniowieczu przypadki „epidemicznego” zatrucia chlebem z ziarna żytniego, które zakażone było sporzysmem (grzybek zawierający ergot). Silniej zatruci umierali, a od mniej zatrutych powracających do życia wiemy, że wszyscy przeżywali męki przypalania żywym ogniem, torturowani przez takie czy inne stwory jako kara za różne przewinienia. Te przypadki choroby znane były pod nazwą „Ogień świętego Antoniego”, gdyż właśnie ten święty poddany był takiej chorobie.

Tak więc narkotyczne zatrucie, w którym halucynacje kazały delikwentom wierzyć, że są zagryzani przez tysiące myszy, o których zresztą w niektórych podaniach wyraźnie wspomina się, że są to „myszy niewidoczne” dla obecnych świadków, mogło być spowodowane śmiertelnym zatruciem żywnością zawierającą znaczne dawki ergotu. Może więc i rodzina Papela żywiąca się tygodniami wyłącznie ziarnem z zapasów w „Mysiej Wieży” doprowadziła dawkę spożytej narkotycznej trucizny do poziomu halucynacji prowadzącej do śmierci.

J.P. HORZELSKI

Tydzień Polonistów na KUL-u

Koło Naukowe Polonistów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w dniach 12-16 listopada 1990 roku zorganizowało I Tydzień Polonistów „Kultura polska lat 80-tych”. Na Tydzień składały się wykłady, spotkania autorskie, dyskusje seminaryjne, spektakle teatralne. Różnił się dość istotnie w swej formule od klasycznej sesji naukowej. Celem organizatorów było zasygnalizowanie najważniejszych, ich zdaniem, zjawisk dotyczących bardzo obszernego tematu, który i tak został potraktowany selektywnie. Główne zręby dyskusji dotyczyły prasy, literatury, teatru. Postaram się omówić ją, przy czym dla zachowania jasności wywodu niekiedy nie zachowam kolejności spotkań czy wykładów.

Inauguracyjny wykład doktora Andrzeja Sulikowskiego dotyczył roli *Kultury*. Pierwsza część wystąpienia stanowiła próbę rekonstruk-

cji odbioru pisma w kraju przez pokolenie dzisiejszych czterdziestolatków. Pokolenie w dużym stopniu wychowane przez *Kulturę*, która przede wszystkim odkłamywała najnowszą historię, dawała pełny, prawdziwy obraz współczesności. Datami przełomowymi były rok 1968 — zaistnienie pisma w świadomości szerokiego grona odbiorców i 16 miesięcy Solidarności, kiedy to po okresie pośpiesznej lektury rozpoczęło się bardziej krytyczne, refleksyjne czytanie *Kultury*.

Następnie opisana została struktura pisma, które zmieniając swe oblicze w ciągu 40-tu lat bardzo regularnego ukazywania się, zachowało bardzo wyraźną perspektywę ciągłości. Po pierwsze, jak stwierdził Sulikowski, dzięki skonkretyzowanej linii politycznej, na którą składały się między innymi wskazanie ogromnej roli stosunków z narodami sąsiadującymi, krytyka polskiej ksenofobii, kulturowanie tradycji niepodległościowych. Po drugie zaś dzięki konsekwentnemu realizowaniu misji ocalenia w kulturze polskiej tego wszystkiego, co niszczyła cenzura. Wypowiadanie się na łamach pisma przyniosło jeszcze jeden rezultat, to znaczy bujny rozwój takich gatunków, jak esej, felieton, dziennik, nowela czy opowiadanie.

Trzy pierwsze dni poświęcone były prozie lat osiemdziesiątych. Zaczę od omówienia wykładu doktora Włodzimierza Boleckiego, który dał syntetyczny ogłód tego zjawiska. Prelegent wskazał na dwa czynniki zewnętrzne w stosunku do literatury, a jednak wyraźnie ją modelujące. Są to upadek cenzury i niezależny ruch wydawniczy. Powstały w roku 76 miał pełnić funkcję salonu odrzuconych, potem zaś stał się instytucją, na potrzeby której zaczęto pisywać książki. Na obraz prozy lat osiemdziesiątych, ostatniej dekady piśmiennictwa w państwie komunistycznym, w sferze poetyki, według Boleckiego wpłynęły procesy będące kontynuacją zjawisk obecnych w latach 56-76. Również niewiele nowości pojawiło się w zakresie tematyki. Można do nich zaliczyć problematykę kresów wschodnich, dziciństwa, ludobójstwa, stalinizmu, stanu wojennego czy zagłady. Wziąwszy to pod uwagę oraz fakt, że najwybitniejsze pozycje książkowe były dziełem pisarzy starszego pokolenia, jak Szczepańskiego, Konwickiego czy Terleckiego, prelegent stwierdził, że omawiany okres nie był najlepszy dla młodej prozy.

W drugiej części wystąpienia Bolecki omówił oddziaływanie prozy emigracyjnej. Nakreślił podstawowe różnice między literaturą emigracyjną a krajową, ujawniające się w odmiennym obrazie wojny, stalinizmu i innym stosunku do języka; pokazał to plastycznie na przykładzie Miłosza i Białoszewskiego. Zderzenie tych dwóch odmiennych literatur spowodowało w latach osiemdziesiątych, a więc w okresie przenikania do szerokiego społecznego odbioru literatury dotąd „złe obecnej”, zaburzenie w prozie krajowej

linearnego porządku czasowego. Podjęła ona bowiem tematy, o których proza emigracyjna mówiła znacznie wcześniej. Wśród nich wymienione zostały trzy znamienne dyskusje — między Miłoszem a Mackiewiczem, dotycząca zdobycia władzy; między Herlingiem-Grudzińskim a Borowskim, traktująca o postawie ludzi uwięzionych w obozach; i w końcu między tymże Herlingiem-Grudzińskim a Gombrowiczem, której istotą było poszukiwanie nadrzędnej sankcji moralnej.

Do jednego wątku z tego inspirującego wykładu pragnę powrócić, gdyż stanowił on główny temat spotkania z Janem Józefem Szczepańskim oraz dyskusji seminaryjnej, poświęconej młodej prozie. Mam oczywiście na myśli słabość nowej prozy. Szczepański wskazał na złą sytuację wydawniczą, brak fundacji, złą politykę fiskalną oraz, co wydaje się najistotniejsze, na brak ruchu pokoleniowego, jako na przyczyny owego zastoju. Nie znaczy to jednak, że nie istnieją pisarze młodej generacji, na których warto zwrócić baczniejszą uwagę, jak Jerzy Pilch, Paweł Huelle czy Piotr Szewc; spotkanie z tym ostatnim poświęcone było jego powieści „Zagłada”.

Podczas seminarium powtórzono też za profesorem Janem Błońskim teorię, upatrującą słabość nowej prozy w małej interioryzacji prozy Gombrowicza. Znakomitą odpowiedź stanowił wykład doktora Jerzego Jarzębskiego o wpływach Gombrowicza na literaturę polską. Mówiąc o oddziaływaniu w zakresie poetyki (odkrycia w sferze języka, kompozycji i narracji), prelegent stwierdził, że istota wpływu Gombrowicza na twórczość innych pisarzy polegała na prowokacjach. Przed wojną manifestował swoją alergię wobec literatury zaangażowanej politycznie. Po wojnie, już na obczyźnie, krytykowany był przez środowiska emigracyjne za ataki na polskość i patriotyzm. Głośne było jego starcie z Mackiewiczem. Uogólniając, Jarzębski stwierdził, że chodziło zawsze o skłócenie z literaturą na usługach.

Czwartkowe obrady poświęcone były poezji. Rozpoczął je wykład doktora Mariana Stali „Poezja dekady lat osiemdziesiątych”. Według prelegenta okres ten znamionuje pewna jedność w postawie poetów, jedność podejmowanej tematyki, którą (uogólniając) można sprowadzić do trzech podstawowych problemów; do obrony słowa przed zagrożeniami świata zewnętrznego, do konieczności dawania świadectwa, do próby opisu rzeczywistości i nicości. Stała podkreślił dwa zjawiska, które, przypominam, zaobserwowano również w prozie. Otóż obraz poezji ukształtowały procesy, zapoczątkowane dwadzieścia lat wcześniej. Prawie niewidoczni byli debiutanci. Wymieniając najwybitniejszych poetów, prelegent zakresił dwie przeciwstawne linie: na jednej znaleźli się Miłosz, Zagajewski i Maj (poezja bytu), na drugiej Herbert, Krynicki i Polkowski (poezja powinności). Odrębne miejsce przeznaczył dla Szyborskiej, Białoszewskiego i Barańczaka.

Znakomity był wykład profesora Janusza Sławińskiego o poezji stanu wojennego. Jako zjawisko istniała między grudniem roku 81 a grudniem roku 83. Była jedną z form niezależnego porozumienia się ludzi, niestety pozbawioną większych wartości artystycznych. Sławiński wyróżnił dwie taktyki poetyckiego obrazowania. Jedną opartą na przekonaniach o powracalności historii, o tożsamości przeznaczeń, wzlotów i upadków polskich pokoleń, drugą opartą na rzecz poetyckiego dokumentalizmu, ujawniającą się w dążeniu do zapisywania prawdy chwili, dnia powszedniego, stanu ducha. Prelegent poświęcił dużo miejsca na charakterystykę, używając terminu Barańczaka, „ludowego anonima”, wskazując takie bardzo interesujące zjawiska, jak trawestacja czy parodia tekstów ogólnie znanych, czy zjawisko kontrjęzyka w stosunku do mowy przeciwników.

Zupełnie odmienny charakter miało spotkanie ze Stefanem Kisielewskim, podczas którego niewiele padło słów o literaturze, a wiele dotyczyło polityki. Gorący, przedwyborczy czas takiej rozmowie sprzyjał. Z tego powodu nie przybył do Lublina Adam Michnik, który miał wygłosić referat „Wiedza o najnowszej historii — nadzieje i pułapki”. Temat taki wydawał się organizatorom niezbędny do całościowego oglądu kultury, szczególnie literatury, zde-terminowanej w dużym stopniu przez historię.

Imprezami towarzyszącymi były dwa spektakle teatrów alternatywnych: *Wiosna Ludów* lubelskiej Sceny 6 w reżyserii Henryka Kowalczyka, oraz *Moskwa-Pietuszki* szczecińskiego Teatru „Kana” w reżyserii Zygmunta Duczyńskiego. Stało się to początkiem dyskusji o formacji teatru studenckiego, proponującej nowe sposoby rozumienia relacji aktor-widz i przestrzeni, oraz odmienny stosunek do tekstu. To właśnie teatr alternatywny jako pierwszy wykorzystywał teksty literatury „złe obecnej”. Pozostaje jednak otwarte pytanie, czy u progu lat dziewięćdziesiątych formacja ta jeszcze istnieje, czy też przekształciła się całkowicie w teatr profesjonalny.

Cóż nowego wniosła dyskusja podczas I Tygodnia Polonistów? Zarysowały się pewne wspólne spostrzeżenia, pozwalające wyodrębnić lata osiemdziesiąte, jako ostatnią dekadę piśmiennictwa w kraju komunistycznym, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dekadę pewnej wspólnoty pogłądowej twórców i zdeterminowania literatury koniecznością dawania świadectwa. Ta konieczność, moim zdaniem, zubożyła literaturę, wypaczyła gusty odbiorców, nastawionych na takie a nie inne treści. Szkoda tylko, że temat ten, uważany za

drażliwy, na tej sesji nie został bardziej wyeksponowany.

I już na zakończenie — I Tydzień Polonistów wzbudził ogromne zainteresowanie. Jest to dla organizatorów znak, że przyjęta formuła znalazła aprobatę, co dobrze wróży II Tygodniowi Polonistów.

Agata KOSS

KOMUNIKATY

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM POTWIERDZA I DZIĘKUJE ZA OTRZYMANE DARY

Książki: Instytut Literacki w Paryżu — 1.980 egz.; Redakcja pisma *Kontakt* w Paryżu — 2.200 egz.; Natalia Gorbaniewska z Paryża — 124 egz.; Wydawnictwo CDN z Warszawy — 14.788 egz.; Wydawnictwo RYTM z Warszawy — 5.350 egz.; Wydawnictwo G.O. „SOLIDARNI” z Warszawy — 3.822 egz.; Wydawnictwo POKOLENIE z Warszawy — 5.314 egz.; Wydawnictwo IN PLUS z Warszawy — 1.260 egz.; Wydawnictwo NIE-PODLEGŁOŚĆ z Warszawy — 3.070 egz.; Wydawnictwo ON-a z Opola — 413 egz.; Wydawnictwo PoMOST z Warszawy — 1.000 egz.; Spółka EDITIONS SPOTKANIA — 1.576 egz.; Spółka kolportażowa B. ZYGMUNT z Warszawy — 3.711 egz.; Redakcja pisma KULTURA NIEZALEŻNA z Warszawy — 1.040 egz.

Wpłaty gotówkowe: Dyrekcja i Rada Pedagogiczna Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. R. Traugutta w Lipnie — 100.000 zł; Komitet Rodzicielski przy Liceum Ogólnokształcącym w Sędziszowie Małopolskim — 50.000 zł; Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki — fundusze na transport i rozesłanie ofiarowanych książek do bibliotek.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo FUNDACJĘ podajemy numer naszego konta: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, Państwowy Bank Kredytowy, III Oddział w Warszawie, konto nr 370015-975148-132-3.

CENTRUM STUDIÓW KULTURY POLSKIEJ

Centre d'Etudes de la Culture Polonaise przy Uniwersytecie Charles de Gaulle Lille III organizuje w dniach od 10 do 12 kwietnia 1991 międzynarodowe kolokwium na temat „Polska proza współczesna: indywidualizm czy poczucie wspólnoty? Jedna czy wiele tożsamości?”

W chwili, kiedy Europa waha się między pokusą zamknięcia się i otwarcia na „inną Europę”, przypadek Polski i jej współczesne plody literackie są dobitnym wyrazem oblicza tej „innej” i okowów, z jakich się wyzwała.

Najwięksi polscy krytycy literaccy, polscy pisarze tłumaczeni na angielski, niemiecki, litewski, żydowski bądź francuski, uczeni z Anglii, Stanów Zjednoczonych, Belgii i Francji będą się starali zdefiniować oblicze współczesnej literatury polskiej.

Debata toczyć się będą po francusku. O szczegółowym programie i warunkach wpisu informuje p. Marek Tomaszewski, Université de Lille III BP 149, 59653 Villeneuve d'Ascq Cedex.

STYPENDIA JANA I ZUZANNY BRZĘKOWSKICH

Fundacja imienia Jana i Zuzanny Brzękowskich (z siedzibą w Bibliotece Polskiej w Paryżu) ogłasza konkurs na stypendium. Celem jego jest pomoc dla autorów specjalizujących się w historii literatury polskiej, krytyce literackiej, historii. Ubiegać się mogą o stypendium wyłącznie osoby mieszkające poza Paryżem, którym niezbędny jest, dla kontynuowania pracy, pobyt w Paryżu, korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a szczególnie ze zbiorów Biblioteki Polskiej Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

Wysokość stypendium pozwala na skromne przeżycie kilku tygodni w Paryżu. Ani Fundacja ani Towarzystwo Historyczno-Literackie nie pokrywają kosztów podróży stypendysty, ani nie zapewniają mu mieszkania.

Osoby ubiegające się o stypendium im. Jana i Zuzanny Brzękowskich winny w podaniu sprecyzować temat pracy, jak również wymienić dzieła, publikacje, dokumenty z których zamierzają korzystać w Paryżu.

Podania pochodzące od kandydatów nie posiadających dorobku w postaci publikacji, winny być poparte opinią profesora (promotora w przypadku pracy doktorskiej) lub osoby będącej autorytetem w dziedzinie pracy kandydata.

Do podania dołączyć należy życiorys.

Podania powinny wpłynąć do 1-go lutego 1991 r. na adres Towarzystwa Historyczno-Literackiego: Société Historique et Littéraire Polonaise — 6, quai d'Orléans — 75004 Paris (France).

Przewodniczący Komisji Stypendialnej
im. Jana i Zuzanny Brzękowskich

tarnych — kształtu granic i składu etnicznego państwa. Zgadzam się z nim, uważając, że bez rozstrzygnięcia, dokąd i w jakim stopniu będzie sięgała władza Moskwy, nie da się ani uporządkować gospodarki, ani zbudować sprawnych struktur administracyjno-państwowych. Do tych też zagadnień chcę ograniczyć swoje uwagi.

Generalną zasadą rozstrzygnięcia dążeń narodów Związku Sowieckiego do suwerenności, jaką proponuje Sołżenicyn, jest hasło: „Kto chce wyjść, niech wychodzi”. Jego zdaniem, dziś w republikach siły centralistyczne są tak rozbite, że tendencje odśrodkowe można powstrzymać jedynie za cenę krwi i przemocy. Takiej ceny płacić nie wolno. Trzeba dołożyć wszelkich starań, by nadażyć za naturalnym procesem rozpadu, reagować w taki sposób, aby wydzielenie się suwerennych republik przebiegało bez niepotrzebnych strat ludzkich. W tym celu należy przede wszystkim „jak najszybciej, głośno i jednoznacznie stwierdzić: trzy republiki bałtyckie, trzy zakaukaskie, cztery środkowoazjatyckie i Mołdawia, jeśli ją bardziej ciągnie ku Rumunii — tak! — nieodwołalnie i bezpowrotnie będą oddzielone”.

Jak na dyskusję o przyszłości Rosji jest to propozycja niezwykle jasno sformułowana. Sołżenicyn prezentuje listę republik, które nie tylko nie mogą, ale powinny w najbliższym czasie stać się niezawisłymi, suwerennymi państwami. Pewne wątpliwości ma wyłącznie w odniesieniu do przebiegu granicy między Rosją a Kazachstanem. Zauważa, że to wielkie terytorium zostało podzielone bezsensownie. Wystarczyło, że po stepie w jakimś miejscu raz przeszły stada, a już uznawano je za należące do Kazachów. Zwraca uwagę, że w dawnych czasach granice nie miały znaczenia, a do 1936 Kazachstan był jeszcze republiką autonomiczną w ramach Rosyjskiej Federacyjnej SR. Dziś w jego skład wchodzi południowa Syberia, południowe Przyurale oraz centralny teren pustynny zasiedlony przez zeków i zesłańców różnych nacji. W całej republice Kazachowie stanowią obecnie mniej niż połowę ludności, która zamieszkuje południowy pas kraju. W związku z tym Sołżenicyn nie widzi powodów, by oddawać Kazachom całą republikę — jeśli zechcą, niech się oddzielają w pasie południowym.

Zadziwia w tym miejscu powierzchowność ocen ferowanych przez autora licznych powieści o wyraźnym zacięciu historycznym. Jest faktem, że większa część Kazachstanu została pobita i przyłączona do Rosji nie przez bolszewików, a przez wojska carskie. Prawdą jest również, że był to obszar wybrany przez Moskwę jako bardzo wygodne miejsce lokowania setek tysięcy niewygodnych obywateli różnej narodowości. Nie działa się to jednak w uzgodnieniu z miejscową ludnością. Przytaczanie natomiast jako argumentu przewagi liczebnej ludności niekazach-

Książki

Rosja Sołżenicyna

Sołżenicyn przez ostatnie lata nie godził się na wydawanie swojej publicystyki politycznej w Związku Sowieckim. Uważał, że czytelnicy będą go mogli właściwie zrozumieć dopiero po przeczytaniu „Archipelagu Gułag”, a ta książka, mimo wielokrotnych zapowiedzi, nie mogła się pojawić na normalnym rynku księgarskim. Gdyby zresztą udzielił zgody na wydanie wszystkich swoich tekstów, okazałoby się, że pustelnik z Vermontu na temat *pieriestrojki* i perspektyw coraz szybciej rozpadającego się Związku Sowieckiego właściwie niczego nie napisał.

Jednym z dramatów dzisiejszej Rosji jest brak autorytetów moralnych i politycznych. Na scenie publicznej nie pojawiają się postacie, które cieszyłyby się zaufaniem choćby poważnej części środowisk opozycyjnych, a na pewno nikt już się nie spodziewa, że do nowego myślenia i działania zdoła kogokolwiek natchnąć Gorbaczow czy Jelcyn.

Do pewnego stopnia rolę sumienia narodu spełniał Andriej Sacharow. Po jego śmierci jedyną osobą, której głos może dotrzeć do wszystkich kręgów inteligentkich i będzie z powagą wysłuchany, jest Aleksander Sołżenicyn. Na jego głos czekano, nierzadko nie do końca rozumiejąc przyczyny tak długiego milczenia.

I oto Sołżenicyn odezwał się! Włączył się do dyskusji o Rosji w wielkim stylu: manifestem programowym, w którym zawarł pełną wizję przyszłego kształtu postkomunistycznego państwa rosyjskiego. Kilkudziesięciostronicowy tekst zatytułowany „jak powinniśmy przebudować Rosję?” w Związku Sowieckim wzbudził sensację. Na Zachodzie komentowały go najważniejsze dzienniki i tygodniki. Są to jednak tylko pierwsze reakcje. Prawdziwa dyskusja nad poszczególnymi tezami programu Sołżenicyna dopiero się zaczyna.

Sam Sołżenicyn rozpoczyna od spraw jego zdaniem elemen-

skiej w Kazachstanie musi wywołać protest. Przecież liczba Kazachów zmniejszyła się o jedną trzecią w wyniku tak zwanej „sedenteryzacji”, przeprowadzonej w końcu lat 20-tych w celu lepszego kontrolowania przez komunistów tradycyjnie koczowniczej ludności. Gwałtowna zmiana warunków życia, wybicie niemal całego stada, brutalna próba złamania wzorców kulturowych i więzi plemiennych ograniczyły drastycznie przyrost naturalny i, krótko mówiąc, były dla narodu kazachskiego katastrofą. O polityce Rosji oraz Związku Sowieckiego można by pisać długo, na co nie ma tu miejsca, trzeba jednak stwierdzić, że był to teren praktykowania szczególnie bezwzględnych metod zaboru, kolonizacji i w pewnym okresie nawet eksterminacji.

Przy okazji Kazachstanu dobitnie należy postawić pytanie o odpowiedzialność imperium za podbite kraje i narody. Jest to nie tylko kwestia moralna, ale i jeden z najważniejszych problemów, przed jakimi stoi dzisiejsza Rosja. Nie wystarczy, tak jak to czyni Sołżenicyn, stwierdzić zdawkowo, że w stosunku do oddzielających się republik trzeba zachowywać się rozsądnie, „nie tak jak uciekający z Angoli Portugalczycy”. Dobrze byłoby już w najbliższym czasie wypracować takie normy pragmatyki politycznej, które umożliwiłyby w miarę spokojną secesję tych narodów, które tego zechcą oraz wytyczenie granic akceptowalnych dla obu stron. Na pewno nie pomoże w tym podejście, w myśl którego ziemie skolonizowane przez Rosję przedbolszewicką muszą należeć do Rosji po wsze czasy.

Poświęcam stosunkowo dużo uwagi krótkiemu passusowi na temat Kazachstanu, gdyż bardzo wyraźnie obrazuje on protekcjonalizm, z jakim autor (i niestety wielu innych Rosjan, których głos słyszany jest publicznie) podchodzi do kwestii tak zwanych małych narodów. Współbrzmie on z odczuciami tych Rosjan osiadłych w różnych republikach imperium sowieckiego, którzy nigdy nie uznali za stosowne nauczyć się miejscowego języka, którzy nie mają pojęcia o miejscowej kulturze — nie rzadko starszej i nie mniej ciekawej niż ich własna — i są bardzo zdziwieni, że nikt nie jest skłonny do okazywania im wdzięczności za wprowadzenie wyższej, moskiewskiej cywilizacji. Sołżenicyn, wysuwając jako wartość nadrzędną zachowanie jedności samej Rosji, nie pomaga w rozładowaniu napięcia pomiędzy Rosjanami a narodami niestowiańskimi. Może w jakimś stopniu postawę tę tłumaczyć można tym, że żyjąc tak długo za granicą nie zdaje sobie sprawy, w jakim stopniu nasiliła się izolacja ludności rosyjskiej w Turkmenii, Uzbekistanie, Kazachstanie, Kirgizji, nie mówiąc już o Armenii, Azerbejdżanie czy Gruzji, gdzie najpowszechniejszym uczuciem w stosunku do Rosjan jest wrogość.

Nawet po oddzieleniu się dwunastu wskazanych przez Sołże-

nicyna republik w Rosji pozostanie około 100 mniejszych narodowości. Autor manifestu programowego przewiduje dla nich wszelkie prawa, przysługujące mniejszościom w cywilizowanym świecie. Apeluje, by mogły rozwijać swoją kulturę, zachować i pielęgnować język oraz religię. W ramach państwa rosyjskiego uzyskałyby one autonomię, wzmocnioną demokratycznym systemem reprezentacji narodowej. Sołżenicyn podkreśla przy tym, że pozostanie tych narodów w Rosji spowodowane byłoby nie tyle imperialnymi dążeniami Rosjan, co po prostu względami praktycznymi: trudniejszy byłby przecież byt państwa otoczonego ze wszystkich stron przez ogromną Rosję. Nie warto poza tym mnożyć urzędów, biurokracji, systemów komunikacyjnych, armii oraz pozbawiać się łatwego dostępu do chłonnego rynku. W sumie na pozostaniu korzystałyby głównie małe narody, a nie Rosja.

I w tym miejscu można mieć wątpliwości, czy dokonany przez Sołżenicyna rachunek zysków zgodzi się z dążeniami i aspiracjami Tatarów, Baszkirów czy Jakutów. Na pewno łatwiej byłoby uzyskać akceptację ze strony najmniejszych nacji, takich jak Nieńcy, Permiacy, Ewenkowie czy Chakasi. Dla nich proponowany przez Sołżenicyna zakres autonomii w zdemokratyzowanej Rosji mógłby być rzeczywiście jedynym realnym celem.

Już dziś jednak widać, że i w tej grupie narodowości rozwiązywanie nabrzmiałych od lat problemów nie będzie łatwe. Sołżenicyn twierdzi na przykład, że Tatarom krymskim należy zezwolić na powrót na Krym, zastrzega jednak, że w XXI wieku kraina ta jest w stanie przyjąć 8-10 milionów ludzi, należy więc odrzucić domaganie się 100 tysięcy Tatarów prawa do władania Krymem. Wprawdzie liczbę Tatarów krymskich należałoby pomnożyć w rzeczywistości przez pięć, ale to i tak nie odbiera pewnej logiki ocenie Sołżenicyna. Tyle tylko, że, jak wiadomo, Tatarzy nie chcą się zgodzić z arytmetycznym kryterium określania, kto ma rządzić w *ich* kraju. Wiadomo, jak doszło do tego, że liczbowe proporcje ludności na Krymie zmieniły się na ich niekorzyść i mimo iż faktów nie da się odwrócić, nie podejmowałbym się przekonywania Tatarów, że władza powinna pozostać w rękach Rosjan bądź Ukraińców.

Problemy, które zasygnalizowałem powyżej mają zapewne dla Sołżenicyna znaczenie drugorzędne. Skoro raz przyjmuje się zasadę, że wszystkie republiki nierosyjskie powinny stać się osobnymi państwami, spory dotyczące ostatecznego przebiegu granic można uznać za mniej istotne. Przy ich rozstrzygnięciu ważny głos przypadłby bezstronnym komisjom międzynarodowym, co dawałoby nadzieję na uniknięcie drastycznych konfliktów.

Głównym zagadnieniem staje się pytanie, czy ci, których Soł-

żenicyn chce włączyć do narodu rosyjskiego, zechcą się z nim zgodzić — chodzi tu o Ukraińców i Białorusinów, którzy wraz z Rosjanami powinni stworzyć Związek Rosyjski. W „Słowie do Ukraińców i Białorusinów” mówi: „Bracia! Niepotrzebny jest ten okrutny podział! Razem przecierpieliśmy czasy sowieckie, razem wpadliśmy w zamęt, razem też się (z niego) wydostaliśmy. Trzeba propagować 'niepodzielność' ale też i 'niewymieszanie'”. Nie powinno być żadnej przymusowej rusyfikacji, ale też nie można dopuścić do ukrajinizacji, do bezwzględnej dominacji mniejszości nad większością.

Do obu bratnich narodów chce się zwracać „od wewnątrz”, podkreślając swoje częściowo ukraińskie pochodzenie oraz ogromną sympatię do Białorusinów, wśród których spędził większość frontowych dni. Ale nie tylko względy emocjonalne mają przemawiać za wspólną, słowiańską przyszłością tych trzech nacji. Sołżenicyn pisze, że naród ruski rozdzielił się na trzy gałęzie wskutek czynników zewnętrznych — w wyniku najazdu mongolskiego oraz polskiej kolonizacji. „Wszyscy wywodzimy się ze świętego Kijowa — powiada — rządili nami ci sami książęta”. Na Litwie i Białorusi zarówno Białorusowie jak i Małorusowie uważali siebie za Rosjan, walcząc przeciw polonizacji i katolicyzacji. Powrót owych ziem do Rosji był przez miejscową ludność przyjmowany jako ponowne zjednoczenie. Nie co innego jak intrygi Austriaków doprowadziły do ukształtowania się w XIX-wiecznej, oddzielonej Galicji odrębnego języka ukraińskiego, naszpikowanego słownictwem niemieckim i polskim. Podobnej proveniencji jest też sztucznie rozpalony ukraiński separatyzm. „Oczywiście, jeśliby naród ukraiński *rzeczywiście zechciał* oddzielić się, nikt nie będzie chciał zatrzymać go siłą” — dodaje autor, konsekwentnie trzymając się przyjętej na samym początku traktatu zasady samostanowienia. Jednocześnie jednak ostrzega, że w takim wypadku decyzja musi być podjęta wyłącznie przez miejscową ludność, a żadna mniejszość nie ma prawa narzucać swej woli ogółowi. Uwagę tę można chyba odczytać jako wyraz wiary, że na Ukrainie w ostateczności poczucie więzi z prastarą Rusią weźmie górę nad pragnieniem posiadania własnego, suwerennego państwa, że wielką rolę mogą odegrać wspólne korzenie milionów rodzin, które nie tylko w ostatnich dziesięcioleciach tak się wymieszały, iż ich dzieci w równym stopniu mogą powoływać się na dziedzictwo Kijowa jak i Moskwy. Myślę, że wiara ta wynika z braku orientacji w nastrojach społecznych dzisiejszej Ukrainy. Nawet w Donbasie, gdzie ukraińscy robotnicy stanowią zaledwie połowę, a i wśród nich nie wszyscy potrafią mówić po ukraińsku, strajki prowadzone są pod sztandarami wolnej Ukrainy. Sposób argumentowania na rzecz wspólnoty ruskiej, sprowadzający się do wytykania Ukraińcom tak wielkiego zaniku

samoświadomości, że dali sobie narzucić z zewnątrz nie tylko obcą religię ale nawet język, nie będzie zachęcał do rzeczowego dialogu. Potwierdzają to pierwsze reakcje. W doniesieniach z Ukrainy powtarzają się informacje o zdecydowanym odrzuceniu propozycji Sołżenicyna przez chyba wszystkie ugrupowania polityczne. Najdobitniej rozprawiają się z wizją Związku Rosyjskiego działacze opozycyjnego „Ruchu”, którzy wielokrotnie określali manifest jako szowinistyczny i antyukraiński. Tak się składa, że dla elity demokratycznych środowisk Ukrainy okres „separatyzmu” jest jednym z najowocniejszych dla rozwoju współczesnej kultury narodu, a zanieczyszczenie języka ukraińskiego elementami polskimi i niemieckimi jest nieporównanie mniej niebezpieczne od rusyfikacji.

Ukraińcy odrzucają także stwierdzenie Sołżenicyna, że obszar dzisiejszej Ukrainy sowieckiej daleko wykracza poza jej rdzenne ziemie, że cała jej część południowo-wschodnia wraz z Donbasem nie może należeć do republiki ukraińskiej. Brakuje w tym miejscu Sołżenicynowi konsekwencji, gdyż z jednej strony postuluje, by sprawy rozdziału terytorialnego pozostawić plebiscytowi przeprowadzonemu pod kontrolą komisji międzynarodowych, z drugiej zaś — w oparciu o wątpliwe argumenty — sam rozstrzyga, czego Ukraińcom (tak jak Kazachom czy Tatarom) dać nie można.

Sołżenicyn, pisząc „Słowo do Ukraińców i Białorusinów” właściwie zwraca się do tych pierwszych. O Białorusinach stwierdza, że wszystkie uwagi dotyczące wspólnego pochodzenia i konieczności zachowania rosyjskiej jedności odnoszą się w równym stopniu do nich, tyle że na Białorusi nie rozpalono jeszcze tak bezwzględnego separatyzmu. Nie uważam tego za zręczny gest polityczny. W momencie, gdy na Białorusi budzi się świadomość narodowa, a wraz z nią świadomość spustoszeń, jakich dokonała w ich kulturze rusyfikacja i sowietyzacja, „chwalenie” Białorusinów za brak „separatyzmu” może wywołać skutek odwrotny do zamierzonego. Nacjonalizm budzący się później nie jest wcale nacjonalizmem bardziej otwartym na współpracę i zbliżenie z innymi narodami. Przekonała się o tym delegacja polskiego MSZ, która w Mińsku wysłuchała pretensji o złe traktowanie Białorusinów po zachodniej stronie Bugu i została pouczona, że Białostoczczyzna jest rdzenną ziemią białoruską. Nie wystarczy tłumaczenie takiej postawy władz Białorusi realizacją poleceń Kremla, dla którego porozumienie każdej z republik z zagranicą jest w sposób oczywisty niekorzystne. Odbija ona w pewnym stopniu nastroje we wciąż słabym, ale szybko rozwijającym się środowisku opozycyjnym.

Dziś wizja słowiańskiej Rosji, w której obok siebie żyliby w zgodzie Wielkorusowie, Małorusowie i Białorusowie nie będzie

chyba atrakcyjna dla żadnego z tych narodów. Wśród Wielkorusów wciąż przeważa idea niepodzielnego imperium. Walczą z nią nie tylko zwolennicy okrojonego państwa słowiańskiego, ale także ci, którzy sądzą, że nawet państwo zamknięte w granicach dzisiejszej RSFSR byłoby zbyt ogromne do sprawnego rządzenia, że istnieją historyczne, kulturowe podstawy, by Rosję podzielić na dwa lub trzy organizmy państwowe (koncepcja szczególnie popularna wśród inteligencji syberyjskiej, podzielana przez część członków Związku Demokratycznego). Ukraińcy i Białorusini, widząc szansę na całkowicie samodzielny byt, nie są skłonni do rozmów na temat dzielenia swej niepodległości z kimkolwiek — jest to całkowicie naturalne i zrozumiałe. Dobrowolne przyłączenie się tych republik do Związku Rosyjskiego będzie możliwe dopiero po tym, jak oba te narody okrzepną we własnych państwach, nabiorą takiego poczucia bezpieczeństwa wśród sąsiadów, że mocą własnej, suwerennej decyzji — o ile uznają to za korzystne — zadecydują o złączeniu się z rosyjskimi braćmi. Przyszła (moim zdaniem mało prawdopodobna) unia musi być poprzedzona secesją.

Czy to co powyżej napisałem oznacza, że poświęcona problemom narodowościowym część traktatu *Sołżenicyna* pozbawiona jest jakiegokolwiek wartości? — Wręcz przeciwnie! Złe by się stało, gdyby została zlekceważona i przeszła bez większego echa. Jest to pierwsza, jasno wypowiedziana propozycja rozwiązania najpoważniejszych problemów czekających Związek Sowiecki w dniach jego rozpadu. Można mieć wątpliwości co do skuteczności apelu skierowanego przez *Sołżenicyna* do „braci Ukraińców i Białorusinów”. Można też nie zgadzać się z jego argumentacją w sprawie przebiegu przyszłych granic Rosji, ale należy bardzo wysoko ocenić odwagę autora, który nie unika dotykania najboleśniejzych kwestii i wyklada propozycje godne jak najpoważniejszej dyskusji. Chcę wierzyć, że fala rozgoroczenia wywołana *sołżenicynowską* wizją przyszłej Rosji minie i do takiej dyskusji dojdzie. W przeciwnym razie Związek Sowiecki targany będzie nieskoordynowanymi, pełnymi niekontrolowanej emocji eksplozjami.

Andrzej ANANICZ

O ostatnim z alfabetów

Doktor Jan Kott uczył mnie w czasach, gdy był profesorem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, że felietonista powinien się powtarzać — nie lubimy bowiem co niedziela siadać z kimś nowym do stołu, felietonista nie może się jednak powtarzać — bo nie lubimy wysłuchiwać wciąż tego samego. Jerzy Urban od samego początku swej felietonowej działalności potrafił się wyróżnić, ogłaszając zawsze teksty, których autora można rozpoznać najpóźniej w trzecim zdaniu. Niepowtarzanie się przekracza natomiast jego możliwości. Być może to ograniczenie jest rezultatem doświadczeń młodości felietonisty. Otrzymał on *bardzo staranne złe wykształcenie*. Studiował do roku 1954, to jest do 21-go roku życia dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Jest dość prawdopodobne, że obowiązujące go wtedy lektury mogły wyzwolić w rozgarniętym chłopcu poczucie, że podobne rzeczy on sam potrafi napisać. Wiele wskazuje na to, że właśnie wówczas uzyskał wiadomości, którymi posługuje się do dzisiaj. W swym pożęgalnym felietonie w *Trybunie* z 1.X. br. wystąpił w obronie pamięci byłego generała Żymierskiego, twierdząc, że wytoczony mu proces kryminalny zakończony dowiedzeniem mu nadużyć, skazaniem i degradacją był aktem zemsty ze strony marszałka Piłsudskiego za stanowisko Żymierskiego podczas zamachu majowego. Jest to kłamstwo, ale przecież nie Urban je wymyślił i tylko je powtarza.

Opowiadając o Kazimierzu Dziewanowskim, swym koledze z czasów młodości, wspomina, że kiedyś przez dwa tygodnie w Zakopanem wspólnie czytali „Czarodziejską Górę”. Dziś czytanie *Manna* czy przenoszenie się myślami i emocjami w świat którejkolwiek powieści wydaje mu się niezrozumiałe. Z całej twórczości Urbana wynika niezbicie, że przeczytał jeszcze „Wstęp do teorii marksizmu” Adama Schaffa — co było lekturą obowiązkową, „Podróż na Zachód” Zygmunta Kałużyńskiego, pracę Werblana o Gomulce, „Negocjatora” Forsytha, dzieło profesora dr. Mariana Orzechowskiego „Czy partia zdąży na czas” i wspomnienia generała UB Władysława Pożogi. Miał też w rękę i przez indeks odnalazł wzmianki o sobie we wspomnieniach radiowych Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Na tym wyczerpuje się kultura literacka Urbana i zaczyna jego pogarda dla cudzych tekstów. Zupełnie możliwe, że nigdy nie czytał o pułkowniku Władysławie Andersie, który był szefem sztabu oddziałów lojalnych wobec prezydenta Wojciechowskiego, po maju pozostał w

służbie czynnej i był przez marszałka Piłsudskiego mianowany generałem.

Jeśli pamięta się o zdaniu, które uporczywie powtarzała swemu mężowi pani Władysława Reymontowa: — Ty nie czytaj, ty pisz! — można przypuszczać, że to, co Urban traci jako felietonista, odzyskuje w oczach swych żon jako ideał pracowitego męża. Dobrowolnie rezygnując z wiadomości, które inni czerpią z lektur, Urban wykorzystuje swych znajomych, których słucha i opisuje. Jakże jednostronny jest wybór jego znajomości. Trzej koledzy ze szkoły, dziennikarze znani mu z redakcji w których pracował i z knajp, członkowie rządu i Biura Politycznego z ostatniego dziesięciolecia, nieco kobiet. Moja powierzchowna jedynie znajomość prozy Włodzimierza Sokorskiego nie pozwala mi oceniać stopnia nowatorstwa ideowego i artystycznego Urbana w opisie obyczajów tych pań, wymienianych z imienia i nazwiska. Nie przeszkadzało to jednak korpusowi generałskiemu PRL w utrzymywaniu zażytych stosunków towarzyskich z autorem.

Wiele wskazuje na to, że Urban musiał znać dobrze jeszcze jedną kategorię osób. Przez wiele lat prowadził w tygodniku *Kulisy* kronikę kryminalną podpisywaną Jerzy Kibic. Wybór tych tekstów, cieszących się powodzeniem, zatytułowany „Wszystkie nasze ciemne sprawy”, ukazał się w roku 1974 w nakładzie 50.000 egzemplarzy uchodząc uwadze krytyki. Urban stworzył zupełnie nowy gatunek, nieznan dotąd nie tylko w Polsce, ale w ogóle w krajach cywilizacji łacińskiej. Czytelnik w pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że autor ani razu nie był na sali sądowej w trakcie procesu, natomiast wie znacznie więcej niż zazwyczaj mówiono reporterowi kroniki miejskiej w zaprzyjazznionym komisariacie. Pojawiają się nieodmiennie w tych tekstach zwroty: „prowadzący dochodzenie zapytał”, albo „w trakcie przesłuchania”. Czasem opowiada o wydarzeniach, w których nie doszło do procesu, które zatem nie były przestępstwami, ale interesowały policję dokonującą zatrzymań i przesłuchań, wzbogacającą zasób swych informacji. Wszystkie te historie opowiedane są z punktu widzenia śledczego, a w najlepszym razie prokuratora. Zachowany nawet bywa styl protokołu sporządzonego przez funkcjonariusza. „Na zabawie ZMS pracownik budownictwa Mirosław P. opowiadał przygody z wojska, a w tym czasie jego narzeczona Cecylia U. tańczyła z Wacławem J., także pracownikiem budownictwa. Mirosław P. miał dużo przygód w wojsku, a więc dopiero po godzinie czy dwóch, w połowie opowiadania o zawaleniu się latryny...”. Bardziej jednak niż styl, nad którym panuje i potrafi ożywić, przejął Jerzy Urban polityczny punkt widzenia na naturę człowieka.

Do tego gatunku należy najlepszy jak dotąd utwór Urbana,

ogłoszony w *Polityce* w maju 1970. Jak zawsze milicja zrobiła dla niego wszystko: pierwsze zdanie opowieści brzmiało: „Strażnik aresztu śledczego wprowadził do pokoju widzeń konsula”. Bohater tej historii, Czesław Śliwa rodem z Rzeszowa, opuszczając w roku 1969 — ta data ma znaczenie — więzienie, w którym przebywał za drobne oszustwa i sfałszowanie dyplomu inżyniera, który posłużył mu do zajmowania z powodzeniem trzech kolejnych posad inżynierskich, otóż Czesław Śliwa uzyskał w kancelarii więziennej autentyczne zaświadczenie na fałszywe nazwisko Silberzweig *vel* Śliwa. Jadąc z tym papierkiem do ambasady Holandii, opowiedział taksówkarzowi, że jest Żydem zamierzającym emigrować, na co taksówkarz wspomniał, że jego ojciec ratował podczas wojny Żydów. Śliwa spytał o nazwisko ojca, a następnie oświadczył, że to jest właśnie jego wybawca, którego od dawna poszukiwał pragnąc mu się odwdziżyć. (Miał w chwili tej rozmowy 34 lata, a jego dzieciństwo rzeczywiście przypadło na lata wojny). Nazajutrz po wystawnej kolacji wydanej przez rodzinę taksówkarza doktor inżynier Silberzweig udał się z tatą taksówkarza do adwokata, by dokonać na jego rzecz formalnego zapisu 9.000 dolarów. Ponieważ miał jednak problemy z przewiezieniem za ocean swej biblioteki naukowej — pożyczył od obdarowanego na ten cel i na bieżące wydatki 84.000 złotych — egzemplarz *Polityki* kosztował wtedy dwa złote. Odtąd jeździł taksówkami, przedstawiając się jako pułkownik izraelskiego wywiadu — zapuścił brodę, którą farbował na czarno i nałożył okulary, a problemy finansowe przestały mu sprawiać jakikolwiek kłopot. Gdy we Wrocławiu poznał uczennicę zakładu fryzjerskiego, zdecydował się zostać konsulem generalnym Austrii, Jackiem Ben Silbersteinem. Narzeczona przedstawiła go swym znajomym, a on zatrudnił ich niezwłocznie w swojej placówce liczącej wkrótce siedem osób. Był wśród nich szofer, właściciel mercedesa ze zlikwidowanym licznikiem. Do czasu przydzielenia obiecanej lokalu personel konsulatu utrzymywał konsula, który większość dostarczanych mu sum wydawał na ugaszczanie pracowników, sam jedząc i pijąc powściągliwie. Odwiedzał zresztą stale w towarzystwie swoich ludzi opieszających urzędników, starając się o przyspieszenie przydziału siedziby. Nie znając niemieckiego, wymyślił język przedstawianych przez siebie dokumentów, który nie będąc polskim, był zarazem obcym i całkowicie zrozumiałym. Owe *Pasaporte Consulare General* były trzykrotnie honorowane przez polską milicję i urzędników rad narodowych we Wrocławiu i Krakowie. Chlestadkow porównany ze Śliwą przedstawia się jak talent wobec geniusza. Ale Urban nie zna Gogola. Dziennikarz, któremu pod nos przywlekają postać przerastającą Chlestadkova, robi z tego jeden artykuł do *Polityki*. Gdyby wiedział, że trzeba

i umiał opisać tło, byłoby z tego poza wszystkim najgłębsze studium charakteru polskiego antysemityzmu. Oto po roku zacieklej kampanii antysemickiej człowiek przedstawia się jako oficer izraelskiego wywiadu, zyskując w ciągu stu dni wszędzie sympatię, gościnę i kredyty. To nieustanne pasmo sukcesów zostaje przerwane, ponieważ bohaterowi przyszło do głowy odwiedzić jako konsul austriacki dyrektora „Lotu” i odbyć z nim bezinteresowną rozmowę na temat porwania do Wiednia polskiego samolotu. Wiadomość o tej konferencji dotarła do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Wiedniu wraz z plikiem listów od konsula, odsyłanych przez polskie hotele do ambasady austriackiej w Warszawie. Prośba z Wiednia o wyjaśnienie sprawy w Warszawie położyła kres tej karierze. Bezradny w chwili swej wielkiej szansy, umie jednak Urban naszkicować celne wizerunki dwuwymiarowych postaci ostatniej ekipy PRL. „Rok 1988. Lato. Bułgaria. Plaża przy polskim rządowym domu wypoczynkowym. W związku z falą strajków w Polsce żegnam się ze wszystkimi tam będącymi. Rozgorączkowany odlatuję do kraju ratować socjalizm. Tadeusz Witold Młynczak stoi na rozstawionych nogach na piasku w miejscu, gdzie fale go ubijają i przepływają Młynczakowi między palcami nóg. Trzyma ręce podniesione do góry i wykręcone ku słońcu. Prezes stronnictwa polskich demokratów i współprzewodniczący Rady Państwa podjął oto długofalowe dzieło opalania wewnętrznej strony rąk”. Nie należy posądzać Urbana o nielojalność wobec współpracowników. On jest szczerze na nich zawiedziony, że przez głupotę i niesprawność wypuścili władzę z rąk. Urban przecież wiedział, jak należało postępować. Wspomina, że to on z generałem Pożogą i sekretarzem Cioskiem opracowywał generalne założenia polityki państwa: amnestię, zmianę premiera. Tak więc na przeciąg paru lat przerósł konsula Czesława Śliwę. Gdyby umiał opisać dokładnie konferencje owej trójki, mogłyby powstać martwe dusze realnego socjalizmu. Nasz autor potrafi tylko opowiedzieć o pomysłach konkretnych, personalnych. Premierem ale zarazem ministrem spraw wewnętrznych pilnującym wszystkiego powinien być generał Kiszczak. Urban będąc strategiem systemu nadal zajmowałby się redagowaniem materiałów dostarczanych mu przez MSW w kopertach z pieczęcią ŚCIŚLE TAJNE. Redaktorowi Urbanowi tak się kiedyś spodobały historyjki dostarczane mu przez oficerów śledczych, że nabrał całkowitego zaufania do opracowań syntetycznych tej firmy i przy całej swej inteligencji uważał, że wystarczy znać życie z raportów policji. Kłopotliwa jak zawsze gospodarka powinna być w całości oddana w dzierżawę Mieczysławowi Wilczkowi, który wypłacałby współpracownikom roczną dywidendę w zamian za pilnowanie spokoju zatrudnionych przez siły ładu i porządku. Mieczysław Rakowski — pre-

zes Polskiego Yacht Clubu i król życia — zajmowałby się dalszą rekrutacją członków ścisłej ekipy — to przecież on wynalazł Wilczka. Zarazem jako towarzysz znający język niemiecki zabiegałby o pożyczki zachodniemieckiego kapitału i życzliwość socjaldemokratów.

Wobec paru ludzi zachował Jerzy Urban niewzruszoną lojalność. Pisze o Czesławie Kiszczaku: „Polska miała swoich wielkich, a to Kopernik, a to Curie-Skłodowska, Mickiewicz lub Chopin... Prawda jest jednak taka, że astronomów rangi Kopernika było paru, w epoce Chopina kilku kompozytorów mu dorównywało lub go przewyższało, sporo narodów miało w epoce romantyzmu wieszczów bardzo genialnych, a Skłodowska-Curie należała do całej sztafety fizyków odznaczających się w nowej dziedzinie badawczej. Kiszczak zaś to szef policji nieporównywalny z żadnym innym politykiem tej specjalności”. Gdyby Urban trochę czytał, wiedziałby pewnie, że Claude Saint-Simon w początkach zeszłego stulecia proponował, by górę świętego Bernarda użyć jako materiał do wyrzeźbienia pomnika Napoleona, którego cokołem byłaby cała kula ziemiska. Tak więc jako pochlebca Urban może zadowolić tylko ludzi na tym samym co on poziomie kultury literackiej.

Andrzej DOBOSZ

Czytając prasę

„Nieszczęsny nasz kraj stoi u progu drugiej tury wyborów prezydenckich — napisał KTT w *Polityce* z datą 8 grudnia 1990. Autor ten, od przeszło czterdziestu lat zabierający stale głos w sprawach publicznych — w styczniu 1982 w pierwszym numerze wznowionej *Polityki* z pewnym zakłopotaniem uzasadniał wprowadzenie stanu wojennego — nigdy dotąd nie był aż tak przejęty losem ojczyzny. Wyczerpujący opis ewolucji poglądów prasy krajowej w okresie między 20 listopada a 20 grudnia 1990 zamierzam przedstawić następnym razem. Przygotowując się do tego zadania postanowiłam przyjrzeć się jak podobne rzeczy robią specjaliści. Ukazał się właśnie numer 3/4 dwudziestego dziewiątego rocznika wydawanego przez Pracownię Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego XIX i XX w. Instytutu Badań Literackich Akademii Nauk czasopisma *Kwartalnik Historii Prasy Polskiej*. Zaczęłam lekturę od artykułu Czesława Lewandowskiego „Dyskusja prasowa nad koncepcją

inteligencji polskiej J. Chałasińskiego w latach 1946-48". Książkę Chałasińskiego „Społeczna genealogia inteligencji polskiej” zapamiętałam głównie dzięki pewnej uwadze pani Marii Ossowskiej w eseju „Inteligent polski na tle grupy towarzyskiej Europy Zachodniej”, eseju może sprowokowanego przez pracę Chałasińskiego, bardzo jednak przerastającego polemikę z tym autorem. Ossowska komentując zarzut Ch., że inteligenci polscy lubili studiować na zagranicznych uniwersytetach przypomniała w ciągu ilu lat nie istniały uniwersytety na ziemiach polskich; nawet wyjazd do Krakowa wymagał zagranicznego paszportu. Artykuł Lewandowskiego zaczyna się od uwag o wzmocnionym zainteresowaniu lewicowej prasy codziennej i tygodniowej zagadnieniami inteligencji w pierwszych latach Polski Ludowej. Mówi o „niechęci, a nawet wrogości, żywionej przez spore odłamy ludzi wykształconych wobec rzeczywistości politycznej kraju. Było to zjawisko dla lewicy u władzy bardzo niekorzystne, jeśli nie groźne...”. Dalej jest mowa o robotniczej prasie codziennej, o partiach rządzących. W tym języku, bez używania słowa: komuniści, nie da się zrelacjonować porządnie dyskusji o inteligencji ani opisać sytuacji w powojennej Polsce. Używając pojęcia lewicy w znaczeniu jakie nadali mu komuniści zacierają się różnice między Stanisławem Ossowskim a kierownikiem wydziału KC PPR Franciszkiem Blinowskim, który również zabrał wtedy głos w prasie. „Chałasiński, socjolog znany z wydanej w 1938 r. fundamentalnej pracy ‘Młode pokolenie chłopów polskich’, nie krył swoich sympatii lewicowych od lat. W r. 1946 okazał się jednym z niewielu ludzi nauki, którzy poparli nowy porządek społeczny...”. Uczony socjolog o poglądach lewicowych był szczególnie dobrze przygotowany by rozpoznać czym jest nowy porządek społeczny. Tak jak to uczynił w tym czasie profesor Ossowski. Autor cytowanej rozprawy przytacza stawiane Chałasińskiemu zarzuty kierowania się pobudkami praktyczno-politycznymi, które prowadzą z reguły na manowce koniunkturalizmu. Sam jednak napisał swą rzecz w stylu minimalistycznego koniunkturalizmu, w którym mizerną stawką bywało przez długi czas to tylko by teksty mogły się ukazywać w druku.

Przyzwyczajenie do niewyraźnego języka cechuje wielu autorów pisma. Rafał Habielski w rzeczowej recenzji „Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami kraju” Jana Kowalika powiada, że opublikowana była po raz pierwszy „w bardzo ograniczonym nakładzie”. Spytałam paru moich znajomych co to może znaczyć. Bardzo ograniczony nakład bibliografii? Odpowiedzi na ogół brzmiały: poniżej tysiąca, w jednym wypadku usłyszałam: trzysta egzemplarzy. Tymczasem z któregoś z ubiegłorocznych numerów *Kultury* wiem, że było sześć egzemplarzy.

Pogodne wspomnienia Stanisława Kosickiego — „...chodziło się na kawę i wiśniaczkę, a kto lubił to i serniczek” dotyczą początków kariery dziennikarskiej autora w łódzkiej prasie związanej z PPS. Jest to niezmiernie nieinteresujący tekst; biorąc go parokrotnie do rę-

ki wkrótce zasypiałam o dowolnych porach dniach. Dowodzi to może najwyższych kwalifikacji fachowców z poprzednich lat. Stanisław Kosicki, mniej głośny jako dziennikarz, stał się znany jako szef (Prezes) cenzury od roku 1972, o czym nie wspomina redakcja *Kwartalnika*. Puszczając do druku własne wspomnienia potraktował je z nabytą rutyną. Rozbicie kierownictwa łódzkiego PPS-u w r. 48, odejście miejscowego I sekretarza tej partii Henryka Wachowicza, kiedyś skłonnego do współpracy z komunistami, w r. 46 przez trzy miesiące wiceministra Bezpieczeństwa Publicznego, który sam ustąpił widząc co tam się dzieje zarejestrowane są w dwu bezbarwnych zdaniach. Sam K. już uprzednio miał kontakty z zespołem lokalnego organu PPR. „Po części miały one charakter roboczych dyskusji, wzajemnych ocen, po części towarzyski (zastawiony stół, na nim prócz zakąsek nie tylko woda mineralna). Dyskusje odbijały czasem aktualny stan stosunków między PPS i PPR w Łodzi, ale generalnie służyły wzajemnemu poznaniu się czy nawet zbliżeniu. Ułatwiło to w grudniu 1948 przejście do redakcji *Głosu Robotniczego*...”.

Zrealizowany z takim wysiłkiem zamiar przebrnięcia przez wspomnienia Kosickiego powzięłam po lekturze omówienia wspomnień sowieckiego dyplomaty Nikołaja W. Nowikowa z lat 1938-47, zamieszczonego w *Kwartalniku Historycznym* nr 1/2 1990. Nowikow, poprzednio specjalista od gospodarki Bliskiego Wschodu zaczął swą karierę jako referent spraw tureckich, w 39 r. objął obowiązki kierownika wydziału mającego w swej gestii sprawy Bułgarii, Grecji, Jugosławii i Rumunii a od lipca 1941 także Czechosłowacji i Polski. Od 42 r. praktycznie zajmował się tylko sprawami polskimi. Potem był jeszcze *chargé d'affaires* w Egipcie, przedstawicielem w Libanie i Syrii, zakończył zaś służbę jako ambasador w USA. Recenzent zwraca uwagę zarówno na niedostępność archiwów sowieckich jak milczenie głównych animatorów i wykonawców sowieckiej polityki zagranicznej, co sprawia, że „każdy radziecki pamiętnik dyplomatyczny dotyczący chronologicznie lat wojny zasługuje na baczną uwagę, nawet jeśli zawiera niewiele faktów i spostrzeżeń rzeczywistej oryginalnych bądź jeśli są one zagubione w powodzi tradycyjnej retoryki”. Ostrzega też, że książka Nowikowa „cierpi na wszystkie wzmiankowane wady memuarów z kręgu Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych”. Cierpliwie jednak umiał odnaleźć na 400 stronach wspomnień rzeczy godne zapamiętania. „Mało jest w literaturze znana radziecka próba narzucenia Ankarze układu dwustronnego o pomocy wzajemnej, niewiele odbiegającego od podobnych z Litwą, Łotwą i Estonią”. „Obszernie omawia autor kwestię „pokojowej korektury granicy z Rumunią”, którą prawdopodobnie sam prowadził... W odróżnieniu od innych opracowań radzieckich ukazuje, iż rzecz dotyczyła nie tylko przyznanej Rumunii w Wersalu odrębnym protokołem Besarabii, ale także części Bukowiny...” W sprawach polskich znajduje informację, że odczytana przez Mołotowa ambasadorowi RP Tadeuszowi Ro-

merowi nota o zerwaniu stosunków powstała wyjątkowo nie w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych lecz w Radzie Komisarzy Ludowych bez jakiegokolwiek konsultacji z kierownictwem resortu.

Z tym omówieniem sąsiaduje w *Kwartalniku Historycznym* recenzja książki Czesława Madajczyka „Dramat Katyński” W-wa 1989 str. 188, 21 ilustr., 2 mapy, Książka i Wiedza. „Autor — czytamy w recenzji — jest znawcą problematyki II wojny światowej, zwłaszcza dziejów okupowanej Polski, był również członkiem partyznej polsko-radzieckiej komisji do badań tzw. białych plam... Na wstępie wypada stwierdzić, że książka została napisana na podstawie źródeł oraz literatury w większości od dawna znanych na Zachodzie. Uwidacznia się brak nowych źródeł radzieckich, co jest swoistym świadectwem efektów działalności w tym względzie wspomnianej wyżej komisji. Praca dzieli się na dwie, w przybliżeniu równe pod względem objętości części: tekst autorski liczący około 80 str. oraz aneksy... W aneksach zwracają uwagę materiały z archiwów niemieckich... zbyt szeroko, wręcz drobiazgowo, została przedstawiona sprawa jeńców polskich w obozach niemieckich. Oddzielnie wyszczególniono tu niemal każdy wypadek mordu na polskich oficerach... w sytuacji gdy gros jeńców bądź internowanych członków korpusu oficerskiego Wojska Polskiego zginęło bądź zaginęło w ZSRR... Autor zajmuje się również sprawą oficerów AK, którzy dostali się do niewoli niemieckiej po powstaniu warszawskim, jednak w związku z tym zastanawia brak podobnego zainteresowania oficerami też formacji internowanymi i aresztowanymi przez władze radzieckie w 1944-45 r. ...Wątpliwości wzbudza dobór ilustracji w recenzowanej pracy. Zamiast lub obok zdjęć przedstawiających oficerów udających się do niewoli niemieckiej należało umieścić ilustracje dokumentujące wydarzenia we wschodniej Polsce, wszak książka dotyczy jeńców polskich w ZSRR. Nie mam nic przeciwko zamieszczeniu portretu płk. W. Morawskiego, zamordowanego w Mauthausen, ale wobec tego razi brak zdjęć oficerów, którzy przebywali w Ostaszkwie i Starobielsku...”

Witold Sienkiewicz zwraca w swej recenzji również uwagę, że Madajczyk nie zawsze zamieszcza odsyłacze do prac, na podstawie których napisał swą książkę; przykładem, nie jedynym, jest fragment będący „niemal dosłownym powtórzeniem” passusu z artykułu Z.S. Siemaszki w *Zeszytach Historycznych*. „Szczupłość miejsca pozwala na wskazanie jedynie niektórych pomyłek i nieścisłości zauważonych w książce”. Tłumacząc je pośpiechem w wykonywaniu misji, wylicza ich około 50-ciu. „We wstępie autor napisał, że książka jest owocem początkowej fazy badań nad problematyką katyńską, nie zwalnia to jednak, jak sądzę, historyka od obowiązku unikania zbyt dużej liczby błędów, tym bardziej że fakty prezentowane w niniejszej książce są w większości od dawna ustalone i opisane w literaturze przedmiotu.

Rekapitułując — wypada stwierdzić, że publikacja ta jest w sumie pożyteczna, należy jednak korzystać z niej z dużą ostrożnością”.

Cytowałam tak obszernie tę recenzję, wydała mi się bowiem wzorem staranności i umiaru w zdawaniu sprawy z podobnych lektur.

Litość i zrozumienie
w wysokiej mamy cenie
no bo co?

14.12.1990

Zofia ZIEMIĘCKA

Instytut Literacki w Kraju

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH
NIEZALEŻNYCH (UZUPEŁNIENIA)
(c.d. *Kultura* nr 1/496-2/497, 5/500, 11/506, 5/512)

- BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Wielkie bankructwo* (1990), Kraków, LIBERTAS, 1990.
- CZAPSKI Józef: *Na nieludzkiej ziemi* (1949). Warszawa, CZYTELNIK, 1990.
- : *Tumult i widma* (1981). In: *Czytając*. Kraków, ZNAK, 1990.
- DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Wspomnienie o Bibliotece Narodowej w Warszawie* (1978). In: *Biblioteka Narodowa: wspomnienia 1928-1988*. Warszawa, BIBLIOTEKA NARODOWA, 1988.
- GOMBROWICZ Witold: *Pornografia* (1960). Kraków, WYDAWNICTWO LITERACKIE, 1990. (Dzieła, t. 4) [wyd. 3].
- : *Testament* [wydany w 1969 jako Dominique de Roux: *Rozmowy z Gombrowiczem*]. Warszawa, RES PUBLICA, 1990.
- HERBERT Zbigniew: *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze* (1983). Gdańsk: OFICYNA POETÓW, 1989.
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą, 1971-1972* (1973). Warszawa, RES PUBLICA, 1990 [ze wstępem K. Pomiana].
- : *Dziennik pisany nocą, 1973-1979* (1980). Warszawa, RES PUBLICA, 1990.
- : *Dziennik pisany nocą, 1980-1983* (1984). Warszawa, RES PUBLICA, 1990.
- : *Dziennik pisany nocą, 1984-1988* (1989). Warszawa, PLEJADA, 1990 [w 2 tomach].
- HŁASKO Marek: *Opowiadania* (1963). Warszawa, CZYTELNIK, 1989. (Utwory wybrane, t. 1) [wyd. 4 poszerz.].
- : *Piękni dwudziestoletni* (1966). Warszawa, CZYTELNIK, 1989. (Utwory wybrane, t. 5) [wyd. 4 poszerz.].
- HOLZER Jerzy: *Solidarność 1980-1981* (1984). Warszawa, AGENCJA OMNIPRESS, 1990.

- HORT Weronika (Hanka Ordonówna): *Tulacze dzieci* (1948). Warszawa, PIW, 1990.
- JEDLIICKI Witold: *Klub Krzywego Kota* (1963). Warszawa, GO „SOLIDARNI”, 1989.
- KOESTLER Arthur: *Ciemność w południe* (1983). Warszawa, PIW, 1990.
- KRAŚNIEWSKA Wiktoria (Barbara Skarga): *Po wyzwoleniu...* (1985). Poznań, W DRODZE, 1990.
- KULSKI Julian: *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (1968). Warszawa, PWN, 1990.
- LEWYTYK Borys: *Terror i rewolucja* (1965). PROFIL, 1990.
- MIŁOSZ Czesław: *Zaczynając od moich ulic* (1985). Wrocław, WYD. DOLNOŚLĄSKIE, 1990.
- : *Zdobycie władzy* (1955). Olsztyn, POJEZIERZE, 1990.
- : *Zniewolony umysł* (1953). Kraków, KAW, 1990.
- MUR Jan (Andrzej Drzycimski, Adam Kinaszewski): *Dziennik internowanego* (1985). Gdańsk; Warszawa, MODEM; POLSKI DOM WYDAWNICZY, 1989.
- NOWAKOWSKI Marek: *Dwa dni z Aniołem* (1984). Poznań, KANTOR WYDAWNICZY SAWW, 1990.
- : *Grisza, ja Ciebie skazu...* (1986). Poznań, KANTOR WYDAWNICZY SAWW, 1990.
- ODOJEWSKI Włodzimierz: *Zabezpieczanie śladów* (1984). Warszawa, CZYTELNIK, 1990.
- : *Zasypie wszystko, zawieje...* (1973). Warszawa, CZYTELNIK, 1990.
- ORŁOŚ Kazimierz: *Trzecie kłamstwo* (1980). Warszawa, ISKRY, 1990.
- PIASECKI Sergiusz: *Jabuszko* (1946). Warszawa, GRYF, 1990; Wrocław, WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE, 1990.
- : *Nikt nie da nam zbawienia* (1947). Warszawa, GRYF, 1990; Wrocław, WYD. DOLNOŚLĄSKIE, 1990.
- : *Spojrzą ja w okno...* (1947). Warszawa, GRYF, 1990; Wrocław, WYD. DOLNOŚLĄSKIE, 1990.
- SINGER Bernard: *Od Witosa do Stawka* (1962). Warszawa, VERUM, 1990.
- SOLŻENICYN Aleksander: *Archipelag GULag 1918-1956* (1974-1978). Warszawa, NOWE WYDAWNICTWO POLSKIE, 1990 [wyd. rozsz. i popr.].
- STALIŃSKI Tomasz (Stefan Kisielewski): *Ludzie w akwariu* (1976). Kościan, OMNIBUS, 1990.
- : *Romans zimowy* (1972). Warszawa, WYD. POLSKIE; POLSKI DOM WYDAWNICZY, 1989.
- SWIANIEWICZ Stanisław: *W cieniu Katynia* (1976). Warszawa, CZYTELNIK, 1990.
- SZCZYPIORSKI Andrzej: *Początek* (1986). Poznań, K.W. SAWW, 1990.
- TRZNADEL Jacek: *Hańba domowa* (1986). Lublin; Białystok, TEST; VER-SUS, 1990.
- WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander: *Wielka czystka* (1967). Warszawa; Wrocław, WERS, 1990.
- ZESZYTY HISTORYCZNE**
- zeszyt 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 91, 92. Warszawa, PoMOST, 1990.
- KULTURA**
- 1990: 3/510, 4/511, 5/512, 6/513, 7/514-8/515, 9/516, 10/517. Warszawa, MYŚL, 1990.

Nadesłane nowości wydawnicze

- LISIŃSKI (Michał). *Czarownica*. Str. 272 i 4 nbl (Wyd. Arka, Sztokholm 1990).
- BĄCZKOWSKI (Włodzimierz). *Jerzy Niezbrzycki (R. Wraga) 1902-1968*. (Nadbitka z *Niepodległości* tom XXIII, str. 99-124, Nowy Jork 1990).
- MENTZEL (Zygmunt) *Pod kreską*. *Ostatnie kwartały PRL*. Str. 240. (Wyd. Puls, Warszawa i Londyn, 1990).
- BORODZIEJ (Włodzimierz). *Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby*. *Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1947*. Str. 376 i 2 nbl. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £8,50, \$17).
- Historikerstreit. Spór o miejsce III Rzeszy w historii Niemiec*. Str. 132 i 2 nbl. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £4,50, \$10).
- PAWŁOWSKI (Andrzej). *Hustawka czyli symboliczno-hyperrealistyczny grudzień w Polsce, ANNO 1987*. Str. 123 i 3 nbl. (Wyd. Saga Publishers, Toronto 1990).
- FINK (Ida). *Podróż*. Str. 176. (Wyd. Aneks, Londyn 1990, cena £5, \$12).
- ASH (Timothy Garton). *Pomimo i wbrew. Eseje o Europie Środkowej*. Z angielskiego przełożyła Anna Husarska. Str. 269 i 3 nbl (Wyd. Polonia, Londyn 1990).
- ASH (Timothy Garton). *Wiosna obywateli. Rewolucja 1989 widziana w Warszawie, Budapeszcie, Berlinie i Pradze*. Z angielskiego przełożyła Anna Husarska. Str. 109 i 3 nbl. (Wyd. Polonia, Londyn 1990).
- HEYDENKORN (Benedykt, opr.). *„Ale i słaby nie zginie”*. *Różne oblicza Kanady. Pamiętniki imigrantów polskich 1981-1989*. Str. 545 i 5 nbl. Wyd. Canadian Polish Research Institute, Toronto 1990).
- LIZAKOWSKI (Adam). *Złodziejże czereśni. Wiersze i poematy*. Str. 96. (Wyd. Artex Publ., Stevens Points, USA 1990).
- JEŻEWSKI (Krzysztof). *Próba ognia*. Str. 64. (Wyd. Editions Dembiński, Paryż 1990).
- ŻAKOWSKI (Jacek). *Trzy ćwiartki wieku. Rozmowy z Jerzym Turowiczem*. Str. 236 i 4 nbl. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- TUROWICZ (Jerzy). *Kościół nie jest łodzią podwodną. Wybór publicystyki z lat 1964-1987*. Str. 418 i 2 nbl. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- CIEMIŃSKI (Ryszard). *I szukam ziemi Polaków*. Str. 181 i 3 nbl. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1989).
- FAC (Bolesław). *Aureola czyli powrót do Wrzeszcza*. Str. 292. (Wyd. PIW, Warszawa 1990).
- BONIECKI (Adam, ks.). *Notes rzymski. Tom 3, lata 1986-1988*. Str. 200 i 4 nbl. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- DRAWICZ (Andrzej). *Mistrz i Małgorzata. O Michale Bułhakowie*. Str. 376 i 4 nbl. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- Cztery nieznane listy Adama Mickiewicza. 1830-1852*. Opracował Janusz Odrowąż-Pieniążek. Str. 43 i 5 nbl. (Wyd. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Warszawa 1987).
- Żadne żaby tak pięknie nie grają jak polskie. Nieznany autograf karty „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza*. Opracował Janusz Odrowąż-Pieniążek. Str. nbl. (Wyd. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Warszawa 1987).

- OLSZEWSKI (Witold). *Budujemy kanał. Wspomnienia kierownika Biura Planowania*. Str. 208. (Wyd. Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”, Warszawa 1990).
- KOWALCZYKOWA (Alina). *Jesień 1831. Sprawa polska w świetle paryskich gazet*. (Nadbitka z *kwartalnika historii polskiej* XXIX, 1, Warszawa 1990).
- KADZIELA (Paweł). *Nieznane listy Żeromskiego*. (Nadbitka ze *Studiów filozoficznych* nr 7-8, 1989). *Archiwum Wschodnie-Informator*. Str. 18. *Orlętom obrońcom Lwowa w siedemdziesiątą rocznicę*. Reprint wydania z 1934 r. Str. 52 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Comet Powszechnej Oficyny Wydawniczej, Lublin 1990).
- MIECZKOWSKI (Romuald). *Co bym stracił?* Wiersze. Str. 48. (Wyd. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 1990).
- MILANCZÓWNA (Elżbieta). *Wiersze dawne i najnowsze*. Wybór. Str. 64. (Wyd. nakładem prywatnym, Wrocław 1990).
- CIEGIELSKI (Tadeusz), KADZIELA (Lukasz). *Rozbiory Polski 1772-1793-1795*. Str. 352. (Wyd. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1990).
- SOCHON (Jan, ks.). *Merton, Lubochnia i literatura*. Str. 234 i 6 nlb. (Wyd. Wrocławskie Wydawnictwo Diecezyjne, Włocławek 1990).
- Zostało tylko słowo... Wybór tekstów o „Kulturze” paryskiej i jej twórcach*. Str. 148 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Fis, Lublin 1990).
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Zabezpieczanie śladów*. Str. 136 i 8 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1990).
- ZIELIŃSKI (Jan). *Leksykon polskiej literatury emigracyjnej*. Str. 157 i 3 nlb + fotografie. (Wyd. Wydawnictwo Fis, Lublin 1990).
- Rok rządu premiera Mazowieckiego*. Str. 210. (Wyd. PAP, Warszawa 1990).
- KROK-PASZKOWSKI (Jan). *Mój bieg przez XX wiek*. Str. 258. (Wyd. Odnowa, Londyn i Norbertinum, Lublin 1990).
- KORCZAK (Jerzy). *Konspiratorzy*. Str. 194. (Wyd. SAWW, Poznań 1990).
- BAUDELAIRE (Charles). *Kwiaty zła*. Przekłady różne. Str. 484 i 4 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990).
- Prace Komisji Konstytucyjnej Senatu*. Zeszyt 1. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań-Warszawa 1990).
- ROSMAN (M.J.). *The Lords' Jews. Magnate-Jewish Relations in the Polish-Lithuanian Commonwealth during the Eighteenth Century*. Str. 256. (Wyd. Center of Jewish Studies, Harvard University, Cambridge MA, USA 1990).
- DĄBROWSKI (Stanisław). *The Rise and Fall of a Programm. An Assessment of the Programm in East European and Slavic Studies at the State University of New York College at Buffalo 1968-1977*. Str. 57. (Wyd. Polish Cultural Foundation, Buffalo NY, 1990).
- The Frankfurt School: How relevant is it today? I Critical Theory and the Science of Management*. Str. 212. (Wyd. Universitaire Pers Rotterdam 1990).
- The Frankfurt School: How relevant is it today? II Critics and Critical Theory in Eastern Europe*. Str. 186. (Wyd. Universitaire Pers Rotterdam 1990).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. XIV, nr 1/2, June 1990. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, 1990).
- GŁOWACKI (Tadeusz, ed.). *Maria Skłodowska-Curie and Niels Bohr*. Str. 166. (Wyd. Polish-Scandinavian Research Institute, Kopenhaga 1990).
- CZAPSKI (Józef). *Rétrospective*. Katalog retrospektywnej wystawy w Muzeum Jenisch w Vevey, Szwajcaria, 3.6.-15.9.1990. Str. 80. (Wyd. Association des Amis de Joseph

- Czapski i Editions Plexus, Szwajcaria).
- DRAUS (Franciszek). *La ligne Oder-Neisse et l'évolution des rapports germano-polonais. La nouvelle doctrine militaire de la Pologne*. Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. Fondation pour les études de défense nationale, Paryż 1990).
- MROŻEK (Sławomir). *L'arbre. Nouvelles 1*. Z polskiego przeł. André Kozimor. Str. 152 i 4 nlb. (Wyd. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1990).
- ANDERMAN (Janusz). *Le soufflé coupé*. Z polskiego przeł. Kazimierz Deryło. Str. 185 i 7 nlb. (Wyd. Noir sur Blanc, Montricher Szwajcaria, 1990).
- DE GAULLE (Charles). *Dernier carnet de notes*. Facsimile. Str. nlb. (Wyd. Club français des bibliophiles, Paryż 1990).
- GOMBROWICZ (Witold). *Moi et mon double*. Z polskiego przełożyli Krzysztof Jeżewski i Dominique
- Autrand. Str. 25 i 7 nlb. (Wyd. L'oeil de la lettre, Christian Bourgois, Paryż 1990).
- MAREK (Edmond). *Zygmunt Krasiński, déclin ou renaissance d'un barde romantique?* Str. 83 i 5 nlb. (Wyd. Club Culturel Polonia-Nord, Lille 1990).
- BIERDIAJEW (Nikołaj). *Duchowny osnowy russoj rewolucji (statii 1917-18 g.) Filozofia nierawienstwa*. Tom IV dzieł zebranych. Str. 598 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1990).
- Pisma Mariny Cwietajewoj k Ariadnie Berg. 1934-1939*. Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1990).
- SOŁŻENICYN (A.I.). *Kak nam obustroit' Rossiju? Posilnyje soobrażenija*. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1990).
- KARTASZEW (A.W.), STRUVE (N.A.). *70 liet izdatielstwa „YMCA-Press” 1920-1990*. Str. 40 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1990).

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Polemiki

Polacy w Australii zredukowani

Od czasu, gdy ukazała się w nrze 73 *Kultury* z listopada 1953 moja recenzja „Powieść o emigrantach w Australii”, nie zajmowałem miejsca na łamach tego cennego miesięcznika, gdzie zwykle omawia się sprawy ważniejsze niż niezbyt wielka grupa Polaków osiadłych na peryferiach świata, zresztą to co pisałem bardziej nadawało się do *Wiadomości* londyńskich i tam drukowano chętnie moje szkice i recenzje. Skoro jednak poświęcono mnie oraz mojej książce *Poles in Australia and Oceania 1790-1940* w nrze 518 *Kultury* dwie i pół strony, okraszone dość ciężkimi zarzutami, biorę za pióro.

Zwykle, gdy otwieram *Kulturę*, natrafiam na rzeczy nowe i ciekawe, ale w nrze listopadowym zaskoczył mnie artykuł „Polacy w Australii”, gdyż to samo czytałem już w tygodniku sydneyjskim *Wiadomości Polskie*, nr 31, z 6 sierpnia br., s. 15. Identyczny tekst otrzymał redaktor *Tygodnika Polskiego* w Melbourne, ale z niego nie skorzystał. Angielskie tłumaczenie tego samego tekstu ukazało się w nrze 17, chyba z grudnia 1989, *Journal of the Historical Society of South Australia* (Adelaide), s. 182-84, gdyż p. Leon Grabowski zadbał, by przysporzyć odpowiedniej „reklamy” także wśród Australijczyków zarówno mojej książce jak i przedmowie prof. Jerzego Zubrzyckiego. Widocznie p. Grabowski, pisząc swą pierwszą w życiu recenzję, nie wiedział, że szanujący się autorzy nie odbijają na maszynie czy kopiarce swych utworów w sześciu czy dziesięciu egzemplarzach i nie rozsyłają ich do różnych pism jednocześnie.

Pracą pisarską i dziennikarską zajmuję się od lat ponad 50, a zbieraniem materiałów do historii Polaków w Australii, którą wykopałem z zupełnego zapomnienia i nicości, blisko lat 40. O moich pracach ukazało się około 50 recenzji i opinie wyrażali tak wytrawni historycy jak Oskar Halecki, Władysław Pobóg-Malinowski, Marian Tyrowicz, Jan Lubicz-Pachoński, Jerzy Pertek oraz in-

ni, przeważnie podkreślając sumiennosc i rzetelnosc dokumentacji, jak np. dr Tadeusz Wyrwa w *Kulturze*, nr 483, z grudnia 1987. Nikt z tych 50-ciu recenzentów nie dopatrył się w moich pracach „rojowiska fundamentalnych błędów”, a tu nagle zjawia się p. Grabowski, z takim zarzutem, przybierając pozę znawcy historii, eksperta i arbitra. Czuje się on również powołany do poprawiania profesorów uniwersytetu, którzy całe życie spędzili na studiach, żywiąc szczególną niechęć do wypowiedzi prof. Zubrzyckiego.

Widać brakuje p. Grabowskiemu własnego konceptu do oryginalnych spostrzeżeń, skoro w tej recenzji użył zdania „o wielokulturowym, wieloreligijnym i wielojęzycznym charakterze” dawnej Rzeczypospolitej, wyjętego z mojego listu pisanego do niego w r. 1987, o czym przypomniałem mu pismem z 14 kwietnia 1988 i udaje, że nie wie albo celowo przemilcza, iż w wydanej w r. 1988 książce *The Australian People: An Encyclopedia of the Nation, Its People and Their Origin* ogłosiłem drukiem w rozdziale o Polakach na s. 735, że nasza Rzeczpospolita była *multicultural and multilingual*. Na s. 3 angielskiej wersji mojej książki napisałem, że Forsterowie „należeli do niemieckiej kultury”. W braku pomysłów p. Grabowski powtarza po mnie to samo. Śp. Andrzej Chciuk nazywał takie chwytły wywalaniem otwartych drzwi z ogromnym hukiem. Można dużo pisać o ciekawej postaci Georga Forstera, profesora uniwersytetu wileńskiego, gdzie np. wygłosił mowę wychwalającą „naszą ojczyznę”, „naszą akademię”, „ojczyste strony”, „najmiłościwiej nam panującego króla Stanisława Augusta”, „najszczodroblejszego Króla naszego” oraz rektora ks. Marcina Poczobuta. Ograniczę się do przypomnienia, że Forster zmarł w Paryżu, 10 stycznia 1794, na rękach polskiego emigranta i przyjaciela z Wilna, Maliczewskiego, jako uciekinier ogłoszony przez Niemców „zdraczą niemieckich interesów narodowych”.

Grabowski pisze: „Według moich wiadomości Paszkowski jest jedynym pisarzem historycznym, który łączy drugą podróż Cooka i Forsterów z odkryciem wschodnich brzegów kontynentu”. Widać zadufany krytyk ma słabe wiadomości o historiografii Australii. Wszystkie trzy wyprawy Cooka należą do historii tego kontynentu i nie znam ani jednej książki, gdzie druga wyprawa byłaby sztucznie wyłączona. O Forsterach pisze prof. Manning Clark, założyciel pierwszej katedry Historii Australii w tym kraju, na s. 55, tomu I, swej monumentalnej *A History of Australia* (Melbourne University Press), 1962. Wszystkie większe australijskie encyklopedie i słowniki uwzględniają Forsterów, np. najbardziej autorytatywny *Australian Dictionary of Biography*, gdzie w tomie 2 (1967), zarówno Reinhold jak i Georg Forster mają osobne hasła, chociaż nie ma tam życiorysów takich postaci jak Joseph Conrad lub Bronisław Malinowski, a przecież pierwszy z nich przebywał w portach Australii półtora roku, a drugi sześć lat na jej ziemi i terytoriach. Dodam, że babką Georga i matką Reinholda, urodzonego w Tczewie w r. 1727, była Polka. Książka moja nie jest tylko monografią o Polakach, ale rów-

niez zapisem poszukiwań śladów polskości po bezmiarach oceanów i pustyń Południa.

Grabowski zarzuca mi, iż „domniemane przejścia luteranów na religię katolicką *muszą* (podkreślenie moje — L.P.) być uznane jako historycznie bezpodstawne”. W tym wypadku zarzut jest zupełnie bezpodstawny, gdyż X. Leon Rogalski pisał o ułożonym przez siebie „dobrym stosie odebranych biblii luterskich” i nawracaniu luteranów, co było drukowane w krakowskich *Misyjach Katolickich*, tom 25, z listopada 1906, s. 301, także w krakowskich *Naszych Wiadomościach*, tom 2, s. 103, z tegoż roku, i w *Przeglądzie Lwowskim*, tom I, s. 289; poza tym w *Polskim Słowniku Biograficznym*, wydawanym przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, w tomie 31 (1988), na s. 414, podano, że X. Rogalski „pozył dla katolicyzmu” wielu protestantów. Widać z tego, że Grabowski przedstawiając się jako „znawca tematu” nie zna dostatecznie materiałów do życiorysu X. Rogalskiego, kluczowej postaci dziejów kolonii Polish Hill River.

Komentowanie każdego zdania napisanego przez Grabowskiego zajęłoby mi pewnie ze 20 stron, toteż ograniczę się do spraw dotyczących dr. Maksymiliana Łukowicza z Adelaide. Ani w polskim, ani w angielskim wydaniu nie użyłem słowa „patriota” w rozdziale o Łukowiczu, a jedynie zacytowałem zdanie z książki Wacława Ślabczyńskiego *Na wyspach Pacyfiku: O Janie Kubarym badaczu Oceanii* (Warszawa 1956), znając skrupulatność tego autora z jego biografii Pawła Strzeleckiego (1957) i wiedząc, że czytał liczne listy Kubarego. Rodzina Syrwind-Łukowiczów przybyła na Pomorze z Litwy podczas wojen szwedzkich i ma piękne tradycje, nie tylko hojnego wspomaganie legionów Dąbrowskiego, ale i ochotniczego udziału w powstaniu styczniowym i w wojnie 1920 roku, a także pokrewieństwa z rodziną Józefa Wybickiego, twórcy polskiego hymnu narodowego, oraz z rodziną Janta-Połczyńskich.

Jeśli nawet dr Łukowicz z Adelaide „był zdecydowanym i aktywnym Niemcem”, jak chce Grabowski, a w co wątpię, to należy mu się miejsce w mojej książce, po pierwsze dlatego, że obie córki urodzone w Adelaide z matki Australijki nauczył mówić po polsku, co nie zawsze udaje się współczesnym patriotom polskim w Australii; po drugie, że córka jego, Stefania, wyszła za mąż za wspaniałego Polaka, znanego artystę-malarza, Mariana Mokwę, współorganizatora powstania wielkopolskiego; po trzecie gdyż wnuki dr. Łukowicza zostały Polakami, a nie Niemcami; po czwarte, że rodzona jego siostra, Maria Łukowiczówna, była nieomal bohaterką narodową Pomorza, pracując pod zaborem pruskim dla utrzymania polskości.

Jak mi pisał mgr Henryk Łukowicz, zachowała się tablica z r. 1886 jego dziadka, Jana Karola, lekarza z Chojnic, brata Maksymiliana, na której nazwisko było pisane przez „cz”, a nie „tz”, jak woli Grabowski, pod datą 4 lipca 1921. Gdy ojciec Henryka Łukowicza w r. 1913 wyjechał na dworzec kolejowy, aby powitać

obie panny wychowane w Australii, nauczył się kilku zwrotów po angielsku, ale „zaskoczyły go powitaniem w języku polskim”. Młodsza z nich, Maria Leokadia, zmarła na suchoty podczas studiów w Niemczech, w r. 1917, a dr Maksymilian przebywający w Australii kazał przewieźć zwłoki do Chojnic, co wykonano z wielkim trudem i kosztem w cztery miesiące po zgonie.

Starszą córkę dr. Łukowicza, Stefanię, poznałem osobiście w Gdyni, w r. 1937. Mówiła tak piękną polszczyzną, że nigdy do głowy mi nie przyszło, że mogła być urodzona w Australii z matki Australijki. O działalności Stefanii Mokwy można znaleźć wiadomości w artykule Ireny Stankiewiczowej „Nauczycielki w walce o utrzymanie polskości w Wolnym Mieście Gdańsku”, *Rocznik Gdański*, tom 22, 1963, s. 245-46. Sam tytuł mówi za siebie. Jest tam również wspomniana ciotka Stefanii, a siostra dr. Maksymiliana, Maria Łukowiczówna, która przez 27 lat wykładała w szkole Urszulanek w Kościerzynie, gdzie uczyła historii, polskiego i literatury, wychowując dziewczęta w duchu polskim. W Gdyni było głośno o niej, gdy wyszła monografia A. Liedtkiego *Historia Zakładu N.M.P. Anielskiej w Kościerzynie 1861-1936* (Kościerzyna 1936). Po przygotowaniu rozdziału o dr. Łukowiczu wysłałem jego kopię do Stefanii Mokwy. Odpisała mi 2 listopada 1958: „Wszystkie dane zawarte w jego liście o ojcu moim dr. Maksymilianie Karolu Marcelim Łukowiczu są, o ile mogę w tej chwili stwierdzić, prawdziwe. Bardzo chętnie służę Panu swoją pomocą przez przesłanie panu dalszych materiałów o życiu i pracy w Australii mojego ojca”. W korespondencji ze mną podawała zawsze nazwisko ojca jako Łukowicz, a nie „Łukowitz”, jak proponuje Grabowski. Rodzona córka doktora aprobowała umieszczenie rozdziału o nim w książce *Polacy w Australii i Oceanii* a p. Leon Grabowski domaga się usunięcia go. Czy to nie dziwne?

O moich spotkaniach z Marcinem Mokwą pisałem jeszcze w *Wiadomościach* londyńskich, nr 393, z 11 października 1953, w artykule „Wśród malarzy”. Wspominałem tam Galerię Morską Mokwy, gdzie 40 wielkich płócien obrazowało historię walki Pomorzan z nawałą germańską, od czasów Chrobrego aż do zaślubin Polski z Bałtykiem i gen. Hallera. Po zdobyciu Gdyni we wrześniu 1939 Niemcy spalili natychmiast ten cykl obrazów, noszący nazwę „Apoteoza Polski Morskiej”, a żandarmeria otrzymała rozkaz zastrzelenia Mokwy. Nie mogąc go znaleźć zamordowano w Kościerzynie jego brata. Ostatnio wyszła ciekawa książka Krzysztofa Wójcickiego, *Rozmowy z Mokwą* (Wyd. Morskie, Gdańsk 1989). Na s. 47 Mokwa opowiadał jak jego dziadek, Wawrzyniec Kuczkowski, uczył go za czasów pruskich: „Trzeba umieć żyć — a to wcale nie takie proste. Co innego myśleć, co innego robić. Myśleć po polsku, robić po niemiecku. Mówić musisz po niemiecku. Ale w domu tylko po polsku. Dom jest twoją prawdziwą ojczyzną”. Takie było *credo* Polaków na Pomorzu pod zaborem pruskim.

Równie dobrze mógłby Grabowski nazwać „zdecydowanym i

aktywnym Niemcem” admirała Józefa Unruga, skoro podczas I wojny światowej topił Anglikom statki i był komendantem szkoły dowódców *U-Bootów Kriegsmarine*, a również jego ojca, Tadeusza, pruskiego generała, który po przejściu na emeryturę nie chciał rozmawiać po niemiecku. Admirał Unrug znany był z tego, że jako jeniec wojenny rozmawiał z Niemcami tylko przez tłumaczy, chociaż miał matkę Niemkę. Zainteresowanym polecam monografię Antoniego Minkiewicza *Polacy Unrugowie* (Londyn 1983), s. 25-29. Grabowski pewnie uważa, że powinienem pisać *von Unruh*?

Dr Maksymilian Łukowicz, wychowany w szkołach pruskich, był pod dużym wpływem kultury niemieckiej, ale jeśli był produktem dwóch kultur — to także powinno być dla niego miejsce w mojej książce. Czytałem ostatnio wywiad z angielskim historykiem Normanem Daviesem, w którym wyraził się, że „w oczach nacjonalistów nie można być równocześnie Polakiem i Niemcem, a to jest możliwe”. Jarosław Rymkiewicz w świetnej książce *Umschlagplatz*, wydanej przez *Kulturę* w r. 1988, na s. 169 ukazał Hansa-Janka z Opolszczyzny, który czuł się jednocześnie Niemcem i Polakiem. Arbitralne rozstrzygnięcie przez Grabowskiego, kto jest Niemcem, kto Polakiem, a kto Żydem, do subtelności chyba nie należy, szczególnie w czasach, gdy światli ludzie dążą do zjednoczenia Europy.

Zwracałem się do wszystkich historyków australijskich, którzy kiedykolwiek i gdziekolwiek wyrazili zainteresowanie sprawami polskimi, chociaż jednym słowem. Dość długa ich lista znajduje się we wstępie książki, ale Grabowski odsyła mnie do mitycznych „południowo-australijskich historyków”. Zapewne ma na myśli m.in. współautora książki *The Germans in Australia* (Educa Press, Melbourne, 1985), który na s. 7 pisze: „Podczas *Drang nach Osten* rzadko zaludnione ziemie Słowian na wschód od Łaby zostały stopniowo zajęte przez Niemców. Jakkolwiek, z wyjątkiem wschodnich Prus, te obszary nie były podbite (*conquered*). Być może, że słowa te napisano w dobrej wierze, ale widać iż historyk ten chyba niczego się nie dowiedział o wypadkach dziejowych związanych z takimi miejscowościami jak Cedynia, Głogów, Psie Pole, Niecza lub Płowce. Fakt zamieszczenia tamże na s. 3 mapy, gdzie Wrocław i Olsztyn znajdują się tylko i zapewne czasowo „pod polską administracją”, nie wzbudziły we mnie entuzjazmu do współpracy.

Wszystkie argumenty i pretensje Grabowskiego skierowane do prof. Zubrzyckiego i do mnie idą wyraźnie tylko w jednym kierunku — zredukowania w czasie, liczbie i jakości, grupy polskiej i jej wkładu w dzieje Australii na rzecz grupy niemieckiej, która i tak była i będzie bardziej faworyzowana oraz popularniejsza w historiografii australijskiej niż Polacy. Motywy i pobudki tych wysiłków Grabowskiego są zastanawiające. W książkach moich nikogo nie polonizowałem, wykazując jedynie związki z Polską szeregu postaci.

Lech PASZKOWSKI

Drogi Panie Redaktorze,

Nawiązuję do listów red. Grot-Kwaśniewskiego i Lecha Maszkowskiego piętnujących stroniczą i błędną ocenę książki Paszkowskiego *Polacy w Australii* w recenzji Leona Grabowskiego. Autor tejże recenzji uważa siebie za historyka australijskiej Polonii, ale wszelkie poszukiwania bibliograficzne trafiają w pustkę. Nie znana mi jest ani jedna praca naukowa p. Grabowskiego w ogóle. Wiem tylko o jego parokrotnych próbach retrospektywnego zniemczenia wielu Polaków-podróżników, odkrywców i badaczy których sylwetki z niocości wydobył i sumiennie opracował Lech Paszkowski. To samo dotyczy niepotrzebnej kontrowersji dotyczącej tych, zwykłych już zjadaczy chleba, którzy w latach 1850-tych przybyli do Południowej Australii z Dolnego Śląska i tam założyli osadę Polish Hill River.

Ogromny wysiłek Paszkowskiego w zgromadzeniu materiału dowodowego (1537 odnośników, 12 stron bibliografii), mrawcza i bezinteresowna praca w okresie czterdziestu lat i wreszcie publikacja tego dzieła z przedmową najwybitniejszego historyka australijskiego Manninga Clarka i to po krytycznej ocenie maszynopisu przed wydaniem go pod egidą prestiżowego wydawnictwa jakim jest Australian National University Press, to wszystko zasługuje na obiektywną, a nie stroniczą ocenę przez recenzenta, który sam niczego jeszcze nie napisał.

4.XII.90

Jerzy ZUBRZYCKI

26.11.1990

Drogi Panie Redaktorze,

List ten napisałem w odpowiedzi na artykuł Leona J. Grabowskiego „Polacy w Australii” (z krytycznymi uwagami o książce Lecha Paszkowskiego „Poles in Australia and Oceania”), zamieszczony w nr 11 (listopad 1990) *Kultury*.

Krytyka jest zawsze pożądana, o ile jest konstruktywna, ale krytyka która podważa zaufanie do dzieł wartościowych, napisanych w oparciu o liczne archiwalne materiały, nie zasługuje na pochwałę.

Tygodnik Polski, pismo wydawane od roku 1949 w Australii, od wielu lat reklamował i popierał jedyną dotychczas poważną, obszerną i solidnie udokumentowaną historię australijskiej Polonii, książkę Lecha Paszkowskiego „Polacy w Australii i Oceanii”.

Dorobek Lecha Paszkowskiego, jako historyka, nie ogranicza się jedynie do książek, ale jest także wyraźnie zaznaczony w wielu opublikowanych artykułach i pracach w naukowych czasopismach i w wydawnictwach encyklopedycznych.

Paszkowski był zapraszany od dawna przez różne instytucje naukowe np. opracował cztery rozprawy o przyrodnikach polskich dla australijskiego Royal Zoological Society of NSW, które były ogłoszone w *Australian Zoologist*. Również przez redakcję Australijskiego Słownika Biograficznego (Austra-

lian Dictionary of Biography), przygotowywanego w Australian National University, a drukowanego przez Melbourne University Press, gdzie opracował pięć życiorysów. Był także zaproszony do napisania encyklopedycznego artykułu o początkach polskiej emigracji do księgi „The Australian People: An Encyclopedia of the Nation, Its People and Their Origin”, wydanej przez federalny rząd australijski, na 200-lecie Australii.

Na zaproszenie prof. Emanuela Rostworowskiego opracował 8 życiorysów dla Polskiego Słownika Biograficznego, wydanego przez Instytut Historii i Polską Akademię Nauk w Krakowie. Był redaktorem trzech historycznych publikacji książkowych w języku angielskim, Australia Felix Literary Club, które miały bardzo dobre recenzje, jak wszystkie inne jego prace. Ogłosił około 80 artykułów, szkiców i recenzji w londyńskich *Wiadomościach*. Wśród około 400 artykułów opublikowanych w prasie emigracyjnej, przeszło 70 dotyczyło historii Polonii australijskiej.

Leon J. Grabowski, o którego pracach historycznych, naukowych, dziennikarskich czy literackich nic nam nie wiadomo, w swoim art. „Polacy w Australii”, stara się — bez przekonującego uzasadnienia — pomniejszyć duży dorobek naukowy i historyczny Lecha Paszkowskiego, zasłużonego historyka australijskiej Polonii — o czym Pana Redaktora i Czytelników *Kultury* informuję.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI
(redaktor *Tygodnika Polskiego* w Melbourne)

Gdańsk 4.10.90

Szanowny Pan Jerzy Giedroyc
Redaktor Naczelny „Kultury”

W numerze 7/8 (1990) *Kultury* przeczytałem polemikę p. Haliny Martinowej z Londynu. Zgadzam się z jej tezami. Pragnę podać dalsze przykłady potwierdzające prezentowaną analizę.

Po pierwsze: obrady Okrągłego Stołu były ugodą nie pomiędzy białymi — opozycją a czerwonymi — komunistami. PZPR praktycznie od czasu wprowadzenia stanu wojennego nie istniała. Pierwsze skrzypce w Polsce grali wojskowi, wyżsi oficerowie którzy wykształcenie otrzymali w Moskwie. Ta uгода pomiędzy wojskowymi (Jaruzelski, Kiszczak itd.) jest przez Premiera Mazowieckiego nadal utrzymywana. Innymi słowy pod szyldem Solidarności ukrywa p. Mazowiecki prawdziwych zleceniodawców. Przed kilkoma tygodniami *Przegląd Tygodniowy* prezentował sylwetki wyższych oficerów Wojska Polskiego. Praktycznie nie ma wśród nich ludzi, którzy nie ukończyliby szkół w ZSSR.

Po drugie: wszelkie slogany propagandowe Premiera w rodzaju „jeden program np. ekonomiczny, jeden rząd, jedyna polityka zagraniczna” itd. są żywcem przejęte ze słownictwa komunistycznego. Sprawa wygląda natomiast tak, że polityka zagraniczna Rządu ponosi klęskę za klęską. Całe zamieszanie np. ze spotkaniem „2+4” i udziałem w nim Polski było bez znaczenia dla polskiej racji stanu. W 1939 roku też mieliśmy podpisane układy i ze wschodem i z zachodem, a skutek znany. Natomiast min. Skubiszewski, skąd-

inąd profesor prawa, i p. Mazowiecki, historyk, zachowywali się tak, jakby nigdy o tym nie słyszeli. Fakt natomiast wprowadzenia wiz wjazdowych dla obywateli polskich praktycznie do wszystkich krajów europejskich jest przykrywany milczeniem. 40-60-godzinne kolejki na przejściach granicznych, szczególnie wschodnich, pozostają po roku rządów niezmienione. Wiadomo powszechnie natomiast, że na 10-15 samochodów wschodnich jest 1 polski. I to nie nasi obywatele wykupują ich artykuły (dużo gorszej jakości) a ich obywatele nasze. Praktyczny brak zainteresowania losami Polonii na wschodzie.

Utrzymywanie wojska sowieckiego na terenie Polski jest tak zawiłe tłumaczone społeczeństwu, że chyba nawet autorzy tego stanowiska nie znają prawdziwej odpowiedzi.

Rząd ten ma na swym sumieniu tyle afer w ciągu roku, ile poprzednie prawdopodobnie nie miały w ciągu 10 lat. Afera z ziemniakami, afera z zakupem spirytusu, o której przez 4 miesiące trąbiła cała prasa, a o której biedny Rząd z wicepremierem Balcerowiczem nic nie wiedział. Afera ze zbożem zakupionym z Francji po 188 dolarów za tonę w sytuacji, gdy od polskiego chłopca nie chciano skupować po 40-60 dolarów za tonę.

Afera z mięsem sprzedawanym do Danii, a następnie z powrotem zakupionym do Polski, afera z Tractebelem, belgijską firmą atomową, afera byłego wicepremiera Jankowskiego z zakupem za 96 milionów dolarów środków ochrony roślin niedopuszczonych do stosowania praktycznie na całym świecie, afera z samochodami i obecna z piwem. Afery z pracą posłów w spółkach akcyjnych, także z kapitałem zachodnim. Zamieszanie rodzin członków Rządu w spółki. I nieważne jest to, że takie rzeczy się zdarzają. Istotne jest to, że Rząd udaje, że nic się nie zdarzyło i odcina grubą kreską od kolejnych malwersacji powodując, że następni przestępcy czują się bezkarni.

Należy także pokreślić, że Rząd, który twierdzi, iż ochrona środowiska jest najważniejszym z jego zadań, z ustaleń Okrągłego Stołu w tej dziedzinie w terminie spełnił tylko 7% postulatów. Wszystko wskazuje, że odstępuje się od tych ustaleń. Nie jest to sprawa ekonomii. Np. do dnia dzisiejszego Rząd nie może się zdecydować na prezentowanie opinii publicznej danych dotyczących skażeń środowiska. W Polsce praktycznie nie wykonuje się badań żywności czy też ludzi odnośnie skażeń chemicznych. A średnia długość życia spadła już w niektórych regionach do 56 lat.

Tak więc uzasadnione są twierdzenia Polonii, że daleko do normalizacji i nadal należy patrzeć, „po której jesteśmy stronie”. Akcja zbierania funduszy na pomoc dla Rządu jest nie tylko niewłaściwa, ale szkodliwa. Jeżeli Polonia chce pomagać rodakom w Kraju, to tylko i wyłącznie na ściśle określone cele, np. dla domu dziecka, pomoce naukowej dla określonej szkoły itd. Wszelkie centralne fundusze, jak uczy doświadczenie, w Polsce zjada administracja.

Jerzy JAŚKOWSKI
W-ce moderator Franciszkańskiego
Ruchu Ekologicznego,
uczestnik obrad Okrągłego Stołu
Gdańsk, 80-215. Suwalska 6

La Conception, Que., 26 lipiec 1990 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Recenzje z książek nieraz zachęcają mnie do ich przeczytania. Nie jestem jednak w stanie przypomnieć sobie, czy była drukowana i czy ją czytałem, recenzja o wydanej przez „Odnowę” w Londynie w 1987 roku książce Józefa Garlińskiego pt. „Niezapomniane lata”.

Dostałem w tych dniach fotokopie kilku stron (87, 88, 89 i 101) tej książki. I zaskoczyło mnie, jak autor niezgodnie z prawdą pisze o sprawach, które śledził pod okupacją jako funkcjonariusz wywiadu AK. Dopiero kiedy trafitem na wspomniane w tym tekście nazwisko szefa oddziału I, ppłk. Sanojcy, zorientowałem się, że oskarżenia w stosunku do płk. dypl. Tadeusza Kurcjusza wynikają z wrogięgo do Narodowych Sił Zbrojnych stosunku zarówno ppłk. Sanojcy jak i szefa Sztabu AK. gen. Pełczyńskiego. Ciekawe, że pisząc o tej samej sprawie J.J. Terej, w swojej książce pt. „Rzeczywistość i polityka”, wydanej w PRL-u w 1971 roku, wzmiankując Kurcjusza, (str. 379), jest bliższy rzeczywistości i nie oskarża dowództwa NSZ o niepełnione zbrodnie. Podobnie zresztą prawdziwie o tym pisze i Z.S. Siemaszko na str. 202 swej książki pt. „Narodowe Siły Zbrojne”.

Jak pisze Garliński, rzeczywiście płk Kurcusz pracował w początkach okupacji w Departamencie Komunikacji ZWZ, potem w AK.

W 1942 roku Kurcusz został aresztowany. Słusznie pisze Terej, że był on aresztowany przypadkowo. Nie, jak daje do zrozumienia Garliński, przez Gestapo a przez Kripo, czyli policję kryminalną. Przypuszczalnie na skutek jakiegoś fałszywego donosu o „przestępstwie” handlowym lub walutowym. Mogło to wynikać z tego, że otrzymywał on od rządu na zachodzie skromną emeryturę, zapewne w dolarach.

Choć, jak pisze Garliński, rewizja nic obciążającego nie wykryła w mieszkaniu Kurcjusza, został on mimo to aresztowany i umieszczony w areszcie Kripo na ulicy Koszykowej. Nie zaś na Pawiaku i nie łącznie z tymi, aresztowanymi przez Gestapo, o których pisze Garliński. Mimo przypadkowości aresztowania groziło mu automatycznie zesłanie do obozu pracy lub obozu koncentracyjnego.

Żona Kurcjusza, rzeczywiście z pochodzenia Niemka, ale spolszczona, starała się go wykupić z Kripo. W tej sprawie zwróciła się o pomoc do szeregu osób i między innymi pomoc uzyskała od mojego środowiska (ZJ-NSZ), w postaci kupionej przez nas złotej papierośnicy, która przekonała odpowiedniego funkcjonariusza Kripo, by zwolnić z aresztu płk. Kurcjusza. Musiał on jednak zakonspirować się i został zawieszony w swej funkcji w AK. O swojej przygodzie chciał meldować d-cy AK. Został skierowany do p. Muzyczki. Znając jego powiązania z komuną, odmówił meldowania się u niego.

Po aresztowaniu dowódcy NSZ, płk. Oziewicza, ze strony przedstawicieli NOW w TNRP została wysunięta kandydatura płk. dypl. Tadeusza Kurcjusza na dowódcę NSZ. Znając go dobrze, bez wahania zgodziliśmy się na jego kandydaturę.

Mając objąć stanowisko dowódcy NSZ uważał płk Kurcusz za swój obowiązek zameldować o tym dowódcy AK. I znowu polecono mu meldować się u Muzyczki. Odmówił i objął dowództwo NSZ informując gen. Bora jedynie pośrednio.

Najlepszym dowodem kłamliwości oskarżeń Józefa Garlińskiego jest chyba przebieg zawarcia umowy i jej wprowadzenia w życie, między AK i NSZ.

Umowa przewidywała, że d-ca AK zaprzysięże d-cę NSZ jako swego pełnomocnika do spraw NSZ.

Wkrótce po podpisaniu umowy przedstawiciel NOW w TNRP, adwokat Zbigniew Stypułkowski, wezwał do siebie jednego z ZJ-owców, członka TNRP i zawiadomił go że podpisując umowę gen. Bór-Komorowski nie wiedział, iż dowódcą NSZ jest płk Kurcusz. Gdyby o tym wiedział, w żadnym razie nie zgodziłby się, by Kurcusz był jego pełnomocnikiem. Przyczyną miało być to, że jako dowódca NSZ pobierał on pensję zarówno od AK jak i od NSZ. Wyjaśniłem tę sprawę natychmiast z płk. Kurcuszem. Od NSZ nie otrzymywał on regularnej pensji, jedynie od czasu do czasu jakiś drobny zasiłek w razie konieczności, bo NSZ nigdy nie rozporządzały regularnymi i wysokimi sumami. Przyznana mu przez gen. Sikorskiego drobna emerytura przychodziła do niego nieregularnie, drogą przez AK, ale nie od AK.

Poinformowany o tym mecenas Stypułkowski oświadczył, że ta sprawa nie jest istotna. Natomiast gen. Bór nie może przyjąć Kurcjusza, bo, obejmując dowództwo NSZ nie odmeldował się u niego. Po poinformowaniu o tym, że Kurcusz próbował odmeldować się u gen. Bora, ale skierowano go do Muzyczki, co przedstawiało niebezpieczeństwo zdekonspirowania go wobec komuny, przycisnąłem mec. Stypułkowskiego, by zorganizował moje spotkanie z Borem dla doprowadzenia do załatwienia sprawy uznania Kurcjusza jako pełnomocnika do spraw NSZ. Do rozmowy doszło, po długim oporze gen. Bór zgodził się na zaprzysiężenie i zaprzysięgił płk. Kurcjusza.

Przez cały czas pertraktacji nigdy nie była wspomniana sprawa „sypnia” przez płk. Kurcjusza ludzi AK wobec Gestapo, co zarzuca Garliński. Czyżby zarzut pobierania emerytury od AK i zarzut nieodmeldowania się były istotniejsze niż zarzut, wymyślony przez p. Garlińskiego, o nieetycznym postępowaniu w rzekomym śledztwie? I nie został ten zarzut wysunięty przez gen. Bora. Jasne więc jest chyba, że tego zarzutu nie można było wysunąć, bo został on wysunięty po wojnie przez wroga nastawionych do NSZ ludzi z byłego sztabu AK.

Mam nadzieję, że ostatecznie historycy zdadzą sobie sprawę z błędów popełnionych przez różne środowiska pod okupacją i nie będą oskarżać NSZ o niepełnione błędy. Tak jak to oskarżenie d-cy NSZ przez p. Garlińskiego, czy np. oskarżenie przez S. Korbońskiego NSZ-u o zamordowanie Widerszala i Makowieckiego, gdy zbrodnię tę popełnili ludzie AK na rozkaz dwójki, ponieważ byli oni wtyczkami komunistycznymi w BIP. Zresztą cały zespół likwidacyjny został wkrótce zlikwidowany, by zachować tajemnicę udziału w tej sprawie AK, a winę móc przerzucić na NSZ.

Łączę wyrazy szacunku

W.M. MARCINKOWSKI

b. dowódca Związku Jaszczurczego
b. członek Tymczasowej Narodowej

Rady Politycznej przy NSZ

b. zastępca d-cy Brygady Świętokrzyskiej

Berlin, 19.12.1990 r.

Szanowny Panie,

Nie chcę odpowiadać artykułem na polemiki (*Kultura* nr 12/90) wokół mego tekstu o Wolnej Europie, szkoda na to miejsca. Warto jednak podkreślić parę spraw. Przede wszystkim — to nie ja likwiduję zasłużoną rozgłoszenie, lecz sytuacja. Naiwnością jest sądzić, że Amerykanie będą ją utrzymywali w nieskończoność. Jest też sporo przesady w przecenianiu umiejętności dziennikarskich zespołu RWE — nie jestem wcale pewien, czy są one zawsze wyższe niż dziennikarzy krajowych. Są, że tylko na emigracji uchowały się takie cnoty jak profesjonalizm czy zdrowy rozsądek, że tylko na wychodźstwie powstawała prawdziwa polska sztuka itp., jest jedną z nieuleczalnych chorób niektórych środowisk.

Uważam natomiast, że jest rzeczą wskazaną już dzisiaj zacząć głośno myśleć, co dalej z RWE raczej, niż trzymać się zasady „wszystko albo nic”. Nie twierdzę, że mój pomysł jest dobry. Ma jednak tę przewagę nad innymi, że po prostu jest. A moim polemistom przypominam, że to właśnie Amerykanie od czasu do czasu powtarzają wariant pomysłu zmierzającego do połączenia redakcji RWE z Głosem Ameryki. I to nie ja obecnie obcinam fundusze tej rozgłoszeni. Co zaś do wyrzucania mi, iż swego czasu otrzymałem dolary z tej redakcji, to pragnę zauważyć, że nie dostawałem ich za nic, lecz za ciężką i ryzykowną (wówczas) pracę; jej ocenę merytoryczną pozostawiam innym. Ocenę wysokości tych dochodów także. Zarzuty utrzymywania się z wrażeń źródeł już kiedyś przerabiałem.

I jeszcze jedno. W żadnym wypadku nie miałem zamiaru podważać wagi pracy RWE, jej zasług i dorobku. Przeciwnie — uważam — że trzeba wszystko zrobić, by ten dorobek uratować. By to się stało możliwe, konieczne jest znalezienie nowej formuły. Kto tego nie zauważa, ten może spowodować, że istniejący sprzęt powiększy zasoby złomu, a archiwa i zbiory pozabawione zostaną obecnie funkcjonalności. W każdym razie gratuluję moim polemistom optymizmu.

Pozostaje z szacunkiem

Leszek SZARUGA

KRAJ — BLOK WSCHODNI

3.11.90

Dyrekcja „Transoceanu” wprowadziła na swoich statkach stanowisko księży kapelanów, ich wynagrodzenie wynosi ponad 6 mln zł. miesięcznie.

11.11.90

Jury Nagrody im. Jerzego Łojka przyznało następujące wyróżnienia: Andrzej Przemyski za pracę „Ostatni komendant gen. Leopold Okulicki”, Wydawnictwo Lubelskie, 1990; Anna Cieniata za pracę „Polska polityka zagraniczna w latach 1926-1939”, Instytut Literacki, 1990; Joanna K.M. Hansen za pracę „Nadludzkiej poddani próbie. Ludność cywilna Warszawy w powstaniu 1944”, Wydawnictwo „Czytelnik”, 1990; Piotr Łossowski za pracę „Tragedia państw bałtyckich 1939-1941”, Instytut Prasy i Wydawnictwo „Novum”, 1990; Janusz K. Zawodny za pracę „Katyń”, Editions „Spotkania”, 1989.

20.11.90

W Gnieźnie odbyło się spotkanie biskupów Polski i Niemiec pod przewodnictwem prymasa Polski, Kardynała Glempa i bpa Karla Lehmana z Moguncji. Spotkanie odbyło się dla uczczenia 25 rocznicy listu biskupów polskich do Episkopatu Niemiec. Ustalono, że następne spotkanie odbędzie się w kwietniu 1991 roku. ■ Instytut Kulturoznawstwa Uniwersytetu Poznańskiego podaje dane statystyczne dotyczące Polaków na Wschodzie. Mianowicie: w Bułgarii mieszka ok. 2 tys. Polaków, w Rumunii 15 tys., w Węgrzech także 15 tys., w Republice Czeskiej i Słowackiej — 80 tys. a w Związku Sowieckim 1.181 tys.

22.11.90

W dniach od 22 do 24 listopada odbyła się na Uniwersytecie Poznańskim sesja naukowa *Gustaw Herling-Grudziński — tradycja i współczesność kultury europejskiej*. Referaty wygłosili Tomasz Burek, Stanisław Stabro, Magdalena Lubelska, Maria Adamczyk, Ryszard Nycz, Zdzisław Kudelski, Marek Adamiec, Roman Zimand, Jan Dierick, Marta Wyka, Jan Zieliński, Ryszard K. Przybylski, Włodzimierz Bolecki, Wiesław Król, Anna Nasalska, Andrzej Waśko.

8.12.90

Zmarł w Krakowie w wieku 75 lat Tadeusz Kantor, malarz, poeta, kierownik teatru Cricot.

12.12.90

W Klubie Prasy w Kaliszu odbył się wernisaż prac malarskich oraz wieczór autorski Jana Winczakiewicza, artysty, poety i dziennikarza mieszkającego stale w Paryżu. 18 grudnia odbył się również jego wieczór autorski w Warszawie, w siedzibie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na Krakowskim Przedmieściu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1.11.90

Małgorzata Terentiew-Ćwiklińska objęła funkcję redaktora naczelnego i dyrektora zarządzającego *Gwiazdy polarnej* w Stevens Point (USA).

10.11.90

Walne zebranie Wspólnoty Francusko-Polskiej wybrało nowy zarząd: prezes — Leszek Talko; wiceprezesa — Jerzy Mond, Lucjan Owczarek i Maciej Morawski; sekretarz generalny — Bruno Wicek, jego zastępca — Maria Adamska; skarbnik — Józef Tolstik; członkowie zarządu — Elżbieta Rybczyńska i dr Zemek (w skład zarządu wszedł także delegat Nord/Pas de Calais — inż. Janusz Deryng).

28.11.90

Zmarł w Rzymie w wieku 73 lat ks. Władysław kardynał Rubin, b. prefekt Kongregacji do Spraw Kościołów wschodnich, długoletni delegat Prymasa Polski do spraw duszpasterstwa na emigracji, żołnierz kampanii wrześniowej, członek ZWZ, zesłany karnie do łagrów sowieckich, żołnierz armii polskiej na Wschodzie. Kardynał Rubin został pochowany w Polsce, w Lubaczowie.

30.11.90

Zmarł w Londynie w wieku 69 lat Edward E. Chudzyński, żołnierz AK, poeta, pisarz, dziennikarz i aktor.

7.12.90

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów (SPK) w Lille zorganizowało odczyt gen. Yves Faury — „Charles de Gaulle w Polsce 1919-1920”. ■ Zmarł w Londynie w wieku 77 lat Lew Sapieha, oficer IX pułku ułanów wielkopolskich w czasie II wojny światowej, długoletni współpracownik sekcji polskiej Radia BBC. ■ W Philippe Staib Gallery w Nowym Jorku w ramach wystawy rzeźby współczesnej były wystawione prace Ludwiki Ogorzelec. ■ Zmarł w Monachium w wieku lat 60 wybitny niemiecki pisarz Horst Bienek. Był on związany ze Śląskiem. Wysiedlony z Gliwic przez władze PRL do Niemiec w 1946. Jego powieść „Pierwsza Polka” ukazała się siedem lat temu w „Czytelniku”, jak również jego powieść „Cela”.

11.12.90

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się odczyt Grzegorza Boguty, dyrektora Polskich Wydawnictw Naukowych (PWN), na temat „Książka i prawa autorskie w Polsce i w Europie Centralnej”. Ponadto 13.12.90 r. Tomasz Lubieński mówił — po francusku — na temat „L'écrivain peut-il survivre en liberté”. Zaś 14.12.90 r. miał miejsce odczyt Guy Sormana, pisarza i publicysty, pt. „Jak wyjść z socjalizmu”. Została otwarta wystawa „Tradycje Bożego Narodzenia na wsi polskiej”, która będzie trwała do 11 stycznia 91 r. Natomiast 29.11.90 r. miał miejsce odczyt Jacka Woźniakowskiego, prezydenta miasta Krakowa, pt. „Kraków w perspektywie Europy”.

15.12.90

Tygodnik Polski w Australii ustanowił doroczną nagrodę łącznej wysokości 500 dolarów australijskich. Przyznawana ma być za najlepszą publikację, zamieszczoną na łamach *Tygodnika Polskiego*, a dotyczącą spraw australij-

skich. W tym roku jury nagrody zdecydowało nie przyznać ani pierwszej, ani drugiej nagrody, ale rozdzielić powyższą sumę na pięć równorzędnych nagród, które otrzymali: Eugeniusz Bajkowski, Andrzej Ehrenkreutz, Tadeusz Kempa, Wanda Szczyglińska i Janina Lubicz-Zaleska.

17.12.90

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się odczyt Andrzeja Biernackiego pt. „Zygmunt Lubicz-Zaleski — krytyk literacki i delegat na Francję ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

We wrześniu obchodzi 40-lecie Polski Związek Akademików w USA, który został założony w Chicago w r. 1950 jako bezpartyjna, samopomocowa i kulturalna organizacja studentów i absolwentów szkół wyższych. ■ W nowojorskim *Nowym Dzienniku* i chicagoskim *Dzienniku Związkowym* pojawiły się apele o poparcie dla warszawskiego Funduszu Daru Narodowego. Akcji patronuje KPA, udział bierze wiele przedsiębiorstw polskich i polonijnych, chodzi o zebranie miliona dolarów, a całą sprawę traktuje się niezwykle poważnie. Niektóre poprzednie akcje, związane z finansami, wskazują po pierwsze na trudności, jakie tego typu inicjatywy napotykają w polonijnej społeczności (np. siedziba Instytutu Piłsudskiego, Centrum Kulturalne w Waszyngtonie, Pomnik Katyński w New Jersey), po drugie na nieufność potencjalnych uczestników, którzy rzadko doczekują się publikacji rozliczeń finansowych po zakończeniu tego typu przedsięwzięć. Dyskusyjna wydaje się też sama idea zebrania miliona dolarów „dla Polski”, podczas gdy polska grupa etniczna jako jedna z niewielu w USA (z tych znajdujących się niżej w hierarchii społecznej) nie posiada systemu specjalnych stypendiów ułatwiających polonijnej młodzieży pięcie się ku szczytom władzy i biznesu: takie stypendia mają Murzyni, Latynosi i Azjaci oraz prawie wszystkie grupy etniczne z Europy płd. i wsch. ■ Na początku października Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości (powołany w końcu 1989 r. przez Kongres USA dla wspomagania procesu prywatyzacji w Polsce poprzez inwestycje i udzielanie kredytu małym i średnim przedsiębiorstwom oraz spółkom mieszanym) poinformował o przeznaczeniu wstępnie kwoty 19 milionów na kredyty dla polskich przedsiębiorstw prywatnych; w ciągu najbliższych 3 lat suma ta ma wynieść 240 milionów dolarów. Dużą inwestycją będzie przeznaczenie sumy 6 mln. dol. na wsparcie rozwoju pierwszego w Polsce prywatnego Banku Rynkowego w Wielkopolsce. Dyrektor Funduszu Robert G. Faris przewiduje konieczność stworzenia programów kształtujących specjalistów w wielu dziedzinach, które są w Polsce nieznanne. ■ Amerykańska centrala związków za-

wodowych AFL-CIO, amerykańskie ministerstwo pracy, koncern Coca-Cola i NSZZ „Solidarność” uczestniczą w opracowaniu i wcielaniu w życie programu kształcenia specjalistów znających amerykańską technologię i technikę budowania domów. Na początek strona amerykańska ma wyremontować i wyposażać w najnowocześniejszy sprzęt od lat nieużywany budynek w Warszawie: część wyposażenia pochodzi od armii amerykańskiej stacjonującej w Niemczech. ■ Fundacja Charytatywna Kongresu Polonii Amerykańskiej przekazała polskiemu Episkopatowi pół miliona par rękawic chirurgicznych, których zakupienie umożliwiła suma 102 tysięcy dolarów przyznanych tej komisji przez Agency for International Development (AID), które wspomaga kraje ubogie i zacofane. ■ Amerykańskie towarzystwo telefoniczne AT&T, które wcześniej podłączyło warszawskie centrale do międzynarodowej sieci SESS International, podpisało nowy kontrakt z firmą Electrim. Za sumę 5 milionów dolarów zainstalowane zostaną nowe połączenia cyfrowe między Warszawą, Katowicami i Psarami. ■ Prezydent Bush korzystając z przysługujących mu konstytucyjnych uprawnień zwiększył do 131 tysięcy (obecnie 125 tys.) liczbę uchodźców politycznych, którzy będą mieli prawo wjechać do USA w 1991 r. W tej liczbie znajduje się m.in.: 52 tys. uchodźców z Azji Wsch., przeważnie Wietnamczyków; 4.900 z Afryki; 5.000 z Europy Wsch. i 6.000 z Bliskiego Wschodu i płd. Azji. W tej nowej „kwocie” aż 10 tys. uchodźców wjedzie do kraju dzięki funduszom prywatnym organizacji, ponieważ kompleksowy program rozszerzenia imigracji do USA boryka się z finansowymi trudnościami: na to przedsięwzięcie przeznaczony jest w r. 1991 45 mln. dol. ■ Prez. Bush wykorzystał konstytucyjne prawo weta wobec zatwierdzonej przez Kongres USA ustawy o prawach obywatelskich. Naczelną ideą ustawy było obalenie 6 wyroków Sądu Najwyższego, które zobowiązywały pracownika, oskarżającego pracodawcę o dyskryminację ze względu na rasę czy płeć, do rzetelnego przedstawienia dowodów. Prezydent uzasadniał swój sprzeciw twierdząc, że nowa ustawa będzie zmuszać pracodawców do przyjmowania mniejszości etnicznych i kobiet nie w zależności od ich kwalifikacji, lecz w obawie przed rozprawą sądową. Kongres nie będzie w stanie obalić prezydenckiego weta, ponieważ w żadnej z obu izb nie ma wymaganych przez Konstytucję 2/3 głosów. ■ *Washington Post* zaapelował o redukcję polskiego zadłużenia w USA, wzorowanej na czerwcowej inicjatywie prez. Busha, który zaofiarował Ameryce Łacińskiej redukcję długów pod warunkiem przeprowadzenia reform gospodarczych w tych krajach. Dziennik waszyngtoński uważa dług za dodatkowe obciążenie przy przeprowadzaniu reform w Polsce. ■ Na wniosek demokraty z Nowego Jorku, Stephena Solarza, 12 członków Rady Reprezentantów Kongresu USA wezwało prez. Busha do redukcji polskiego długu niezależnie od wielostronnych porozumień. Kongres wcześniej uchwalił na wniosek demokratycznego reprezentanta z Wisconsin — Davida R. Obey'a — rezolucję upoważniającą prezydenta do negocjacji na

ten temat w ramach porozumień międzynarodowych lub dwustronnych pod warunkiem, że Polska dotrzyma zobowiązań wobec Międzynarodowego Funduszu Walutowego. ■ W USA na stypendium American Council of Learned Societies przebywa Jerzy Kropiwnicki, niegdyś jeden z szefów łódzkiej „Solidarności”, aresztowany na początku stanu wojennego za próbę zorganizowania oporu; obecnie wiceprzewodniczący Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. ■ W październiku ukazał się ostatni regularnie rozpowszechniony numer *Głosu Niezależnych*. To bezpłatne, jednokartkowe pismo było wydawane od stycznia 1989 r. przez grupę niepodległościowców (Ireneusz Stypik, Zbigniew Frank, Stefan Kowalik i Maria Górka) uznających rząd londyński i Konstytucję z 1935 za podstawy prawne państwowości polskiej. W listopadzie główny sponsor pisma, Ireneusz Stypik, wydał z okazji wyborów prezydenckich specjalny numer pisma, w którym wzywał Polonię do bojkotu. ■ 27 października na prośbę prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego odbyło się w Boulder, Colorado posiedzenie Oddziału Rady Narodowej RP w USA. Rozważano problem, czy sytuacja w Polsce dojrzała do przekazania wybranemu w listopadzie prezydentowi insygnii władzy. Wyniki głosowania: 9 głosów za, 1 przeciw i 3 wstrzymujące się. Zgodnie z Konstytucją z 1935 r. Prezydent RP ma nieskrępowane prawo do samodzielnego podjęcia tego typu decyzji. ■ W październiku i listopadzie przebywał z wizytą w USA Marian Jurczyk, przewodniczący „Solidarności 80”; odbył on wiele spotkań z Polonią oraz udzielił wywiadów polonijnym pismom i radiostacjom. ■ Z badań Instytutu Gallupa wynika, iż Amerykanie poświęcają coraz więcej czasu i pieniędzy na cele charytatywne. Przeciętnie gospodarstwo domowe w roku 1989 przeznaczało na pomoc potrzebującym 734 dolary, czyli ok. 2% dochodów, co stanowi przyrost w stosunku do r. 1987 o ponad 20%. Wzrosła też liczba wolontariuszy — z 80 milionów w 1987 do 98,4 w r. 1989. ■ W wyborach listopadowych wicegubernatorem stanu Illinois został Robert Kustra. Jim Edgar, nowy gubernator, w przemówieniu wygłoszonym bezpośrednio po ogłoszeniu wyników wysoko ocenił swego zastępcę oraz pokreślił, że jest on pierwszym Amerykaninem polskiego pochodzenia, który osiągnął tak wysoki urząd w Illinois. ■ W dniach 8-10 listopada odbył się pod Waszyngtonem zjazd Krajowej Rady Dyrektorów KPA; prezesem wybrano ponownie Edwarda Moskala. W związku z przemianami ustrojowymi w Polsce KPA postanowił więcej poświęcić sprawom wewnątrz-amerykańskim. ■ Przez cały listopad program radiowy R. Lewandowskiego przy współpracy Komisji Charytatywnej KPA prowadził akcję gromadzenia pieniędzy dla dzieci polskich w Sowietach. Już w pierwszych dniach zebrano kilka tysięcy dolarów. ■ Kongres USA uchwalił nową kompromisową ustawę (Senat — 89:8; Izba Reprezentantów — 264:118), która jest pierwszą od 66 lat całościową próbą uregulowania problemów imigracyjnych. Nowe przepisy będą wchodzić w życie sukcesywnie przez najbliższe dwa lata. W większo-

nej do 700.000 (675 tys. po 1994) rocznej liczbie imigrantów — przeznaczono 465 tys. wiz (480 tys. po 1994) dla rodzin obywateli amerykańskich i rezydentów. Aby zapobiec w przyszłości brakowi wykwalifikowanej siły roboczej, przelicza się 140 tys. wiz rocznie dla osób o specjalnych umiejętnościach niezależnie od kraju pochodzenia; 55 tys. przelicza się dla krajów, z których napływała najmniejsza liczba ludności na skutek działania starych przepisów; 40 tys. wiz otrzymują kraje, z których tradycyjnie przybywały wielkie ilości imigrantów — m.in. Włochy, Polska i Irlandia. Na mocy nowej ustawy skróci się znacznie okres oczekiwania na przyjazd rodziny imigranta oraz umożliwi zalegalizowanie pobytu wielu uchodźcom z Ameryki Południowej, a także azylantom zagrożonym deportacją w związku ze zmianą sytuacji w ich krajach (pierwotnie miało to dotyczyć grupy Polaków, Węgrów, Panamczyków i Nikaraguańczyków). Nowa ustawa, mimo wszystkich niedoskonałości, częściowo kończy z całkowitą przypadkowością polityki imigracyjnej. Choć w dalszym ciągu łączenie rodzin pozostanie najważniejszym celem tej polityki, uwzględni się w większym stopniu niż dotychczas interesy kraju. Wyrazem tego jest nieuchwalenie amnestii dla osób nielegalnie przebywających w USA, których przydatność dla gospodarki kraju nie zawsze jest oczywista. Niewątpliwie też nieco zmieni się skład etniczny przybyszów. ■ W USA w pierwszej turze wyborów na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej wzięło udział ok. 38.000 osób, z czego ok. 60% głosów otrzymał Wałęsa, a ok. 33% — Mazowiecki. ■ Pod koniec listopada odbyła się w Chicago uroczystość poświęcona Polce Marii Szul, która podczas II wojny uratowała 4 Żydów. W uroczystości, której przyświecał cel budowy pomostów między różnymi grupami etnicznymi, wzięli udział m.in. bohaterka Polka, uratowani Żydzi oraz konsulowie polski i izraelski.

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wybrany w październiku na walnym zjeździe delegatów, to nie tylko zmiana garnituru — jak wynika z licznych wypowiedzi prasowych — ale również programu i metod działania. Prezes Marek Malicki, adwokat, urodzony w Anglii, wychowany i wykształcony w Kanadzie, harcerz, działacz polonijny, posiadający liczne powiązania, uczestniczący w życiu publicznym tego kraju — będzie sterował w kierunku wzmocnienia grupy polskiej i jej aktywnego udziału w życiu tego

kraju. Stanowisko takie zajął już Kongres Polonii USA. Oczywiście nie oznacza to zmniejszenia, względnie wycofania się z różnych akcji na rzecz Polski. ■ Konsulaty nawiązały stosunki z różnymi organizacjami polonijnymi, m.in. z okręgami Kongresu. Konsulem generalnym w Toronto został 44-letni inżynier budownictwa komunikacyjnego, Andrzej Brzozowski, pracownik Politechniki Gdańskiej. Dawny działacz „Solidarności” w Gdańsku, czynny również w podziemnej strukturze w okresie stanu wojennego. ■ W Ontario wybory do Izby Ustawodawczej zakończyły się niespodziewanie dla wszystkich zwycięstwem socjalistycznej Nowej Partii Demokratycznej. W skład nowego rządu weszła poseł Elaine Ziemba, pochodzenia polskiego, wnuczka emigrantów. ■ Jacques Parizeau, przywódca separatystycznej Partii Quebecois, dla uczczenia pamięci swej żony, śp. Alicji, przekazał Polskiej Fundacji Społeczno-Kulturalnej w Montrealu \$ 5.000. ■ Kapitał Fundacji powiększył się w 1990 r. o \$ 150.000 i wynosi już około \$ 500.000. Wzrost kapitału nastąpił dzięki zapisom testamentowym wielu osób. ■ Doroczna zbiórka dla Biblioteki Polskiej im. Wandy Stachewiczowej w Montrealu przyniosła do 1 grudnia 1990 r. \$ 15.600. ■ Polski Instytut Naukowy w Kanadzie wspólnie z Konsulatem Generalnym RP w Montrealu zorganizowali wystawę fotograficzną Anny Beaty Bohdziewicz „X lat NSZZ 'Solidarność'”. Wystawa trwała od 8 do 22 grudnia.

Toronto, 8.12.1990 r.

B.H.

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.

Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czasopisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

Z ostatniej chwili

STOWARZYSZENIE POROZUMIENIA NIEMIECKO-POLSKIEGO

Przewodniczący: Tadeusz NOWAKOWSKI
I wiceprzewodniczący: Paweł CIESIELSKI, Norymberga.

Deklaracja założycielska (fragmenty)

Runęły mury dzielące kontynent europejski na dwie części: wolną i zniewoloną. Wierzymy, że wkrótce już powstanie nowa Europa — bez dzielących narody granic. Pragniemy działać na rzecz tej nowej Europy.

Aby w tej nowej sytuacji europejskiej Niemcy i Polacy stali się dla siebie dobrymi, przyjaznymi sąsiadami potrzeba, by wzajemne kontakty nie ograniczały się do umów podpisanych między rządami i urzędami. Nadszedł czas na wspólną, wielką dyskusję o złej i o dobrej przeszłości, o dobrosąsiedzkiej przyszłości. Nadszedł czas na spotkanie między ludźmi.

Będziemy więc organizowali indywidualne i środowiskowe kontakty niemiecko-polskie, będziemy popierali wymianę kulturalną i intelektualną, będziemy propagowali dobre sąsiedzkie tradycje i obyczaje, będziemy ukazywali to, co łączy Niemców i Polaków w kulturze i we wspólnej historii. Będziemy poszukiwali wspólnie odpowiedzi na najtrudniejsze pytania i będziemy działali na rzecz zmiany i poprawy wizerunku Niemca w polskiej świadomości i wizerunku Polaka w świadomości niemieckiej.

Pamiętamy słowa, jakie w 1965 Episkopat polski skierował do Episkopatu niemieckiego: Wybaczymy i prosimy o wybaczenie. Uważamy, że słowa te mogą przyjąć tak ludzie wierzący jak niewierzący, bowiem niosą one ze sobą tradycyjne wartości moralne i nawiązują do przyszłości, do wizji przyszłej Europy Bez Granic.

Siedzibą SPNP jest Bawaria. Z dniem dzisiejszym powstają dwa Oddziały Stowarzyszenia: w Monachium i w Norymberdze.

Monachium, dnia 15 września 1990

Członkostwo honorowe SPNP przyjęli między innymi:

Carl AMERY — Przewodniczący Niemieckiego Pen Klubu, Johanna von HERZOGENBERG — historyk sztuki, prof. Jacek WOŹNIAKOWSKI — Prezydent miasta Krakowa, Kazimierz WÓYCICKI — naczelny redaktor *Życia Warszawy*, prof. Wojciech LAMENTOWICZ — Dyrektor Studium Nauk Politycznych przy Polskiej Akademii Nauk, Gabriele HENKEL — mecenas sztuki, Leonard REINISCH — publicysta bawarskiego radia i telewizji, Aleksander TIPLT — dziennikarz, obrońca dobrego imienia Polaków walczących pod Monte Cassino. Członkiem honorowym był także zmarły w tych dniach wielki przyjaciel Polski i Polaków, pisarz Horst BIENEK.

INAUGURACJA DZIAŁALNOŚCI WYDAWNICTWA FIS

7 grudnia 1990 roku w Lublinie zainaugurowało swą działalność WYDAWNICTWO FIS. Nowe wydawnictwo będzie kontynuowało prace edytorskie byłego Funduszu Inicjatyw Społecznych, którego nakładem w latach 1985-1990 ukazało się trzynaście książek i pięć serii znaczków. W czasie inauguracji zaprezentowano dwie książki. Pierwsza, „Zostało tylko słowo...” to wybór esejów i rozmów poświęconych paryskiej *Kulturze* i jej twórcom. Druga pozycja to, poszerzone i poprawione, II wydanie „Leksykonu polskiej literatury emigracyjnej” Jana Zielińskiego. Książka zawierająca 109 haseł osobowych i 10 haseł emigracyjnych instytucji wydawniczych, będzie na pewno cenną pomocą dla miłośników literatury emigracyjnej, uczniów i studentów.

W najbliższym czasie wydawnictwo zapowiada ukazanie się kolejnej pozycji, którą będą szkice literackie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „Żywi i umarli”. Będzie to pierwsze krajowe wydanie esejów, które ukazały się w Rzymie w 1945 roku.

Gościem inauguracji był autor „Leksykonu”, Jan Zieliński, który przedstawił zgromadzonym swoją książkę. Obie książki spotkały się z życzliwym przyjęciem, podkreślano szczególnie staranne wydanie i ciekawą szatę graficzną publikacji. Spotkanie zakończyła tradycyjna lampka wina w gronie przyjaciół i sympatyków wydawnictwa.

Andrzej PECIAK

Odbiór listy z dnia 12 września 1990 r. z Monachium i w Niemczech.

Monachium, dnia 12 września 1990

Listy do Redakcji

Nowy Jork, 4 grudnia 1990

Szanowny Panie Redaktorze

W *Kulturze* nr 11/518 (listy do Redakcji, str. 158) p. Tomasz Mianowicz powtarza tezę o przynależności Görlitz do Śląska, a mieszkańców Görlitz uparcie nazywa Ślązakami. O śląskim Görlitz czytałem też ostatnio w prasie krajowej co najmniej dwukrotnie. Jest to oczywisty nonsens. Wydawało mi się, że powszechnie wiadomo, że historyczna granica Śląska na zachodzie przebiegała zawsze wzdłuż rzek Bobru i Kwisy, a więc na wschód od Zgorzelca. List p. Mianowicza jest dowodem, że nie jest to oczywiste. Wobec tego proszę Pana Redaktora o zamieszczenie tych kilku uwag.

Wystarczy zajrzeć do atlasu historycznego, aby zorientować się, że Görlitz ma tyle wspólnego ze Śląskiem, co Małopolska z Małopolską wschodnią, a argument o historycznej przynależności Görlitz do Śląska ma tę samą wagę, co argument o przynależności Kuwejtu do Iraku. Granica między Śląskiem a Miśnią (późniejszą Saksonią) ustaliła się ostatecznie na Bobrze i Kwisie w połowie XIII wieku. W roku 1329 Zgorzelec wraz z resztą Górnych Łużyc został przyłączony przez Jana Luksemburskiego do ziem Korony Czeskiej. W tym samym okresie niemal wszyscy książęta śląscy również uznali zwierzchnictwo czeskie. Granica między Śląskiem a Łużycami pozostała niezmienną, tylko w okolicach Żegania dochodziła do Nysy Łużyckiej.

W roku 1526 Czechy wraz ze Śląskiem i Łużycami przeszły we władanie Habsburgów. Ferdynand II w czasie wojny trzydziestoletniej, w zamian za pomoc militarną, przekazał Sasom Łużycę Górne: najpierw w roku 1623 w zastaw, a w roku 1635 saskiej dynastii Wettynów w dożywocie. (Później, po wygaśnięciu dynastii, ani Saksonia, ani zjednoczone Niemcy nie chciały tego uznać i nie zwróciły Łużyc Czechom). Wędc od XVII wieku Zgorzelec/Görlitz wraz z całym Łużycami był częścią Saksonii.

Śląsk, jak wiemy, został w 1742 roku przyłączony do Prus. Granica między Śląskiem a Saksonią zmieniła się dopiero w roku 1815, kiedy to na Kongresie Wiedeńskim ukarano Saksonię za pomoc okazaną Napoleonowi i prawie całe Łużycy zniknęły z mapy, a Zgorzelec/Görlitz wszedł w skład okręgu legnickiego, a więc został przyłączony do Śląska administracyjnie. Czy na tej podstawie można twierdzić, że mieszkańcy dzisiejszego Görlitz są Ślązakami? Myślę, że nie. Skoro jednak pojawiają się ludzie, którzy twierdzą, że jest inaczej, to możliwe, że będziemy coraz częściej świadkami nacjonalistycznych demonstracji w Görlitz, które może stać się miejscem symbolicznego kulturowania niemieckości Śląska.

Szkoda więc, że p. Mianowicz zwracając się do „czytelników nie znających historii Śląska” nie spróbował jej lepiej poznać. Nie stwierdziłby wtedy, „że wiedza autora 'Kroniki niemieckiej' w tej dziedzinie nie jest kompletna”. Bo czyż wiedząc gdzie leżą Łużycy można napisać, że zachodnia granica Śląska sięgała na zachód od Szprewy? Przecież nad Szprewą do dziś mieszkają Serbołużyczanie. Szkoda zresztą, że w Polsce tak mało się o nich mówi, a przecież zjednoczenie Niemiec przyniosło im szereg problemów (ale to temat na osobny list).

Z poważaniem,

Zdzisław GREMSKI

23 listopada 1990

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeden z przyjaciół przysłał mi niedawno fotokopię czterech stron książki Lesława M. Bartelskiego „Pieśń niepodległa — pisarze i wydarzenia 1939-1942”, opublikowanej w kraju przez Wydawnictwo Literackie (daty wydania nie znam).

Na stronie 391 mój przyjaciel zakreślił następujące zdania:

„Brzoza zaprzeczał kategorycznie, jakoby też pisywał do *Gazety (Lwowskiej)* — przyp. jm) i tłumaczył się, że 'za okupacji piórem nie ruszył'. Dowiedział się później, że tym felietonistą podpisującym się J. B. był syn znanego lwowskiego plastyka Stanisława Machniewicza, po wojnie pracujący w Radio Wolna Europa”. (Koniec cytatu).

Jestem synem Stanisława Machniewicza i przez 30 lat pracowałem w Radio Wolna Europa.

Ojciec mój nie był plastykiem, lecz historykiem i krytykiem sztuki, publikującym książki i artykuły, a także prelegentem (m.in. radiowym), głównie z zakresu estetyki; zginął w Oświęcimiu.

Jeśli o mnie chodzi, nigdy niczego i nigdzie nie sygnowałem inicjałami J.B.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i najlepsze pozdrowienia.

Jacek K. MACHNIEWICZ

Monachium, 2 grudnia 1990

Szanowny Panie Redaktorze

Dział listów w *Kulturze* traktuję również jako *sui generis* świadectwo epoki; doceni to z pewnością przyszły historyk, badając czasy, w których żyjemy, a te są — jak wiadomo — arcyciekawe. By jednak w nawale doniosłych przemian nie zginęły wydarzenia mniejszej rangi, nie pozbawione

jednak godnych odnotowania aspektów, pozwalam sobie prosić o zamieszczenie mego listu, by opisany tu przypadek jakoś utrwalił — właśnie z myślą o historykach postkomunizmu.

Otrzymałem parę dni temu wyrok wydany dn. 10.10.1990 r. przez Sąd Pracy w Monachium (nr akt 22 Ca 6244/90 — kopię załączam), który orzekł w sprawie mojej skargi przeciwko Radiu Free Europe — Radiu Liberty, Inc., w której domagam się ponownego przyjęcia mnie do pracy, mając do tego prawo w oparciu o wcześniejszy wyrok Sądu Pracy II instancji, który orzekł że wypowiedzenie, jakie otrzymałem z RFE w 1988 r. było sprzeczne z prawem. Skargę moją sąd oddalił, co w danej konstelacji prawnej jest faktem wyjątkowym. Sądzę jednak, że nie aspekty prawne, lecz polityczne orzeczenia sądu godne są uwagi, jako osobliwe świadectwo postkomunistycznych czasów. Oto w uzasadnieniu wyroku można m.in. przeczytać, że pozwany (czyli RFE-RL) twierdzi, że w związku z moim krytycznym nastawieniem do „obecnego kierownictwa politycznego w Polsce” stosunek między stronami sporu jest tak zły, że zatrudnić mnie nie można (str. 4). Również sąd uważa, że główną przyczyną, dla której nie można dopuścić mnie do pracy w RFE, jest odmienny stosunek stron do obecnego rządu Polski, bowiem ja — jako redaktor — mógłbym wpływać na opinie słuchaczy rozgłośni, popierającej polski rząd (str. 6, 10). Wyrok podpisał sędzia dr praw Gericke.

Nie ukrywam, że nie jestem zwolennikiem „filozofii rządu Tadeusza Mazowieckiego”, z powodów, których łatwo się domyślić, znając sytuację w Polsce po kilkunastu miesiącach praktycznego stosowania tej filozofii. Równie negatywnie oceniam politykę zagraniczną „obecnego kierownictwa” — zwłaszcza prosowietyzm i antyniemieckość. Przyznam jednak, że nawet w czasach *głasności*, kiedy trudno dziwić się czemkolwiek, fakt, iż z uwagi na opublikowanie krytycznej oceny dokonań p. Mazowieckiego (co z moją posadą w RFE nie ma nic wspólnego) pozbawiony jestem w praworządym państwie elementarnych praw, jak prawo do pracy czy wolności przekonań — zaskoczył nawet mnie. Pewnej pikanterii dodają całej sprawie wyniki niedawnych wyborów w Polsce, które pokazały, że liczba zwolenników p. Mazowieckiego jest żenująco skromna. Ale choć osiągnięcia obecnego rządu w polityce wewnętrznej są niezbyt imponujące, odnoszę wrażenie, że zakres wpływów p. Mazowieckiego poza Polską jest znaczny — przynajmniej w Sądzie Pracy w Monachium i w Radiu Wolna Europa. Przypomina to trochę odpowiedź Radia Erywań na pytanie, czy *głasność* i *pieriestrojka* odnoszą sukcesy: „W zasadzie tak, ale tylko na Zachodzie”.

Załączoną kopię wyroku zechce Pan łaskawie zachować w archiwum Instytutu Literackiego i udostępnić zainteresowanym, którzy zamierzają zająć się prawdziwą historią polskiego postkomunizmu. Wierzę, że tacy się znajdują.

Proszę przyjąć najlepsze pozdrowienia

Tomasz MIANOWICZ

Wrocław, 20.11.1990

Do Redakcji *Kultury*

Piszę w sprawie artykułu p. Bohdana Osadcuka. Zapewniam, że nie jestem polskim szowinistą. Kilkakrotnie zabierałem głos na łamach krajowej prasy po stronie Ukraińców. Raz nawet zaatakowano mnie (*Wokanda*) jako Ukraińca.

Artykuł p. B.O. jest bardzo jednostronny, co szkodzi poruszonym w nim sprawom. Nie sądzę, żeby w emigracyjnej prasie ukraińskiej mógł ukazać się artykuł prezentujący w podobny sposób polskie racje. Podobnie dzieje się tutaj — w Polsce i na Ukrainie. Duża część polskiej prasy jest proukraińska. Olbrzymie zasługi mają *Znak*, *Więź*, *Tygodnik Powszechny*. W ostatnich miesiącach wiele pism publikowało artykuły o akcji „Wisła”, obozie w Jaworznie, historii UPA w Polsce (obszerny tekst Henryka Pajaka w *Nowych Relacjach*). Kijowskie pisma częściowo rewanżują się, pisząc o Katyniu i Starobielsku, tłumacząc polską literaturę (co prawda akurat w tym roku głównie fantastykę — „Bcecbim”). Niestety na Zachodniej Ukrainie prasa jest wobec Polski bardzo sceptyczna lub wroga. Jedno z najpopularniejszych ukraińskich pism — organ Związku Pisarzy Ukrainy, lwowski *Ozwin* — jest niechętnie Polakom. Dowodem niech będzie propozycja usunięcia pomnika Adama Mickiewicza ze Lwowa. Pisząc o represjach stalinowskich lat 1939-41 redaktor naczelny Roman Fiedoriw, ludowy deputat ZSSR, nie wspomina, kto leży w masowych grobach, bo przecież nie tylko Ukraińcy, lecz i polscy „okupanci”.

Duża mniejszość polska na Ukrainie nie ma dotąd swego pisma, gdy na Litwie ukazują się trzy. Ukraińcy w Polsce mogą wydawać co chcą.

Wydarzenia szybko pokazały, że p. B.O. nie miał racji. Upadł rząd ukraiński. Czy jego następcy będą respektować ustalenia podjęte podczas wizyty min. Skubiszewskiego? Czy nie należało jeszcze poczekać?

Ukraińcy nie interesują się sprawą zbrodni popełnionych na Polakach, Żydach i „niesłusznych” Ukraińcach na Ukrainie Zach. A przecież uczciwe zbadanie tej sprawy uspokoiłoby nastroje wśród rodzin ofiar, które obecnie często uważają za winny cały naród ukraiński.

Jaworzno to tragedia, ale w tym samym czasie w „polskich” więzieniach ginęły setki AK-owców, tysiące wywożono do obozów m.in. na Ukrainę.

Przewlekane ekshumacji oficerów ze Starobielska (a przecież nie tylko Starobielska) każe wątpić w suwerenność władz ukraińskich.

Oczywiście zgadzam się z wieloma tezami p. Osadcuka.

Jerzy PANKIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 21 lipca 1990 ukazał się w *Gwieździe Polarnej* (Wisconsin) mój artykuł pt. „Wojna bakteriologiczna — wojna propagandowa”. Listopadowy numer *New Horizon* (N.Y.) zawierał mój artykuł „The Secrets of Bacteriological Warfare of 1952”. Artykuły te są owocem studiów nad oporem polskich bakteriologów przeciwko udziałowi w propagandzie tzw. wojny bakteriologicznej w 1952 roku. Dwa dalsze artykuły przedłożyłam do publikacji w czasopiśmie amerykańskich; jeden z nich zawiera 38 pozycji literatury i niepublikowanych informacji (np. dokumentów z archiwum prof. Ludwika i Hanny Hirszfeldów). Proszę bardzo o zamieszczenie mego listu do redakcji, gdyż pragnę zawiadomić szersze grono Polonii o jeszcze jednym stalinowskim kłamstwie, którego ofiarą padli Polacy.

Propagandę wojny bakteriologicznej w 1952 roku rozpoczęło oficjalne zawiadomienie rządów Północnej Korei i Chin w lutym 1952, że amerykań-

skie samoloty szerzą choroby zakaźne, zrucając chorobotwórcze bakterie z samolotów w „wektorach” (gryzoniach i małych owadach), a także innymi metodami. Prasa tych dwóch krajów publikowała dokładne dane o miejscowościach, w których te zrzuty jakoby miały miejsce, i nazwiska ludzi, którzy padli ich ofiarą. Stany Zjednoczone i ONZ zażądały zbadania sprawy przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż i Międzynarodową Organizację Zdrowia, ale to słuszne żądanie zostało odrzucone pod pretekstem, że organizacje te zamierzają szpiegować na rzecz Zachodu.

Nie dopuściwszy do kontroli międzynarodowych organizacji, blok wschodni sam utworzył szereg komisji, pośród których największą rolę odegrała tzw. Komisja Naukowa. Zorganizowana przez Komitet Obrońców Pokoju w Sztokholmie, miała ona być ciałem obiektywnym, a więc tylko jeden jej członek, czynny politycznie bakteriolog z Moskwy, dr Żukow-Weresznikow, reprezentował blok wschodni. Pozostali członkowie komisji pochodzili z Zachodu, ale w ten czy inny sposób sympatyzowali z blokiem wschodnim. Komisja poświęciła 10 tygodni na zebranie i opisanie tzw. faktów, ale tylko 3 dni na wizję lokalną w Korei. Wnioski opierały się przede wszystkim na informacjach chińskich specjalistów oraz faktach, uprzednio ogłoszonych przez prasę bloku wschodniego. W końcu we wrześniu opublikowano w Pekinie i Pradze „Raport międzynarodowej komisji do zbadania faktów dotyczących wojny bakteriologicznej w Korei i Chinach”. W raporcie były wymienione choroby zakaźne, spowodowane jakoby przez zrucane z amerykańskich samolotów zarazki: dżuma, cholera, węglik i grzybica liści. Mimochodem wspomniano też dyzenterię, tyfus brzuszny i paratyfus. Raport zawierał wiele niedokładności i błędów. R. Dubos, prezes Amerykańskiego Towarzystwa Bakteriologów, znalazł w nim fałszerstwa, ale wszystko to były dowody nie wprost. Podważenie prasowych doniesień o tzw. wojnie bakteriologicznej w Chinach i Korei było niemożliwe, ponieważ Zachód nie miał dostępu do tych krajów. Stalinowska propaganda skorzystała z oświadczenia Stanów Zjednoczonych, że w 1952 roku istniała techniczna możliwość prowadzenia wojny bakteriologicznej i twierdziła, że Korea i Chiny zostały użyte jako poligon doświadczalny. Znany angielski biochemik Joseph Needham, który spędził wiele lat w Chinach i był członkiem komisji, wielokrotnie zapewniał, że armia amerykańska prowadziła wojnę bakteriologiczną. To samo powtórzył w 1981 roku w wywiadzie, który został opublikowany w książce Paxnana i Harrisa.

Propaganda na temat wojny bakteriologicznej siała zamęt i nieufność do Zachodu. Wielką rolę w popieraniu tej propagandy odegrali mikrobiolodzy i pracownicy służby zdrowia. W Polsce jednak Polskie Towarzystwo Mikrobiologów od początku miało wątpliwości. Z początkiem marca 1952 PTM wydrukowało w swoim czasopiśmie *Acta Microbiologica Polonica* apel do mikrobiologów świata i mikrobiologów amerykańskich, aby zbadali sprawę i uniemożliwili prowadzenie wojny bakteriologicznej. W późniejszym okresie zaprzestano odczytywania apelu, a PTM zwyczajnie odmówiło udziału w kampanii przeciw wojnie bakteriologicznej. Rząd polski usiłował zmusić je do wydania odpowiedniej uchwały na zjeździe w 1952. To się jednak nie udało, zjazd pominął sprawę wojny bakteriologicznej milczeniem. PTM posunęło się do tego, że w raporcie ze zjazdu, ogłoszonym w *Acta Microbiologica Polonica* (referaty naukowe, wnioski i uchwały) nie wspomniano nawet o wojnie bakteriologicznej. Jednak prasa podała fałszywą wiadomość, że PTM wydało odpowiednią uchwałę; powoływano się na przemówienia osób nieupoważnionych przez PTM, tylko przystanych przez rząd. Fałszerstwo to zostało udowodnione przez publikacje w *Acta Microbiologica Polonica*. Opozycja wobec

oficjalnej polityki bloku była w okresie stalinowskiego terroru wielkim ryzykiem, PTM musiało więc mieć głębokie przekonanie, że żadnej wojny bakteriologicznej nie było. PTM w odróżnieniu od organizacji zachodnich miało dostęp do Korei poprzez polskich mikrobiologów, którzy pracowali w szpitalach w Północnej Korei.

Autorka niniejszego artykułu nie jest specjalistką w sprawach wojny bakteriologicznej i informacje na ten temat w niniejszym artykule pochodzą z opublikowanego piśmiennictwa. Jest ona mikrobiologiem i immunologiem z Polski, otrzymała doktorat w roku 1960 na Uniwersytecie w Łodzi, po czym w 1962 przyjechała do Stanów Zjednoczonych jako *fellow* Rockefeller Foundation. Była wtedy adiunktem przy Katedrze Mikrobiologii na Uniwersytecie w Łodzi. W roku 1952 była młodszym asystentem przy tej samej katedrze. Kierownik tej katedry był prezydentem zjazdu PTM w roku 1952, a inny członek tego zakładu był sekretarzem tego zjazdu. Zjazd w Łodzi odmówił powzięcia uchwały potwierdzającej istnienie wojny bakteriologicznej (i związanego z tą uchwałą potępienia Stanów Zjednoczonych). Dopiero teraz otworzyła się możliwość wydobywania na jaw tych spraw bez niebezpieczeństwa dla tych mikrobiologów, którzy zostali w Polsce. Autorka niniejszego artykułu prowadziła badania na ten temat od roku 1985, ale koncentrowała je na osobie profesora Hirszfelda, wybitnego polskiego immunologa, mikrobiologa i epidemiologa, który zmarł w roku 1954 i nic mu już nie groziło. Poprzednio został fałszywie oczerniony w opinii świata za rzekomą udział w propagandzie wojny bakteriologicznej. Fakty znalezione w polskich publikacjach zaprzeczają temu, więcej, wykazują bohaterstwo i odwagę tego człowieka, który był prawdziwym uczonym i jako taki miał odwagę mówienia prawdy. Pytano mnie wielokrotnie, czy znałam profesora Hirszfelda i czy dlatego go popieram. Nie, nie znałam Hirszfelda i mój zakład nie miał z nim kontaktu, ale tak jak i on nie zawahał się bronić prawdy.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

Dr M. ROLICKA

3 grudnia 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

We wrześniowym (9/516) numerze *Kultury*, w artykule Andrzeja Krzczunowicza pod tytułem „Konflikt konstytucyjny a przyszłość Quebecu” znalazł się błąd rzeczowy.

Autor pisze „...premier Wyspy Księcia Edwarda obsypał premiera *Nowej Ziemi...*” (s. 76, l. 7-8). Nowa Ziemia to wyspy w Arktyce (70°-76°N i 52°-68°E) pomiędzy Morzem Barentsa i Morzem Karskim. Geograficzna nazwa własna prowincji kanadyjskiej, o której pisze p. Krzczunowicz, brzmi *Nowa Fundlandia* (w oryginalnym angielskim: Newfoundland).

Chętnie służę pomocą w kłopotach z nazewnictwem geograficznym. Jestem geografem i kartografem, absolwentką Uniwersytetów Warszawskiego

i Queen's (Kingston, Canada).

Dziękuję bardzo za wspaniałe czasopismo.

Życzę całej redakcji *Kultury* Wesołych Świąt Bożego Narodzenia.

Z uszanowaniem

Ela RUSAK MAZUR

Chicago, 8 listopada 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Poniższe uwagi dotyczą dwóch spraw: sprostowania do listu p. Czesława Jamera, członka organizacji Americans for Independent Poland, oraz prób dyskredytowania w Pańskich oczach mojej osoby jako autora Kroniki Amerykańskiej.

Pan Jamer w liście do redakcji pisze o roli organizacji AFIP (której jest członkiem) w niesieniu pomocy polskim marynarzom, którzy na początku 1989 roku poprosili na Alasce o azyl polityczny w USA, zostali zatrzymani przez amerykański Urząd Imigracyjny i przewiezieni do więzienia w Denver, Colorado.

Otóż z informacji i dokumentów, których dostarczyli mi Donna Kersey i Dariusz Olszewski (małżeństwo polsko-amerykańskie związane od początku ze sprawą) wynika, że poszukującym pomocy dziewięciu polskim marynarzom pomogli przede wszystkim dwaj amerykańscy adwokaci — Tom Orr i Daniel W. Kowalski — oraz Amerykanin czeskiego pochodzenia, który przesłał czek wartości 3.000 dolarów na kaucję dla nich. W całą sprawę zaangażował się też program radiowy w Denver, w którym informacje o losie marynarzy systematycznie przekazywał p. Igor Jasiński. Również wymienieni wyżej moi informatorzy i zarazem przyjaciele Donna i Darek pomagali marynarzom w ramach Free Anorage Nine.

Nie zdołałem natomiast dowiedzieć się o działaniu czy sukcesach organizacji, o której pisze p. Jamer w swoim liście. Z jednym może wyjątkiem: otóż zbierającej pieniądze w imieniu i z oficjalnego upoważnienia AFIP p. Jadwidze Tokarskiej udało się doprowadzić do tego, że dziewięciu marynarzy wydało oświadczenie, w którym do zbierania pieniędzy na kaucję upoważniono jedynie Free Anorage Nine oraz zaznaczono, iż wszelka inna działalność oprócz pomocy otrzymanej od adwokatów amerykańskich może bardziej zaszkodzić sprawie niż jej pomoc. Widziałem również list jednego z adwokatów do dwu kwestujących pań, Tamary Proch i Jadwigi Tokarskiej, w którym mec. Kowalski prosił o wysłanie zebranych pieniędzy na konto Free Anorage Nine jako jedynej organizacji zajmującej się losem polskich marynarzy z ich upoważnienia. List oczywiście pozostał bez odpowiedzi, a z zebranych przez AFIP pieniędzy nigdy publicznie się nie rozliczono.

Tajemnicą pozostanie, co musiało spowodować — niecodzienną w końcu, a opisaną powyżej — reakcję uwięzionych rezygnujących z pewnych źródeł pomocy i dobrowolnie ograniczających (wydawałoby się) swe szanse.

Interesujący jest także inny fakt — który przytaczam za p. Jamerem — że dopiero Anna Walentynowicz (była w Denver prawie pół roku po zatrzymaniu Polaków) zwróciła uwagę AFIP na sytuację marynarzy. Ciężko

byłoby z niepodległością Polski, gdyby zależała ona od działania tak sprawnych organizacji, które od gości z dalekiego kraju dowiadują się o potrzebach ochrony i pomocy Polakach w USA.

Trudności ze zdobywaniem informacji przez AFIP nie skończyły się jednak w tym momencie. Otóż jeszcze w styczniu 1990 roku w *Biuletynie Informacyjnym* tej organizacji poproszono o pieniądze na kaucję dla marynarzy, z których 5 zostało zwolnionych z więzienia już w grudniu poprzedniego roku. Czy był to tylko poślizg, czy zaważyły jakieś niezbrane przyczyny związane ze zbiórką pieniędzy, czy może brak zainteresowania losem marynarzy? Dwaj spośród nich w lutym 1990 r. wysłali list do szefa AFIP, p. Andrzeja Ciska, którego informowali o zmianach sytuacji kolegów.

Chciałbym zwrócić również uwagę na gołosłowność stwierdzenia p. Jamera: „zainteresowaliśmy wielu kongresmenów i senatorów” oraz na błędność samego sformułowania — kongresmeni bowiem to wspólna nazwa senatorów oraz reprezentantów. Jako dziennikarza zaciekało mnie, do kogo się zwracano, jeśli już w nazewnictwie pojawiły się kłopoty.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że moja próba wyjaśnienia sytuacji marynarzy polskich z Denver spotka się z protestem, który przede wszystkim dotyczyć będzie roli, ważności i wielkości wspomnianej organizacji. Chcę tu dodać, że specjalnością Polaków, szczególnie w USA, jest tromtadactwo, przesada oraz pozorowanie działalności i AFIP najprawdopodobniej też wierzę w swoje wyjątkowe zasługi i ważność. Niestety w chwilach kiedy rzeczywiście trzeba coś zrobić pozostają najczęściej prywatne osoby, których możliwości są ograniczone. Podobnie było też z marynarzami.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Mariusz SZAJNERT

Glen Spey, 10 listopada 1990

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule Adama Kruczka „W sowieckiej prasie” (*Kultura*, listopad 1990) jest następujące zdanie:

„Pozostaje Rosja, terytorium zamieszkałe przez Rosjan, Ukraińców, Białorusinów”.

Mamy tu do czynienia z nieporozumieniem. Podobne pomieszanie pojęć spotykamy nieraz w prasie amerykańskiej, natomiast na łamach *Kultury* budzi ono zdziwienie.

Korzystając ze sposobności chcę zauważyć iż nazwa artykułów p. Kruczka jest niecisła. Autor bierze pod uwagę prasę wyłącznie rosyjską. Natomiast termin „prasa sowiecka” ma szersze znaczenie i obejmuje też prasę nierosyjskich narodów Związku Sowieckiego.

Z wyrazami szacunku

Wasył WYTWICKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

B.B., Polska; W.M. Polska; E.B., Polska; R.T. Kanada; M.J. Polska; P.M. Szwecja: — Z wierszy nie skorzystamy.

K.H., Polska: — Bardzo prosimy o przysłanie nam fotokopii tych 75 wierszy robotniczych.

A.F., USA: — Aktualność tekstów o „szkieletach w szafie” bardzo zmalała.

W.C., USA: — Opisany przez Pana epizod w metrze nowojorskim jest banalny, nie wystarczy na opowiadanie.

A. Ż., Polska: — Wszystkie trzy teksty są według nas bez wartości.

W.R., RFN: — Uprawiany przez Pana gatunek „anegdot o tematyce historycznej” zainteresuje może któreś z pism polonijnych. *Kultura* nie drukuje takich rzeczy.

M.Sz., Kanada: — Prosi Pan o ocenę swych narracyjnych „strzępów”. Jest niepodobiestwem oceniać opowiadania urwane naraz w pół słowa. Przekłady wydają nam się poprawne. W warunkach emigracyjnych „Świętego Jana od Krzyża” można spróbować wydać tylko w jakimś wydawnictwie kościelnym.

H.E., RFN: — *Psychologia aktu twórczego* nie nadaje się do druku w *Kulturze*.

J.N., Polska: — Kryzys wydawniczy panuje także na emigracji. Wydaje nam się mało prawdopodobne, by znalazł się tutaj wydawca gotów wydać opracowaną przez Pana tysięcznicową *Antologię dwudziestowiecznego humoru i satyry polskiej*.

E.Ch., Polska: — Bardzo dobrze zapisała Pani, w drobnych odpryskach, opowiadania Polaków w Kazachstanie. Zastanawia nas jednak, dlaczego w obecnym okresie „bez cenzury” nie próbuje Pani ogłosić tego zapisu w jakimś piśmie w Kraju. My zajmowaliśmy się tematyką zesłańczą i przesiedleńczą przez wiele, wiele lat.

J.A.J., Polska: — Naszym zdaniem Pana trzy opowiadania — *Przygoda*, *Trofea* i *Symultanka* — są pozbawione elementarnego zmysłu kompozycyjnego. Robią wrażenie nanizanych na nitkę epizodów, prawie zupełnie ze sobą nie powiązanych.

J.J. w Gdańsku: — Podzielamy pański sąd o katastrofalnej sytuacji wodostanu w Polsce, co powinno być brane pod uwagę przy rozważaniu instalacji atomowych w naszym kraju. Redakcja stoi jednak na stanowisku, że opracowanie polskiego modelu energetycznego powinno się opierać o zasadę zróżnicowania źródeł energii, co w szczególności nie może prowadzić do odrzucenia opcji nuklearnej. Natomiast złudzeniem wydaje się nam technologiczna i gospodarcza wartość projektów elektrowni słonecznych, czy wykorzystujących energię wiatru.

Dr Władysław Socha, Upper Grandview, NY (USA), po raz 14-ty — Dol. US 36,00	F.	180,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 31-szy — Dol. US 36,00	F.	180,00
Tadeusz K. Walendowski, Bethesda, MD (USA) — po raz 7-my — Dol. US 50,00	F.	250,00
Elżbieta i Witold J. Zahorscy, Rzym — w drugą rocznicę śmierci Witolda Zahorskiego	F.	500,00
Zamiast kwiatów na grób Anny Langrodowej — Przyjaciele	F.	500,00
Andrzej Zamojski, Lyon	F.	100,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 54-ty	F.	500,00
Jacek Zmysłowski, Kassel (RFN) — DM 100,00	F.	330,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — w dowód serdecznej pamięci, zamiast kwiatów na grób Anny Jerzowej Langrodowej, zmarłej 28 listopada 1990 r. w La Verrière we Francji	F.	200,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 28-my	F.	250,00
Bezimiennie z Paryża — pamięci Idy Jurysiovej-Spira w drugą rocznicę Jej śmierci	F.	200,00

C. Waluk, ON (Kanada) — na pomoc Polakom w Rosji F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

Photocomposition: ARTIS S.A.R.L.
 W krajach niemieckich: 550 — F. 280.
 Przygotowanie: 550 — F. 6,00.
 Należności wysyłane prosimy przesyłać na nasze konto pocztowe.
 INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Monin-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

—	<i>Komunikaty: Fundacji Pomocy Bibliote- kom Polskim, Centrum Studiów Kul- tury Polskiej, Fundacji im. Jana i Zuzanny Brzękowskich</i>	172
KSIĄŻKI		
Andrzej Ananicz:	<i>Rosja Sołżenicyna</i>	174
Andrzej Dobosz:	<i>O ostatnim z alfabetów</i>	181
Zofia Ziemięcka:	<i>Czytając prasę</i>	185
—	<i>Instytut Literacki w Kraju</i>	189
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	191
POLEMIKI		
Lech Paszkowski:	<i>Polacy w Australii zredukowani</i>	194
J. Zubrzycki, J. Grot-Kwaś- niewski, J. Jaśkowski, W.M. Marcinkowski, L. Szaruga:	<i>Listy do Redakcji</i>	199
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki ame- rykańska i kanadyjska</i>	205
Z OSTATNIEJ CHWILI		
—	<i>Deklaracja założycielska (fragmenty) Sto- warzyszenia Porozumienia Niemiecko- Polskiego</i>	212
Andrzej Peciak:	<i>Inauguracja działalności Wydawnictwa FIS</i>	213
LISTY DO REDAKCJI		
Z. Gremski, J.K. Machnie- wicz, T. Mianowicz, J. Pan- kiewicz, Dr M. Rolicka, E. Rusak Mazur, E. Szaj- nert, W. Wytwicki:	<i>Listy do Redakcji</i>	214
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	222

Włoski korespondent „Kultura”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.

42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 3571-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi

par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1991			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultura» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vliissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	F. 20,00	F. 100,00	F. 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82346	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLO-NIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do formy autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczerzy, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288.

Cena F. 145,00.

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 465 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

zawiera opracowania: Adam Uziębło: *Desowietyzacja i resowietyzacja Ludowego Wojska Polskiego po przełomie październikowym*; Janusz Kurtyka: *Na szlaku AK (NIE, DZS, WiN)*; Jan Ciechanowski: *Spór o naczelne dowództwo pomiędzy gen. W. Andersem i gen. T. Borem-Komorowskim*; Agata Tuszyńska: *Trzy pomniki*; Włodzimierz Sznarbachowski: *Bolesław Piasecki: od skrajnej antyniemieckości do projektów współpracy*; Ks. Stanisław Ryżko: *Kronika parafii Łahiszyn*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. III)*; *Dziennik walk powstańczych Oddziału „A” (Kedyw-Kolegium AK)*; Tomasz Mianowicz: *„Polskie paradoksy” z perspektywy historyka*; *Dokument o zależności PRL od ZSSR w sierpniu 1945 r. oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.